

Strefa 7

Matthew Reilly



calibre 0.9.27

Strefa 7

(Area 7)

Przełożył: Piotr Roman

Dla Johna Schrootena, mojego przyjaciela

Podziękowania

Spróbuję się pospieszyć i serdecznie dziękuję ponownie:

Natalie Freer, która na co dzień ma do czynienia z moimi ekscentrycznymi zachowaniami. Jej cierpliwość i wielkoduszność nie mają granic;

mojemu bratu Stephenowi Reilly, umęczonemu pisarzowi, konstruktywnemu krytykowi i dobremu przyjacielowi, oraz jego żonie, Rebecce Ryan – ponieważ zawsze występują w komplecie;

moim wspaniałym rodzicom, Rayowi i Denise Reilly, za zachęcanie mnie w dzieciństwie do tworzenia dla moich figurek z Gwiezdných wojen miniaturowych scenografii filmowych – to dzięki nim jestem kreatywny;

moim dobrym przyjaciołom, Johnowi Schrootenowi, Nik i Simonowi Kozlinom, całemu klanowi Kayów (zwłaszcza Donowi, który sprawił, że w Świątyni zmniejszyłem rozmiary kotów) oraz Paulowi Whyte'owi za towarzyszenie mi w niezwyklej podróży do Utah podczas przygotowywania materiałów do tej książki.

Chciałbym też wspomnieć o moich dwóch amerykańskich przyjaciołach:

kapitanie wojsk lądowych USA Paulu M. Woodsie i starszym sierżancie korpusu piechoty morskiej (w stanie spoczynku) Krisie Hankinsonie, którzy

wspaniałomyślnie poświęcali mi czas i udzielali informacji na temat zawartych w tej książce szczegółów dotyczących spraw wojskowych. Wszystkie błędy, jakie się do niej zakradły, są wyłącznie moją winą – popełniłem je wbrew ich sprzeciwom.

Na koniec – ponownie – dziękuję wszystkim w Pan Macmillan. Jest to nasz czwarty wspólny produkt i ciągle jeszcze wierzga.

Dziękuję.

Cate Paterson (znakomitej edytorce), Jane Novak (wspaniałej publicystce), Sannie Rowell (błyskotliwej redaktorce) oraz Paulowi Kenny’emu (który jest legendą w Pan Macmillan). I oczywiście – jak zawsze – przedstawicielom handlowym Pan za niezliczone godziny, które spędzają, kursując między księgarniami.

Każdemu, kto zna jakiegoś pisarza, powiem: nie lekceważ potęgi swojej zachęty.

No to świetnie! Zaczynamy przedstawienie...

PROLOG

Oddział o zaostrzonym nadzorze

Federalny Zakład Karny Leavenworth

Leavenworth w stanie Kansas 20 stycznia, godzina 12.00

To było jego ostatnie życzenie: obejrzeć w telewizji ceremonię objęcia urzędu.

Opóźniło to o godzinę wyjazd do Terre Haute, ale dyrekcja Leavenworth uznała, że ponieważ ostatnie życzenie skazańca jest uzasadnione, należy przychylić się do jego prośby.

Światło z ekranu telewizora tworzyło na ścianach celi migoczące refleksy. Z głośników dolatywał blaszany głos: Przysięgam uroczyście... Przysięgam uroczyście...

...że będę wiernie wykonywał obowiązki Prezydenta Stanów Zjednoczonych...

...że będę wiernie wykonywał obowiązki Prezydenta Stanów Zjednoczonych...

Skazaniec uważnie obserwował ceremonię.

Choć pozostały mu niecałe dwie godziny życia, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Na więziennej koszuli miał numer T-77.

Nie był młody – skończył już pięćdziesiąt dziewięć lat – i miał okrągłą ogorzałą twarz oraz przylizane czarne włosy. Mimo wieku pozostał potężnym, mocno zbudowanym mężczyzną o byczym karku i szerokich barach. Beznamiętne czarne oczy były jak studnie bez dna, ale błyszcząca w nich inteligencja. Urodził się w Baton Rouge w Luizjanie i mówił z wyraźnym akcentem.

Do niedawna rezydował w skrzydle T – oddziale Leavenworth przeznaczonym dla więźniów, którzy nie są bezpieczni wśród innych więźniów.

Dwa tygodnie temu przeniesiono go ze skrzydła T do Sekcji

Przedprzeniesieniowej, czyli „hali odlotów”. Było to kolejne miejsce specjalnego przeznaczenia: przebywali tu więźniowie, których miano w najbliższym czasie przewieźć do Federalnego Zakładu Karnego Terre Haute w Indianie w celu wykonania egzekucji za pomocą śmiertelnego zastrzyku.

Więzienie Leavenworth – w okresie wojny secesyjnej był to fort wojskowy – jest obecnie więzieniem o najwyższych standardach bezpieczeństwa i nadzoru. Oznacza to, że trafiają do niego tylko skazańcy, którzy złamali prawo federalne – członkowie specyficznej kasty, w której skład wchodzi szczególnie agresywni przestępcy, zagraniczni szpiedzy i terroryści, szefowie organizacji prowadzących zorganizowaną przestępczość oraz członkowie sił zbrojnych USA, którzy sprzedali tajemnice wojskowe, popełnili poważne przestępstwo albo zdezerterowali.

Jest to także prawdopodobnie najbardziej brutalny zakład karny w Stanach Zjednoczonych.

Podobnie jak w innych więzieniach tego rodzaju na całym świecie, osadzeni tu ludzie – mordercy i gwałciciele – wyznają szczególne zasady sprawiedliwości.

Praktycznie nie ma dnia, w którym nie atakują któregoś z seryjnych gwałcicieli, a dezerterów regularnie się bije i wypala się im na czołach literę „D”. Zagraniczni szpiedzy często tracą różne części ciała – spotkało to ostatnio czterech bliskowschodnich terrorystów, skazanych za zamach bombowy na World Trade Center w 1993 roku.

Najokrutniej traktuje się jednak szczególną grupę: zdrajców.

Wszystko wskazuje na to, że amerykańscy więźniowie Leavenworth – wśród których jest wielu okrytych hańbą żołnierzy – w dalszym ciągu kochają swój kraj.

Zdrajcy zostają zabici podczas pierwszych trzech dni od przybycia do zakładu.

William Anson Cole'a, byłego analityka CIA, który sprzedał rządowi chińskiemu informacje o przygotowywanej przez SEAL akcji na kosmodrom Xichang, epicentrum chińskiego programu kosmicznego – informacje, które doprowadziły do pojmania, poddania torturom i zamordowania sześciu komandosów SEAL – znaleziono martwego w celi dwa dni po jego przybyciu do Leavenworth. Miał rozerwany od wielokrotnego wpychania kija bilardowego odbyty i został uduszony jak wieprz za pomocą instrumentu sporządzonego ze sznura i nogi łóżka, co miało być naśladownictwem chińskiej metody torturowania ludzi poprzez duszenie bambusowym prętem.

Oficjalnie więzień T-77 znajdował się w Leavenworth za morderstwo – dokładniej zaś mówiąc, za zlecenie zabójstwa dwóch oficerów marynarki wojennej, co jest przestępstwem karanym przez amerykańską jurysdykcję wojskową karą śmierci. To, że obaj oficerowie, których kazał zabić, byli doradcami Połączonego Dowództwa Sztabów, podnosiło sprawę do rangi zdrady. Zdrady stanu.

Tym właśnie – oraz faktem, iż zajmował wysokie stanowisko wojskowe – zasłużył sobie na miejsce w skrzydle T.

Ale nawet tam nie był bezpieczny. Podczas krótkiego pobytu w tym skrzydle został kilkakrotnie pobity – dwa razy tak poważnie, że musiał zażądać transfuzji krwi.

W swoim poprzednim życiu nazywał się Charles Samson Russell i był trzygwiazdkowym generałem broni sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. Jego kryptonim brzmiał: CEZAR.

Miał iloraz inteligencji 182 i był doskonałym oficerem. Dzięki metodyczności i

inteligencji stanowił wzorzec dowódcy.

Teraz jednak, patrząc na stojący przed nim telewizor i migoczący na ekranie obraz, Cezar myślał o sobie jako o człowieku przede wszystkim cierpliwym.

Dwaj mężczyźni na ekranie – przewodniczący Sądu Najwyższego i prezydent-elekt – właśnie kończyli swój występ. Stali w zachodnim portyku Kapitolu, skąpani w szarych, zimowych promieniach słońca, nowy prezydent trzymał dłoń na Biblii.

...i uczynię wszystko, co jest w mej mocy...

...i uczynię wszystko, co jest w mej mocy...

...aby dochować, strzec i bronić Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Tak mi dopomóż Bóg.

...aby dochować, strzec i bronić Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Tak mi dopomóż Bóg.

Piętnaście lat, pomyślał Cezar. Czekał piętnaście lat.

W końcu jednak to, na co czekał, nastąpiło.

Realizacja planu nie była łatwa. Przeszłość przyniosła kilka falstartów – jednym z nich był polityk, któremu udało się zostać kandydatem na wiceprezydenta tylko po to, aby przegrać. Czterem innym udało się dojść do prawyborów w New Hampshire, ale nie dostali nominacji od swojej partii.

Byli też tacy – jak na przykład Woolf – którzy odchodzili od polityki, zanim zaczęli poważnie myśleć o swoich szansach na zostanie prezydentem. Przysparzało to dodatkowych wydatków, ale w sumie nie miało znaczenia. Senator Woolf też przydał się na swój sposób.

Teraz jednak było inaczej...

Teraz miał człowieka, który...

Jego plan był wynikiem prostego przemyślenia.

Od ostatnich czterdziestu lat amerykańscy prezydenci – z wyjątkiem jednego – pochodzili z dwóch elitarnych grup: gubernatorów i senatorów.

Kennedy, Johnson, Nixon i Ford byli przed prezydenturą senatorami, Carter, Reagan i Clinton – gubernatorami. Jedyne wyjątkiem stanowił George Bush – nie był członkiem Senatu, ale Izby Reprezentantów.

Charles Russell wiedział także, że ludzie parający się polityką często zapadają na zdrowiu.

Zagrożenia związane z ich pracą – silny stres, nieustanne podróże, niedostatek ćwiczeń fizycznych – czyniły ogromne spustoszenia w ich organizmach.

Umieszczenie prękaźnika w sercu urzędującego prezydenta było niemożliwe, ale biorąc pod uwagę łatwość przewidzenia, kim będzie kolejny prezydent Stanów Zjednoczonych – dobranie się do jego mięśnia sercowego, zanim zostanie prezydentem, nie było wykluczone.

Statystyki mówiły same za siebie.

Ponieważ kamienie żółciowe są powszechnym problemem mężczyzn w średnim wieku z nadwagą, czterdzieści dwa procent senatorów USA podda się w okresie urzędowania zabiegowi usunięcia woreczka żółciowego.

Spośród pozostałych pięćdziesięciu ośmiu procent jedynie cztery ominię jakiegokolwiek zabieg chirurgiczny.

Bardzo powszechne wśród polityków są operacje nerek i wątroby. Zdarzają się też wszczepienia bajpasów – przy tym zabiegu byłoby oczywiście najłatwiej wszczepić prękaźnik – i nierzadkie są również operacje prostaty.

Los sprowadził jednak akurat tego człowieka.

Mniej więcej w połowie swojej drugiej kadencji gubernatorskiej zaczął się skarżyć na ból w klatce piersiowej i trudności z oddychaniem. Badanie, przeprowadzone w bazie sił powietrznych niedaleko Houston przez tamtejszego lekarza wojskowego, ujawniło zator w lewym płucu – spowodowany paleniem papierosów.

W trakcie zgrabnie przeprowadzonego zabiegu z użyciem mikrokamer światłowodowych i zminiaturyzowanych, zdalnie sterowanych narzędzi chirurgicznych, będących dziełem nowej dziedziny nauki – nanotechnologii – usunięto zator, po czym kazano gubernatorowi przestać palić.

Gubernator nie zdawał sobie oczywiście sprawy z tego, że podczas operacji chirurg sił powietrznych umieścił w ścianie jednej z komór jego serca inny twór nanotechnologii – przekaźnik o rozmiarach główki od szpilki.

Przekaźnik ten, wykonany z biodegradowalnego tworzywa, z czasem wchłanianego przez tkankę – miał wkrótce przybrać nieregularny kształt i wyglądałby jak niewinny zakrzep. Cokolwiek większego albo posiadającego bardziej regularne kształty zostałyby ujawnione podczas pierwszego badania lekarskiego po objęciu prezydentury, a nie można było na to pozwolić.

Ostatni środek ostrożności polegał na tym, że przekaźnik umieszczono w organizmie gubernatora w stanie „zimnym”, czyli nieaktywnym. System antypodsluchowy Białego Domu AXS-7 natychmiast wykryłby niedozwolony sygnał radiowy.

Aktywacja miała zostać przeprowadzona później – w odpowiedniej chwili. Na koniec wykonano odcisk prawej dłoni prezydenta w drobnoziarnistym tworzywie. Będzie potrzebny, gdy nadejdzie czas.

Strażnicy przyszli po niego dziesięć minut później.

Skuty i spięty łańcuchami generał Charles „Cezar” Russell został wyprowadzony z celi i zabrany do czekającego już samolotu.

Lot do Indiany odbył się bez incydentów, tak samo jak niewesoły marsz do pomieszczenia, w którym robiono zastrzyki śmierci.

Nagranie wideo wykazało później, że więzień, leżący na stole jak ułożony w poziomie ukrzyżowany Chrystus, z rękami i nogami przymocowanymi solidnymi skórzanymi pasami, odmówił przyjęcia ostatniego namaszczenia. Nie skorzystał też z prawa do ostatniego słowa, nie wyraził również skruchy za dokonane przestępstwa. Przez cały czas trwania procedury przygotowawczej nie wypowiedział ani jednego słowa, podobnie jak po procesie – egzekucja mogła odbyć się niemal natychmiast po wydaniu wyroku, ponieważ nie składał apelacji.

Wydający wyrok śmierci Trybunał Wojskowy stwierdził, że zbrodnia jest tak haniebna, iż nie wolno dopuścić, aby skazaniec kiedykolwiek opuścił więzienie federalne żywy.

Ponura procedura rozpoczęła się 12 stycznia o godzinie 15.37. Po podaniu więźniowi pięćdziesięciu miligramów tiopentalu sodu – środka powodującego utratę przytomności – podano mu dziesięć miligramów bromku pankuronium – dla zatrzymania akcji oddechowej – i na koniec dwadzieścia miligramów chlorku potasu, mającego przerwać akcję serca.

O godzinie 15.40 koroner hrabstwa, w którym znajduje się miasto Terre Haute, stwierdził zgon generała broni Charlesa Samsona Russella.

Ponieważ generał nie miał żyjących krewnych, ciało odebrali przedstawiciele sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, by dokonać kremacji.

O godzinie 15.52 – dwanaście minut po oficjalnym uznaniu generała za zmarłego

– w pędzącym ulicami Terre Haute ambulansie sił powietrznych do jego piersi przyłożone zostały dwie elektrody defibrylatora.

– Gotowe! – krzyknął jeden z sanitariuszy.

Kiedy przez układ naczyniowy przemknęła fala prądu elektrycznego, ciało gwałtownie zadygotało.

Udało się po trzecim przyłożeniu elektrod.

Na linii biegnącej przez ekran wiszącego na ścianie ambulansu elektrokardiografu pojawił się niewielki załamek.

Serce generała zaczęło ponownie bić.

Po kilku sekundach tętno powróciło do normy.

Generał Russell wiedział, że kiedy serce nie dostarcza organizmowi tlenu, następuje śmierć. Oddychanie nasycza krew tlenem, a serce przepompowuje ją do tkanek, które z niej pobierają tlen.

Przez krytyczne dwanaście minut ciało generała było utrzymywane przy życiu dzięki krążącej w jego żyłach „specjalnej” krwi – tak biogenetycznie przekonstruowanej, że zawierała więcej czerwonych krwinek, a więc mogła dostarczać więcej tlenu. Ta specjalna krew, która przez dwanaście minut zaopatrywała mózg i narządy wewnętrzne Russella w tlen, choć jego serce nie biło, została wprowadzona do jego organizmu podczas dwóch transfuzji, których zażądał po „pobiciach” w Leavenworth.

Trybunał Wojskowy stwierdził, że Russell nie może opuścić więzienia federalnego żywy.

I mieli rację.

Kiedy to się działo, w pustej celi „hali odlotów” Federalnego Zakładu Karnego Leavenworth rozklekotany telewizor pokazywał, jak nowy prezydent – uśmiechnięty i pełen entuzjazmu – macha do klaskających tłumów.

Międzynarodowe Lotnisko O’Hare Chicago 3 lipca (pół roku później)

Pierwszą znaleziono na O’Hare w Chicago – w pustym hangarze, stojącym na skraju lotniska. Rutynowy poranny sprawdzian za pomocą elektromagnetycznego czytnika ujawnił, że w hangarze emitowany jest słaby impuls elektromagnetyczny. Hangar opróżniono, pozostała w nim jedynie głowica bojowa, stojąca dokładnie pośrodku wielkiej pustej przestrzeni.

Z daleka wyglądała jak półtorametrowy srebrny stożek, stojący na palecie transportowej, ale fachowe oko bez trudu mogło stwierdzić, że jest to głowica bojowa, przeznaczona do umieszczenia w rakiecie Cruise.

Z boków stożka wychodziły przewody, łącząc raketę ze skierowaną ku górze anteną satelitarną. Za znajdującym się w bocznej ścianie głowicy prostokątnym okienkiem widoczny był jaskrawo-purpurowy gęsty płyn.

Była to plazma.

Plazma detonacyjna typu 240. Niezwykle silny płynny materiał wybuchowy.

W wystarczającej ilości, by zmieść z powierzchni ziemi spore miasto.

Bliższe badanie wykazałoby, że impuls elektromagnetyczny pochodzi ze skomplikowanego detektora zbliżeniowego. Gdyby ktoś przekroczył krąg, otaczający bombę w promieniu piętnastu metrów, zapaliłoby się czerwone światło, wskazujące, że została uzbrojona.

Okazało się, że pusty hangar należy do sił powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Potem odkryto, że od przynajmniej sześciu tygodni w hangarze nie stanęła stopa

nikogo z sił powietrznych.

Zadzwoniono do dowództwa transportu sił powietrznych, mieszczącego się w bazie Scott.

Uzyskane tam informacje były bardzo ogólne, w dodatku udzielono ich dość niechętnie. Siły powietrzne nie miały pojęcia o plazmowych głowicach bojowych ani o hangarach na cywilnych lotniskach. Obiecano wszystko sprawdzić i jak najszybciej dać odpowiedź.

A potem z całego kraju zaczęły spływać raporty.

Identyczne głowice bojowe – otoczone czujnikami zbliżeniowymi i podłączone do skierowanych w niebo anten satelitarnych – znaleziono w pustych hangarach sił powietrznych na trzech głównych lotniskach Nowego Jorku: JFK, La Guardia i Newark.

Zadzwoniono również z waszyngtońskiego Dulles.

ZLAX.

Z San Francisco. Z San Diego. Z Bostonu. Z Filadelfii. Z St. Louis i z Denver. Z Seattle. Z Detroit.

W sumie znaleziono czternaście bomb – na czternastu rozrzuconych po całym kraju lotniskach.

Wszystkie były sprawne i w każdej chwili mogły eksplodować. Czekwały jedynie na sygnał.

PIERWSZE STARCIE

3 lipca, godzina 6.00

Trzy helikoptery leciały z łoskotem nad jałową pustynną równiną, zakłócając ciszę wczesnego poranka.

Jak zwykle, leciały ciasnym szykiem, rozdmuchując skłębione kępy chwastów i wznosząc za sobą tornado piasku, a ich świeżo wywoskowane ogony migotały w świetle poranka.

Ogromny Sikorsky VH-60N leciał pierwszy – osłaniany z boków przez dwie groźnie wyglądające maszyny typu CH-53E Super Stallion.

VH-60N o śnieżnobiałym dachu i ciemnozielonych bokach jest czymś

wyjątkowym

wśród

amerykańskich

helikopterów

wojskowych.

Został

skonstruowany w silnie strzeżonym – „zakratowanym” – dziale fabryki firmy

Sikorsky w Connecticut i jest „niestrategiczny”, co oznacza, że dysponujący nią

korpus piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych nigdy nie używa jej do celów

operacyjnych.

Jest on wykorzystywany tylko do jednego celu i zawsze funkcjonuje tylko jeden

egzemplarz, a jego szczególne właściwości zna tylko garstka inżynierów piechoty

morskiej i dyrektorów Sikorsky’ego, mających dostęp do najbardziej utajnionych

informacji.

Ale mimo otaczającego go nimbu tajemniczości VH-60N jest w świecie Zachodu najlepiej rozpoznawalnym helikopterem.

Na radarach wież kontroli lotów ma symbol HMX-1, co jest skrótem od „1.

Eskadra Helikopterowa piechoty morskiej”, a jego oficjalny kod radiowy brzmi

Nighthawk, najlepiej jednak znany jest jako Marine One.

Ten przewożący prezydenta na krótkich i średnich dystansach helikopter jest

rzadko widywany – startuje zazwyczaj z wypielegnowanego południowego

trawnika przed Białym Domem i ląduje w Camp David.

Dziś jednak było inaczej.

Dziś wielki Sikorsky leciał z rykiem silników nad pustynią, przewożąc swojego

bardzo ważnego pasażera między dwoma bazami sił powietrznych, położonymi na

nagiej równinie stanu Utah.

W kokpicie helikoptera, tuż za dwoma pilotami, wyglądając przez pancerną

przednią szybę, stał kapitan Shane M. Schofield. Miał na sobie reprezentacyjny

mundur – spiczastą białą czapkę, granatową kurtkę ze złotymi guzikami, niebieskie

spodnie z czerwonymi lamпасami, wypolerowane buty i biały skórzany pas z

kaburą, w której tkwił grawerowany, niklowany pistolet Beretta 92FS.

Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i był szczupły, miał też przystojną twarz

i sterczące niczym igiełki czarne włosy. Choć żołnierze piechoty morskiej w stroju

wyjściowym nie nosili okularów, Schofield miał na nosie okulary z odblaskowymi

szkłami – osłaniające oczy nie tylko z przodu, ale także z boków.

Okulary ukrywały dwie głębokie blizny, biegnące w poprzek oczodołów

Schofielda. Dorobił się ich podczas jednej z poprzednich akcji i właśnie z ich powodu

otrzymał przydomek „Strach na Wróble”.

Przed nimi rozciągała się pustynna równina – nieskończona połać matowej żółci, zlewająca się z blaskiem porannego słońca. Pod kadłubem helikoptera przemykała zapyłona ziemia.

W oddali widać było górę – miejsce, do którego się udawali.

U podnóża skalistego wzgórza, tuż przy końcu długiego betonowego pasa, przycupnęła grupka budynków. Maleńkie światełka w oknach ledwie było widać w porannym świetle. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że głównym budynkiem kompleksu jest wielki hangar lotniczy, wkopany do połowy w zbocze góry.

Była to 7. Strefa Specjalna (o ograniczonym dostępie) sił powietrznych Stanów Zjednoczonych – druga baza sił powietrznych, jaką mieli odwiedzić tego dnia.

– Druga Grupa Osłaniająca, tu Nighthawk Jeden, zbliżamy się do Strefy 7.

Potwierdźcie stan obiektu – powiedział do laryngofonu pilot Marine One, komandor Michael „Artylerzysta” Grier.

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Powtarzam: Druga Grupa Osłaniająca. Raportujcie! W dalszym ciągu nie było odpowiedzi.

– To wina systemu zagłuszającego – stwierdziła komandor porucznik Michelle Dallas, drugi pilot. – Radiowcy w ósemce mówili, że należy się tego spodziewać. Te bazy są utajnione na poziomie siódmym, więc cały czas otacza je generowana satelitarnie radiosfera. Pozwala tylko na przekazy na małe odległości, dzięki czemu nikt nie może wysłać nic na zewnątrz.

Kilka godzin temu prezydent złożył wizytę w Strefie 8, podobnie odizolowanej bazie sił powietrznych, znajdującej się mniej więcej trzydzieści pięć kilometrów na wschód od Strefy 7. W towarzystwie dziewięcioosobowego oddziału Secret Service

zrobił krótki obchód bazy, dokonując inspekcji paru nowych samolotów.

Kiedy prezydent był w środku, Schofield i pozostałych trzynastu komandosów piechoty morskiej, stacjonujących na pokładzie Marine One oraz pokładach dwóch helikopterów eskorty, czekali na zewnątrz w cieniu kadłuba Air Force One – potężnego prezydenckiego boeinga 747 – i kręcili młynka palcami.

Po paru minutach kilku żołnierzy zaczęło się głośno zastanawiać, dlaczego nie pozwolono im wejść do hangarów Strefy 8. Szybko zgodzono się co do tego – choć opinia ta opierała się wyłącznie na plotkach – że pewnie dlatego, iż w bazie znajdują się najtajniejsze nowe samoloty sił powietrznych.

Jeden z komandosów – szeroko uśmiechnięty i bardzo głośno mówiący czarny sierżant, Wendall „Elvis” Haynes – słyszał, iż w tutejszych hangarach stacjonuje Aurora, legendarny niskoorbitalny samolot szpiegowski, zdolny poruszać się z prędkością mach 9. Najszybszy spośród aktualnie eksploatowanych samolotów świata – SR-71 Blackbird – osiąga prędkość mach 3*.

* Mach to jednostka prędkości, będąca wielokrotnością prędkości dźwięku (1224 kilometrów na godzinę). Tak więc mach 3 to około 3600 kilometrów na godzinę, a mach 9 – 11 000 kilometrów na godzinę (przyp. tłum.).

Inni przypuszczali, że w bazie stacjonuje dywizjon F-44 – niezwykle zwrotnych myśliwców, przypominających kształtem kadłuba grot strzały, których konstrukcja jest rozwinięciem „latającego skrzydła”, czyli „niewidzialnego” bombowca strategicznego B2.

Jeszcze inni – być może zainspirowani wystrzeleniem dwa dni wcześniej chińskiego wahadłowca – podejrzewali, że w Strefie 8 znajduje się X-38 – smukły wahadłowiec ofensywny, wynoszony na orbitę przez boeinga 747. X-38 – tajny, wspólny projekt sił powietrznych i NASA – był ponoć pierwszym na świecie

pojazdem kosmicznym zdolnym do prowadzenia walki.

Schofield nie musiał się zastanawiać, czy w Strefie 8 eksperymentuje się z supertajnymi konstrukcjami latającymi. Wszystko wyjaśniał jeden fakt.

Choć zatrudnieni w bazie inżynierowie starali się dobrze to ukryć, asfaltowy pas startowy Strefy 7 rozciągał się w obu kierunkach na dodatkowe kilka tysięcy metrów – wykonano go z bladoszarego betonu i zakamuflowano warstwą pyłu oraz kępami chwastów.

Był to pas przeznaczony do startów i lądowań maszyn latających, potrzebujących do startu i hamowania szczególnie dużo czasu, co mogło oznaczać tylko jedno: wahadłowce lub...

Z hangaru głównego wyszedł prezydent i musieli ruszać.

Początkowo Szeff zamierzał lecieć do Strefy 7 swoim boeingiem Air Force One.

Choć odległość była niewielka, podróż samolotem byłaby krótsza.

W ostatniej chwili pojawił się jednak jakiś problem techniczny. W zbiorniku paliwa w lewym skrzydle odkryto wyciek.

Tak więc Szeff wziął tym razem Marine One, który był zawsze gotowy do startu.

Właśnie dlatego Schofield był tu teraz i patrzył na Strefę 7, migoczącą w porannym słońcu niczym choinka bożonarodzeniowa.

Pomyślał ze zdziwieniem, że żaden z ludzi, z którymi służył na HMX-1, nie zna ani jednej historyjki o Strefie 7 – nawet wyssanych z palca plotek.

Najwyraźniej nikt nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje w Strefie 7.

Życie w bezpośredniej bliskości prezydenta Stanów Zjednoczonych oznacza poruszanie się w bardzo specyficznym świecie.

Dla Schofielda było to zarówno podniecające, jak i przerażające.

Podniecające, ponieważ znajdował się blisko przywódcy o ogromnej władzy – a przerażające, ponieważ tego przywódcę otaczało mnóstwo ludzi, którzy sądzą, że tak naprawdę to oni mają na wszystko wpływ.

Choć Schofield służył na pokładzie Marine One od niedawna, zauważył, że o uwagę prezydenta walczą przedstawiciele przynajmniej trzech rywalizujących ugrupowań.

Pierwszym był sztab prezydencki – zadufane w sobie typki z Harvardu – ludzie mianowani przez prezydenta do pomocy w szeregu zagadnień: od prowadzenia polityki wewnętrznej i spraw dotyczących bezpieczeństwa po zajmowanie się prasą i porządkowanie spraw dotyczących polityki.

Niezależnie od zakresu kompetencji, każdy członek zespołu obsługującego prezydenta miał jeden nadrzędny cel: stworzyć jak najkorzystniejszy image prezydenta i pokazać go ludziom.

Drugą walczącą o prezydenta grupą była Secret Service Stanów Zjednoczonych.

Ochrona prezydencka, kierowana przez nie wiedzącego co to żart i całkowicie beznamiętnego agenta Francisa X. Cutlera, nieustannie brała się za łby z personelem Białego Domu.

Cutler – oficjalnie szef ochrony, przez prezydenta nazywany po prostu Frankiem

– był znany z umiejętności zachowania chłodnej głowy nawet pod silną presją oraz z całkowitej odporności na argumenty politycznych dupolizów. Miał krótko ostrzyżone szare włosy i wąsko osadzone oczy o podobnym kolorze i potrafił wbić wzrok w każdego członka ekipy prezydenckiej i odrzucić wszelkie nalegania jednym stanowczym „nie”.

Trzecią grupą walczącą o zainteresowanie prezydenta była załoga Marine One.

Jej członkowie nie tylko byli ofiarami rozdętych ego ludzi ze sztabu prezydenta (Schofield nigdy nie zapomni swojego pierwszego lotu Marine One, podczas którego doradca prezydenta do spraw polityki wewnętrznej, dwudziestodziewięcioletni prawnik z Nowego Jorku, kazał mu przynieść podwójną kawę z mlekiem i „pospieszyć się”), ale także często ścinali się z Secret Service.

Komandosi korpusu piechoty morskiej uważali, że choć ochrona prezydenta jest zadaniem Secret Service, po jego wejściu na pokład HMX-1, gdzie Szef miał do dyspozycji sześciu marines, to właśnie oni powinni tam rządzić.

Po jakimś czasie zawarto jaki taki rozejm.

Na pokładzie Marine One za bezpieczeństwo prezydenta miała odpowiadać piechota morska, mieli mu towarzyszyć jedynie Frank Cutler i dwóch, trzech jego agentów, a reszta agentów Secret Service latała w helikopterach eskortujących.

Natomiast po zejściu prezydenta z pokładu Marine One dbanie o jego bezpieczeństwo stawało się wyłącznie zadaniem Secret Service.

– Nighthawk Trzy, tu Nighthawk Jeden – powiedział do mikrofonu

„Artylerzysta” Grier. – Polećcie przodem i sprawdźcie Drugą Grupę Osłaniającą. Ta radiosfera rozwala nam komunikację. Łapię ich sygnał „wszystko czyste”, ale nie mogę nawiązać kontaktu słownego. Powinni być przy szybie wentylacyjnym. Jeśli zbliżycie się na odpowiednią odległość, sprawdźcie, czy uda wam się nawiązać kontakt ze Strefą Osiem. Dowiedźcie się, co się dzieje z Air Force One.

– Zrozumiałem, Nighthawk Jeden – odparł głos pilota, niesiony na falach krótkich. – Już jestem w drodze.

Stojący za Grierem i Dallas Schofield patrzył, jak prawy super stallion odbija w bok i odlatuje nad pustynię.

Pozostałe dwie maszyny 1. Eskadry Helikopterowej Piechoty Morskiej leciały zaplanowaną trasą.

W zaciemnionym pomieszczeniu przed włączonym monitorem komputera siedział mężczyzna w granatowym ubraniu, ze słuchawkami na głowie, i mówił cicho do mikrofonu:

– Rozpaczynam test pierwszego sygnału satelitarne... teraz! Wcisnął znajdujący się na konsolcie przed nim przycisk.

– Co to ma, do cholery... – zaczęła zdziwiona Dallas i dotknęła swoich słuchawek.

– Co się stało? – spytał Grier.

– Nie mam pojęcia – odparła Dallas i obróciła się z fotelem. – Właśnie coś złapałam na detektorze mikrofal.

Popatrzyła na ekran ukazujący przechwycone mikrofałe – widać na nim było szereg szpiców i zygzaków – po czym pokręciła głową.

– Dziwne. Wygląda to tak, jakby trafił w nas sygnał mikrofalowy i odbił się.

– Rano była robiona kontrola antypodsluchowa – oświadczył Grier. – Dwa razy.

Kompleksowe sprawdziany, czy w Marine One – albo w ubraniach pasażerów – nie umieszczono

urządzeń

podsluchowych,

wykonywano

z

rygorystyczną

regularnością. Umieszczenie w helikopterze prezydenckim jakiegokolwiek

urządzenia nadawczego lub odbiorczego było praktycznie niemożliwe.

Dallas popatrzyła na ekran i wzruszyła ramionami.

– Sygnał jest zbyt słaby, nie mógłby być więc ani nośnikiem mowy, ani danych komputerowych. Nikt nie przesłał ani nie przejął jakichkolwiek informacji... to było tak, jakby ktoś sprawdzał tylko, czy jesteśmy. – Odwróciła się do Griera zdziwiona.

Pilot prezydenckiego helikoptera zmarszczył czoło.

– Być może to tylko wyładowanie w radiosferze albo odbity impuls mikrofalowy, nie lekceważmy jednak tego. – Odwrócił się do Schofielda. – Kapitanie, czy nie miałby pan nic przeciwko temu, aby przejść się po maszynie i sprawdzić wszystko jeszcze raz za pomocą czarodziejskiej różdżki?

– Sygnał zwrotny odebrany – powiedział operator, siedzący przed konsolą w zaciemnionym pomieszczeniu. – Test sygnału pierwszego pozytywny. Urządzenie działa. Powtarzam: urządzenie działa. Przełączam ponownie na tryb uśpiony.

Rozpoczynam test sygnału drugiego...

Schofield wszedł do głównej kabiny Marine One i zaczął wodzić cyfrowym detektorem fal AXS-9 po ścianach, siedzeniach, suficie i podłodze, szukając czegoś, co mogłoby nadawać jakikolwiek sygnał.

Jak należało się tego spodziewać w helikopterze prezydenckim, wnętrze Marine One było całe wyłożone pluszem. Ciemnokasztanowy dywan i szerokie fotele sprawiały, że wyglądało jak kabina pierwszej klasy liniowej maszyny pasażerskiej. Najwięcej miejsca zajmowało dwanaście beżowych skórzanych foteli. Na oparciu każdego z nich umieszczono herb prezydencki; ten sam wzór zdobił szerokie podłokietniki, szklanki do whisky i kubki do kawy – na wypadek, gdyby ktoś zapomniał, w czym towarzystwie podróżuje.

W głębi kabiny głównej, strzeżone przez komandosa piechoty morskiej, znajdowały się drzwi z polerowanego mahoni, prowadzące do pomieszczenia na ogonie.

Był to prywatny gabinet prezydenta.

Mały, ale elegancko urządzone – wyposażony w zminiaturyzowany zestaw telefoniczno-faksowo-komputerowo-telewizyjny – pozwalał Szefowi nadzorować sprawy państwowe w każdym miejscu, w jakim się znalazł.

Za gabinetem, na końcu ogona, za hydraulicznie zamykanymi drzwiami, znajdowało się urządzenie zarezerwowane do użytku na wyjątkowe okazje: jednoosobowa kapsuła katapultująca, prezydencki pojazd ewakuacyjny.

Schofield wodził analizatorem fal po fotelach i szukał pluskiew.

W kabinie znajdowali się Frank Cutler i pięciu ludzi z Secret Service. Wyglądali przez okna, ignorując Schofielda.

Było tu też dwóch doradców prezydenta – zastępca szefa sztabu i dyrektor do spraw komunikacji. Obaj wertowali grube pliki akt.

Po obu stronach pomieszczenia – przy każdym z wejść – stali wyprostowani jak struna komandosi piechoty morskiej.

Oprócz nich w przedziale pasażerskim znajdowała się jeszcze jedna osoba.

W głębi, na jednym z najlepszych foteli tuż przy gabinecie prezydenta, siedział milczący, ubrany w oliwkowy mundur krępy mężczyzna o rudych włosach i sumiastych rudych wąsach.

Nie było w nim nic szczególnego – i prawdę mówiąc, nie był nikim szczególnym.

Był chorążym wojsk lądowych, nazywał się Carl Webster i niezależnie od tego, gdzie udawał się prezydent, zawsze podążał za nim. Nie z powodu jakiegś

szczególnej wiedzy lub umiejętności, ale z powodu niezwykle ważnego przedmiotu, przykutego łańcuszkiem do jego prawego nadgarstka: wykonanej z nierdzewnej stali walizeczki, zawierającej kody oraz przyciski uruchamiające amerykański arsenał atomowy, znanej jako „Piłka”.

Schofield skończył sprawdzanie wnętrza helikoptera – włącznie z gabinetem prezydenta.

Nie znalazł niczego.

W helikopterze nie było ani jednej pluskwy podsłuchowej.

Wrócił do kokpitu w momencie, gdy Artylerzysta Grier mówił do mikrofonu:

– Zrozumiałem, Nighthawk Trzy, i dziękuję. Kontynuuj lot do szybu

wentylacyjnego. – Odwrócił się do pilota. – Air Force One znów działa. Przeciek zaworu zlikwidowany. Zostanie w Strefie Osiem, po wizycie tutaj odwieziemy tam Szefa. Strachu na Wróble...?

– Nic – odparł Schofield. – Helikopter jest czysty.

– To musiała być wina radiosfery – stwierdził Grier. – Dzięki, Strachu na Wróble.

Dotknął hełmu. W jego słuchawkach znowu ktoś się odezwał.

Westchnął ciężko. Najwyraźniej słuchanie terkoczącego do ucha głosu nie sprawiało mu żadnej przyjemności.

– Robimy, co w naszej mocy, pułkowniku, ale nie chcę niczego obiecywać –

powiedział po chwili. Wyłączył mikrofon i pokręcił głową. – Pieprzony Wycior. –

Odwrócił się do Schofielda i Dallas. – Panie i panowie... Wielce szacowny oficer

łącznikowy Białego Domu poprosił, żebyśmy zwiększyli tempo. Szef ma po

południu herbatkę w Komitecie Waszyngtońskich Dam i oficer łącznikowy Hagerty

uważa, że działamy zbyt wolno, aby mógł zdążyć na czas.

Dallas prychnęła.

– Dobry, stary Wycior...

Kiedy używano Marine One, cała korespondencja między Białym Domem a korpusem piechoty morskiej przechodziła przez pułkownika, zwanego oficerem łącznikowym Białego Domu. Przez ostatnie trzy lata piastował to stanowisko pułkownik korpusu piechoty morskiej Rodney Hagerty.

Czterdziestojednoletni, wysoki i szczupły Hagerty, noszący cienki jak ołówek wąsik i przesadnie uprzejmy, był przez większość załogi HMX-1 uważany za bezwzględnie karierowicza, specjalistę od polityki gabinetowej, człowieka bardziej zainteresowanego zdobywaniem gwiazdek na pagonach niż służbą dla korpusu. Jak się jednak często zdarza, dowództwo zdawało się tego nie dostrzegać i wciąż go awansowało.

Nawet Schofield go nie lubił. Hagerty był gryziپیórkiem – biurokratą, któremu przebywanie blisko władzy sprawiało wyraźną przyjemność. Choć jego oficjalny kryptonim brzmiał „Hot Rod”, jego sztywne przywiązanie do procedur i protokołu – nawet w sytuacjach, kiedy było to całkowicie nieuzasadnione, sprawiło, że podwładni nazywali go „Ramrodem”^{*}.

^{*} Gra słów. Hot rod to slangowe określenie tak przebudowanego samochodu, by mógł uczestniczyć w wyścigach i pokazach, a ramrod to „wycior” (tłum).

W tym właśnie momencie helikopter Nighthawk Trzy lądował w chmurze pyłu na pustkowiu, niecały kilometr na wschód od niskiej skalistej formacji, na której znajdowała się Strefa 7.

Gdy koła helikoptera dotknęły gruntu, wyskoczyło z niego czterech komandosów piechoty morskiej w pełnym rynsztunku bojowym i ruszyło biegiem w kierunku niewielkiego rowu, wykutego w skalistym podłożu.

W okopie był ASE – Awaryjny Szyb Ewakuacyjny Strefy 7, czyli dobrze ukryte wyjście długiego podziemnego tunelu, pozwalające na opuszczenie kompleksu w wypadku awarii, wtargnięcia na teren bazy wroga lub innego zagrożenia. Także podczas wizyty prezydenta, gdyby miała mu się przydarzyć jakaś niemiła przygoda – właśnie on miał stanowić główną drogę ewakuacyjną.

Dowódca komandosów – porucznik Corbin „Colt” Hendricks – wszedł do pełnej pyłu dziury w skale, mając tuż za plecami trzech pozostałych członków patrolu. Każdy żołnierz trzymał w rękach pistolet maszynowy MP-5/10, zwany czasami po prostu MPIO. Był identyczny z produkowanym przez firmę Heckler&Koch pistoletem maszynowym MP5, ale strzelał amunicją 10 mm.

W słuchawce Hendricksa wibrował wyraźnie rozpoznawalny sygnał: BIP – przerwa – BIP – był to nadawany przez 2. Grupę Osłaniającą sygnał „wszystko czyste”. Choć nie zawierał treści słownych, doskonale spełniał swoją rolę: gdyby 2. Grupa Osłaniająca napotkała na jakieś problemy albo wpadła w zasadzkę, jej dowódca natychmiast by go wyłączył, informując w ten sposób wszystkich w otoczeniu prezydenta, że pojawiło się niebezpieczeństwo. Buczenie sygnału dawało poczucie bezpieczeństwa.

Hendricks i jego ludzie doszli do skraju okopu i spojrzeli w dół.

– O mój Boże... – jęknął Hendricks.

Pozostałe dwa helikoptery prezydenckie pędziły w kierunku Strefy 7.

– Hej, Strachu na Wróble... – Artylerzysta Grier odwrócił się do Schofielda

...gdzie twój harem?

Schofield skrzywił usta w lekko ironicznym uśmiechu. – Są dziś w Nighthawku

Dwa, sir.

Grier miał na myśli dwie kobiety z poprzedniej jednostki Schofieldda, które dołączyły do niego na czas służby w 1. Eskadrze Helikopterowej Piechoty Morskiej – sierżant sztabową Elizabeth „Lis” Gant i młodszą chorążą Gene „Matkę” Newman. Obecność Schofieldda na pokładzie Marine One była ewenementem, przedtem był bowiem dowódcą oddziału rozpoznania piechoty morskiej.

Ponieważ służba w helikopterze prezydenckim wiąże się głównie z czynnościami ceremonialnymi, a czas spędzany na jego pokładzie nie liczy się jako „aktywna służba w powietrzu”, wielu komandosów korpusu stara się unikać przydziału do HMX-1. Efekt jest taki, że – z nielicznymi wyjątkami – służą tu stosunkowo młodzi żołnierze, wykorzystujący każdą okazję zdobycia awansu. Tak więc były dowódca oddziału rozpoznania był na pokładzie niecodziennym zjawiskiem – choć dla Artylerzysty Griera mile widzianym.

Grier lubił Schofieldda. Wiedział, że to utalentowany dowódca i bardzo dba o swoich ludzi, a oni robią wszystko, czego od nich żąda.

Wiedział także, co przytrafiło się Schofielddowi podczas ostatniej akcji, i bardzo szanował młodego kapitana.

Lubił także Matkę i Gant – podziwiał ich oddanie służbie oraz lojalność wobec



swojego dowódcy, a to, że mówił o nich jako o „haremie”, było objawem sympatii z jego strony.

Schofield był przyzwyczajony do tego, że traktowano go w ten sposób – jako niecodzienne zjawisko.

Właśnie dlatego trafił na Marine One.

Półtora roku wcześniej, jeszcze jako porucznik, dowodził oddziałem rozpoznania piechoty morskiej, który wysłano do antarktycznej stacji naukowo-badawczej w celu zbadania rzekomego odkrycia pozaziemskiego statku kosmicznego.

Misja ta zakończyła się kompletną klęską.

Koszmar przeżyło – z nim włącznie – jedynie czworo z dwunastu komandosów tworzących oddział, którym dowodził. Musieli bronić stacji przed atakami oddziałów, wysyłanych po kolei przez dwa obce państwa, oraz sabotażystów, wchodzących w skład jego własnego oddziału. Potem Schofield został oficjalnie uznany za zabitego przez skorumpowanych członków dowództwa korpusu piechoty morskiej, którzy tak wszystko zaaranżowali, aby kłamstwo to mogło zostać uznane za rzeczywistość.

Powrót Schofielda do Ameryki – żywego i w dobrej kondycji – wywołał burzę medialną.

Jego twarz pojawiła się na pierwszej stronie wszystkich większych gazet w Stanach Zjednoczonych. Gdziekolwiek się ruszył – nawet już po ucichnięciu początkowego hałasu – dziennikarze najróżniejszych brukowców próbowali go fotografować albo wyciągnąć od niego jakieś informacje. Był żywym pomnikiem korupcji amerykańskich sił zbrojnych – żołnierzem przeznaczonym do odstrzału przez pozbawionych skrupułów generałów.

Korpus piechoty morskiej stanął przed poważnym problemem: co robić?

Ktoś wpadł na pomysł, że najlepsze będzie ukrycie Schofielda „pod latarnią” – na widoku wszystkich światowych środków masowego przekazu.

Postanowiono dać mu przydział na Marine One.

Helikopter stacjonował w bazie lotniczej korpusu piechoty morskiej w Quantico w stanie Wirginia i Schofield mieszkałby w bazie, gdzie dostęp do niego byłby niemożliwy. Przez cały czas przebywałby na pokładzie prezydenckiego VH-60N, który rzadko lądował przy Białym Domu – a jeśli nawet, to w bezpiecznej odległości od przedstawicieli prasy.

Kiedy Schofielda przeniesiono, Matka i Gant postanowiły iść za nim. Czwarty członek oddziału, który przeżył – szeregowy „Rebound” Simmons – postanowił po nieudanej akcji opuścić szeregi korpusu.

Od tamtego dnia minął rok.

W tym czasie Schofield – niezbyt zainteresowany nawiązywaniem kontaktów towarzyskich – zaprzyjaźnił się w Białym Domu jedynie z garstką ludzi. Większość z nich była szarakami – zwykłymi agentami Secret Service oraz niższym personelem obsługi Białego Domu. Z powodu lustrzanych okularów był bardzo lubiany przez wnuki prezydenta, więc podczas niemal każdej wizyty powierzano mu ich ochronę. Mimo to ani razu nie rozmawiał z prezydentem towarzysko.

Przed Marine One wznosiła się ponura bryła Strefy 7. Wielkie wrota gigantycznego hangaru otwierały się powoli, w środku paliły się jaskrawe światła. – Nighthawk Dwa, tu Nighthawk Jeden, zaczynam lądowanie – powiedział Grier do mikrofonu.

Sierżant Elizabeth „Lis” Gant, siedząca w głębi Nighthawka Dwa na płóciennym składanym krzeselku, próbowała czytać zawartość teczki, którą trzymała na kolanach.

W odróżnieniu od Marine One, we wnętrzu Nighthawka Dwa hałas wirnika był ogłuszający. Ponieważ prezydent nigdy nie bywał na pokładzie tej maszyny, nie było

tu tapicerowanych foteli i zdobionych herbami podłokietników.

Libby Gant – obecnie sierżant sztabowy – miała 28 lat. Od sześciu godzin.

Była, jak to się mówi – trochę „w sobie”, ale była też bardzo sprawna fizycznie, miała krótkie blond włosy i jasno-błękitne oczy, a w pełnym bojowym rynsztunku – w kombinezonie, opancerzeniu i z MP10 – prezentowała się doskonale. W mundurze wyjściowym – spiczastej czapce, eleganckiej kurtce mundurowej i spodniach wyglądała oszałamiająco.

Ponieważ lecieli w zamkniętej przestrzeni powietrznej sił powietrznych, atmosfera na pokładzie Nighthawk Dwa była dość swobodna. Opadło napięcie, które towarzyszyło zazwyczaj koordynacji trasy lotu Marine One z trasami przelotów cywilnych samolotów pasażerskich, więc Gant – uczęszczająca na kursy przygotowawcze do Szkoły Kandydatów Oficerskich – korzystała z okazji, by przejrzeć notatki.

Kiedy miała zabrać się za Zaawansowane Dowodzenie Taktyczne – usłyszała cichy głos:

Sto lat, sto lat, Niech żyje nam, Sto lat sierżant Libby Gant Niech żyjeee naaam...

Podniosła głowę i westchnęła.

Na fotelu obok siadał właśnie Nicholas Tate III, doradca prezydenta do spraw polityki wewnętrznej. Był „po europejsku” przystojny – miał ciemne brwi, oliwkową skórę i linię szczęki jak model – i był niezwykle pewny siebie. Miał na sobie garnitur od Armaniego za trzy tysiące dolarów i pachniał pasującą do tego stroju wodą kolońską również stworzoną przez Armaniego.

Podał Gant małą, elegancko zapakowaną paczuszkę.

– Dwadzieścia osiem, jeśli się nie mylę – powiedział.

– Zgadza się, sir.

– Proszę, mów mi Nick. I otwórz...

Gant powoli odwinęła paczuszkę i wyjęła turkusowe pudełeczko. Podniosła pokrywkę, pod którą ukazał się przepiękny srebrny naszyjnik.

Był cieniutki i wyglądał jak długie pasmo migoczących, srebrnych, wypolerowanych włosów. Z przodu zwisał mały, ale bardzo gustowny diamencik.

– Od Tiffany’ego – powiedział Tate. Gant popatrzyła na doradcę prezydenta.

– Kiedy jestem w mundurze, nie wolno mi nosić biżuterii, panie Tate.

– Wiem. Ale miałem nadzieję, że założysz go, kiedy w przyszłą sobotę zabiorę cię na kolację do „Nino’s”.

„Nino’s” było restauracją w Georgetown, bardzo popularną wśród waszyngtońskich grubych ryb, i był to prawdopodobnie najdroższy lokal w mieście.

Gant znowu westchnęła i powiedziała:

– Spotykam się z kimś...

Była to w zasadzie prawda. W miniony weekend – po bardzo niezręcznym i niepewnym umawianiu się – była z Shane’em Schofieldem na spotkaniu, które od biedy dałoby się nazwać randką.

– Wiem, wiem – odparł Tate. – Słyszałem, ale jedna randka to jeszcze nic takiego.

Sprawa zaczynała się komplikować. Gant uniosła srebrny klejnocik do światła.

– Wygląda jak naszyjnik, który widziałam kiedyś w Paryżu.

– Naprawdę?

Kiedy Gant wspomniała o Paryżu, jedna z siedzących w pobliżu komandosek lekko przekręciła głowę na bok.

– Naprawdę – odparła Gant. – Kilka miesięcy temu byliśmy tam z Szeferem,

miałam wtedy wolny dzień i...

– O rety! Popatrzcie tylko na to! – przerwał jej donośny kobiecy głos.

– Cześć, Matka – powiedziała Gant, kiedy w wąskim przejściu, tuż obok niej, pojawiła się Gena Newman.

– Co słysząc, Urodzinowa Dziecinko? – spytała Matka z konspiracyjnym uśmiechem.

Już wiele razy używały kodu „Paryż”. Kiedy któraś z nich miała do czynienia z

niechcianym amantem, należało wpleść to słowo w konwersację i koleżanka

spieszyła na ratunek. Była to sztuczka, stosowana przez kobiety na całym świecie.

Mająca metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu i ważąca dziewięćdziesiąt kilo

Newman rzadko była zmuszona do jej stosowania. Grubokoścista budowa, masywne

kształty, ogolona głowa i szorstki styl bycia sprawiały, że była absolutnym

przeciwieństwem Libby Gant. Jej kryptonim „Matka” nie sugerował nic delikatnego

ani matczynego – był skrótem od słowa »matkojebca”. Przed rokiem została

awansowana na stopień młodszego chorążego – w uznaniu jej zdolności bojowych

oraz za umiejętność posługiwania się wszelkimi rodzajami broni i pojazdów

wojskowych.

Dzięki „bliskiemu spotkaniu” z orką mordercą podczas katastrofalnej akcji na

Antarktydzie miała jeszcze jedną szczególną cechę.

Jej lewa noga od kolana w dół to proteza.

Choć spotkanie z orką było paskudne, skończyło się dla Matki lepiej niż dla

zwierzęcia, które dostało kulę w łeb.

Zamiast stopy i łydki miała teraz najnowszej generacji protezę, zapewniającą

niczym nie zakłócone ruchy. Składała się z „kości” ze stopu tytanu, obrotowych

stawów i hydraulicznych symulatorów mięśni – odbierających bodźce nerwowe i korygujących zmiany parametrów przy przenoszeniu ciężaru ciała – i działała w sposób tak skomplikowany, że potrzebowała procesora komputerowego.

Matka przyjrzała się błyszczącemu naszyjnikowi od Tiffany’ego.

– Jeju... jaki wspaniały kawał biżuterii... – powiedziała. Odwróciła się do Tate’a. –

Ta błyskotka musiała kosztować cię parę ładnych groszy, słoneczko.

– Był dla mnie osiągalny cenowo – odparł Tate.

– Kosztował pewnie więcej, niż ja zarabiam przez cały rok.

– Być może.

Matka zignorowała go i spojrzała na Gant.

– Wybacz, że wtrącałam się w twoją paradę, Urodzinowa Dziecinko, ale

kapitan mnie przysyła. Chce cię mieć z przodu w chwili lądowania.

– Och... już idę – odparła Gant, po czym wstała i oddała Tate’owi naszyjnik.

– Przykro mi, Nicholas, ale nie mogę tego przyjąć. Naprawdę widuję się z kimś innym.

Powiedziawszy to, ruszyła na dziób.

Colt Hendricks stał nad Awaryjnym Szybem Ewakuacyjnym z otwartymi

szeroko ustami i wpatrywał się w dół. Widok był przerażający.

Na pokrytym cienką warstwą piasku dnie okopu leżały zwłoki wszystkich

dziwięciu członków 2. Grupy Osłaniającej Secret Service. Ciała zostały poszarpane

kulami, a kończyny były porzucane pod nienaturalnymi kątami. Wielkość ran

wskazywała na użycie powodującej pewną śmierć, rozrywającej się w ciele amunicji

– zwanej dum-dum. Kilku agentom strzelono z bliskiej odległości w twarz, co niemal

poodrywało im głowy. Wszędzie było pełno krwi, powoli wchłanianej przez piasek.

Dowódca grupy, Baker, miał szeroko otwarte usta, wybałuszone oczy i dziurę od kuli pośrodku czoła. W wyciągniętej ręce trzymał nadajnik sygnału „wszystko czyste”. Atak musiał nastąpić tak gwałtownie, że nie zdążył nacisnąć klawisza przerywającego nadawanie.

Hendricks obrócił się na pięcie, wyszarpnął zza pasa radiotelefon i ruszył w kierunku Nighthawk Trzy.

– Nighthawk Jeden! – zawołał, ale w radiu słychać było jedynie szum. – Cholera jasna! Nighthawk Jeden! Tu...

W tym momencie pustynia ożyła.

Piasek zaczął zsypywać się z zakopanych pałatek i nagle – ze wszystkich stron – pojawiło się kilkanaście ludzkich postaci, które uniosły pistolety maszynowe plujące ogniem.

W skroń Hendricksa wbił się pocisk kalibru 9 milimetrów. Rozprężające się gazy spowodowały, że jego głowa eksplodowała.

Hendricks nawet nie zobaczył człowieka, który go zastrzelił.

Nie zobaczył też innych pustynnych duchów, które z bezlitosną skutecznością zabijały jego ludzi jednego po drugim.

Nie zobaczył także, jak wsiadają do jego helikoptera i odlatują w kierunku Strefy 7.

Pozostałe dwa helikoptery prezydenckie opadły na ziemię i – spowite chmurą piachu – równocześnie dotknęły gruntu przed olbrzymim głównym hangarem 7.

Strefy Specjalnej Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Gigantyczne wrota hangaru były szeroko otwarte, wewnątrz jasno oświetlone.

Niskie wzgórze, w którym wykuto hangar, dominowało nad kompleksem złożonym

z czterech budynków.

Zaraz po tym, gdy oba helikoptery dotknęły gruntu, agenci Secret Service z

Nighthawk Dwa zaczęli zajmować pozycje wokół Marine One.

Na pasie startowym przed hangarem stał komitet powitalny – grupa milczących sylwetek, oświetlanych od tyłu światłem padającym z hangaru.

Z przodu stało dwóch oficerów sił powietrznych – pułkownik i major.

Za nimi prężyły się cztery szeregi komandosów w pełnym rynsztunku bojowym – po dziesięciu w szeregu. Wszyscy mieli na sobie mundury polowe – czarne kombinezony, czarne opancerzenie i czarne hełmy – i trzymali skrzyżowane na piersiach belgijskie karabinki szturmowe FN P-90.

Znajdujący się w kokpicie Marine One Schofield natychmiast rozpoznał naszywki. Byli to członkowie jednostki rzadko widywanej na manewrach wojsk amerykańskich – oddziału okrytego tajemnicą, który wykorzystywano jedynie w najtrudniejszych sytuacjach.

Była to elitarna jednostka lądowa sił powietrznych Stanów Zjednoczonych – 7.

Szwadron Operacji Specjalnych.

Przez większą część zimnej wojny oddział ten stacjonował w Republice

Federalnej Niemiec i oficjalnie jego zadaniem była obrona amerykańskich lotnisk wojskowych przed potencjalnymi atakami Sowieców. Ale jego zadania nieoficjalne były znacznie bardziej spektakularne.

Przygotowanie ucieczki pięciu sowieckich specjalistów od broni jądrowej z tajnej bazy na Ukrainie. Zabicie szefa wydziału operacyjnego KGB Władimira Nakowa w 1990 roku w Moskwie – zanim on zdążył zabić Michaiła Gorbaczowa. I wreszcie w 1997 roku – wyciągnięcie z wywołującego strach chińskiego więzienia w Xiangi –

niedostępnego labiryntu ponurych cel i izb tortur, należącego do chińskiego wywiadu zagranicznego – pojmanego przez Chińczyków Freda Conwaya, szefa dalekowschodniego biura CIA.

Każdy komandos miał na twarzy specjalną bojową maskę gazową ERG-6. Była cała czarna, przypominała nieco dolną część maski hokejowej, i zakrywała nos i usta żołnierza tak samo, jak za czasów kowbojów maska z chusty zakrywała twarz Jessego Jamesa.

Przed oddziałem stało jeszcze trzech mężczyzn. Mieli na sobie wykrochmalone kitle laboratoryjne, musieli więc być naukowcami.

Kiedy komandosi piechoty morskiej i agenci Secret Service z Nighthawk Dwa zajęli pozycje, w przedniej części Marine One, z lewej strony, rozłożono schodki. Najpierw z helikoptera wyszło dwóch marines. Zeszli po schodkach i zajęli miejsce u ich podstawy, wyprężeni na baczność.

Chwilę później wysiadł agent specjalny Frank Cutler – z ręką na kaburze, uważnie się rozglądając. Secret Service nie ufa nikomu, nawet siłom powietrznym Stanów Zjednoczonych. W końcu strzelić do prezydenta może nawet zwykły rozzalony żołnierz.

Następny wyszedł prezydent, za nim członkowie jego sztabu.

Na końcu pojawili się Schofield i młody szeregowiec piechoty morskiej.

Na pokładzie – jak zwykle – pozostali obaj piloci Marine One, Artylerzysta i Dallas, na wypadek gdyby konieczne było szybkie oddalenie się.

Obie grupy stanęły naprzeciwko siebie, mrużąc oczy w porannym świetle.

Wokół wirowały spirale piachu. Szykowała się burza.

Młody kapitan sił powietrznych ruszył wraz z prezydentem do pułkownika,

stojącego na czele formacji powitalnej, poważnie wyglądającego mężczyzny o siwych włosach i brwiach. Kiedy prezydent się zbliżył, pułkownik wystąpił i zasalutował głównodowodzącemu.

– Dzień dobry, panie prezydencie. Nazywam się Jerome T. Harper, jestem pułkownikiem z Dowództwa Medycznego i Chirurgicznego Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i dowodzę Siódmą Strefą Specjalną Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. A to major Kurt Logan, dowódca stacjonującego w naszej bazie Siódmego Szwadronu. Pańskie dwie Grupy Osłaniające Secret Service czekają w środku. To dla nas zaszczyt gościć pana. Witamy w Strefie Siódmej.

– Dziękuję, pułkowniku – odparł prezydent. – Cieszę się, że mogę być tutaj. Proszę prowadzić.

Gdy tylko prezydent wraz ze swoją świtą zniknął z gospodarzami we wnętrzu wielkiego hangaru, do Schofielda podszedł dowódca 7. Szwadronu.

Major Kurt Logan miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ostrzyżone na zapałkę włosy i twarz pokrytą głębokimi dziobami po ospie. Schofield już kiedyś go spotkał, choć wątpił, by major go pamiętał.

Było to podczas specjalnego kursu dowodzenia i kierowania oddziałami, prowadzonego przez marynarkę wojenną w bazie SEAL w Fort Lauderdale, w 1997 roku. Dzięki inteligentnej taktyce i konsekwencji Logan okazał się najlepszy ze wszystkich uczestników kursu, zdobywając maksymalną liczbę czterdziestu punktów. Umiał błyskawicznie ocenić każdą sytuację bojową, a gdy dochodziło do walki, był bardzo skuteczny. Schofield, podówczas dopiero dobrze się zapowiadający dowódca, zajął dziesiąte miejsce na szesnastu uczestników kursu. Na pierwszy rzut oka Logan niewiele się zmienił. Jego postawa – dłonie złożone

na plecach i nieruchomy, skierowany w rozmówcę wzrok – świadczyły o sile wewnętrznej. Sile wykutej w walce.

– Przepraszam, kapitanie – zaczął z lekkim południowym akcentem i podał Schofieldowi kartkę papieru – to lista naszego personelu do pańskich akt.

Schofield wziął listę, po czym przekazał Loganowi własną.

Podczas inspekcji prezydenckich praktykowano wymienianie się – listami obecnego personelu – ludzie prezydenta chcieli wiedzieć, kto znajduje się podczas inspekcji w bazie, a ludzie z bazy musieli znać nazwiska członków prezydenckiego konwoju.

Schofield popatrzył na listę Strefy 7. Umieszczono na niej trzy kolumny nic nie mówiących mu nazwisk.

Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych

Strefa Specjalna (o ograniczonym dostępie) 07

Personel obecny na miejscu

Klasyfikacja: ŚCIŚLE TAJNE

NAZWISKO

JEDNOSTKA

DOWÓDZTWO

Harper,

JT (kom.)

7. SZWADRON

Alvarez,

MJA

Dillan,

STD

Logan,

KW (maj.)

Arthurs,

RTC

Doheny,

FGA

McConnell,

BAB

Atlock,

FDB

Egan,

RRB

Messick,

KE

Bames,

AWA

Fraser,

MSC

Milbourn,

SKD

Bennett,

BE

Fredericks,

GHA

Morton,

INC

Biggs,

NMC

Frommer,

SNE

Nance,

GFD

Boland,

CSB

Gale,

AD

Nystrom,

JJD

Boyce,

LWD

Giggs,

REB

Oliver,

PKE

Calvert,

ETE

Golding,

DKD

Price,

ALC

Carney,

LEE

Goldman,

WEA

Rawson,

MJC

Christian,

FCA

Grayson,

SRE

Sayles,

MTB

Coleman,

GKE

Hughes,

RA

Sommers,

SRC

Coles,

MB

Ingliss,

WAB

Stone,

JKC

Crick,

DTD

Johnson,

SWD

Taylor,

ASB

Criece,

TWA

Jones,

MD

Willis,

LSC

Davis,

AME

Kincaid,

RB

Wolfson,

HTA

Oayton,

AME

Littleton,

SOE

PERSONEL CYWILNY

Botha,

GW

Lek.

Franklin,

HS

Lek.

Shaw,

DE

Lek.

Coś od razu zwróciło jego uwagę.

Na liście było więcej nazwisk niż żołnierzy przed hangarem. Przywitało ich 40 komandosów, nazwisk było 50. Oznaczało to, że jeden dziesięcioosobowy oddział znajduje się wewnątrz bazy. Jeszcze przeglądał listę, gdy Logan powiedział:

– Kapitanie, jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu, chcielibyśmy poprosić o przesunięcie waszego...

– W czym problem, majorze? – przerwał mu głos, dolatujący zza pleców

Schofielda. – Proszę nie tracić czasu na rozmowy z kapitanem Schofieldem. Ja tu dowodzę.

Był to Wycior Hagerty, oficer łącznikowy Białego Domu. Ze swoim angielskim wąsikiem i wyraźnie niebojową posturą stanowił dokładne przeciwieństwo Logana.

Zanim major odpowiedział, dokładnie obejrzał sobie Hagerty'ego. To co ujrzał, najwyraźniej mu się nie spodobało.

– Wydawało mi się, że Marine One dowodzi komandor Grier – stwierdził chłodno, mając oczywiście rację.

– Hm... nnoo takkk... technicznie tak... – odparł Hagerty. – Ale ponieważ jestem łącznikiem Białego Domu, wszystko, co dotyczy przemieszczania się tych helikopterów, musi być najpierw uzgadniane ze mną.

Logan wciąż patrzył na Hagerty'ego z kamienną twarzą. Minęło kilka sekund, zanim się odezwał.

– Właśnie zamierzałem zapytać kapitana, czy nie miałby nic przeciwko temu, aby na czas pobytu prezydenta w Strefie 7 umieścić helikoptery w hangarze. Nie chcielibyśmy przecież, aby satelity szpiegowskie wroga przekazały informację, że mamy u nas Szefa, prawda?

– Oczywiście, że nie. Oczywiście – zgodził się Wycior. – Schofield, wykonać!

– Tak jest, sir – odparł Schofield.

Gigantyczne wrota hangaru zatrzęsły się z głośnym łoskotem.

Helikoptery 1. Eskadry Helikopterowej Piechoty Morskiej stały w głównym hangarze Strefy 7 – ze złożonymi łopatami wirników i śmigłami ogonowymi. Mimo okazałych rozmiarów, prezydenckie maszyny wyglądały w tym wielkim pomieszczeniu jak zabaweczki.

Schofield, który nadzorował wtaczanie helikopterów do hangaru, stał pośrodku rozległej przestrzeni – sam – i rozglądał się w milczeniu.

Pozostali członkowie kontyngentu złożonego z komandosów piechoty morskiej, urzędników z Białego Domu i agentów Secret Service – wszyscy ci, którzy zajmowali zbyt niskie stanowiska, aby iść z prezydentem, czyli mniej więcej dwadzieścia osób – rozeszli się, pozajmowali miejsca wokół helikopterów albo pili kawę w dwóch

biurach o szklanych ścianach, znajdujących się po obu stronach głównego wejścia.

Rozmiary hangaru były niewiarygodne.

Jego ogrom mógł porazić.

Podłoga, jaskrawo oświetlona halogenowymi reflektorami, musiała wchodzić przynajmniej sto metrów w głąb góry. Przez całą długość ogromnej hali biegł system zamocowanych na suficie szyn transportowych. W tej chwili u sufitu – po obu krańcach hangaru – wisały dwie wielkie skrzynie.

W głębi pomieszczenia – naprzeciwko wrót prowadzących na pas startowy – znajdował się piętrowy budynek, biegnący przez całą szerokość hangaru. Okna na piętrze tego budynku były pochylone – tak, aby łatwiej można było zza nich obserwować to, co się dzieje w hangarze.

Obok tworzonego przez okna górnego piętra „nawisu” w północną ścianę hangaru dyskretnie wpuszczono windę osobową.

Poza prezydenckimi helikopterami w hali nie było żadnych maszyn latających, stały tu tylko dwa wielkie, pomalowane na białą ciągniki, przypominające modele, używane na lotniskach do przeciągania samolotów po pasie startowym. Schofield wykorzystał je do przeciągnięcia helikopterów.

Najbardziej niezwykłą konstrukcją stanowiła platforma do podnoszenia samolotów, umieszczona dokładnie pośrodku hangaru.

Była niewiarygodnie wielka i przypominała rozmiarami hydraulicznie sterowane windy, mocowane do burt lotniskowców, tyle że była kwadratowa.

Bok platformy miał ponad sześćdziesiąt metrów długości, można więc było bez trudu postawić na niej boeinga 707A – słynny samolot zwiadowczy, którego cechą charakterystyczną jest zamontowany na kadłubie obrotowy talerz anteny o średnicy

dziesięciu metrów.

Platforma, poruszana za pomocą niewidocznego z zewnątrz systemu hydraulicznych wsporników, zajmowała niemal całe centrum hangaru. Podobnie jak w platformach do podnoszenia samolotów na lotniskowcach, w celu zwiększenia wydajności urządzenia w północno-wschodnim rogu platformy wycięto prostokątny fragment i zaopatrzone go w osobny system zasilający, dzięki czemu mógł być używany jako winda niezależnie od dużej platformy. „Miniplatforma” poruszała się nie na wspornikach „dużej platformy”, ale na szynach, zamocowanych do ściany szybu głównego, i była czymś w rodzaju „windy w windzie”.

Załoga Strefy 7 eskortowała właśnie prezydenta, jego dziewięcioosobową ochronę złożoną z agentów Secret Service oraz oprowadzających ich oficerów, stojących na środku głównej platformy, która opuszczała się powoli w głąb mającego ponad sześćdziesiąt metrów szerokości szybu.

Shane Schofield patrzył w dół na oddalającą się grupę ludzi otaczających prezydenta, ale nie wiedział, że na niego również ktoś patrzy.

Obserwujący go człowiek stał w zaciemnionej centrali dowodzenia Strefy 7, na piętrze budynku biegnącego wzdłuż wschodniej ściany hangaru. Wokół niego siedziało czterech radiooperatorów, a każdy mówił cicho do stojącego przed nim mikrofonu:

– Oddział Alfa, zabezpieczenie pomieszczenie socjalne na poziomie trzecim...

– Oddział Echo informuje, że trzeba było przy ASE zneutralizować oddział

badawczy piechoty z Nighthawk Trzy. Znaleźli Drugą Grupę Osłaniającą. Echo parkuje właśnie helikopter w jednym z zewnętrznych hangarów. Kiedy skończą, wrócą do hangaru głównego...

– Oddziały Bravo i Charlie czekają w głównym hangarze... Oddział Delta zgłasza zajęcie pozycji...

– Secret Service próbuje się skontaktować ze swoją pierwszą Grupą Osłaniającą na poziomie szóstym. Symulowany sygnał „wszystko czyste” wydaje się spełniać zadanie... Do stojącej w cieniu sylwetki podszedł major Kurt Logan.

– Sir, prezydent i jego ochrona właśnie dotarli na poziom czwarty. Wszystkie oddziały są na pozycjach.

– Doskonale.

– Mamy ruszać?

– Nie. Niech sobie zwiedzi Strefę – odparł mężczyzna o niewidocznej twarzy. – Zanim zaczniemy, musimy załatwić jeszcze jedno...

– Cześć!

Schofield odwrócił się i ujrzał przed sobą uśmiechnięte twarze Libby Gant i Matki Newman.

– Cześć! – odparł.

– Ralph ciągle jest na ciebie wkurzony – powiedziała Matka. – Chce rewanzu.

Ralph był mężem Newman. Był niski i krępy, miał przypominającą księżyc, zawsze uśmiechniętą twarz i bezgraniczną zdolność akceptowania ekscentrycznych zachowań małżonki, a pracował jako kierowca osiemnastokołowego tira, którego był właścicielem. Z boku ciężarówki wymalował przebite strzałą serce, nad którym umieścił wielki napis MATKA. Ralph był w piechocie morskiej bardzo popularną postacią.

Niedawno został dumnym właścicielem nowiutkiego grilla i podczas

obowiązkowego niedzielnego obiadu u siebie w domu wyzwał Schofielda na

pojedynek. Chodziło o to, kto wrzuci więcej piłek do zamocowanego na garażu kosza. Schofield dał mu wygrać i Ralph wiedział o tym.

– Może w przyszły weekend? – zaproponował Schofield. – A co u ciebie? Jak badanie nogi?

– Sen-sac-jo-nal-nie – odparła Matka. – Mogę biegać prawie tak samo szybko jak przedtem. Łapiduchy chyba były zadowolone. Powiedziałam im, że w zeszłym tygodniu uzyskałam w kręgle dwieście siedemdziesiąt pięć punktów, ale nie za bardzo się zachwycili. W każdym razie, odkąd jestem po części mechaniczna, chcę mieć nowy przydomek: Darth Pieprzony Vader.

– W porządku, Darth – odparł ze śmiechem Schofield.

– Znow problemy z Wyciorem? – spytała z powagą w głosie Gant.

– Nic nowego – mruknął Schofield. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

– Dzięki.

– Mam coś dla ciebie. – Schofield sięgnął do kieszeni. – Nic wielkiego czy eleganckiego, ale... – Zmarszczył czoło i zaczął oklepywać kieszenie. – Cholera... na pewno miałem. Może zostało w helikopterze.

– Nie przejmuj się.

– Nie obrazisz się, jak dam ci później?

– Skądże.

Matka rozglądała się wokół.

– Co to, kurwa, za miejsce? Wygląda jak Fort Knox.

– To coś znacznie więcej niż Fort Knox.

– Czyli?

– Popatrz na podłogę przy wejściu.

Matka i Gant skierowały wzrok ku wrotom. W betonowej podłodze znajdowały się rozmieszczone w regularnych odstępach, biegnące prostą linią, kwadratowe zagłębienia o szerokości mniej więcej 30 centymetrów i podobnej głębokości.

– To hydrauliczne pancerne drzwi – wyjaśnił Schofield. – Jak na lotniskowcach klasy Nimitz. Służą do dzielenia ładowni okrętów na sektory w przypadku wybuchu lub pożaru. Zauważyłyście chyba jednak, że w tym hangarze nie ma innych pancernych drzwi, co oznacza, że to jedyne wyjście.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Matka.

– To, że cokolwiek tu robią, może być znacznie ważniejsze, niż sobie wyobrażamy.

Platforma wioząca prezydenta Stanów Zjednoczonych stanęła z szarpnięciem przed wielkimi stalowymi drzwiami z namalowaną na nich gigantyczną czwórką.

Betonowy szyb wznosił się nad głowami ludzi jak ogromny tunel. Jaskrawe sztuczne światło, świecące w hangarze na poziomie ziemi, zamieniło się w niewielki kwadracik bieli – sto metrów nad platformą.

Kiedy tylko winda się zatrzymała, z łoskotem zaczęły się otwierać wielkie stalowe drzwi. Pułkownik Jerome Harper prowadził – i mówiąc bardzo szybko, przedstawiał prezydentowi szczegóły dotyczące Strefy 7.

– Ośrodek ten był kiedyś kwaterą główną NORAD – Północnoamerykańskiego Dowództwa Obrony Powietrznej – zanim w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku przeprowadziło się do nowej siedziby w Colorado, wybudowanej pod górą Cheyenne.

Podał prezydentowi kartkę papieru, na której narysowano schemat podziemnych budowli.

Hangar znajdował się na górze kartki – na poziomie ziemi, zwieńczony wzgórzem – a w dół odchodził od niego szyb platformy transportowej, przechodzący przez kilka podziemnych poziomów.

– Część podziemna składa się z sześciu poziomów, z których dwa pierwsze – poziomy jeden i dwa – są hangarami dla wymagających specjalnego zabezpieczenia maszyn latających, podobnych do tych, jakie pan widział dziś w Strefie Osiem. Na poziomie trzecim znajdują się kwatery personelu oraz centrala komunikacyjna.

Poziom piąty jest zamknięty. Na poziomie szóstym znajduje się kolej typu X. Każdy poziom można zablokować i odizolować, aby nie dotarło do niego promieniowanie ani niesione powietrzem skażenia, a cały ośrodek posiada zapas tlenu, pozwalający po całkowitym zamknięciu żyć załodze przez trzydzieści dni. Zapasy żywności znajdują się na poziomie trzecim, rezerwa wody – czterysta milionów litrów – w hangarze na poziomie pierwszym.

Po chwili doszli do krótkiego, wznoszącego się korytarzyka, na końcu którego znajdowały się masywne drzwi – przypominające drzwi do sejfu. Jeden z żołnierzy zaczął je otwierać.

– Tu znajduje się projekt Fortuna... od czterech lat, odkąd pierwszy przydatny embrion osiągnął dojrzałość – kontynuował Harper. – Teraz wszedł w stadium, w którym może zostać użyty.

Prezydent czekał cierpliwie na otwarcie mających prawie metr grubości drzwi.

Za jego plecami stali w milczeniu Frank Cutler i ośmiu pozostałych agentów

Secret Service – Cutler co trzy minuty sprawdzał, czy w słuchawce ma sygnał

„wszystko czyste” od obu Grup Osłaniających. Sygnały popiskiwały czysto i wyraźnie.

Wreszcie drzwi stanęły otworem i prezydent zajrzał za nie.

– O... mój... Boże... – jęknął.

– Stawiam na superbombę – powiedział Elvis Haynes i rozparł się na krześle.

Elvis, Schofield, Gant i Matka siedzieli w jednym z oszklonych biur przy wrotach hangaru. Byli z nimi komandor Grier i komandor porucznik Dallas, komandosi piechoty morskiej stacjonujący na pokładach prezydenckich helikopterów, oraz trzech pozostałych agentów Secret Service.

Niezbyt subtelny podział na „władzę” i „roboły” sprawił, że wszyscy urzędnicy z Białego Domu, którzy pozostali na górze, siedzieli w oszklonym biurze po drugiej stronie wrót albo pracowali na pokładach helikopterów, które – jak twierdzili, bardziej pasowały do ich stanowisk niż spartańsko urządzone pomieszczenia sił powietrznych.

Poza tym – jak wyraził się Nicholas Tate, zapraszając Gant do pozostania z nim na pokładzie Marine One – mieli tam lepszą kawę, „taką, co łatwiej wchodzi”.

Gant poszła z Schofieldem i resztą.

Wycior Hagerty siedział z ludźmi z Białego Domu.

– Mowy nie ma, człowieku – zaprotestował niski kapral w okularach, Gus Gorman. – Superbomba nie istnieje.

Gorman był chudy, a okulary o grubych szklach, wielki nos i cienka, koścista szyja sprawiały, że wyglądał jak zmutowany gryzoń. Nawet w mundurze wyjściowym nie wyglądał zbyt seksownie. Był ceniony przez żołnierzy za niemal fotograficzną pamięć i cięty dowcip, a jego przydomek – „Mózgowiec” – nie był obelgą, lecz komplementem.

– Gówno prawda – mruknął Elvis. – DARPA zrobiła ją w latach

dziewięćdziesiątych, razem z marynarką...

– Ale nie funkcjonowała. Potrzebny był jakiś pierwiastek, występujący wyłącznie w meteorytach, którego nigdy nie udało się znaleźć na Ziemi.

– Ależ wy jesteście łatwowierni... – doleciał z przeciwległej części biura cichy głos. Wszyscy – z Schofieldem włącznie – odwrócili się.

Powiedział to nowy w oddziale sierżant – poważny młody człowiek o nosie buldoga i ciemnobrązowych oczach. Nie odzywał się często, więc kiedy już się odezwał, traktowano to jako wielkie wydarzenie. Początkowo uważano, że jest to oznaka pogardy wobec kolegów i koleżanek z oddziału, szybko jednak okazało się, że sierżant Buck Riley junior po prostu nie lubi mówić bez potrzeby.

Riley junior był synem bardzo szanowanego sierżanta sztabowego piechoty morskiej, Bucka Rileya seniora, którego Schofield znał znacznie lepiej od innych komandosów korpusu.

Poznali się w walce – kiedy Schofield znalazł się w niezłym szambie w Bośni, Rileya seniora wysłano po niego w misji ratunkowej. Zostali przyjaciółmi i Schofield włączył go do swojego oddziału. Niestety on także uczestniczył w nieszczęsnej misji na Antarktydzie i został zamordowany przez człowieka, którego nazwisko Schofield miał rozkaz zachować w tajemnicy na podstawie Ustawy o tajemnicy państwowej.

Sierżant Buck Riley junior – cichy, spokojny i poważny – z dumą nosił kryptonim ojca. Był znany w jednostce jako „Book II”.

Book II popatrzył na Elvisa i Mózgowca.

– Naprawdę wierzycie, że DARPA zbudowała bombę, mogącą zniszczyć za jednym zamachem jedną trzecią kuli ziemskiej?

– Oczywiście – odparł Elvis.

– Ja wcale tak nie uważam – stwierdził Mózgowiec.

– Nic takiego nie zbudowali – oświadczył autorytatywnie Book II. – To jedynie legenda, kolportowana po to, aby miłośnicy teorii spiskowej mieli sobie o czym porozmawiać przez Internet, a kochające plotki baby w korpusie były szczęśliwe.

Dać wam jeszcze kilka przykładów? Słyszeliście o tym, że FBI posyła swoich ludzi do więzień jako głęboko zakonspirowanych agentów? O tym, że na wypadek wybuchu wojny atomowej siły powietrzne Stanów Zjednoczonych trzymają w hangarach na wszystkich większych amerykańskich lotniskach cywilnych bombowce z bronią jądrową na pokładzie?

O tym, że USAMRIID* wynalazł lek na AIDS, ale nie wolno mu go wprowadzić na rynek?

* USAMRIID (United States Army Medical Research Institute of Infectious Diseases) – Instytut Badawczy Chorób Zakaźnych Armii Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

O tym, że siły powietrzne stworzyły napęd magnetyczny, pozwalający niemal wszystkim pojazdom unosić się w powietrzu? O tym, że przegrany oferent przetargu na budowę „niewidzialnego” bombowca zaproponował budowę samolotu, mogącego osiągnąć całkowitą niewidzialność dzięki wykorzystaniu jądrowej refrakcji powietrza – i zbudował taką maszynę, choć przegrał przetarg? Słyszeliście którąś z tych opowiastek?

– Ja nie – odparł Elvis. – Ale są ekstra.

– A pan, kapitanie? – Book II zwrócił się do Schofielda. – Słyszał pan którąś z tych historii?

Schofield popatrzył na młodego sierżanta.

– Słyszałem ostatnią, ale pozostałych nie*.

* Czytelnicy, którzy znają poprzedni tom przygód Shane’a Schofielda, Stacja lodowa, z pewnością

pamiętają, że w książce tej Schofield latał takim samolotem (przyp. tłum.).

Odwrócił się i zaczął rozglądać. Zmarszczył czoło. Czegoś tu brakowało... Nagle zrozumiał.

– Hej, a gdzie jest chorąży Webster?

Prezydent Stanów Zjednoczonych z otwartymi ustami patrzył przez skośne okna obserwacyjne.

Przed sobą, pośrodku wysokiego pomieszczenia, miał duży, samotnie stojący sześcian, wykonany z przezroczystego jak szkło materiału.

Sześcian miał wielkość sporego pokoju mieszkalnego i zarówno od ścian, jak i od sufitu pomieszczenia dzieliła go spora odległość. Z obu stron sześcianu znajdowały się rusztowania.

Uwagę prezydenta przyciągnęło jednak to, co znajdowało się w środku sześcianu. Nie był w stanie oderwać od tego oczu.

– Sześcian jest wykonany z wytrzymującego duże naprężenia poliwęglanu i ma niezależne źródło tlenu. Jest całkowicie szczelny – mówił pułkownik Harper. –

Gdyby zagrożona została jego spójność strukturalna, ciśnienie wewnątrz zostanie automatycznie podniesione, aby do wnętrza nie mogły się dostać żadne skażenia. –

Harper wskazał na jednego z trzech naukowców, którzy spotkali ich wcześniej na pasie przed hangarem. – Panie prezydencie, chciałbym przedstawić panu doktora Gunthera Bothe, człowieka, który zainicjował projekt Fortuna.

Prezydent podał rękę naukowcowi. Był to gruby, pięćdziesięcioośmioletni,

łysiejący

mężczyzna

szerokiej

twarzy,

mówiący

z

gardłowym

południowoafrykańskim akcentem.

– Miło mi pana poznać, panie prezydencie.

– Doktor Botha pochodzi z...

– Wiem, skąd doktor Botha pochodzi – powiedział prezydent. – Czytałem

wczoraj jego akta.

Gunther Botha był kiedyś pracownikiem sławetnego batalionu medycznego sił
obronnych Afryki Południowej. Choć nie jest to powszechnie znane, w latach 80. XX

wieku Afryka Południowa była drugą – po Związku Radzieckim – potęgą w
produkcji broni biologicznej, przeznaczonej w pierwszym rzędzie do użycia
przeciwko czarnej ludności.

Kiedy apartheid upadł, Gunther Botha zrezygnował z dotychczasowego zajęcia i
znalazł nowe – jako członek Komisji Prawdy i Pojednania. Potajemne zatrudnienie
go przez rząd Stanów Zjednoczonych w 1996 roku przypominało przejmowanie
hitlerowskich naukowców po II wojnie światowej. Specjaliści tacy jak Botha są
bardzo trudni do pozyskania.

Prezydent odwrócił się ponownie do okna.

– A więc to jest szczepionka... – powiedział, patrząc na przezroczysty sześcian.

– Tak jest, sir – odparł Botha.

– Sprawdzona? – Tak.

– W postaci uwodnionej surowicy?

– Tak.

– Na najnowszym szczepie?

– Sprawdzaliśmy ją na dziewięć jeden wczoraj po południu, zaraz po przywiezieniu.

– Panie prezydencie – wtrącił pułkownik Harper. – Jeśli pan sobie życzy, możemy dokonać demonstracji.

Zapadła chwila ciszy.

– Dobrze – odparł w końcu prezydent.

– Dokąd on poszedł? – spytał Schofield, stojący z Gant pośrodku gigantycznego hangaru.

Chorążego Carla Webstera – człowieka sprawującego pieczę nad Piłką – nie było ani w prezydenckim helikopterze, ani w biurach w hangarze. Agenci Secret Service twierdzili też, że nie był na obchodzie bazy z prezydentem.

Był to powód do niepokoju, ponieważ jeśli nie towarzyszył prezydentowi, miał obowiązek pozostawać na pokładzie Marine One.

– Popatrz na ten komitet powitalny – powiedziała Gant, spoglądając na trzy grupy uzbrojonych w P-90 komandosów 7. Szwadronu, rozmieszczonych w różnych miejscach hangaru.

– Wyglądają dość groźnie – stwierdził Schofield.

– Są naszprycowani.

– Co?

– Mają zażółcone gałki oczne.

– Sterydy?

– Aha.

– Nic dziwnego, że są tak spięci – mruknął Schofield.

– Elvis ich nie lubi. Podobno słyszał kiedyś, że „są nieoficjalnie rasistowscy”.

Zresztą sam widzisz... w oddziale nie ma ani jednego czarnego.

Była to prawda. Pomijając kilku komandosów azjatyckiego pochodzenia, cały 7.

Szwadron był bielusieńki.

– Też o tym słyszałem – przyznał Schofield. Choć oficjalnie o tym nie mówiono, w niektórych amerykańskich oddziałach uprzedzenia wobec osób o czarnym kolorze skóry w dalszym ciągu stanowiły problem. Przy brutalnych metodach selekcyjnych oddziały specjalne – takie właśnie jak 7. Szwadron – mogły bez trudu realizować rasistowską politykę.

Schofield skinął głową dowódcom trzech dziesięcioosobowych oddziałów. W odróżnieniu od swoich podwładnych nie trzymali w rękach P-90, ale mieli ją w specjalnych, mocowanych na plecach pochwach.

– Wiesz, jak na manewrach nazywają pięciu dowódców jednostek tego szwadronu?

– Jak?

– Pięć Węży. Jako dowódca całego szwadronu, Kurt Logan dowodzi także bezpośrednio jedną dziesiątką: oddziałem Alfa. Pozostałe cztery dziesiątki są dowodzone przez kapitanów: McConnella, Willisa, Stone’a i Carneya. Wszyscy są naprawdę dobrzy. Gdy pojawiają się na manewrach międzyjednostkowych w Bragg, zawsze wygrywają. Kiedyś jeden oddział Siódmego Szwadronu załatwił trzy oddziały SEAL – bez Logana.

– Dlaczego nazywa się ich „Pięć Węży”?

– Zaczęło się od dowcipu, wymyślonego z zazdrości przez innych dowódców, a powody są trzy. Po pierwsze, rzeczywiście przypominają węże: uderzają błyskawicznie i bez litości. Po drugie, są zimni jak węże. Nigdy nie nawiązują towarzyskich stosunków z dowódcami innych oddziałów. Trzymają tylko ze sobą.

– A trzeci powód?

– Kryptonim każdego z nich to nazwa groźnego węża.

– Miłe.

Kiedy ruszyli dalej, Gant powiedziała:

– Wiesz, w sobotę bardzo dobrze się bawiłam...

– Naprawdę? – Schofield popatrzył na nią.

– Jasne. A ty?

– Nno... też.

– Zastanawiałam się tylko... no wiesz... ponieważ... rozumiesz...

– Zaczekaj sekundę... coś tu jest nie tak...

– Słucham?

Schofield przyjrzał się ponownie trzem oddziałom komandosów 7. Szwadronu.

Jeden oddział stał przy windzie. Druga grupa obstawiła szyb, w którym poruszała się platforma. Trzeci oddział zajął pozycję w południowo-wschodniej części hangaru, przy wejściu do piętrowego budynku.

Schofield zobaczył znak na drzwiach, przed którymi stała trzecia grupa komandosów.

Wszystko ułożyło mu się w całość.

– Chodź! – rzucił do Gant i ruszył w kierunku biura, z którego przyszli. –

Szybko!

– Kody uzbrajające wprowadzone, sir – powiedział Logan. – Piłka jest gotowa.

Chorąży Webster był bardzo... pomocny.

Radiooperatorzy kontynuowali wymianę komunikatów:

– Awaryjny system uszczelniający gotowy...

– Niezależny zapas tlenu gotowy...

– Majorze Logan – powiedział jeden z operatorów. – Cały czas odbieram sygnały z detektora ciepła w sektorze zewnętrznym dziewięć, przy ASE.

– Jaka wielkość?

– Taka sama jak przedtem. Między trzydzieści a czterdzieści pięć centymetrów.

Mógłbym przysiąc, że od chwili, kiedy ostatni raz sprawdzałem, zbliżyły się do szybu.

Logan popatrzył na obraz satelitarny. Czarno-białe zbliżenie fragmentu pustyni na wschód od głównego kompleksu ukazywało 24 podłużne białe plamki, ułożone szerokim hakiem wokół Awaryjnego Szybu Ewakuacyjnego.

– Trzydzieści do czterdziestu pięciu centymetrów... – Logan uważnie przyjrzał się zdjęciu. – Za małe na ludzi. Prawdopodobnie to sfera szczurów pustynnych. Ale dla pewności zrób jeszcze większy obraz i miej na to oko.

Spowita cieniem postać odwróciła się do Logana.

– Gdzie jest teraz prezydent?

– W laboratorium na poziomie czwartym.

– Skontaktuj się z Harperem. Daj mu zielone światło. Powiedz, że jesteśmy gotowi i akcja się zaczyna.

– Obiekt numer jeden nie został uodporniony szczepionką – powiedział doktor Gunther Botha obojętnym tonem naukowca.

Prezydent znajdował się teraz w niemal zupełnie zaciemnionym pomieszczeniu na poziomie 4 i obserwował dwie jasno oświetlone komory testowe.

W każdej z nich stał nagi człowiek. Obaj mężczyźni – co sprawiało dość perwersyjne wrażenie w zestawieniu z ich nagością – mieli na twarzach maski gazowe i przymocowane do klatek piersiowych elektrody.

– Obiekt numer jeden to biały mężczyzna, wzrost sto siedemdziesiąt centymetrów, waga siedemdziesiąt dwa i pół kilo, wiek trzydzieści sześć lat. Jest wyposażony w standardową maskę gazową. Uwalniam czynnik aktywny.

Rozległ się cichy syk i do komory, w której stał mężczyzna, wpłynęła delikatna mgiełka żółtawego gazu. „Obiekt” był bardzo szczupły, i kiedy do pomieszczenia, w którym stał, dostał się gaz, wyglądał na przestraszonego.

– Skąd macie wirusa? – spytał prezydent.

– Z Changchun. Prezydent skinął głową.

Changchun to miasto w północnej Mandżurii i choć rząd Chin temu zaprzecza, znajduje się tam główny ośrodek badania broni biologicznej armii chińskiej. Krążą pogłoski, że jako obiektów do testowania wirusów i bojowych związków chemicznych używa się tam więźniów politycznych i pojmanych zagranicznych szpiegów.

Nagi mężczyzna w komorze w dalszym ciągu stał i nerwowo się rozglądał.

– Zakażenie następuje poprzez pośrednie wchłanianie otworami skórnymi, takimi jak pory czy otwarte rany – mówił Botha. – Jeśli się nie poda skutecznej szczepionki, śmierć następuje mniej więcej trzydzieści minut po zakażeniu. Jak na pośrednio wchłaniane środki działające na nerwy, to dość szybki współczynnik zabijania. Ale... – Botha pokiwał głową – w porównaniu z bezpośrednim

wdychaniem czynnika mało skuteczny.

Nacisnął klawisz interkomu.

– Proszę zdjąć maskę – powiedział do mężczyzny w komorze. W odpowiedzi mężczyzna uniósł do góry środkowy palec.

Botha westchnął i wcisnął klawisz na znajdującej się przed nim konsolce.

Obiekt numer jeden otrzymał przez umieszczone na klatce piersiowej elektrody silne uderzenie prądem.

– Powiedziałem: proszę zdjąć maskę.

Obiekt numer jeden powoli ściągnął maskę z głowy. Wirus zadziałał natychmiast – w przerażający sposób. Mężczyzna złapał się za żołądek i zaczął gwałtownie kaszleć.

– Jak już mówiłem, bezpośrednio wdychany jest znacznie bardziej skuteczny – oświadczył Botha.

Nagi mężczyzna zgiał się wpół i zaczął rzezić.

– Podrażnienie przewodu pokarmowego następuje mniej więcej po dziesięciu sekundach.

„Obiekt” gwałtownie zwymiotował, brązowo-zielona zawartość jego żołądka rozbryznęła się po podłodze komory.

– Rozpuszczenie przewodu pokarmowego następuje po trzydziestu sekundach...

Mężczyzna opadł na kolana i łapczywie chwycił powietrze. Z jego ust wyciekała grudkowata ciecz. Chwycił się rozpaczliwie ścian komory tuż przed Bothą.

– Rozpuszczenie wątroby i nerek w ciągu minuty... „Obiekt” plunął na szybę komory krwawą czarną masą, po czym, drżąc i dygocząc, padł na podłogę.

– Całkowite zniszczenie narządów wewnętrznych następuje w ciągu

dziewięćdziesięciu sekund, a śmierć w ciągu dwóch minut.

Minęło kolejne pół minuty i nagi mężczyzna w komorze – zwinięty w embrionalnej pozycji – zmarł w bezruchu.

Prezydent patrzył na niego, próbując ukryć obrzydzenie.

Była to straszliwa śmierć – zbyt okrutna nawet dla kogoś takiego jak ten mężczyzna w komorze.

Mimo wszystko prezydent próbował jednak uzasadnić wobec własnego sumienia to, co stało się z obiektem numer jeden. Za życia Leon Roy Hailey razem z przyjacielem przetrzymywał i torturował w swojej furgonetce dziewięć kobiet, śmiejąc im się w twarz, gdy błagały o litość. Obaj mężczyźni nagrywali przedśmiertne drgawki kobiet na kasety wideo, aby móc się potem rozkoszować widokiem. Prezydent oglądał te taśmy.

Wiedział także, że Leon Ron Hailey został skazany za swoje zbrodnie na łączną karę czterystu pięćdziesięciu dwóch lat więzienia i miał nigdy nie opuścić celi. Po pięciu latach zgodził się oddać do dyspozycji nauki. Wszystkimi „obiettami badawczymi” w Strefie 7 byli więźniowie z wielokrotnymi wyrokami dożywocia.

– Obiekt numer dwa – kontynuował Botha – otrzymał szczepionkę w postaci surowicy uwodnionej. Została dodana do szklanki wody, którą wypił dokładnie pół godziny temu. Jest to biały mężczyzna, dwieście trzy centymetry wzrostu, dziewięćdziesiąt siedem i pół kilograma wagi, trzydzieści dwa lata. Uwalniam środek czynny.

Znów syknęło i do komory wleciała żółtawa chmura.

Mężczyzna w komorze zauważył pojawienie się gazu, ale w odróżnieniu od obiektu numer jeden nie zareagował na ten fakt. Był znacznie wyższy od swojego

poprzednika, miał szerokie bary, grube bicepsy, potężne pięści i niewielką jajowatą głowę, jakby pochodzącą z innego ciała.

Beznamiętnie wpatrywał się w działającą jak weneckie lustro ścianę komory przed sobą, jakby zupełnie nie obchodziło go, co się z nim będzie działo.

Nie zakasłał. Nie zaczął dygotać. Ponieważ miał na twarzy maskę, wirus jeszcze nie dotarł do jego ust.

Botha wcisnął klawisz interkomu.

– Proszę zdjąć maskę.

Obiekt numer dwa bez jakichkolwiek sprzeciwów wykonał polecenie.

Kiedy prezydent ujrzał jego twarz, z wrażenia wstrzymał na chwilę oddech.

Widział tę twarz niejeden raz – w telewizji i w prasie – była to przepelniona złem, wytatuowana twarz Lucifera Jamesa Leary’ego, seryjnego zabójcy, znanego w Ameryce jako „Chirurg z Phoenix”.

Człowiek ten zabił trzydzieści dwie autostopowiczki, głównie młode dziewczyny, które w latach 1991-1998 wziął do samochodu na szosie międzystanowej między Las Vegas a Phoenix. W każdym miejscu, w którym porywał ofiarę, pozostawiał swój znak – rzucał na ziemię coś z jej biżuterii, zwykle pierścionek lub naszyjnik.

Leary’ego wyrzucono ze studiów w akademii medycznej i praktykował teraz na swoich ofiarach. Zabierał je do domu w Phoenix, obcinał im bez znieczulenia kończyny, a następnie zjadał je na ich oczach. Odnalezienie jego domu przez agentów FBI – z zakrwawioną piwnicą i dwoma żywymi, ale częściowo zjedzonymi ofiarami – wstrząsnęło Ameryką.

Lucifer Leary także teraz wyglądał jak uosobienie zła. Całą jego lewą część

twarży pokrywał tatuaż, wyglądający jak ślad po zadrapaniu łapą jakiejś niesamowitej istoty z horroru, zaopatrzoną w pięć ostrych jak brzytwa pazurów.

Tatuaż był tak precyzyjny, że wydawało się, iż skóra jest poszarpana, a z brzegów ran ścieka krew. Doskonale spełniał swoje zadanie – wywoływał obrzydzenie i strach.

Morderca uśmiechnął się, ukazując obrzydliwe żółte zęby.

Prezydent dopiero teraz pojął znaczenie tego, co widzi.

Choć Leary zdjął maskę, obecny w powietrzu wirus zdawał się nie wywierać na nim najmniejszego wrażenia.

– Jak pan widzi – dodał Botha z dumą w głosie – nawet przy bezpośrednim wdychaniu wirusa z powietrza podana doustnie szczepionka w postaci uwodnionego serum skutecznie zapobiega zakażeniu. Neutralizuje wnikający do organizmu wirus, blokując uwalnianie przez niego dwuetylopropanazy, białka, które atakuje enzym pigmentacyjny, metahydrogenazę, i białko grupy krwi, DB...

– Poproszę bardziej zrozumiale – powiedział sztywno Prezydent.

– Panie prezydencie, to, co pan właśnie widział, to ogromny skok w dziedzinie broni biotechnologicznej. Jest to pierwsza na świecie broń, stworzona metodami inżynierii genetycznej, środek w pełni syntetyczny, nie ma więc na niego naturalnego antidotum. Działa ze skutecznością, jakiej jeszcze nie widziałem. To wirus sztucznie skonstruowany, a został utworzony – chciałbym, aby mnie pan dobrze zrozumiał – w bardzo szczególny sposób. Jest to „bomba etniczna”, przeznaczona do zabijania jedynie określonych ras ludzi – posiadających określone geny. W tym przypadku atakowani są jedynie ludzie, którzy posiadają enzym zwany metahydrogenazą oraz białko krwi DB. Są to enzymy powodujące białe zabarwienie

skóry – typowe dla rasy białej. Panie prezydencie, ten sam enzym, który sprawia, że nasza skóra jest biała, czyni nas podatnymi na ten szczególny wirus. To niesamowite. Nie mam pojęcia, jak Chińczykom udało się coś takiego stworzyć. Mój rząd w Afryce Południowej próbował przez lata skonstruować wirus, który po dodaniu do wody pitnej powodowałby bezpłodność u Murzynów, ale nigdy nam się to nie udało. Analiza budowy tego wirusa wykazuje jednak, że ponieważ pigmentacja Murzynów jest odmianą metahydrogenazy, nietrudno byłoby go tak przekształcić, aby atakował również Afroamerykanów...

– Proszę przejść do sedna – przerwał mu prezydent.

– Sedno jest proste, panie prezydencie: przed tym wirusem bezpieczne są jedynie osoby pochodzenia azjatyckiego, ponieważ nie posiadają białego pigmentu skóry.

Natomiast wszyscy biali i czarni na całym świecie umrą. Panie prezydencie, oto najnowsza chińska broń biologiczna: sinowirus.

– Wydaje mi się, że coś tu śmierdzi – powiedział Schofield.

– Bzdura, kapitanie. – Wycior Hagerty zbył go machnięciem ręki. – Naczytał się pan komiksów.

– W takim razie co się stało z Websterem? Nigdzie go nie mogę znaleźć. Nie wolno mu znikać.

– Prawdopodobnie jest w sraczu.

– Sprawdziłem. A Nighthawk Trzy? Gdzie oni są? Dlaczego Hendricks się nie zgłosił?

Hagerty przyglądał mu się beznamiętnie.

– Sir, z całym szacunkiem, ale gdyby pan zechciał rzucić okiem na to, jak ustawili się chłopcy z Siódmego Szwadronu... – nalegał Schofield.

Hagerty odwrócił się ze swoim fotelem. Znajdowali się w południowym biurze w głównym hangarze, razem z grupką ludzi z Białego Domu. Hagerty bez zainteresowania wyjrzał przez okno i popatrzył na rozstawionych po całym hangarze komandosów.

– Wygląda na to, że obstawiają każde wejście – odparł i wzruszył ramionami. –

Po to, abyśmy nie porozłazili się po miejscach nie przeznaczonych dla naszych oczu.

Nie, sir. Proszę przyjrzeć im się dokładnie. Grupa na północy pilnuje windy.

Środkowa grupa pilnuje platformy. Nic w tym niezwykłego, proszę jednak popatrzeć na trzecią grupę, tę przed drzwiami budynku.

Widzę. Ale co to ma...

– Sir, oni pilnują magazynu.

Hagerty przeniósł wzrok z Schofielda na komandosów. Schofield miał rację – stali przed drzwiami z napisem MAGAZYN.

– Doskonale, kapitanie. Umieszczę pańskie obserwacje w raporcie – burknął

Hagerty i wrócił do swoich papierów.

– Ale...

– Powiedziałem, że umieszczę pańskie obserwacje w raporcie, kapitanie Schofield. To wszystko.

Schofield wyprostował się.

– Z całym szacunkiem, sir, ale czy uczestniczył pan kiedyś w walce? Hagerty zeszywniał.

– Nie jestem pewien, czy podoba mi się pański ton, kapitanie...

– Uczestniczył pan kiedyś w walce?!

– Byłem podczas operacji Pustynna Burza w Arabii Saudyjskiej.

– W walce?

– Nie. Pracowałem w ambasadzie.

– Sir, gdyby kiedykolwiek uczestniczył pan w walce, wiedziałby pan, że te trzy oddziały nie stoją w pozycjach defensywnych, ale ofensywnych. Są tak ustawieni, aby opanować oba biura...

– Nonsens.

Schofield złapał kartkę papieru, na której Hagerty właśnie coś pisał, i zrobił na niej szkic hangaru.

– Stoją teraz w tych miejscach – powiedział i postukał palcem w trzy czarne kółka.

– Na dwunastej, na dziesiątej i na czwartej godzinie. Jeżeli przesuną się w ten sposób... – dodał do szkicu kilka strzałek – ...będziemy mieli poważne kłopoty. Nasi ludzie i Secret Service w północnym biurze będą musieli stawić czoło frontalnemu atakowi, a pracownicy Białego Domu z południowego biura zaczną uciekać prosto na trzeci oddział Siódmego Szwadronu.

Hagerty przez długą chwilę patrzył na szkic.

– To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem, kapitanie – oświadczył w końcu. – To są amerykańscy żołnierze.

– Na Boga, niech pan mnie wysłucha...

– Nie, to pan wysłucha mnie! Niech pan sobie nie myśli, że nie wiem, kim pan jest. Wiem wszystko o Stacji Lodowej Wilkes. Wiem, co się tam wydarzyło, ale to, że kiedyś okazał się pan bohaterem, nie daje panu prawa do wymyślania teorii spiskowych i oczekiwania, że ktokolwiek zechce w nie uwierzyć. Jestem w korpusie od dwudziestu dwóch lat i stanowisko, które zajmuję, zdobyłem dzięki...

– Czemu? Przekładaniu papierków? Twarz Hagerty’ego spurpurowiała.

– Dość tego, Schofield. Dla dobra korpusu nie będę teraz robił sceny, ale kiedy wrócimy do Quantico, zostanie pan natychmiast aresztowany i przekazany sądowi polowemu pod zarzutem poważnej niesubordynacji. A teraz spierdalaj mi z oczu! Schofield pokręcił głową i oddalił się.

– A to właśnie ludzie, którzy sprowadzili dla nas sinowirusa – powiedział pułkownik Harper, prowadząc prezydenta między boksami na poziomie 4.

Stali przed pomieszczeniem, które miało przynajmniej dziesięć metrów długości

– była to komora kwarantanny. Przez nieduże okienko w bocznej ścianie uszczelnionego pomieszczenia widać było czterech ludzi, siedzących na kanapach i oglądających telewizję. Wnętrze pokoju kwarantanny było skąpane w ultrafioletowym świetle. Wszyscy siedzący w środku byli Azjatami.

Kiedy ujrzeli prezydenta, dwóch z czwórki wstało i wyprężyło się na baczność.

– Panie prezydencie, proszę poznać kapitana Roberta Wu oraz porucznika Chet Li z Siódmego Szwadronu...

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Harpera. Pułkownik przeprosił i odszedł na bok.

– To dla mnie zaszczyt poznać panów – powiedział prezydent i zbliżył się do okienka. – Nasz kraj jest wam winien wdzięczność.

– Dziękujemy, sir.

– Jak długo będziecie musieli tutaj przebywać? – spytał prezydent. Było to obowiązkowe osobiste pytanie.

– Chyba jeszcze kilka godzin, sir – odparł Wu. – Wróciliśmy z nowym szczepem wczoraj, kwarantanna musi trwać całą dobę. Komora działa na zamek czasowy, nie

da się jej otworzyć przed dziewiątą rano. W ten sposób będą pewni, że nie przynieśliśmy na siebie żadnych zarazków.

– No cóż, o dziewiątej mnie już tu nie będzie, ale zapewniam, że w najbliższej przyszłości coś ode mnie otrzymacie.

– Dziękujemy, sir. Wrócił Harper.

– Możemy kontynuować, panie prezydencie – powiedział. – Jeśli pan pozwoli, muszę panu coś jeszcze pokazać.

Schofield i Gant byli w Marine One, stali za plecami Mózgowca.

Mózgowiec siedział przy konsolce komunikacyjnej i pisał szybko na klawiaturze.

– Jest coś od Nighthawka Trzy albo obu grup osłaniających? – spytał Schofield.

– Od Nighthawka Trzy nic, od oddziałów Secret Service tylko sygnał. Schofield zastanawiał się przez chwilę.

– Jesteśmy podłączeni do sieci lokalnej Strefy Siedem? – zapytał w końcu.

– Tak. Prezydent musi odbierać zabezpieczone komunikaty liniami naziemnymi.

– Świetnie. Możesz dać obraz z kamer nadzorczych Strefy?

– Pewnie.

Prezydenta zaprowadzono schodami pożarowymi na poziom 3, gdzie znajdowały się kwatery mieszkalne personelu.

Wraz z dziewięcioma ludźmi ochrony znalazł się w dużym, niskim pomieszczeniu socjalnym – wyposażonym w kanapy, stoliki do kawy, kuchenkę i umieszczony na honorowym miejscu telewizor o wielkim ekranie.

– Gdyby był pan tak uprzejmy chwilę poczekać, panie prezydencie... –

powiedział pułkownik Harper. – Za minutę kogoś panu przyślę – dodał i wyszedł,

pozostawiając prezydenta i jego ochronę samych.

W przedziale komunikacyjnym Marine One ożyło kilka czarno-białych monitorów. Na ekranie każdego widać było kilka mocno ziarnistych obrazów z licznych kamer nadzorczych Strefy 7.

– Mamy kontakt – oświadczył Mózgowiec.

Schofield oglądał kolejne puste schody, ukazywane pod różnymi kątami, wewnątrz głównego hangaru, coś, co wyglądało jak stacja metra, wnętrza oszklonych biur w hangarze – jedno wypełnione komandosami piechoty morskiej i agentami Secret Service, drugie urzędnikami Białego Domu – a potem zobaczył wewnątrz windy...

Znieruchomiał.

Winda była wypełniona uzbrojonymi po zęby komandosami 7. Szwadronu.

Nagle uwagę Schofielda zwrócił ruch na ekranie monitora obok. Obraz ukazywał schody.

Zbiegała po nich uzbrojona grupa komandosów 7. Szwadronu.

– To będzie bolało... – mruknął beznamiętnie Schofield. Wyszedł z Marine One.

Gant i Mózgowiec szli tuż za nim.

Choć pozornie nic się nie zmieniło, we wnętrzu hangaru panowała nowa atmosfera.

Była to atmosfera zagrożenia. Niebezpieczeństwa.

Schofield szybko obrzucił spojrzeniem wszystkie trzy grupy komandosów i zobaczył, że jeden z dowódców dotyka ucha. Musiał właśnie odebrać komunikat.

– Zostańcie tutaj – polecił Schofield swoim towarzyszom.

– Jasne – odparł Mózgowiec.

– Hej ! – zawołała za Schofieldem Gant.

– Co jest?

– Spróbuj wyglądać na mniej spiętego.

– Zrobię, co się da – obiecał Schofield.

Wyszedł zza osłony Marine One i spokojnym krokiem ruszył w kierunku północnego oszklonego biura.

Był w połowie drogi, kiedy się zaczęło.

Głośno i nagle.

BUMMMM!

Jak opadająca na końcu przedstawienia kurtyna, z sufitu, tuż przed głównymi wrotami, z łoskotem wysunęła się tytanowa zaporą. Po chwili jej dolna krawędź – z przypominającymi zęby występami – dotknęła podłogi, a zęby zaskoczyły w otwory w podłodze.

Schofield zrezygnował z udawania spokoju.

Ruszył biegiem i w tym samym momencie komandosi z dwóch znajdujących się bliżej niego grup – tych, które narysował „na dwunastej” i „na dziesiątej” – unieśli broń i powietrze zaroilo się od pocisków.

Minęło pięć minut i nikt się nie zjawiał. Prezydent nie był przyzwyczajony do czekania.

Stał wraz ze swoją ochroną w pomieszczeniu socjalnym na poziomie 3, rozglądali się w milczeniu i czekali.

– Frank, sprawdź co się dzieje – powiedział w końcu prezydent do szefa ochrony. Nagle włączył się telewizor.

– Co się, kurwa, dzieje... – zaklął ktoś.

Na ekranie pojawiła się jasnożółta tablica Awaryjnego Systemu Nadawczego – specjalnej stacji telewizyjnej, nadającej na wszystkich pasmach i mogącej w przypadku zagrożenia narodowego przerwać nadawanie wszystkich innych programów.

Po chwili tablica zniknęła i zastąpiła ją twarz.

– Co to ma... – zaczął prezydent. Na ekranie widać było twarz trupa.

Twarz generała piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych, Charlesa Samsona Russella, kryptonim Cezar.

Z każdego telewizora w Strefie 7 – i chyba z każdego telewizora w Stanach Zjednoczonych – zaczął płynąć głos Charlesa Russella.

– „Panie prezydencie, obywatele Ameryki! Witam w Strefie Siedem. Nazywam się Charles Russell i jestem generałem sił powietrznych. Zbyt długo musiałem się przyglądać, jak ten kraj sam się zjada, i nie zamierzam tego dłużej robić. – Mówił spokojnym głosem, nie starając się ukrywać swojego akcentu z Luizjany. – Nasi przedstawiciele – zarówno na szczeblu federalnym, jak i stanowym – nie nadają się na prawdziwych przywódców. Nasza wolna prasa nie jest już narzędziem kontroli rządu, co miało być jej głównym zadaniem. Dla każdego, kto walczył o ten kraj i przelewał za niego krew, taki stan rzeczy jest hańbą. Nie wolno pozwolić, aby dłużej trwał”.

Prezydent w milczeniu gapił się w ekran.

– „Rzucam więc wyzwanie, panie prezydencie – zarówno panu, jak i systemowi, który pan reprezentuje. W pańskie serce został wszczepiony nadajnik radiowy – umieszczono go tam cztery lata temu, podczas operacji lewego płuca”.

Frank Cutler gwałtownie odwrócił się do prezydenta. Na jego twarzy pojawił się

wyraz przerażenia.

– „Zaktywizuję teraz ten sygnał”. – Cezar wcisnął jakieś guziki na małym czerwonym urządzeniu, które trzymał w ręku. Wystawała z niego czarna antenka.

Frank Cutler wyjął z kieszeni płaszcza detektor podsłuchu – analizator pasma radiowego, pozwalający na wykrycie każdego sygnału – i zaczął nim wodzić po ciele prezydenta.

Stopy i nogi... nic.

Talia i brzuch... nic.

Klatka piersiowa...

Urządzenie oszalało.

– „Moje wyzwanie jest proste, panie prezydencie. Jak pan z pewnością wie, na każdym ważniejszym lotnisku cywilnym w Stanach Zjednoczonych znajdują się przynajmniej trzy hangary przeznaczone dla bombowców, myśliwców oraz personelu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. W czternastu z nich znajdują się w tej chwili plazmowe głowice bojowe typu dwieście czterdzieści. Wśród tych lotnisk są nowojorskie Johna Kennedy’ego, Newark i La Guardia, waszyngtońskie Dulles, O’Hare w Chicago, LAX w Los Angeles oraz lotniska w San Francisco, San Diego, Seattle, Bostonie, Filadelfii i Detroit.

Każda głowica – o czym z pewnością pan wie – ma promień rażenia dwadzieścia pięć kilometrów i moc dziewięćdziesięciu megaton. Wszystkie są uzbrojone”. W pomieszczeniu socjalnym na poziomie 3 nikt się nie odzywał.

– „Jedyne, co może powstrzymać detonację tych głowic, panie prezydencie – powiedział z uśmiechem Charles Russell – jest bicie pańskiego serca”.

Po chwili przerwy mówił dalej:

– „Wszystkie głowice są skoordynowane z satelitą geostacjonarnym, unoszącym się nad tą bazą. Satelita emituje silny sygnał mikrofalowy, odbierany i odbijany przez przekaźnik w pańskim sercu. Przekażnik ten jest zasilany kinetycznie, tak więc jeśli pańskie serce przestanie bić, przekaźnik przestanie pracować i sygnał satelitarny przestanie być odbijany w kierunku satelity, w efekcie czego satelita zaktywizuje bomby. Panie prezydencie – jeżeli pańskie serce przestanie bić, Ameryka, jaką znamy, zginie. Jeżeli pańskie serce będzie biło – Ameryka będzie żyć. Jest pan symbolem zbankrutowanej kultury: politykiem, pragnącym władzy dla samej władzy, który – podobnie jak ludzie, których pan reprezentuje – żyje w błogiej świadomości, że nigdy nie zostanie wyzwany do walki o przetrwanie systemu, dającego panu tę władzę. Żył pan długo w spokoju, panie prezydencie, teraz jednak nadszedł czas rozliczenia. Został pan wyzwany do boju. Ja jestem żołnierzem i przelewałem za ten kraj krew. A ile własnej krwi pan przelał? Co pan poświęcił? Nic. Jest pan tchórzem! Jako prawdziwy patriota, dam panu i systemowi, który pan reprezentuje, ostatnią szansę udowodnienia, czy jest pan coś wart. Obywatele tego kraju potrzebują takiego dowodu. Muszą zobaczyć, jak się pan miota i jak pan ich sprzedaje, by ratować własną skórę. Wybrali pana, aby pan ich reprezentował, i teraz będzie miał pan ku temu okazję – tym razem dosłownie. Jeśli pan zginie – oni zginą razem z Panem. Strefa Siedem została całkowicie zamknięta. Jej konstrukcja przewiduje wytrzymanie ataku jądrowego, nie ma więc możliwości się stąd wydostać. W środku znajduje się pięćdziesięcioosobowy oddział bojowy, najlepszy w tym kraju – Siódmy Szwadron Operacji Specjalnych. Należący do niego ludzie mają rozkaz pana zabić, panie prezydencie. Wraz ze swoją ochroną z Secret Service będzie musiał pan stanąć z nimi twarzą w twarz do walki na śmierć i życie. Kto

wygra, dostanie kraj. Kto przegra – umrze. Mieszkańcy Ameryki powinni być oczywiście informowani o przebiegu walki, więc co godzina będę za pośrednictwem Awaryjnego Systemu Nadawczego powiadamiał ich o sytuacji”. Prezydent spojrzął w najbliższą kamerę nadzorczą.

– To szaleństwo! Nie mógł pan...

– „Jeremiah K. Woolf, panie prezydencie” – dodał Cezar Russell. Prezydent natychmiast zamilkł.

Nikt się nie odzywał.

– „Pańskie milczenie mówi mi, że widział pan akta FBI...”. Oczywiście prezydent je widział – wymagały tego tajemnicze okoliczności śmierci byłego senatora.

W chwili gdy Jeremiah Woolf zginął na Alasce, eksplodował jego dom w Waszyngtonie. W obu przypadkach nie ustalono winnych. Zbieżność wydarzeń była zbyt niepokojąca, by ją zignorować, ale z braku jakichkolwiek przesłanek dla środków masowego przekazu pozostała to jedynie dziwna zbieżność wydarzeń.

Jedną z okoliczności śmierci byłego senatora nie została nigdy upubliczniona, ale prezydent ją znał: podwyższony poziom czerwonych krwinek oraz bardzo niskie ciśnienie fosfatów w krwi tętniczej i tętniczkowej. Objawy te wskazywały na to, że tuż przed śmiercią senator przez dłuższy czas hiperwentylował – musiał więc być w sytuacji, którą określa się jako „walczyć lub uciekać”.

Innymi słowami, zanim go zastrzelono, Jeremiah Woolf biegł. Był ścigany.

Wszystko układało się w logiczną całość.

Woolf miał wszczepiony przekaźnik...

Ścigano go na Alasce i zastrzelono, a kiedy jego serce przestało bić, dom na drugim końcu Ameryki eksplodował.

Rozmyślania prezydenta przerwał głos Cezara Russella:

– „Nieoczekiwane odejście byłego senatora z rządu sprawiło, że uzyskałem dodatkowy przekaznik. Senator został w ten sposób królikiem doświadczalnym. Obiektem testowym przed dzisiejszym dniem”.

Prezydent popatrzył na Franka Cutlera.

– „A na wypadek, gdyby myślał pan o ucieczce ze Strefy Siedem...” – Russell uniósł trzymany w ręku przedmiot.

Była to walizka z nierdzewnej stali. Stalowa walizka chorążego Carla Webstera.

Do rączki walizki przypięte były kajdanki, których drugi koniec zwisał luźno i był zbryzgany krwią.

Russell trzymał w ręku Piłkę. Była otwarta.

Pośrodku walizki widać było płaską szklaną płytę analizatora odcisku dłoni i klawiaturę. Analizator odcisku dłoni był zaprogramowany na rozpoznawanie odcisku dłoni prezydenta, tak więc jedynie on mógł uzbrajać – i rozbrajać – termonuklearny arsenał Stanów Zjednoczonych.

Jakimś sposobem Russellowi udało się sfalszować odcisk dłoni prezydenta i wpisać kody uzbrajające bomby. Jak mu się udało tego dokonać?

– „Poza podłączeniem do przekaznika w pańskim sercu, panie prezydencie, wszystkie bomby na lotniskach zostały podłączone do zerującego się minutnika, nastawionego – jak widać na ekranie Piłki – na dziewięćdziesiąt minut. Tylko przyłożenie do analizatora pańskiej dłoni – powtarzane co dziewięćdziesiąt minut – zresetuje minutnik i zatrzyma wybuch bomb, proszę więc nie myśleć o opuszczeniu nas. Dla pańskiej informacji dodam, że Piłka będzie się znajdować w głównym hangarze. To wielki dzień w historii naszego narodu, panie prezydencie – dzień

rozliczenia. Jutro o świcie – Czwartego Lipca – dowiemy się, czy obudzimy się w nowej, odrodzonej Ameryce. Życzę szczęścia, panie prezydencie, i niech Bóg ma w opiece pańską duszę”.

Gdy Russell kończył, główne wejście do pomieszczenia socjalnego otworzyło się gwałtownie i do środka wpadł oddział komandosów 7. Szwadronu w budzących przerażenie maskach gazowych ERG-6 na twarzach – dowodzony przez majora Logana. Wszystkie lufy pluły ogniem. Wyścig się rozpoczął.

DRUGIE STARCIE

3 lipca, godzina 7.00

Główny hangar zamienił się w pole bitwy. Kiedy Shane Schofield biegł co sił w kierunku północnego oszklonego biura, wokół jego stóp rykoszetowały pociski. Gdy dopadł do drzwi, odwrócił się i krzyknął:

– Marines! Rozprosz się!

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, bo okno tuż obok niego rozprysnęło się na milion kawałków. Zanurkował za pierwszą lepszą osłonę, po czym popęzł w kierunku prezydenckich helikopterów i ciągników holowniczych, aby się za nimi schować.

Gdy spojrzał za siebie, zobaczył, jak przez rozbite okna biura wyskakują uzbrojeni komandosi piechoty morskiej i chwilę potem do środka wpada wystrzelona z naramiennej wyrzutni rakietą typu Predator, wewnątrz eksploduje, a na boki wypryskują jęzory ognia i chmury okruchów szkła.

Wślizgnął się pod Marine One i znalazł się tuż obok Libby Gant i Mózgowca.

Wokół dudniły wystrzały. Przez strzelaninę przebił się głos, wzmacniany przez głośniki w hangarze:

– ŻYCZĘ SZCZĘŚCIA, PANIE PREZYDENCIE, I NIECH BÓG MA W OPIECE PAŃSKĄ DUSZĘ.

– Jasna cholera! – wrzasnął Mózgowiec.

– Tędy! – krzyknął Schofield, wpelzając pod wielki helikopter.

Po chwili dotarł do kratownicy w podłodze i podniósł ją. Pod Kratownicą był szyb wentylacyjny. Stalowe ściany opadały pionowo w dół, znikając w ciemnościach.

– Wynosimy się stąd! – wrzasnął Schofield.

W tym momencie w podłodze Marine One otworzyła się kłapa – niemal odcinając Schofieldowi głowę – i na podłogę tuż za nim zeskoczyła postać z wycelowanym prosto w jego głowę M-16 w rękach.

– Kurwa! To ty! – wrzasnęła Matka i skuliła się tuż obok swego byłego dowódcy.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedziała do Gant i rzuciła jej pistolet maszynowy MP10. – Przykro mi, Strachu na Wróble, ale dla ciebie nic nie mam. Więcej nie było w skrzynce zbrojeniowej na pokładzie. W przednim arsenale są różne rzeczy, ale klucz do niego ma Artylerzysta.

– Nieważne – odparł Schofield. – Najpierw musimy się stąd wydostać i przegrupować. Potem pomyślimy, jak załatwić tych drani. Tędy!

Pierwsi ześlizgnęli się w dół Gant i Mózgowiec, oparli się o ściany szybu plecami i nogami i zaczęli schodzić w dół.

– Widziałeś te bzdury w telewizji? – spytała Matka Schofielda, podpełzając do szybu.

– Nie, zbyt byłem zajęty uciekaniem przed kulami.

– To mam ci sporo do opowiedzenia – oświadczyła i jako ostatnia zeszła do szybu.

Prezydent Stanów Zjednoczonych przemieszczał się szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Tak naprawdę jego stopy ledwie dotykały podłogi.

Na widok wpadających do sali komandosów 7. Szwadronu dziewięciu członków prezydenckiej ochrony zaczęło działać jak automaty.

Czterech ludzi natychmiast zajęło pozycje obronne między prezydentem a intruzami i odrzuciło poły płaszczy, wydobywając na wierzch pistolety maszynowe Uzi. Pistolety zawarczały, wyrzucając z siebie pociski z prędkością 600 sztuk na

minutę.

Pozostałych pięciu agentów wzięło prezydenta między siebie i pociągnęło do najbliższego wyjścia pożarowego. Został niemal uniesiony w powietrze i wypchnięty siłą z pomieszczenia, ale był chroniony przez ciała ochroniarzy.

Zanim drzwi się zatrzasnęły, zdolali zobaczyć, z jaką precyzją komandosi 7.

Szwadronu zajmują pozycje za kanapami, otwartymi drzwiczkami i szafkami, „żabimi skokami” zbliżają się do czwórki pozostawionych w sali ludzi z Secret Service, po czym wykańczają ich po kolei z karabinków szturmowych P-90.

Uzi ma co prawda szybkostrzelność 600 pocisków na minutę, ale wyprodukowany w Belgii, w firmie FN Herstal P-90 osiąga niesamowitą szybkostrzelność 900 pocisków na minutę. Zaokrąglona osłona ręki, obudowa mieszcząca specjalny system stabilizujący broń podczas strzelania i magazynek na 100 naboji, umieszczony pod lufą, sprawiają, że pistolet wygląda jak rodem z powieści science fiction.

– Schodami na dół! – krzyknął Frank Cutler, gdy pociski załomotały po drugiej stronie stalowych drzwi. – Do drugiego wyjścia!

Prezydent i reszta jego ochrony pobiegli w dół schodów, biorąc po cztery stopnie naraz i zakręcając o sto osiemdziesiąt stopni na każdym półpiętrze. Każdy agent miał w ręku broń – uzi, sig-sauera lub inną.

Prezydent mógł jedynie biec wraz z nimi – tak ciasno był otoczony.

– Grupa Osłaniająca Jeden! Zgłoś się! – wrzasnął Cutler do mikrofonu na nadgarstku.

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Grupa Osłaniająca Jeden! Zgłoś się! Zbliżamy się z Patriotą* do wyjścia numer

jeden i musimy wiedzieć, czy jest otwarte!

* Komandosi z trzech dziesięcioosobowych pododdziałów Kryptonim prezydenta Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

I tym razem nie dostał odpowiedzi.

W głównym hangarze Book II tkwił w piekle.

Kule orały podłogę wokół niego, na głowę leciało mu szkło.

Siedział razem z Elvisem pod zewnętrzną ścianą pomocnego biura – w

małym zagłębieniu między jego drzwiami i pancernymi wrotami hangaru. Udało im się wyskoczyć z biura przez rozbite okno na chwilę przed zniszczeniem go przez raketę Predator.

7. Szwadron byli wszędzie – poruszali się szybko i precyzyjnie, okrążali helikoptery, przeskakiwali zabitych, przyciskając kolby pistoletów do barków i spoglądając wzdłuż luf w poszukiwaniu następnego celu.

Book widział, jak z drugiej strony hangaru, z południowego biura, wybiega około dziesięciu rozkrzyczanych urzędników Białego Domu i wpada prosto na pododdział 7. Szwadronu.

Niemal wszyscy zginęli na miejscu, ścięci z nóg falą bezlitosnego ognia. Dobijani, podrygiwali w agonii na podłodze.

Nagle z ruin północnego biura wyskoczył z wściekłym rykiem Artylerzysta Grier i ruszył na wroga, strzelając z niklowanej beretty.

Ledwie się pojawił, jego klatka piersiowa eksplodowała czerwoną fontanną, został trafiony równocześnie przez dwóch komandosów 7. Szwadronu.

Siła ich ognia była tak wielka, że stał jeszcze sporą chwilę po tym, gdy już nie żył.

Uderzenie każdego kolejnego pocisku odpychało go do tyłu, aż wreszcie trafił plecami o ścianę, po której się osunął i znieruchomiał.

– To pojebana sytuacja! – wrzeszczał Elvis. – Nie ma jak uciekać!

– Tędy! – odkrzyknął Book II i wskazał na windę w północnej ścianie hangaru. –

To jedyna droga!

– A jak się tam dostaniemy?

– Pojedziemy! – Book II wskazał ruchem głowy znajdujący się jakieś dziesięć metrów od nich ciągnik holowniczy, do którego przywiązano ogon Nighthawka Dwa.

Czwórka radiooperatorów mówiła szybko do mikrofonów:

– Oddział Bravo, zamknijcie wszystkich wrogich agentów w północnym biurze...

– Oddział Alfa, idźcie za ochroną prezydenta w dół wschodnimi schodami...

– Oddział Charlie, opuście hangar, mam obraz czterech piechociarzy

schodzących głównym szybem wentylacyjnym – Oddział Delta, cierpliwości, utrzymujcie pozycję...

– Jak to umieścili mu w sercu nadajnik? – zdumiał się Schofield.

Zsuwali się w dół szybu wentylacyjnego, z szeroko rozkraczonymi nogami, przyciskając stopy i plecy do ścian.

Gant i Mózgowiec byli nieco niżej i szybko zjeżdżali w dół mrocznej, zdającej się nie kończyć rury.

– Jeśli jego serce przestanie pracować, bomby wybuchną... na każdym dużym lotnisku, w każdym dużym mieście – wyjaśniła Matka.

– Jezus Maria...

– Co dziewięćdziesiąt minut musi przykładać dłoń do ekranu w Piłce, aby zresetować zegar. Jeśli tego nie zrobi – będzie BUMMM!

– Co dziewięćdziesiąt minut? – Schofield wcisnął guziczek na zegarku, by zaczął

odliczać czas. Nastawił go na 85 minut i puścił guziczek. Natychmiast zaczęło się

odliczanie:

85:00...

84:59... 84:58...

Nagle z góry doleciał metaliczny łoskot i Schofield podniósł głowę.

Wokół nich zadudniły pociski.

Stalowe ściany zagrzecotały od uderzeń ołowiu.

Zza górnej krawędzi wejścia do szybu wystawała lufa P-90 – trzymana przez niewidocznego komandosa – i wściekle pluła w ich kierunku.

– Strachu na Wróble! – wrzasnęła z dołu Gant. Wpełzała właśnie w wąski poziomy tunel, odchodzący od szybu głównego. – Tędy! Matka! Szybciej!

Oboje zmniejszyli nacisk stóp na ściany i zaczęli szybko zjeżdżać pionowym tunelem.

Mknęli w dół, kuląc się przed uderzającymi w ściany szybu obok nich pociskami i tuż przed poziomą odnogą wbili pięty w ściany, hamując z piskiem podeszew.

Matka zatrzymała się idealnie – dokładnie przed odnogą, Schofield zsunął się jednak trochę za nisko. Na szczęście udało mu się w ostatniej chwili wyciągnąć rękę i zahaczyć palce o krawędź – gdyby spóźnił się o ułamek sekundy, poleciałby w dół, prosto w śmierć.

Matka wsunęła się do odnogi pierwsza, po czym pomogła wejść do niej

Schofieldowi. Chwilę później w pionowym odcinku rury wentylacyjnej pojawiła się lina.

To nadchodzili komandos 7. Szwadronu.

Gant biegła pierwsza, a tuż za nią Mózgowiec. Tunel miał średnicę około półtora

metra, dało się więc nim bez większego trudu biec.

Kiedy Gant wybiegła zza zakrętu, ujrzała przed sobą światło. Przyspieszyła, ale nagle zahamowała i zaczęła rozpaczliwie szukać czegoś, czego mogłaby się złapać.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że Mózgowiec o mało na nią nie wpadł. Na szczęście nie doszło do kolizji – gdyby się zderzyli, spadliby jakieś sześćdziesiąt metrów w dół.

– O kurde... – jęknął Mózgowiec.

– Co jest? – spytała Matka, która pojawiła się po chwili razem z Schofieldem. –

Ojoj...

Tunel się kończył – wychodził na szyb główny.

Mieli przed sobą gigantyczną betonową przepaść o szerokości ponad 60 metrów.

Po drugiej stronie szybu, dokładnie przed nimi, znajdowały się wielkie stalowe drzwi z namalowaną na nich wielką czarną jedyką. Wyglądało to na wejście do jakiegoś hangaru.

Mniej więcej 60 metrów w dole – na wysokości poziomu 4 – znajdowała się platforma do podnoszenia samolotów.

– Są takie chwile, że bardzo tęsknię za maghookiem – mruknął Schofield.

Maghook to specjalny karabin, używany przez oddziały zwiadu piechoty morskiej, zaopatrzone w wystrzeliwany na lince hak, który można także zmieniać w silny magnes.

– Jest parę na górze, w Nighthawku Dwa – oświadczyła Matka.

– Nic by nam nie dały – stwierdziła Gant. – Za duża odległość. Maghook ma zasięg pięćdziesięciu metrów, a tu jest przynajmniej sześćdziesiąt.

– Lepiej szybko coś wymyślmy – powiedział Mózgowiec, spoglądając w głąb

tunelu i słuchając wizgu zsuwających się po linie komandosów 7. Szwadronu.

Schofield przyjrzał się przepaści przed nimi. Szyb wyglądał na często używany – jego ściany pokrywała warstwa brudu i smaru.

W regularnych odstępach w ścianach były wąskie kanały – wycięte w betonie poziome rynny. Miały mniej więcej piętnaście centymetrów głębokości i biegły wokół całego szybu głównego. Prawdopodobnie służyły do schowania przewodów elektrycznych – aby platforma nie natrafiała podczas jazdy na żadne przeszkody na ścianach.

Niestety nie można ich było wykorzystać do ucieczki. BUMMM!

Schofield odwrócił się gwałtownie. Ciężkie buciory załomotały o metal.

Komandosi 7. Szwadronu byli już w tunelu.

Żołnierze sił powietrznych biegli nisko pochyleni, z uniesioną do strzału bronią.

Było ich czterech i wszyscy byli ubrani na czarno: mieli czarne hełmy, czarne maski gazowe i czarne opancerzenie. Ponieważ nie wiedzieli, którym odgałęzieniem poszli ludzie Schofielda, reszta oddziału spuściła się niżej i miała sprawdzić poziome tunele na kolejnych poziomach.

Prowadząca dwójka wyszła zza zakrętu. Żołnierze zatrzymali się.

Byli na końcu poziomej odnogi – w miejscu, gdzie wychodziła na główny szyb.

Nikogo tu jednak nie było.

Tunel był pusty.

Zanim prezydent Stanów Zjednoczonych odwiedzi jakiegokolwiek miejsce, Secret Service ustala przynajmniej trzy różne drogi ewakuacyjne.

W wielkich hotelach miejskich są to zwykle: tylne wyjście, wyjście służbowe (na przykład przez kuchnię) i dach, skąd prezydent może zostać zabrany helikopterem.

W Strefie 7 dwie Grupy Osłaniające Secret Service miały zabezpieczać dwie wybrane drogi ewakuacji.

Punkt Wyjścia Awaryjnego numer 1 znajdował się na najniższym poziomie Strefy 7 – na poziomie 6. Był tam jeden koniec osiemsetmetrowego tunelu, którego drugi koniec wychodził na pustyni, kilkaset metrów od wzgórza, w którego wnętrzu kryła się baza. Pierwsza Grupa Osłaniająca stacjonowała na poziomie 6, druga przy wyjściu z tunelu – na pustyni.

Prezydent i jego pięciu ochroniarzy biegli w dół schodami pożarowymi, ostrzeliwani przez ludzi dowodzonego przez majora Kurta Logana oddziału Alfa, deptającego im po piętach.

Wkrótce znaleźli się przed drzwiami pożarowymi z napisem: POZIOM 4: LABORATORIA. Minęli je.

Po pokonaniu kolejnych kilkunastu stopni ujrzeli przed sobą następne drzwi. Napis na nich był nieco większy.

POZIOM 5: STREFA ZWIERZĄT WSTĘP WZBRONIONY DRZWI WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU AWARYJNEGO WEJŚCIE PRZEZ WINDY NA DRUGIM KOŃCU PIĘTRA pobiegli dalej.

Po chwili byli już na końcu schodów. Znajdujące się tu drzwi zaopatrzone w napis:

POZIOM 6: STACJA KOLEI X.

Frank Cutler, który biegł pierwszy, bez namysłu chwycił za klamkę, szarpnął drzwi i...

...został zasypany gradem pocisków.

Twarz Cutlera i jego klatka piersiowa natychmiast zamieniły się w krwawą

masę. Ciało dowódcy ochrony prezydenckiej zostało odrzucone w głąb klatki schodowej i przejechało kilka metrów po podłodze jak po lodzie. Agent, który stał bezpośrednio za nim, również zginął.

Z pozostałej grupki ochroniarzy wyskoczyła do przodu młoda agentka Juliet Janson i zatrzasnęła drzwi. Zanim to zrobiła, udało jej się rzucić okiem na scenerię za drzwiami. Widok mógł przerazić.

Najniższy poziom Strefy 7 – poziom 6 – wyglądał jak stacja metra. Między dwoma torami z bardzo szeroko rozstawionymi szynami znajdował się niski „peron”, a drzwi prowadzące do Awaryjnego Szybu Ewakuacyjnego – ich celu – były schowane w ścianie za prawymi torami.

Na wysokości tych drzwi, za „peronem”, ukrywał się cały oddział komandosów 7. Szwadronu – z pistoletami maszynowymi wycelowanymi w drzwi schodów pożarowych.

Przed komandosami leżało dziewięć ciał członków Grupy Osłaniającej numer 1 Secret Service.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się z hukiem, agentka specjalna Juliet Janson odwróciła się.

– Szybko! – krzyknęła. – Z powrotem! Tempo!

– Wszystkie oddziały uwaga: oddział Delta ma kontakt z wrogiem – powiedział jeden z radiooperatorów w pomieszczeniu dowodzenia. – Powtarzam: oddział Delta ma kontakt z Wrogiem...

Shane Schofield próbował nie oddychać, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Wystarczy, jeśli wyjrzą za krawędź.

Wisiał, wczepiony czubkami palców w krawędź rynienki na kable, wrytej w

ścianie szybu – niecały metr pod krawędzią tunelu, którym przed chwilą przybiegli.

W tunelu stało czterech uzbrojonych po zęby komandosów 7. Szwadronu, którzy przed kilkoma sekundami dotarli do końca tunelu.

Matka, Gant i Mózgowiec wisieli obok Schofielda – także na zahaczonych o krawędź rynienki palcach.

Doskonale słyszeli głos komandosa nad nimi, który mówił właśnie do mikrofonu:

– Charlie Sześć, tu Charlie Jeden, nie ma ich w poprzecznym tunelu na poziomie jeden. Rozumiem – już idziemy.

Załomotały ciężkie kroki, a potem zapadła cisza. Schofield odetchnął z ulgą.

– Teraz dokąd? – spytał Mózgowiec.

– Tam – odparł Schofield i wskazał brodą stalowe wrota po przeciwległej stronie szybu.

– Gotów? – wrzasnął Book II do Elvisa.

– Gotów!

Book II popatrzył na wielki biały ciągnik, połączony liną z ogonem Nighthawka

Dwa. Potężne opony, niziutko osadzona karoseria i maleńka, dwuosobowa kabina sprawiały, że pojazd wyglądał jak cegła na kołach albo jakiś gigantyczny insekt.

Właśnie z powodu swojego wyglądu miał wśród pracowników lotnisk na całym świecie przydomek „Karaluch”.

Ciągnik, zamocowany do Nighthawka Dwa, stał przodem do pokrytej tytanem pancernej kurtyny, która kilka minut temu opadła przed wrotami hangaru, szczelnie go zamykając.

Book II trzymał w rękach dwie niklowane, paradne beretty – swoją i wziętą od

leżącego na podłodze zabitego żołnierza piechoty morskiej.

– Siadaj za kierownicą! – wrzasnął do Elvisa. – Ja wsiądę z drugiej strony!

– Robi się!

– Okej! Teraz!

Błyskawicznie wstali i pomknęli przez otwartą przestrzeń. Ich nogi poruszały się w synchronicznym rytmie.

Niemal natychmiast w beton za nimi załomotały pociski.

Elvis skoczył na fotel kierowcy i zatrzasnął za sobą drzwi. Bookowi II udało się dotrzeć do drugich drzwi, ale został potężnie ostrzelany, zamiast więc wsiąść do kabiny, skoczył na dach pojazdu.

– Elvis! Gaz! – wrzasnął.

Elvis wcisnął rozrusznik i silnik ciągnika o mocy 600 koni mechanicznych ryknął przeraźliwie. Elvis wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu.

Zapiszczały opony i ciągnik wyprysnął do przodu, prosto na pancerną zasłonę, oddzielającą bazę od świata. Bez trudu pociągnął za sobą Nighthawka Dwa – uzbrojony helikopter transportowy Super Stallion CH-53E.

Oba znajdujące się w hangarze pododdziały 7. Szwadronu – razem dwudziestu ludzi – rozproszyły się po hangarze i ruszyły w pogoń za karaluchem.

W boki pojazdu zagrzechotały kule.

Elvis szarpnął kierownicą i ciągnik zaczął zawracać, kierując się ku południowemu biur.

Znajdujący się na dachu karalucha Book II ukląkł na jedno kolano i zaczął strzelać z obu pistoletów do zbliżających się komandosów 7. Szwadronu.

Niewiele to dało – przeciwnik miał zbyt wielką przewagę ognia. Rozkład sił był

mniej więcej taki, jakby ktoś próbował zatrzymać nadlatującą raketę typu Patriot z procy. Book II schował się za kabiną.

– A to skubaniec! – wrzasnął nagle Elvis. Book II popatrzył w górę.

Mniej więcej trzydzieści metrów przed nimi – dokładnie na torze ich jazdy – stał komandos z oddziału wroga. Na ramieniu trzymał wyrzutnię rakiet przeciwczołgowych Predator.

Pociągnął za spust.

Z tyłu wyrzutni wystrzelił snop dymu, a z przodu wyprysnął mały cylindryczny pocisk, który pomknął ku karaluchowi, Pozostawiając za sobą prostą jak struna smugę rozgrzanego powietrza.

Natychmiast szarpnął gwałtownie kierownicą w lewo. Potężny pojazd zakreślił tak ostro, że oba prawe koła uniosły się w powietrze. Przez chwilę można było sądzić, że ciągnij wjedzie prosto w przepaść szybu centralnego.

Obracał się jednak powoli z piskiem opon, aż w końcu zmienił kierunek jazdy.

Teraz pędzili na północ, wąskim pasem podłogi między szybem a Marine One.

Nighthawk Dwa nie miał tyle szczęścia co oni.

Gwałtowny skręt Elvisa sprawił, że maszyna znalazła się dokładnie w polu rażenia Predatora.

Rakieta trafiła w helikopter i przebiła pancerne szyby jego kokpitu. Efekt był piorunujący.

Cały przód super stalliona eksplodował, zasypując podłogę szkłem i poskręcanyimi fragmentami metalu. W miejscu, gdzie powinna się znajdować oszklona kula kabiny pilotów, ziała teraz czarna dziura o poszarpanych brzegach.

Uderzenie rakiety zniszczyło także koła helikoptera, więc potężna maszyna – czy

raczej to, co z niej zostało – była ciągnięta przez kierowany przez Elvisa pojazd po betonie, wznosząc kłęby iskier.

– Elvis! – wrzasnął Book II. – Do windy! Do głównej windy!

Ciągnik gnał na północ, a komandosi 7. Szwadronu skakali na boki jak pchły, próbując przed nim uciec.

Drzwi do windy znajdowały się po prawej stronie, więc Elvis znów gwałtownie szarpnął kierownicą. Karaluch skręcił w prawo, ścinając róg szybu centralnego – i zwisający z dachu pojazdu Book II przez ułamek sekundy ujrzał w dole kilkudziesięciometrową przepaść.

Trzy sekundy później ciągnik – ze szczątkami helikoptera za sobą – zatrzymał się, zarzucając na boki, przed drzwiami windy w północnej ścianie hangaru.

Book II zeskoczył na podłogę i wcisnął klawisz wzywający windę. Ledwie Elvis do niego dołączył, zza pojazdu wyskoczyło dwóch uzbrojonych ludzi.

Book II poderwał pistolety w górę.

– Stop! Stop! Stop! – krzyknął jeden z mężczyzn, pokojowo unosząc w górę własną broń.

– Spokojnie, sierżancie – powiedział drugi. – Jesteśmy z wami. Book II puścił cyngle.

Obaj mężczyźni byli żołnierzami piechoty morskiej.

Jednym z nich był Ashley Lewicky, zawodowy sierżant o zrośniętych nad nosem brwiach, poobijanym nosie jak kartofel i szerokich ustach. Był do tego niski i krępy, a jego kryptonim, „Maszyna Miłości”, był złośliwym żartem. Miał mniej więcej tyle samo lat co Elvis i byli ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni.

Drugi komandos stanowił niemal zupełne przeciwieństwo Maszyny Miłości. Był

wysoki, przystojny, miał dwadzieścia dziewięć lat, nazywał się Tom Reeves i był kapitanem. Dowództwo uważało go za obiecującego oficera, więc szybko awansował. We wspinaniu się po drabinie hierarchii służbowej przegonił nawet kilku bardziej doświadczonych poruczników, ale mimo swoich niewątpliwych umiejętności żołnierskich otrzymał od podwładnych przydomek „Calvin”, ponieważ wyglądał jak model z reklamy męskiej bielizny Calvina Kleina.

– Jezus Maria... Elvis! Gdzie ty się uczyłeś prowadzić? – wykrzyknął Maszyna Miłości. – Na konkursach demolowania samochodów?

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony Elvis. – Gdzieście się schowali?

– A jak sądzisz, tępaku? W Nighthawku Dwa! Było nam tam całkiem dobrze, dopóki nie podstawiliście nas pod tę Pieprzoną rakie...

W tym momencie w ścianę nad ich głowami załomotały Pociski.

Komandosi 7. Szwadronu – oddział Bravo – nacierali na nich ławą. – 7

Zakładam, że podjeżdżając tu, robiliście to z jakimś zamiarem – powiedział Calvin Reeves do Booka II.

Brzęknął dzwonek, informując, że winda dojechała. Otworzyły się drzwi. Na szczęście kabina okazała się pusta. Oto nasz zamiar, sir – odparł Book II.

– Akceptuję – oświadczył Calvin i wbiegli do środka. Book II natychmiast nacisnął klawisz zamykania.

Drzwi zaczęły się zamykać. Przez szczelinę wpadł do środka pojedynczy pocisk, uderzając z trzaskiem o ścianę naprzeciwko.

– Prędeż... – poganiał Elvis powolny mechanizm. Drzwi ciągle jeszcze nie były domknięte.

Na dachu stojącego przed windą karalucha zadudniły uderzenia buciorów,

trzasnęły repetowane pistolety maszynowe. Połówki drzwi zetknęły się...

...i w tym samym momencie na ich wewnętrznej stronie wyskoczyły wielkie wyrzuszenia, wypchnięte pociskami dużego kalibru.

Chwilę im to zajęło, ale wreszcie, przesuwając się centymetr po centymetrze i przez cały czas zwisając na palcach z rynienki na kable, Schofield, Matka i reszta dotarli do szerokich drzwi po przeciwległej stronie szybu centralnego.

Wisząc na jednej ręce, Schofield wcisnął umieszczony na panelu obok drzwi czerwony klawisz i masywna przegroda natychmiast zaczęła się podnosić.

Podciągnął się w górę, upewnił się, że w pobliżu nie ma wroga, po czym zaczął pomagać pozostałym wspiąć się na górę.

Kiedy wszyscy byli bezpieczni, rozejrzeli się.

– Rany boskie... – wymamrotała Matka.

Mieli przed sobą wielki podziemny hangar lotniczy.

Na zajmujących całą ścianę monitorach w pomieszczeniu dowodzenia w głównym hangarze widać było migające obrazy tego, co działo się w różnych miejscach kompleksu.

Juliet Janson i prezydent biegli schodami.

Book II, Calvin Reeves, Elvis i Maszyna Miłości jechali windą. Właśnie wypchnęli klapę w suficie kabiny i wspinali się na Jej dach.

Schofield i reszta jego grupy wchodzili do podziemnego hangaru.

– Oddział Chanie, mamy ich. Tych z szybu wentylacyjnego. Hangar na poziomie jeden. Czterej marines: dwaj mężczyźni, dwie kobiety. Są wasi...

– Oddział Bravo, nasze cele właśnie wyszły z windy osobowej przez klapę w suficie. Zaraz stracę kontakt wzrokowy, ale są w szybie. Zamykam wszystkie drzwi

na piętrach poza waszymi. Są zamknięci. Zdejmujcie ich...

– Sir, oddział Echo oczyścił resztę głównego hangaru. Oczekują dalszych rozkazów...

– Poślijcie ich na pomoc oddziałowi Charlie – powiedział Cezar Russell, obserwując monitor ukazujący Shane’a Schofieldea.

– Echo, tu dowództwo, idźcie do hangaru na poziomie jeden na spotkanie z oddziałem Charlie...

– Oddział Echo – ochrona prezydenta wchodzi po schodach. Idą prosto na was.

Oddział Delta – drzwi pożarowe na poziomie sześć są niestrzeżone. Możecie wchodzić na schody i atakować...

Był gigantyczny.

Miał co najmniej rozmiary hangaru na poziomie ziemi – ale prawdopodobnie był jeszcze większy.

Stało w nim kilka ogromnych samolotów.

Boeing 707 AWACS z zamontowanym z tyłu na kadłubie charakterystycznym talerzem obrotowej anteny. Dwa groźnie wyglądające „niewidzialne” bombowce B-2

– pomalowane pochłaniającą promienie radarowe specjalną czarną farbą – miały futurystyczny kształt skrzydeł i okienka kokpitu przypominające uniesione brwi.

Przed jednym z B-2 stał Lockheed SR-71 Blackbird – najszybszy samolot bojowy świata – długi i smukły, z podwójnymi silnikami odrzutowymi z tyłu.

Potężne samoloty wznosiły się nad Schofieldem i jego ludźmi, wypełniając podziemną jaskinię.

– I co teraz? – spytała Matka. Schofield przez chwilę nie odpowiadał. Przyglądał się uważnie boeingowi, stojącemu dziobem w kierunku poruszającej się w szybie

głównym platformy do podnoszenia samolotów.

– Sprawdzimy, czy to, co mówią o sercu prezydenta, jest prawdą.

Na schodach pożarowych było pełno latających wszędzie pocisków.

Ochrona prezydenta, zredukowana do trójki agentów, prowadziła swojego podopiecznego schodami w górę, strzelając przed siebie ze wszystkiego, czym dysponowała: z uzi, sig-sauerów i zapasowych rewolwerów, noszonych zwykle przy kostce.

Prowadził agent Julio Ramondo. Choć ranny w ramię, wściekle ostrzeliwał schody przed nimi ze swojego uzi.

Za nim szła agentka specjalna Juliet Janson, która praktycznie przejęła dowodzenie – choć z powodu rangi wcale się jej to nie należało. Prezydent szedł tuż przy niej.

Trzeci agent ochrony – Curtis – osłaniał tyły, strzelając w dół schodów.

Dwudziestoosmioletnia Juliet Janson była najmłodszym członkiem ochrony, ale nie miało to teraz znaczenia.

Była magistrem kryminologii i psychologii, pokonywała sto metrów w 13,8 sekundy i znakomicie strzelała. Jej ojciec był amerykańskim biznesmenem, a matka pochodziła z Tajwanu i wykładała na uniwersytecie. Juliet odziedziczyła po niej euroazjatycką urodę – gładką oliwkową skórę, łagodnie zarysowaną linię dolnej szczęki, piękne migdałowe oczy i kruczoczarne włosy sięgające do ramion.

– Ramondo! Widzisz coś?! – zawołała, przekrzykując łomot kul.

Po nieudanej próbie wejścia na poziom 6 i okropnej śmierci Franka Cutlera prezydent i jego ochrona znaleźli się pomiędzy dwoma pododdziałami 7.

Szwadronu.

Scigał ich od dołu oddział z poziomu 6, a oddział, który zaatakował ich w pomieszczeniu socjalnym na poziomie 3, zbliżał się z góry.

Pozostało im jedynie biec – i próbować dostać się na któreś z pięter między 3 a 6 poziomem – zanim natkną się na ogień z góry i z dołu.

Widzę! – odkrzyknął Ramondo. – Chodźcie!

Po chwili Juliet Janson i prezydent znaleźli się przy Ramondo. Na schodach nad ich głowami dudniły kroki, od ścian odbijało się coraz więcej pocisków. Janson przeczytała napis na najbliższych drzwiach: POZIOM 5: STREFA ZWIERZĄT
WSTĘP WZBRONIONY DRZWI WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU AWARYJNEGO
WEJŚCIE PRZEZ WINDY NA DRUGIM KOŃCU PIĘTRA

– Chyba mamy właśnie sytuację awaryjną – stwierdziła, po czym trzema strzałami z sig-sauera zniszczyła zamki.

Kopnęła w drzwi i pociągnęła prezydenta za sobą na poziom 5.

Book II patrzył w górę szybu windowego. Mniej więcej piętnaście metrów nad nimi znajdowały się drzwi prowadzące na poziom ziemi.

Stał na dachu kabiny windy, która przed chwilą zahamowała, a wokół niego stali Calvin, Elvis i Maszyna Miłości. Zamkniętą betonową studnię rozświetlały jedynie rozmieszczone w dużych odstępach słabe świetlówki.

– Po co weszliśmy na windę? – spytał Elvis.

– Ze względu na kamery. Nie mogliśmy zostać w środku...

– ...bo wystrzelaliby nas jak kaczki – przerwał mu Calvin Reeves. – Panowie, jako najstarszy stopniem przejmuję dowództwo.

– Jaki plan, kapitanie Ameryka? – spytał Maszyna Miłości.

– Będziemy się stale przemieszczać... – powiedział Calvin, nic jednak nie zdążył

dodać, bo znajdujące się tuż nad nimi drzwi szybu gwałtownie się otworzyły, pojawiły się w nich trzy lufy P-90 i trysnęły ogniem.

Zakotłowało się jak w szalonym młynie.

Book II kucnął i obrócił się wokół własnej osi. W dół jednej ze ścian biegły grube liny, na których zawieszono były przeciwwagi kabiny. Przebiegały między ścianą a kabiną i znikwały w dole.

– Liny! – wrzasnął i nie przejmując się hierarchią dowodzenia, skoczył ku ścianie.

– Wszyscy na dół! Natychmiast!

Shane Schofield wpadł jak bomba do przedniej kabiny boeinga AWACS.

– Mózgowiec!

– Już działam – odparł Mózgowiec, ruszył na tył i po chwili zniknął w ogonie samolotu.

– Zamknij luk! – rozkazał Schofield Newman, która weszła do środka ostatnia.

Sam również pobiegł na tył. Wnętrze samolotu bardzo różniło się od wnętrza zwykłej maszyny pasażerskiej – zamiast rzędów foteli były tu długie, niskie konsoly urządzeń elektronicznych, przeznaczonych do nadzoru i obserwacji.

Mózgowiec natychmiast usiadł przy jednej z nich. Kiedy Schofield zajmował miejsce obok niego, urządzenie zaczęło działać. Matka i Gant podeszły prosto do okna i wyjrzały na zewnątrz.

Mózgowiec zaczął walić w klawiaturę.

– Matka mówi, że to sygnał mikrofalowy – powiedział Schofield. – Satelita nadaje go na ziemię, a przekaźnik w sercu prezydenta odbija go i kieruje w górę.

Mózgowiec wciskał kolejne klawisze.

– Logiczne. Radiosferę nad tą bazą może przebić jedynie sygnał mikrofalowy. I

to tylko wtedy, gdy zna się częstotliwość mysiej dziury.

– Częstotliwość mysiej dziury...?

– Radiosfera nad tą bazą to coś w rodzaju parasola, wielka półkula energii elektromagnetycznej o różnej częstotliwości. Ten parasol zatrzymuje wszelkie nieautoryzowane sygnały, które mogłyby wnikać do bazy albo ją opuścić, ale tak jak w każdym dobrym systemie zakłócającym, istnieje częstotliwość pozwalająca prowadzić normalną komunikację. Nazywamy to częstotliwością mysiej dziury, ponieważ mikrofała wpada między inne pasma jak mysz do dziury i przemyka się, unikając złapania. To coś w rodzaju tajnej ścieżki przez pole minowe.

– To znaczy, że sygnał z satelity idzie na fali zgodnej z częstotliwością mysiej dziury?

– Tak podejrzewam. Próbuję teraz za pomocą anteny CS sprawdzić wszystkie mikrofały, emitowane wewnątrz – Te ptaszki mają najlepszy na świecie system detekcyjny, nie powinno to długo... jest! Wcisnął klawisz ENTER i na ekranie pojawił się wykres.

– Widzi pan? – Mózgowiec wydrukował go. – To standardowy zapis odbijanego sygnału. Satelita wysyła sygnał poszukiwawczy – to te wysokie szpice skierowane do góry, po jakieś dziesięć gigaherców – i zaraz potem odbiornik na ziemi, czyli prezydent, odbija go. To te szpice do dołu.

Zakreślił odpowiednie miejsca kółkami.

– Poszukiwanie i odbicie. Jeśli nie brać pod uwagę interferencji, wygląda na to, że to powtarza się co dwadzieścia pięć sekund. Kapitanie, ten generał nie kłamie. W bazie jest coś, co odbija zabezpieczony mikrofalowy sygnał satelitarny.

– Skąd pewność, że to nie sygnał kierunkowy?

– Z powodu nieregularności. Widzi pan, że sekwencja nie powtarza się dokładnie tak samo? Od czasu do czasu między sygnałem poszukiwawczym i zwrotnym pojawia się skok średni. – Mózgowiec stuknął palcem w mniejsze szpice w dwóch kółkach.

– Co one oznaczają?

– To sygnały interferencyjne. Oznaczają, że źródło sygnału zwrotnego się porusza.

– Jezu... więc to prawda.

– A zaraz będzie jeszcze gorzej – odezwała się stojąca przy oknie Gant. – Rzuć na to okiem.

Schofield podszedł do okienka i wyjrzał. Krew zastygła mu w żyłach. Musiało ich być przynajmniej dwudziestu. W hangarze znajdowało się przynajmniej dwudziestu komandosów 7. Szwadronu. Po chwili otoczyli samolot.

Najpierw dotarł do nich odór, który przypominał zapachy ogrodu zoologicznego – był to specyficzny fetor odchodów i trocin w zamkniętym pomieszczeniu.

Juliet Janson prowadziła, ciągnąc za sobą prezydenta. Pozostała dwójka agentów wbiegła zaraz za nimi i zatrzęsnęła drzwiami.

Znajdowali się w rozległym, zaciemnionym pomieszczeniu, obstawionym pod trzema ścianami szeregami klatek, zrobionych z masywnych, kutyh prętów, wpuszczonych w beton. Pod czwartą ścianą stały klatki o nowocześniejszym wyglądzie – ich sięgające od podłogi do sufitu ściany wykonano z przezroczystego pleksiglasu, a w środku znajdowała się atramentowo-czarna woda. Nie było widać, co się w niej kryje.

Nagle skądś dobiegł głośny ryk i agentka Janson mimowolnie odwróciła się w

jego kierunku.

W jednej ze stalowych klatek po prawej stronie znajdowało się coś wielkiego. Z powodu niedostatku światła za grubymi czarnymi prętami widać było jedynie wielką, futrzastą, podrygującą bryłę.

Dolatywał stamtąd paskudny dźwięk – jakby ktoś powoli przeciągał paznokciami po szkolnej tablicy.

Agent specjalny Curtis podszedł do klatki i zajrzał w ciemność.

– Nie podchodź za blisko! – krzyknęła Janson. Ale Curtis już był przy klatce.

Całe pomieszczenie wypełnił straszliwy, mrożący krew w żyłach ryk i zza prętów wyprysnął wielki czarny łeb porośnięty zmierzwioną sierścią, o dzikich oczach i błyskających piętnastocentymetrowych kłach – i sięgnął po nieszczęsnego agenta.

Curtis odruchowo odskoczył i usiadł na tyłku, a oszalały z wściekłości zwierzak bezskutecznie machał mu przed nosem potężną owłosioną łapą, powstrzymywany jedynie przez wzmocnione pręty.

Janson podeszła bliżej, by dokładniej przyjrzeć się stworowi.

Był ogromny, miał przynajmniej dwa metry i siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i cały był pokryty czarnym futrem. W podziemnej betonowej celi wydawał się zupełnie nie na miejscu.

Nie do wiary!

W klatce siedział niedźwiedź.

Nie wyglądał na zbyt szczęśliwego. Jego futro było matowe, przepocone, sfilcowane i pozbijane w grudy. Tylne łapy zwierzęcia oklejały zaschnięte odchody i wielki zwierzak wyglądał jak potwór z kiepskiego horroru.

W innych klatkach też były niedźwiedzie – cztery samice i dwa młode.

– Jezu... – jęknął prezydent.

– Co tu się dzieje? – zapytał Julio Ramondo.

– Niewiele mnie to obchodzi – mruknęła Janson i ruszyła z prezydentem w kierunku masywnych drzwi po przeciwległej stronie pomieszczenia. – Bez względu na to, co to jest, nie możemy tu zostać.

W hangarze na poziomie 1 panowała cisza. Boeing AWACS był otoczony przez komandosów 7. Szwadronu.

– Miałem nadzieję, że przynajmniej tutaj ich nie będzie – mruknął Schofield.

– Skąd oni przez cały czas wiedzą, gdzie jesteśmy? – zdziwiła się Matka.

Gant popatrzyła na Schofielda.

– Na moje oko taka baza musi być okablowana jak cholera.

– Też tak sędzę – odparł Schofield.

– O czym wy gadacie? – spytała Matka.

– O kamerach – odparł Schofield. – Nadzorujących kamerach. Gdzieś w tej bazie siedzi ktoś i obserwując monitory, przez cały czas mówi tym chłopakom, gdzie akurat...

BUMMMM!

Z zewnątrz doleciał głośny łomot. Gant wyrzała przez okienko samolotu.

– Cholera, są na skrzydle!

– Jezu... idą do drzwi! – jęknął Schofield. Wymienili się z Gant spojrzeniami.

– Będą szturmować samolot.

Wyglądali jak pełznące po samolociku zabawce mrówki. Ośmiu komandosów – po czterech z każdej strony – szło po skrzydłach boeinga.

Kapitan Luther „Pyton” Willis, dowódca oddziału Charlie 7. Szwadronu, stał na podłodze hangaru i patrzył na swoich ludzi, przesuających się po skrzydłach.

– Avengers już są w drodze – powiedział jego starszy sierżant. Pyton nie odpowiedział, jedynie skinął głową.

Schofield biegł środkowym przejściem wzdłuż samolotu i sprawdzał tylne wyjścia. Gant i Mózgowiec pilnowali obu bocznych okien.

– Tutaj nikogo nie ma! – zawołał Schofield z tyłu, gdzie były luki awaryjne. – Lis!

– Mam czterech na lewym skrzydle!

– Ja mam czterech na prawym! – krzyknął Mózgowiec.

– Matka!

Nie było odpowiedzi.

– Matka!

Schofield szybko pobiegł na dziób.

Nigdzie nie było śladu Newman. Miała pilnować przednich wejść do samolotu – klapy ratunkowej w podłodze przedniej kabiny i luków sufitowych nad fotelami katapultowymi pilotów.

Biegąc, Schofield rzucił okiem na komandosów na lewym skrzydle.

Co oni tam właściwie robią?

Nie uda im się wejść do środka lukami przy skrzydłach, pomyślał Schofield. On i jego ludzie, nawet uzbrojeni tylko w pistolety, mogli skutecznie bronić tak małego wejścia.

W tym momencie zobaczył avengery.

Były dwa i wjeżdżały do hangaru po specjalnej rampie dla pojazdów kołowych, znajdującej się we wschodniej części poziomu.

Avenger to zmodyfikowany hunwee. Ma taką samą szeroką karoserię, ale w jego tylnej części zamontowane są dwie platformy do umieszczania na każdej czterech rakiet ziemia-powietrze typu Stinger. Pod spodem platform są jeszcze dodatkowo dwa ciężkie karabiny maszynowe kalibru pięćdziesiąt. W efekcie jest to bardzo skuteczna i bardzo ruchliwa jednostka, przeznaczona do niszczenia samolotów.

– Już wiem, co zamierzają! – zawołał Schofield. Zamierzali ostrzelać samolot ze stingerów, a potem, wykorzystując zamęt i dym, wejść do niego.

Świetny plan, pomyślał Schofield. I bardzo bolesny dla niego i trójki jego towarzyszy.

Avengery rozdzieliły się i pomknęły w bok, oflankowując samolot z obu stron.

Po chwili zniknęły z ograniczonego pola widzenia Schofielda. Jasna cholera!

Trzeba coś zrobić, i to szybko...

WRUMMM!

Silniki na skrzydłach boeinga ożyły. W zamkniętym hangarze ich łoskot był ogłuszający.

Schofield okręcił się na pięcie.

– Matka...

Gdy boeing 747 zaczął się toczyć, wypełniając hangar ogłuszającym rykiem, avengery zahamowały.

Nagły ruch samolotu sprawił, że komandosi na skrzydłach stracili równowagę.

Schofield pognał do kokpitu. Matka siedziała w fotelu pilota.

– Cześć, Strachu na Wróble! Dołączysz do niedzielnej przejażdżki?

– Latałaś kiedyś samolotem?

– Widziałam w kinie, jak to robi Kurt Russell. Chyba nie może się to wiele różnić

od prowadzenia ciężarówki Ralpa...

TA-TA-TA-TAT!

O okno załomotały pociski i szyba rozprysnęła się, obsypując Newman i Schofielda szkłem. Na szczęście wszystkie trafiły jedynie w sufit.

Jeden z avengerów zahamował z piskiem niedaleko końca lewego skrzydła boeinga. Zamontowana na nim wyrzutnia rakiet obróciła się, stingery zostały wycelowane w kokpit.

– Matka! Szybko! W lewo!

– Co? – zdziwiła się. Skręt w lewo doprowadziłby do kolizji z avengerem.

– Rób, co mówię! – Schofield skoczył na fotel drugiego pilota i otworzył przepustnicę, równocześnie skręcając potężną maszynę ostro w lewo. Boeing natychmiast zareagował.

Samolot gwałtownie przyspieszył, a zmiana kierunku ruchu sprawiła, że zaczął sunąć prosto na avengera.

Siedzący w nim komandosi 7. Szwadronu natychmiast zrozumieli, co się święci.

Zrezygnowali z prób wycelowania stingerów w samolot i zaczęli zeskakiwać z pojazdu. Sekundę po tym, jak uciekł ostatni z nich, wielkie przednie koła boeinga przejechały po avengerze, zgniatając go jak puszkę po napojach.

– Juhhu! – wrzasnęła Matka, kiedy samolot podskoczył na zmiażdżonej przeszkodzie.

– To jeszcze nie koniec – mruknął Schofield. – Mają jeszcze jednego. Lis! Gdzie drugi avenger?

Gant i Mózgowiec siedzieli cały czas w głównej kabine samolotu, pilnując luków wejściowych przy obu skrzydłach – Gant z MP-10, Mózgowiec z berettą.

– Z tyłu po lewej! – odkrzyknęła Gant. Avenger stał przy północnej ścianie, jego wyrzutnie raket były podniesione i gotowe do strzału. Spod jednej z platform wystrzeliła nagle chmura dymu. – Pozycje do przetrwania! Rakieta w drodze! Po chwili rozległa się ogłuszająca eksplozja i cały boeing zadygotał, a jego tylne koła uniosły się nad podłogę hangaru.

Do głównej kabiny wpadły kłęby gęstego dymu, natychmiast wypełniając wszystkie zakamarki. Kadłub opadł, zawieszenie zadrżało.

– Trafili nas w ogon! – wrzasnęła Gant. Niestety prawda była znacznie gorsza.

Rakieta z drugiego avengera oderwała cały ogon boeinga, pozostawiając na jego miejscu czarną, ziejącą dziurę. Wielki statecznik pionowy leżał pogięty i poszarpany na podłodze hangaru.

Samolot dalej zataczał krąg, potężne koła obracały się coraz szybciej, ale wciąż był ze wszystkich stron ostrzeliwany przez otaczających go komandosów z 7.

Szwadronu.

Wyglądało to niesamowicie – coś tak wielkiego i ciężkiego, Poruszającego się z tak wielką prędkością, stanowiło niezapomniany widok.

Samolot zdążył obrócić się już niemal o sto osiemdziesiąt stopni – czubek jego prawego skrzydła ocierał się o blackbirda SR-71 – i jego niczym nie chroniony tył był wystawiony na bezpośredni ogień komandosów w hangarze.

Pociski wpadały do głównej kabiny, szarpiąc sufit i ściany. Kiedy na Gant i Mózgowca syknęły się kawały plastiku i metalu, padli na podłogę.

– Pieprzyć to! – wrzasnął Mózgowiec. – Nie uczą tego na Wyspie Parrisa!

Book II zsuwał się szybko po pionowym kablu, biegnącym między ścianą a windą. Calvin, Elvis i Maszyna Miłości zjeżdżali po innych kablach tuż za nim.

Uniknęli ostrzału na dachu windy, teraz jednak musieli znaleźć jakieś wyjście z szybu windowego, zanim komandosi 7. Szwadronu obejdą kabinę, która ich w tej chwili zasłaniała.

Book II zatrzymał się przy oznakowanych wielką czarną jedyką drzwiach w ścianie szybu i natychmiast usłyszał dolatujące zza nich odgłosy walki – klekot broni automatycznej, wybuchy, pisk opon.

– Lepiej nie tędy – powiedział Calvin Reeves, który zatrzymał się przy Booku II.

– Spróbujmy następne.

Ruszyli ponownie w dół.

Pyton Willis obserwował boeinga, krążącego w szalonym pędzie po hangarze.

– Avenger Dwa: strzelaj w kokpit. Dwie rakiety – powiedział beznamiętnym głosem do mikrofonu w hełmie.

Schofield wciskał jak szalony pedały służące do sterowania samolotem.

– Matka! – wrzasnął. – Wracaj do głównej kabiny! Osłaniaj ogon! Żeby mi nikt tamtędy nie wlaź! Ja się zajmę prowadzeniem!

Matka złapała M-16 i ruszyła na ogon.

Kiedy wyszła, w polu widzenia Schofielda pojawił się pozostały avenger – pod północną ścianą. Szybko zawracał, zajmując nową pozycję i szykując się do kolejnego odpalenia stingerów. Schofield wcisnął klawisz interkomu.

– Mózgowiec! – rozległ się po chwili wzmocniony przez megafony głos. – Włącz ochronę elektroniczną!

Na dźwięk głosu Schofielda Mózgowiec uniósł głowę.

– No przecież! Oczywiście!

– O czym on mówi? – krzyknęła Gant.

Ale Mózgowiec podpełzał już do jednej z konsol. Wślizgnął się na stojący przed nią fotel i natychmiast zaczął stukać w klawiaturę.

Gant wyglądała przez „swoj” luk i choć ściany hangaru pędziły, bez trudu dostrzegła avengera, przygotowującego się do odpalenia stingerów.

– Zaraz znów nas trafią!

– Mózgowiec... – odezwał się w głośnikach pełen oczekiwania głos Schofielda.

Mózgowiec pisał bardzo szybko. Na ekranie litery ułożyły się w napis:

URUCHOMIĆ ZAKŁÓCANIE FŚ.

– Pozycje do przetrwania! – wrzasnęła Gant.

Z wyrzutni avengera wystrzeliły dwie chmury dymu... .. i dokładnie w tym samym momencie Mózgowiec wcisnął klawisz ENTER. Dwa stingery leciały jak po sznurku – ciągnąc za sobą bliźniacze smugi dymu – kierując się ku dziobowi boeinga.

Nagle oszalały.

Choć były naprowadzane na cel czujnikami temperatury, elektroniczne urządzenia antyrakietowe samolotu zakłóciły w nich obieg prądu i zniszczyły ich wewnętrzne układy logiczne. Wyglądało to tak, jakby uderzyła w nie fala elektronicznego hałasu, wysyłana z gigantycznej obrotowej anteny AWACS.

Rakiety sfiksowały.

Natychmiast złamały szyk i zaczęły się od siebie oddalać, rysując w powietrzu dymem wielką literę Y o zaokrąglonych odnogach. Prawy stinger przemknął pod boeingiem, lewy nad nim.

Schofield mógł z kokpitu obserwować jedną z rakiet – przemknęła tuż przed dziobem boeinga, zawróciła i zaczęła lecieć w kierunku avengera, z którego ją

wystrzelono.

Sekundę później stinger uderzył w ścianę hangaru tuż nad avengerem – we wbudowaną w ścianę metalową szafę.

Rakieta eksplodowała, wrywając ze ściany potężne kawały betonu i rozrzucając je na kilka metrów wokół. Stalowe drzwi szaty zostały wyrwane z zawiasów i spadły na podłogę, zamienione w poskręcany złom. Na pojazd, z którego wystrzelono stingera, pospadały grudy betonowego gruzu.

Bez względu na to, co znajdowało się w szafie, zostało upieczone.

Po hangarze ciągle jeszcze latała jedna pozbawiona kontroli rakieta.

Zakręciła wokół resztek ogona boeinga, po czym zawróciła i huknęła w pomocną ścianę hangaru, tuż obok drzwi windy osobowej.

Ze ściany wytrysnął gejzer kawałów betonu, zasypując podłogę warstwą gruzu.

Na tym jednak się nie skończyło; to co nastąpiło po chwili, było znacznie bardziej widowiskowe.

Z dziury w ścianie trysnął drugi gejzer – tym razem wody. Jej ciśnienie było tak potężne, że poziomy słup wody sięgał kilku metrów. – O cholera... – mruknął Schofield.

Ścianami szybu windy osobowej wstrząsnęła potężna eksplozja.

Book II, wiszący wraz z pozostałymi żołnierzami przy drzwiach prowadzących do poziomu 3 – drzwi do poziomu 2 także okazały się zamknięte, zsunęli się więc jeszcze piętro niżej – gwałtownie poderwał głowę.

Widok, jaki ujrzał, był zarówno zaskakujący, jak i przerażający. Mniej więcej dwadzieścia metrów nad nimi, tuż przy drzwiach do poziomu 1, potężny wybuch wyrwał kawał ściany. W dziurze pojawiła się woda.

Chlusnęło na nich, jakby polano ich ze strażackiego węża.

Z dziury na poziomie 1 zaczęły się wylewać strumienie wody, dudniąc jak wodospad. W okamgnieniu byli przemoczeni.

Mogli się tylko mocno trzymać i czekać. Po chwili Book II, spychany z góry narastającym ciężarem wody, stwierdził, że impet jest zbyt mocny. Nie utrzymają się. Spadną.

– ...wszystkie oddziały uwaga! Mamy dziurę w zbiornikach wody na poziomie jeden. Powtarzam: zbiorniki wody na poziomie jeden zostały rozszczelnione...

– ...woda ze zbiorników dostaje się do szybu windy osobowej...

– Rozpocząć kontrakcję – polecił ze spokojem Cezar Russell. – Odciąć szyb. Nie powstrzymywać wody. Niech zaleje szyb.

– Tak jest!

Maszyna Miłości spadł pierwszy.

Jego chwyt na tyle osłabł, że puścił kabel i poleciał w dół.

Choć spadał bardzo szybko, dla Booka II odbywało się to jakby w zwolnionym tempie, jak w koszmarnych snach: Maszyna Miłości miał szeroko otwarte oczy i rozdziawione usta, ale łoskot wody zagłuszał jego krzyk. Nie minęło więcej niż kilka sekund, gdy zniknął w mroku szybu w dole.

– Cholera jasna! – zaklął Book II.

A potem zrobił jedyną rzecz, jaką uważał za słuszną.

– Sierzancie! Nie! – zawył Calvin, było już jednak za późno.

Book II rozwarł nieco palce i niczym wystrzelony z armaty, pomknął w dół kabla za Maszyną Miłości. Zjeżdżał w ciemność.

Zdawało mu się, że zsuwa się bardzo długo. Temperatura wytworzona tarciem

palila go przez cienkie rękawiczki od wyjściowego munduru.

Nagle z głośnym pluskiem wpadł do wody, która zalała dno szybu. Głębokiej wody. Tak jak miał nadzieję.

Jak przypuszczał, nie trzeba było dużo czasu, by w mającym mniej więcej trzy metry średnicy szybie – zakładając, że wszystkie drzwi są pozamykane – woda stała się wystarczająco głęboka, aby zamortyzować upadek z góry.

Maszyna Miłości unosił się na wodzie tuż obok. Łapczywie chwycił powietrze, pluł wodą, ale żył.

– Wszystko gra?

– Jasne... – wysapał Maszyna Miłości.

Kilka chwil później zjawili się Calvin i Elvis – również ześlizgnęli się po kablach.

Wodospad w dalszym ciągu dudnił, woda wokół nich kotłowała się.

– No to świetnie, Kapitanie Fantastic – powiedział do Calvina Elvis. – Nasz bezpieczny szyb windy wypełnia się wodą. Co pan proponuje?

Calvin wahał się z odpowiedzią.

Book II był bardziej zdecydowany. Skinął głową w kierunku znajdujących się tuż nad ich głowami drzwi.

– Proste. Spadamy stąd!

– W dupę kopane... – jęknął Mózgowiec, obserwujący z kabiny boeinga strumienie wody.

Ze ściany obok windy osobowej wytryskiwał potężny gejzer, zalewający błyskawicznie podłogę hangaru.

– Co tu się dzieje?

– Kolejny dzień szaleństwa i destrukcji w towarzystwie Stracha na Wróble –

odparła spokojnie Newman.

– Spójrzcie tutaj! – krzyknęła Gant. – Co się stało z kolesiami ze skrzydeł? Matka i

Mózgowiec skierowali wzrok ku skrzydłom.

Nikogo na nich nie było. Komandosi 7. Szwadronu zniknęli.

W tym momencie nad ich głowami rozległ się głośny tupot.

Boeing w dalszym ciągu zataczał koło po hangarze, tyle że teraz sunął przez dwucentymetrową warstwę wody.

Niemal już kończył pełen obrót – i teraz był skierowany dziobem w kierunku pustej części hangaru, prowadzącej do szeroko otwartych wrót szybu, w którym poruszała się platforma do podnoszenia samolotów.

Schofield energicznie wciskał pedały, próbując utrzymać kontrolę nad potężną maszyną.

Po chwili wrota do szybu głównego znalazły się dokładnie przed nimi. Nagle z góry spadła kaskada wody, zasłaniając niczym kurtyna widok na szyb.

Hydrauliczna platforma była prawdopodobnie najlepszą drogą ucieczki z potrzasku, ale kiedy ostatni raz ją widzieli, stała na którymś z niższych poziomów.

Zanim Schofield zdążył się zastanowić, z sufitu nad nimi buchnęły snopy iskier.

Znajdowała się tam jedna z umieszczonych w dachu kokpitu boeinga klap awaryjnych – wystrzeliwanych za pomocą ładunku wybuchowego w chwili, gdy uruchamiano stojący pod nią fotel katapultowy.

Przez powstały otwór natychmiast spadł na nich grad pocisków, wbijając się w deskę rozdzielczą i niszcząc zegary oraz inne instrumenty kontrolne.

Po pierwszej salwie natychmiast nadeszła druga i przeorała Pusty fotel, w którym jeszcze przed chwilą siedziała Matka. Wystarczyła sekunda, aby zamienił się

w kupę strzępów.

Schofield natychmiast uświadomił sobie, co się za chwilę stanie, i błyskawicznie zeskoczył ze swojego fotela, nurkując pod instrumenty i zwijając się w małej przestrzeni w kłębek.

Ledwie to zrobił, na fotelu z głośnym tąpnięciem wylądowały buty komandosa

7. Szwadronu.

Zamaskowany intruz odwrócił się błyskawicznie i omiótł tył kokpitu lufą przyciśniętego do ramienia karabinka szturmowego P-90. Kiedy nikogo tam nie znalazł, odwrócił się do przodu i spojrzał w dół, gdzie ku swemu zaskoczeniu ujrzał zwiniętego na podłodze Schofielda.

Bezbronny Schofield patrzył, jak palec w czarnej rękawicy zaczyna ciągnąć za spust... Kopnął z całej siły, wyrzucając nogę do przodu.

Nie celował w nogę przeciwnika, lecz w dźwignię pod fotelem. Dźwignię katapultującą fotel.

Stopa zetknęła się z metalem.

Dźwignia odskoczyła.

Fotel z głośnym hukiem pomknął w górę i wyleciał przez luk awaryjny, zabierając ze sobą komandosa.

Pyton Willis ze zdumieniem patrzył, jak jeden z jego ludzi wypryska z kokpitu boeinga jak wystrzelony z armaty – na fotelu wyrzutnym.

Komandos leciał krótko – po dwóch sekundach z potężną siłą huknął o betonowy sufit hangaru.

Trzask pękającego ludzkiego kręgosłupa odbił się po hangarze potwornym echem – dźwięk był tak specyficzny i głośny, że przebił się nawet przez ryk silników

boeinga. Komandos zginął natychmiast – niemal dwustukilowy fotel miał taki impet, że nawet najgrubsze kości zostały zmiażdżone jak drobne gałązki.

Tymczasem Schofield zdążył wyciągnąć swoją berettę i wyslizgnąć się za fotele pilotów. Leżał na plecach na podłodze i strzelał w sufit, próbując zniechęcić napastników do szturmowania kokpitu.

Po kilku sekundach wystrzelał wszystkie naboje, wstał więc i wyrztał przez przednią szybę.

Samolot sunął prosto w kierunku wrót wychodzących na szyb centralny. – Robi się coraz weselej... – mruknął Schofield. Gorączkowo myślał, jak wybrnąć z sytuacji. Samolot wciąż sunął ku szybowi.

Komandosi 7. Szwadronu byli na dachu boeinga i wszędzie w hangarze, a on tkwił uwięziony razem z Gant, Matką i Mózgowcem w środku maszyny. Co powinni zrobić?

Proste.

Muszą wydostać się z hangaru.

Nie ma jednak żadnej drogi ucieczki. Tkwią w samolocie, a jeśli z niego wyjdą, zginą.

Chyba że uciekną z hangaru na jego pokładzie... Rany boskie...

Usiadł na fotelu drugiego pilota i ujął stery. Mimo tak silnego ostrzału urządzenia działały.

Pchnął naprzód kolumnę sterowniczą i boeing pomknął ku szybowi centralnemu.

– Co on, do cholery, robi... – zdumiał się Pyton.

Potężny samolot coraz bardziej przyspieszał, z coraz głośniejszym dudnieniem

pokonywał kolejne metry betonowej podłogi, dzielące go od krawędzi przepaści.

Znajdujący się na dachu samolotu komandosi poczuli, jak kadłub pociąga ich za sobą, nabierając coraz większego rozpędu.

Popatrzyli do przodu, zrozumieli, dokąd zmierza boeing, i ich oczy rozszerzyły się.

– On nie robi tego na serio... – wysapał Pyton, patrząc, jak jego ludzie zeskakują z mknącego ku zagładzie samolotu.

W kokpicie boeinga Schofield przypiął się pasami do fotela, a potem wcisnął klawisz interkomu. – Panie i panowie, tu mówi kapitan. Proszę, aby każdy usiadł w jakimś fotelu i dobrze się przypiął, bo zaraz będziemy startować.

Gant i pozostali komandosi w głównej kabinie odwrócili się gwałtownie w kierunku jazdy.

Ponieważ drzwi do kokpitu były otwarte, mogli spoglądać przez przednią szybę samolotu. Otwarte wrota do szybu gwałtownie się zbliżały.

– Czy on myśli to, co ja myślę, że on myśli? – spytała Gant Matkę.

– Myślę, że tak.

Obie kobiety skoczyły na najbliższe fotele i zaczęły gorączkowo szukać pasów.

Pozbawiony części ogonowej boeing 707 pędził z łoskotem przez hangar, zalewana wodą podłoga przemykała do tyłu.

Po kolejnych kilku sekundach samolot minął otwarte wrota, opadł dziobem w dół i zniknął z widoku.

Spadał w dół, dziobem naprzód, wyglądając przy tym, jakby prowadził go jakiś oszalały kamikadze.

Leciał, leciał i leciał, aż w końcu uderzył o potężną platformę, zatrzymaną na

poziomie 4 – jakieś sześćdziesiąt metrów niżej.

Dziób boeinga natychmiast został zmiądzony, poodrywane elementy poleciały na boki niczym szrapnele. Dwa silniki po uderzeniu w platformę odskoczyły wysoko w górę.

Samolot zdawał się stać przez wieczność na zgniecionym dziobie, wreszcie jednak, z głośnym zgrzytem metalu, zaczął się powoli przechylać jak ścięta kalifornijska sekwoja. Przewrócił się na lewe skrzydło, łamiąc je, jakby było z tektury, po czym z potężnym tąpnięciem znieruchomiał na platformie.

Świat we wnętrzu samolotu był przekrzywiony o 45o.

Matka, Gant i Mózgowiec tkwili w fotelach – wyglądali dość komicznie, bo choć byli przypięci, zwisali w bok. Ledwie zaczęli się odpinać, do kabiny wpadł Schofield.

– Pospieszcie się! – krzyknął, pomagając Matce się odpiąć. – Nie możemy tu zostać! Zaraz tu będą!

– Dokąd idziemy? – spytała Gant, kiedy udało jej się odpiąć pas i stanąć na nogi.

Schofield popatrzył na nią.

– Musimy odnaleźć prezydenta.

Trzeba było otworzyć drzwi, nie zatrzymując windy na zagrożonym poziomie.

Nie zastanawiając się, Book II wziął głęboki wdech i skoczył do wody. Zapadła kompletna cisza.

Otoczyło go upiorne milczenie podwodnego świata.

Odnajdywał drogę, przeciągając palcami po zamocowanym do betonowej ściany kablu.

Po jakichś trzech metrach dotarł do wpuszczonej w ścianę stalowej skrzynki.

Otworzył ją, pomacał w poszukiwaniu dźwigni – okazało się, że jest ich sześć –

wybrał piątą od lewej i pociągnął.

Gdzieś w górze rozległ się natychmiast głośny syk – odgłos zwalniania hydraulicznie zamykanych drzwi.

Popłynął szybko w górę. Dotarł do powierzchni, przebił ją i...

– Book! Szybko! Pospiesz się! – usłyszał.

Był mniej więcej metr od otwartych drzwi – Calvin Reeves i Elvis już w nich stali, a Maszyna Miłości trzymał się jedną ręką krawędzi otworu, drugą wyciągając do kolegi.

Book II spojrzał w górę.

Winda znajdowała się najwyżej metr nad jego głową i szybko opadała.

Wyciągnął rękę w górę, Maszyna Miłości chwycił ją i przyciągnął Booka do drzwi. Elvis i Calvin złapali go za drugie ramię i jednym szarpnięciem wyciągnęli z wody – niemal w tym samym momencie dół kabiny minął dolną linię ościeznicy i winda gwałtownie się zatrzymała.

Zamarli.

Między windą a ościeznicą zaczęła się przesączać woda, chciwie szukając możliwości ucieczki z szybu. Natychmiast zaczęła się rozlewać po podłodze poziomu 5.

Book II czekał w napięciu na otwarcie się drzwi windy – był pewien, że zaraz wyskoczą stamtąd komandosi wroga z plującymi ogniem pistoletami maszynowymi.

Nic takiego się jednak nie stało. Winda była pusta.

Byli bezpieczni – przynajmniej przez chwilę.

Book II odwrócił się, by zobaczyć, gdzie się znaleźli. Całą podłogę pokrywała już warstewka wody.

Było to osobliwe pomieszczenie: stały tu masywne drewniane biurka, a pod jedną ze ścian znajdowała się pleksiglasowa szafa, pełna strzelb i sprzętu do opanowywania rozruchów. Było tu też kilka cel.

Book II zmarszczył czoło.

Wyglądało to tak, jakby trafili do izby przyjęć jakiegoś więzienia.

– Co to za miejsce? – zapytał głośno.

W tym samym momencie po przeciwległej stronie poziomemu 5 Juliet Janson i prezydent Stanów Zjednoczonych zetknęli się z kolejnym koszmarem.

Juliet do tej chwili sądziła, że klatki ze zwierzętami to najgorsze, co mogło ich spotkać.

Ale to było znacznie gorsze.

Po pokonaniu masywnych drzwi w zachodniej części pomieszczenia z klatkami dla zwierząt znaleźli się w jeszcze bardziej przerażającej części Strefy 7.

Zobaczyli przed sobą długie, niskie pomieszczenie. Było skąpo oświetlone, paliła się jedynie co trzecia lampa i jego fragmenty spowijała kompletna ciemność.

Przeznaczenie pomieszczenia było jednak oczywiste.

Było tu pełno cel, ciasnych pomieszczeń z grubego, poplamionego śladami rdzy betonu, w których umieszczono masywne anodowane pręty. Cele były bez wątpienia bardzo stare i w półmroku sprawiały wrażenie niemal średniowiecznych.

Obecność znajdujących się w nich istot zdradzały dolatujące z ciemności za prętami jęki i chrapliwe szepty.

Juliet z przerażeniem stwierdziła, że nie są to klatki dla zwierząt.

Trzymano tu ludzi.

Więźniowie usłyszeli otwieranie masywnych drzwi, usłyszeli, jak Juliet,

prezydent i dwóch pozostałych ochroniarzy wchodzi do środka, i wszyscy

przysunęli się do krat, by sprawdzić, co to za zamieszanie.

– Cześć, malutka! – zawył jakiś bezzębny osobnik, gdy Juliet mijała biegiem jego celę, ciągnąc za sobą prezydenta.

– Ramondo! – krzyknęła. – Zablokuj drzwi za nami!

Pod ścianą, niedaleko drzwi prowadzących do sekcji zwierzęcej, stał szereg stalowych szafek. Ramondo przewrócił pierwsze trzy i zatarasował wejście.

Więźniowie zaczęli wydawać z siebie najprzeróżniejsze szaleńcze odgłosy.

Jak wszystkie żywe istoty, od razu wyczuli unoszący się w powietrzu strach i z satysfakcją jeszcze go wzmagali. Jedni wykrzykiwali obscenizmy, inni walili w prety emaliowanymi kubkami, jeszcze inni przeraźliwie wyli.

Juliet kroczyła przez ten koszmar z zaciśniętymi zębami.

Z prawej strony ujrzała lekko wznoszącą się pochylnię, zamkniętą solidną bramą. Wyglądało na to, że prowadzi na wyższy poziom. Ruszyła w tamtym kierunku.

– Halo, mała! Miałabyś ochotę się pokręcić... na czubku mojego masztu?!

Prezydent patrzył na to wszystko wytrzeszczonymi oczami. Więźniowie w granatowych drelichach – nieogoleni i rozwścieczeni – wyciągali ręce ze swoich cel, próbując go złapać.

– Hej, staruszkule! Założę się, że masz milutką, mięciutką dupcię...

– Idziemy! – zakomenderowała Juliet i pociągnęła prezydenta dalej. Doszli do bramy.

Tak jak należało się tego spodziewać w oddziale więziennym, jej zamek był potężny i bardzo solidny. Nie do przestrzelenia.

– Curtis! – rzuciła Juliet Janson. – Zamek!

Agent specjalny Curtis ukląkł przed bramą i wyjął z kieszeni skomplikowane urządzenie, zastępujące komplet wytrychów.

Kiedy zabrał się do pracy, Janson zaczęła się rozglądać.

Wszędzie coś się poruszało, zewsząd dolatywały jakieś dźwięki i wysuwały się ręce. Wykrzywione, szczerzące zęby twarze próbowały się przecisnąć przez pręty cel. Do tego ten wrzask, nieustanny wrzask...

AAA-GHRAAAA-AAA-GAGAGAGA!

Więźniowie nie zachowywali się tak dlatego, że rozpoznali prezydenta. Sprawiał im przyjemność sam ryk, potęgowanie strachu...

Nagle gdzieś zza małej grupki uciekinierów rozległ się głośny huk.

Juliet Janson okręciła się na pięcie i uniosła pistolet do strzału.

Zobaczyła komandosa piechoty morskiej w kompletnie przemoczonym mundurze bojowym. Biegł w jej kierunku z uniesioną do strzału strzelbą Remington pumpaction.

Za nim biegło trzech następnych – także przemoczonych do suchej nitki.

Kiedy prowadzący komandos rozpoznał Juliet i prezydenta, opuścił niżej broń.

– Spokojnie! Nie strzelajcie! – powiedział, podchodząc jeszcze bliżej i całkowicie opuszczając broń, którą wziął z szafy w „przedpokoju”. – To my!

Był to Calvin Reeves.

– Co tu się działo?

– Straciliśmy sześciu ludzi – odparła Juliet Janson – a dranie z sił powietrznych są w sąsiednim pomieszczeniu i zaraz złapią nas za dupska.

Agent specjalny Curtis wsunął w zamek końcówkę swojego magicznego

urządzenia i wcisnął guzik. WZZZZZZZ!

Urządzenie wydawało z siebie dźwięk przypominający pracę wiertła dentystycznego. Zamek głośno trzasnął i brama się otworzyła.

– Jaki ma pani plan, agencie Janson? – spytał Calvin.

– Znaleźć się tam, gdzie nie ma łobuzów. Na początek wejdziemy tędy na górę.

Ruszać się!

Agent specjalny Curtis i Ramondo ruszyli w górę pierwsi, za nimi podążył

Calvin. Juliet popychała prezydenta, a obok niej, kryjąc jej plecy, szedł Book II.

Maszyna Miłości i Elvis szli ostatni.

Zanim opuścili pomieszczenie, przez wrzaski więźniów przebił się czyjś głos:

– ...jestem więźniem... naukowcem... znam to miejsce... mogę wam pomóc! Juliet i

Book II odwrócili się gwałtownie.

Po sekundzie zlokalizowali źródło głosu.

Ten, kto je wypowiedział, znajdował się trzy cele od nich, tuż przy pomieszczeniu, w którym trzymano zwierzęta.

Mężczyzna tak samo jak pozostali więźniowie stał tuż przy prętach klatki i na pierwszy rzut oka wyglądał jak oni, ale przy bliższym spojrzeniu widać było, że się od nich bardzo różni.

Nie miał na sobie granatowego więziennego drelichu, lecz narzucony na koszulę biały kitel i poluzowany krawat.

Nie wyglądał groźnie, nie był też wyniszczony jak inni więźniowie. Był niski, miał okulary i rzednące blond włosy, które z pewnością były codziennie czesane.

Juliet i Book podeszli do jego celi.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Herbert Franklin. Jestem lekarzem, immunologiem! Pracowałem nad szczepionką, ale dziś rano żołnierze mnie tu zamknęli.

– Zna pan ten ośrodek? – zapytał Book II.

Stojąca obok Juliet rzuciła zaniepokojone spojrzenia na drzwi prowadzące do pomieszczenia dla zwierząt. Walono w nie z tamtej strony.

– Znam!

– Co o tym sądzisz? – spytał Book II, patrząc na Juliet. Przez chwilę się zastanawiała, po czym krzyknęła w kierunku rampy:

– Curtis, chodź tu szybko! Trzeba otworzyć jeszcze jeden zamek! Dwie minuty później biegli w górę rampą – razem z naukowcem.

Uciekając na wyższy poziom, nie zwrócili uwagi na to, że warstwa wody robi się coraz grubsza.

Kiedy boeing z Schofieldem na pokładzie uderzył w platformę, stała na poziomie 4 – tam, gdzie orszak prezydencki opuścił ją jakąś godzinę wcześniej. Teraz zaścierały ją pogniecione resztki samolotu.

Wszędzie leżały kawały poskręcane go złomu. Impet uderzenia oderwał dwa koła. Kadłub stał skosem, zgnieciony dziób znajdował się najniżej, skrzydło zostało złamane. Nie ucierpiała tylko jakimś cudem wyglądająca jak latający talerz obrotowa antena.

Z wraku wyszedł Shane Schofield, a za nim Gant, Matka i Mózgowiec.

Przeskakując przez rozrzucone wokół kadłuba metalowe śmieci, ruszyli biegiem w kierunku olbrzymich stalowych wrót, prowadzących na poziom 4.

Bez trudu udało im się otworzyć umieszczone w nich mniejsze drzwi.

Schofield natychmiast podniósł broń i strzelił w zamocowaną na ścianie kamerę,

rozwalając ją na milion kawałeczków.

– Koniec z kamerami – stwierdził. – Nie będą już nas śledzić.

Poszli krótkim, wznoszącym się korytarzykiem. Na jego końcu znajdowały się solidnie wyglądające drzwi.

Matka obróciła umieszczonym na nich kołem i drzwi się otwarły.

Schofield wszedł pierwszy – z wyciągniętym do przodu paradnym pistoletem.

Znalazł się w czymś w rodzaju laboratorium. Pod ścianami stały migające lampkami superkomputery. Wszędzie były klawiatury, monitory i pojemniki z przezroczystego tworzywa, służące najwyraźniej do przeprowadzania jakichś eksperymentów.

W środku pomieszczenia nikogo nie było.

BAMMM!

Ktoś strzelił.

BAMMM!

Jeszcze raz.

Była to Gant, która zlikwidowała dwie kamery obserwacyjne. Schofield rozglądał się uważnie dokoła.

Natychmiast zwrócił uwagę na szereg znajdujących się naprzeciwko wejścia, zamontowanych skośnie okien. Podeszedł do nich, wyjrzał i...

...stwierdził, że patrzy na wysokie pomieszczenie, pośrodku którego stoi ogromny szklany sześcian, nie dotykający ścian ani sufitu.

Ściana za sześcianem – dzieląca pomieszczenie na pół – nie dochodziła do samego sufitu. Kończyła się mniej więcej dwa metry od niego, a pozostałą płaszczyznę wypełniało szkło. Za szkłem widać było system krzyżujących się

wąskich wiszących mostków, unoszących się nad tym, co kryło pomieszczenie.

Ale uwagę Schofielda przykuł sześcian.

Miał rozmiary dużego salonu, co było nietrudno stwierdzić, ponieważ stały w nim tradycyjne meble – kanapa, stół, krzesła, telewizor wraz z Playstation 2 oraz pojedyncze łóżko, zasłane kapą z nadrukowanymi na niej postaciami z Gwiezdných wojen.

Na podłodze były porozrzucone zabawki. Samochodziki. Jaskrawożółty kosmiczny statek bojowy z Epizodu I. Kilka książek z obrazkami. Schofield pokręcił głową. Sześcian wyglądał na sypialnię dziecka.

W tym momencie zza niewielkiej zasłonki – kryjącej z pewnością toaletę – wyszedł mieszkaniec sześcianu.

Schofield wytrzeszczył oczy.

– Co tu się dzieje...

W północnej ścianie laboratorium znajdowały się prowadzące do sześcianu schody.

Schofield zszedł nimi na dół, po czym ruszył wzdłuż ściany, oddzielającej tę część pomieszczenia od części wschodniej. Była z nim Gant. Matka i Mózgowiec zostali w pomieszczeniu obserwacyjnym.

Po chwili Schofield i Gant dotarli do sześcianu i stanęli przed nim.

Kiedy jego mieszkaniec zauważył, że nadchodzą, spokojnym krokiem podszedł do ściany szczelnie zamkniętej konstrukcji.

Stanął tuż przed Schofieldem i przekrzywił głowę na bok.

– Dzień dobry panu – powiedział.

– Sir, straciliśmy kontakt wzrokowy z laboratoriami na poziomie czwartym.

Zaczęli strzelać do kamer.

– Dziwne, że dopiero teraz się na to zdecydowali – mruknął Cezar Russell. –

Gdzie prezydent?

– Na poziomie piątym, wchodzi pochylnią na poziom czwarty.

– A nasi ludzie?

– Oddział Alfa jest na pozycjach, czeka w komorze dekompresyjnej na poziomie czwartym. Oddział Delta został zatrzymany w strefie dla zwierząt na poziomie piątym.

Cezar uśmiechnął się.

Choć oddział Delta został chwilowo zatrzymany, wciąż zmuszali prezydenta do wchodzenia wyżej – do miejsca, gdzie czekał oddział Alfa.

– Powiedz im, żeby przeszli przez drzwi, zaczęli wchodzić po pochylni i odcięli prezydentowi odwrót.

Nie mógł mieć więcej niż sześć lat.

Gęste ciemne włosy, opadające mu na oczy, podkoszulek z nadrukiem z

Disneylandu i sportowe buty sprawiały, że wyglądał jak miliony amerykańskich dzieci.

Ale w odróżnieniu od nich mieszkał w szklanym sześcianie – głęboko we wnętrzu supertajnej bazy sił powietrznych Stanów Zjednoczonych.

– Witam cię – odparł Schofield.

– Dlaczego pan się boi?

– Boję się?

– Tak, boi się pan. Czego?

– Skąd wiesz, że się boję?

– Po prostu wiem – odparł tajemniczo chłopiec. Mówił tak spokojnym, obojętnym tonem, że Schofield miał wrażenie, iż wszystko to mu się śni. – Jak pan ma na imię?

– Shane, ale większość ludzi nazywa mnie Strachem na Wróble.

– Strach na Wróble? Śmieszne imię.

– A ty? Jak ty masz na imię?

– Kevin.

– A na nazwisko?

– Co to jest nazwisko? Schofield milczał przez chwilę.

– Skąd pochodzisz, Kevin? Chłopiec wzruszył ramionami.

– Chyba stąd. Nigdy nigdzie indziej nie byłem. Chce pan się o czymś dowiedzieć?

– Pewnie.

– Wiedział pan, że Twinkies dostarczają dziecku tylko połowę dziennego zapotrzebowania na glukozę, ale za to zapewniają mu smaczne desery?

– Ee... nie, nie wiedziałem.

– A wie pan, że gady są tak wrażliwe na zmiany ziemskiego pola magnetycznego, że zdaniem niektórych naukowców są w stanie przewidywać trzęsienia ziemi? Poza tym nikt nie zna się tak dobrze na robieniu wiadomości jak NBC – dodał chłopiec z powagą.

– Naprawdę? – mruknął Schofield i popatrzył na Gant. W tym momencie zza dzielącej pomieszczenie ściany doleciał głośny mechaniczny dźwięk.

Schofield i Gant odwrócili się i stwierdzili, że po drugiej stronie zwieńczonej szklaną przegrodą ściany zgasły światła.

Prezydent Stanów Zjednoczonych szedł ostrożnie w górę pochylni, łączącej poziomy 5 i 4 – wraz z trójką agentów Secret Service, czwórką komandosów piechoty morskiej i naukowcem.

Na szczycie pochylni znajdowała się wielka kratownica – było to coś w rodzaju zamontowanych poziomo garażowych drzwi.

Juliet Janson wcisnęła klawisz w ścianie i drzwi zaczęły się odsuwać, ukazując czarną przestrzeń w górze.

– Otwierają się drzwi pochylni... – szepnął do mikrofonu jeden z komandosów 7. Szwadronu, czekający w komorze dekompresyjnej poziomemu 4.

Pozostałych dziewięciu członków oddziału Alfa ukrywało się we wschodniej części piętra – za różnymi osłonami – celując w środek pomieszczenia. W swoich zasłaniających dolną część twarzy maskach i goglach noktowizyjnych wyglądali jak czekające na ofiarę owady.

Poziome drzwi powoli się rozsuwały, przez rozszerzającą się szparę do zaciemnionego pomieszczenia docierało coraz więcej światła. Poza tym światło wpadało jeszcze tylko przez górną – szklaną – część ściany, dzielącej przestrzeń na dwie części.

– Nie pokazywać się, dopóki wszyscy nie wejdą... – powiedział cicho Kurt Logan. – Żaden z tych ludzi nie może wyjść stąd żywy.

W półmrok weszli najpierw agenci Secret Service, Curtis i Ramono – uzbrojeni w uzi. Za nimi szli Calvin Reeves i Elvis.

Potem pojawił się prezydent z Juliet Janson u boku. Trzymał w ręku – dość niezdarnie – sig-sauera 228. Dała mu go Juliet – ot, na wszelki wypadek.

Za tą dwójką wszedł Herbert Franklin, a na końcu Book II i Maszyna Miłości –

obaj uzbrojeni w strzelby pump-gun.

Bookowi II od razu się tu nie spodobało.

Otaczały ich różne konstrukcje. Zaraz po prawej stronie stała sześciokątna komora. Z lewej miał osiem boksów o rozmiarach budek telefonicznych. W słabym świetle, wpadającym przez okna u szczytu ściany naprzeciwko, widać było zawieszzone pod sufitem – na wysokości mniej więcej sześciu metrów – wąskie pomosty.

Kiedy tylko Book II wszedł do środka, poziome drzwi gładko się zamknęły, blokując wyjście.

To Calvin wcisnął znajdujący się w podłodze klawisz.

Book II przełknął ślinę. Wolałby, aby drzwi pozostały otwarte.

Zapalił ciężką policyjną latarkę, którą zabrał z poziomu 5. Trzymał ją pod lufą swojego karabinu i wodził bronią po pomieszczeniu.

Calvin Reeves przejął dowództwo.

– Wy dwaj – powiedział do Curtisa i Ramondo – sprawdźcie tył tych budek telefonicznych, a potem zabezpieczcie drzwi na klatkę schodową. Haynes, Lewicky, Riley – dodał, używając nazwisk Elvisa, Maszyny Miłości i Booka II – zbadajcie przestrzeń za komorą dekompresyjną i zabezpieczcie tamte drzwi. – Wskazał na przedzielającą pomieszczenie ścianę. – A ty, Janson, zostajesz razem ze mną z Szefem.

Curtis i Ramondo zniknęli między komorami testowymi i po chwili pojawili się ponownie przy schodach.

– Nikogo tu nie ma – oświadczył Ramondo.

Book II, Elvis i Maszyna Miłości weszli w ciemność za komorą dekompresyjną.

Powitał ich wąski, pusty pasek podłogi.

– Tu też czysto – powiedział Book II, gdy wyszli z długiej sześciokątnej komory. Ruszyli w kierunku drzwi w przedzielającej pomieszczenie ścianie.

Reeves zastosował standardową taktykę dla pomieszczeń zamkniętych: jeżeli nie widać wroga, zabezpiecz drzwi, po czym umocnij pozycje. Był to jednak błąd.

Nie dlatego, że nie mieli się którędy wycofać, ale dlatego, że Kurt Logan – znajdujący się wewnątrz pomieszczenia – właśnie tego się spodziewał.

Kiedy Elvis i Maszyna Miłości szli w kierunku przedzielającej pomieszczenie ściany, Book II wodził latarką po wielkiej, mającej około dziesięciu metrów długości komorze dekompresyjnej.

Na jej końcu znalazł niewielki otwór. Zaświecił tam.

To, co zobaczył, ścięło mu krew w żyłach.

Patrzył na niego Azjata. Uśmiechał się i wskazywał palcem w górę – na sufit komory dekompresyjnej.

Book II podążył promieniem latarki we wskazanym kierunku i.....ujrzał modliszkowatą głowę komandosa 7. Szwadronu w goglach noktowizyjnych i masce gazowej.

Przeżył jedynie dzięki latarce.

Światło oślepiło celującego w niego żołnierza. Kiedy silny promień padł na noktowizor, wzmacniający światło 150 razy, komandos zasłonił twarz. Więcej Bookowi nie było trzeba.

Strzelił, rozwalając przeciwnikowi noktowizor zrzucając go na dno komory.

Było to jednak niewielkie zwycięstwo, bo w tym samym momencie ze wszystkich zakamarków pomieszczenia buchnął ogień z broni maszynowej, a z

ukrycia wyszła gromada ciemnych postaci – z góry komory dekompresyjnej i ze środka przypominających budki telefoniczne komór testowych – które zasypały gradem pocisków stojącą pośrodku pomieszczenia grupę.

Znajdujący się przy drzwiach na klatkę schodową Curtis i Ramondo zostali ostrzelani z P-90 z boków. Obaj nie zdążyli zrobić nawet kroku – posiekani kulami, upadli tam, gdzie stali.

Juliet Janson pchnęła prezydenta jak atakujący hokeista, rzucając go na podłogę tuż przy komorze dekompresyjnej w chwili, gdy na wysokości ich głów przeleciał grad kul.

Calvin Reeves nie miał tyle szczęścia.

Krzyżujące się serie trafiły go w potylicę, co sprawiło, że najpierw uniósł głowę w górę, jakby podciągnięto mu ją na lince, a potem opadł na kolana. Miał bardzo zdziwioną minę – jakby do ostatniej chwili myślał, że to niemożliwe, by przegrali, skoro wszystko robili jak należy. Po sekundzie upadł ciężko na beton, uderzając o podłogę twarzą – tuż obok Herberta Franklina, który próbował zwinąć się w jak najmniejszą kulkę.

Wszędzie latały pociski.

Juliet jednym szarpnięciem postawiła prezydenta na nogi i – strzelając wolną ręką – zaczęła go ciągnąć w kierunku stołów laboratoryjnych, by tam poszukać schronienia. Nagle w komorze dekompresyjnej pojawił się komandos 7. Szwadronu i wycelował w głowę prezydenta.

Skierowała na niego broń. Nie dość szybko jednak.

BLAMM!

Głowa komandosa eksplodowała, jego ciało poleciało do tyłu i po chwili stoczyło

się z komory dekompresyjnej.

Juliet odwróciła się szybko w kierunku, z którego padł strzał, ale nikogo nie ujrzała.

Book II, Elvis i Maszyna Miłości zanurkowali między stoły laboratoryjne w chwili, gdy zaryły w nie pierwsze pociski. Odpowiadali ogniem, celując w trzech żołnierzy 7. Szwadronu, kryjących się między boksami.

Szybko stało się jednak jasne, że byle jak skompletowana broń komandosów piechoty morskiej nie jest w stanie poradzić sobie z szybkostrzelnymi P-90. Półki i szafki wokół nich rozpryskiwały się pod ciężkim ostrzałem.

Elvis zanurkował za kolejną osłonę.

– Jasna cholera! – wrzasnął. – To naprawdę przejebane!

– Nie żartuj! – odkrzyknął Book II.

Przeładował strzelbę i podniósł się, ale po kilku strzałach zauważył coś dziwnego: wszyscy komandosi 7. Szwadronu nagle zostali zaatakowani przez kogoś od tyłu. Ich broń zamilkła i Book II stwierdził, że ma przed sobą puste pole.

– Co to ma...

Dowódca oddziału Alfa, Kurt Logan, też zobaczył, co się stało.

– Kurwa! Ktoś jeszcze tu jest! – wrzasnął wściekle do mikrofonu. – Ktoś nas zdejmuje!

W tym momencie stojący obok Logana żołnierz został trafiony w bok głowy i jego czaszka eksplodowała, rozpryskując na boki krew i mózg.

– Kurwa! – Logan nie spodziewał się stracić w walce więcej niż dwóch ludzi, a zginęło ich już sześciu. – Oddział Alfa, wycofać się! Wszyscy z powrotem na schody!

Podjąć awaryjne działania ewakuacyjne!

Otworzył drzwi na klatkę schodową i w tej samej chwili ściana wokół zadygotała od uderzeń pocisków, które o mało nie urwały mu głowy. Pozostali ludzie z oddziału Alfa przebiegli obok niego, by schować się na wschodnich schodach – najpierw jednak ostrzelali ciała poległych kolegów.

Logan również poczęstował serią leżącego tuż obok niego zabitego podwładnego. Potem zniknął za drzwiami i nagle zapadła cisza.

Book II siedział skulony za stołem laboratoryjnym wraz z Elvisem i Maszyną Miłości. Nad ich głowami unosił się gryzący dym.

Było całkowicie cicho.

Ogłuszająco cicho.

Juliet Janson i prezydent leżeli na podłodze półtora metra od Booka i pozostałych dwóch żołnierzy, obsypani pyłem i kawałkami poszarpanego plastiku. Juliet przez cały czas trzymała broń w górze.

ŁUBUDUM!

Na blacie nad ich głowami wylądowały wojskowe buty.

Wszyscy poderwali głowy – i ujrzeli kapitana korpusu piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych, Shane’a Schofieldda – ubranego w wyjściowy mundur i trzymającego w dłoniach dwie niklowane beretty.

Uśmiechnął się do nich.

– Witam.

W tym samym czasie we wszystkich domach, biurach i knajpach w Ameryce i na całym świecie ludzie wpatrywali się uważnie w ekrany telewizorów.

Ponieważ brakowało materiału, CNN oraz zagraniczne sieci telewizyjne na okrągło puszczały kilkuminutowe nagranie na taśmie wideo, komentowane przez

wojskowych ekspertów.

Ruszyli tyłki członkowie rządu, choć tak naprawdę nikt nie umiał podjąć żadnych konkretnych działań, ponieważ jedynie garstka ludzi wiedziała, gdzie to wszystko się odbywa.

W strefie czasowej, w której rozgrywał się dramat, za kilka minut miała być godzina ósma rano i ludzie na całym świecie w napięciu czekali na najnowsze wieści.

TRZECIE STARCIE

3 lipca, godzina 8.00

Wydział kosmiczny, zajmujący się w Defense Intelligence Agency śledzeniem rozbudowy potencjału kosmicznego innych krajów, znajduje się w jednym z najgłębszych podziemi Pentagonu – dokładnie trzy piętra pod pokojem sytuacyjnym. Choć nazwa brzmi niezwykle i podniecająco, David Fairfax doskonale wiedział, że jest to niezgodne z prawdą.

Mówiąc krótko: człowiek dostaje się do wydziału kosmicznego za karę, ponieważ nic tu się nigdy nie dzieje.

Na Wschodnim Wybrzeżu zbliżała się dziesiąta rano, gdy Fairfax – obojętny na wszystko, co się działo w otaczającym go świecie – pracował przy komputerze, próbując odczytać kilka rozmów telefonicznych, które DIA przechwyciła w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Nieznany użytkownik telefonu zamaskował treść za pomocą skomplikowanego szyfru i zadaniem Fairfaksa było go złamać.

Śmieszne, jak czasy się zmieniają, pomyślał.

David Theodore Fairfax był kryptologiem, łamaczem szyfrów. Był średniego wzrostu, miał niesforne ciemne włosy i okulary w cienkich drucianych oprawkach i wcale nie wyglądał na geniusza. W podkoszulku z nadrukiem zespołu The Mooks, dżinsach i adidasach sprawiał wrażenie nie analityka rządowego, ale niezgrabnego studenta.

Uwagę Defense Intelligence Agency, głównej jednostki wywiadowczej Departamentu Obrony, zwróciła jego błyskotliwa praca na trzecim roku studiów, dotycząca teorii nieliniowych obliczeń komputerowych. DIA działa w ścisłej współpracy z NSA* – organizacją zajmującą się przechwytywaniem sygnałów

informacyjnych oraz łamaniem szyfrów.

* NSA (National Security Agency) – Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (przyp. tłum).

Nie przeszkadza to jej jednak utrzymywać własnej grupy kryptologów, którzy często szpiegują NSA. Do tej właśnie grupy należał David Fairfax.

Fairfaxowi natychmiast spodobalo się łamanie szyfrów. Uwielbiał kryjące się za tym zadaniem wyzwanie i walkę umysłów: tego, który ma nadzieję coś ukryć, i tego, który ma nadzieję to ujawnić. Jego mottem życiowym było: każdy szyfr jest do złamania.

Na początku lat 90. XX wieku władze USA wprowadził w zakłopotanie niejaki Phil Zimmerman i jego niemożliwy do złamania komputerowy program szyfrujący PGP

W 1991 roku, ku wielkiej konsternacji rządu Stanów Zjednoczonych, Zimmerman umieścił PGP w Internecie – głównie dlatego, że rząd nie był w stanie go złamać.

PGP stosował system szyfrujący znany jako „metoda klucza publicznego”,

wykorzystujący do uzyskania klucza deszyfrującego multiplikację bardzo dużych liczb pierwszych. W tym przypadku „bardzo duże liczby pierwsze” były liczbami o ponad 130 cyfrach.

Szyfr był nie do złamania.

Stwierdzono, że sprawdzenie wszystkich możliwych liczb, zawartych w jednej wiadomości, zajęłoby wszystkim superkomputerom na świecie czas równy dwunastokrotnemu okresowi istnienia wszechświata.

Amerykański rząd był wściekły, bo PGP zaczęły używać grupy terrorystyczne i obce rządy. W 1993 roku rozpoczęto proces z udziałem ławy przysięgłych, oskarżając Zimmermana o to, że umieszczając PGP w Internecie, bez zezwolenia wywiózł poza teren Stanów Zjednoczonych broń, ponieważ programy szyfrujące

podpadają pod rządową definicję amunicji.

W 1996 roku, po dręczeniu Zimmermana przez trzy lata, prokurator generalny nagle zawiesił sprawę.

Ot, tak sobie, po prostu.

Oświadczone, że jest już „po ptakach”, nie warto dalej prowadzić sprawy i dlatego postanowiono zamknąć akta.

Prokurator generalny nie wspomniał oczywiście o tym, że w dniu, kiedy postanowił zamknąć sprawę, dostał od dyrektora DIA telefon z informacją, że PGP został złamany.

Każdy, kto ma do czynienia z kryptografią, wie doskonale, że jeśli złamało się szyfr przeciwnika, nie ogłasza się tego.

Szyfr złamał nieznanemu dwudziestopięcioletni matematyk pracujący dla DIA, David Fairfax.

Okazało się, że teoretyczny nieliniowy komputer Fairfaksa przestał być jedynie teorią. W celu złamania PGP zbudowano w ekspresowym tempie prototyp i okazało się, że urządzenie było w stanie bez najmniejszego trudu analizować nawet największe liczby.

Każdy szyfr jest do złamania.

Historia jest jednak dla kryptoanalityków okrutna: nie wolno im mówić o swoich największych sukcesach.

Podobnie było z Davidem Fairfaxem. Choć złamał PGP, nie mógł nikomu o tym powiedzieć – dostał skromną podwyżkę i zapędzono go do następnej roboty.

Tak więc tkwił w wydziale kosmicznym i analizował nieautoryzowane rozmowy telefoniczne, które przeprowadzono z jakąś bazą sił powietrznych w Utah.

W innym odosobnionym pokoiku po drugiej stronie korytarza działały się naprawdę ciekawe rzeczy: połączona grupa specjalna kryptoanalityków DIA i NSA badała zaszyfrowane komunikaty, które nadawał chiński prom kosmiczny, wystrzelony kilka dni temu z bazy w Xichang.

To jest dopiero ciekawe, myślał Fairfax. Lepsze od deszyfrowania jakichś pogaduszek przez telefon, prowadzonych z idiotycznej bazy na pustyni.

Nagrane rozmowy pojawiały się na ekranie monitora Fairfaksa w postaci kaskady przesuwających się cyferek – stanowiło to matematyczną reprezentację słów, wymienianych przez ostatnie kilka miesięcy w Utah.

Fairfax miał na uszach wielkie słuchawki, w których słycać było monotony szum. Wpatrywał się w ekran.

Jedno było pewne: ktokolwiek prowadził te rozmowy, dobrze je zaszyfrował.

Fairfax pracował nad nimi od dwóch dni.

Spróbował kilku starszych algorytmów.

Nic to nie dało.

Spróbował kilku nowszych.

Również niczego nie osiągnął.

Jeśli okaże się to konieczne, będzie siedział nad tym choćby miesiąc. Spróbował programu, który napisał do łamania najnowszego systemu szyfrującego Vodafone.

Przez moment w słuchawkach słycać było wypowiedany gardłowym tonem tekst: ...Kan bevestig dat In enting plaasvind... Oczy Fairfaksa zamigotały. Mam cię...

Zastosował ten sam program do kilku następnych rozmów telefonicznych.

W jednej wspaniałej chwili bezpostaciowy szum stał się nagle prowadzonym w nieznanym języku dialogiem, przeplatany angielskimi zdaniami.

...Toetse op laaste poging word op de vieren-twintigste verwag. Wat van die onttrekkings eenheid...

...Recondo span is alreeds weggestuur...

...Voorberreidings onderweg. Vroeg oggend. Beste tyd vir onttrekking...

...wszystko gotowe. Potwierdzam: trzeciego...

...Onttrekking kann probleem wees. Gestel ons gebruik die Hoeb land hier naby.

Verstaan hy is 'n lid van Die Organisasie... ...Sal die instruksies oordra... ...misja rusza...

...Die Recondos is gereed. Verwagte aankoms by beplande bestemming binne nege dae...

Oczy Fairfaxes błyszcząły.

Każdy szyfr jest do złamania. Sięgnął po słuchawkę.

Po potyczce w komorze dekompresyjnej grupa z Schofieldem i prezydentem wycofała się w drugi koniec poziomu 4 – do laboratorium obserwacyjnego z widokiem na wielki sześcian. Zamknęli za sobą drzwi i przestrelili znajdujące się w ścianie elektroniczne urządzenie do ich zamykania i otwierania.

Zdaniem Schofielda było to miejsce najłatwiejsze do obrony w całej Strefie 7.

Pomijając windę osobową, były tu tylko dwa wejścia: krótka pochylnia, prowadząca do platformy podnoszącej samoloty, oraz drzwi na schody, którymi docierało się do szklanego sześcianu.

Juliet Janson padła wycieńczona na podłogę.

Prezydent zrobił to samo.

Komandosi piechoty morskiej – Book II, Elvis, Maszyna Miłości, Matka i

Mózgowiec – zbili się w grupkę i szybko przekazali sobie informacje o tym, co się z

nimi działało, opowiedzieli także o zalaniu szybu windowego oraz ucieczce rozpędzonym samolotem.

Ostatni członek grupy – naukowiec w kitlu – usiadł w rogu.

Schofield i Gant nie usiedli jednak.

Mieli teraz nieco broni i sprzętu, zabranego zabitym komandosom 7. Szwadronu – w tym zestawy słuchawkowo-mikrofonowe, trzy potężne granaty z materiałem wybuchowym RDX i dwa urządzenia wielkości pinezki do niszczenia zamków, znane jako „wywalacze zamków”.

Ale ludzie Logana niewiele im zostawili.

Brutalne serie z broni maszynowej, skierowane w ciała zabitych kolegów, nie miały ich dobić, lecz zniszczyć broń, by nie przejął jej przeciwnik. W efekcie grupie Schofielda udało się zdobyć tylko jeden pistolet maszynowy P-90. Pozostałe zostały roztrzaskane – podobnie jak samopowtarzalne pistolety komandosów.

– Matka! – powiedział Schofield, rzucając jej P-90. – Miej oko na wejście przy rampie. A ty, Elvis, pilnuj schodów do sześcianu.

Wymieniona dwójka natychmiast się oddaliła.

Choć niemal każdy inny członek ochrony zająłby się w takiej chwili prezydentem, Schofield nie podszedł do niego. Widział, że SzeF nie jest ranny – miał wszystkie kończyny całe – a dopóki jego serce biło, wszystko było w miarę dobrze.

Zamiast tego podszedł do Juliet Janson. Powiedział tylko dwa słowa:

– Raport proszę.

Janson popatrzyła na Schofielda – prosto w skrywające jego oczy lustrzane okulary.

Widywała go już w pobliżu prezydenckich helikopterów, ale nigdy z nim nie

rozmawiała. Słyszała o nim co nieco od kolegów agentów i wiedziała, że to on uczestniczył w akcji na Antarktydzie.

– Zrobili na nas zasadzkę w pomieszczeniu socjalnym na poziomie trzecim, zaraz po nadaniu komunikatu za pomocą Awaryjnego Systemu Nadawczego. Od tego czasu deptają nam po piętach. Pobiegliśmy na schody, dotarliśmy do Awaryjnego Szybu Ewakuacyjnego na poziomie szóstym, ale już tam na nas czekali. Zaczęliśmy wracać schodami do góry – znów na nas czekali. Uciekliśmy przez poziom piąty i weszliśmy pochylnią na czwarty – i znów na nas czekali.

– Ofiary?

– Ośmiu agentów z ochrony prezydenckiej zabitych. Do tego cała Grupa Oślaniająca na poziomie szóstym. Razem siedemnaście.

– Frank Cutler?

– Zabity.

– Coś jeszcze?

Janson skinęła głową w kierunku mężczyzny w kitlu laboratoryjnym.

– Wzięliśmy go z poziomu piątego, zanim weszliśmy w zasadzkę w komorze dekompresyjnej. Twierdzi, że jest naukowcem i pracuje tutaj.

Schofield popatrzył na Herberta Franklina. Niski człowieczek bez słowa skinął głową.

– A co z wami? – spytała Janson. Schofield wzruszył ramionami.

– Kiedy to wszystko się zaczęło, byliśmy w głównym hangarze. Popęzliśmy na dół szybem wentylacyjnym, dotarliśmy do podziemnego hangaru, zniszczyliśmy avengera, rozwaliliśmy boeinga.

– Czyli to, co zwykle – podsumowała Gant.

– Skąd wiedzieliście, że za drzwiami jest zasadzka? Schofield znów wzruszył ramionami.

– Byliśmy przy sześcianie, gdy nagle w pomieszczeniu z komorą dekompresyjną zgasło światło. Mieliśmy nadzieję, że to ktoś z naszych próbuje się ukryć przed kamerami, więc sprawdziliśmy sytuację z góry – z tych wiszących pomostów. Kiedy zobaczyliśmy, kto to jest i co robi, uznaliśmy, że szykują się do zdobycia wielkiej wygranej – skinął głową w kierunku prezydenta – i postanowiliśmy też zastawić na nich pułapkę.

Znajdujący się pod przeciwległą ścianą Mózgowiec podszedł do Szefa.

– Panie prezydencie... – zaczął z szacunkiem.

– Witam.

– Jak się pan czuje?

– Cóż, ciągle żyję, a biorąc pod uwagę okoliczności, to już coś. Jak się nazywasz, synu?

– Gorman, sir. Kapral Gus Gorman, ale zazwyczaj mówią na mnie Mózgowiec.

– Mózgowiec?

– Zgadza się, sir. Jeśli pan pozwoli... ciekaw jestem, czy mógłby mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie...

– Czemu nie?

– To świetnie. Jako prezydent wie pan o różnych rzeczach, prawda?

– Mhm...

– No właśnie. Hmm... zawsze interesowała mnie pewna rzecz: czy Portoryko dlatego jest pod protektoratem Stanów Zjednoczonych, że notuje się tam największą w roku liczbę zaobserwowanych UFO?

– Słucham?

– No wie pan... tak tylko się zastanawiałem, co mogłoby być powodem, że trzymamy się tego pieprzonego Portoryko, nic tam przecież nie ma...

– Mózgowiec! – zawołał z drugiego końca pomieszczenia Schofield. – Zostaw prezydenta w spokoju. Panie prezydencie, niech pan do nas podejdzie i spojrzysz na to. Jest niemal ósma i Cezar lada chwila przekaże aktualny komunikat.

Prezydent podszedł do Schofielda – najpierw jednak rzucił podejrzliwe spojrzenie Mózgowcowi.

Punkt ósma na ekranie każdego telewizora w Strefie 7 pojawiła się twarz Cezara Russella.

– „Współrodacy Amerykanie! – zadudnił. – Po godzinie gry prezydent ciągle jeszcze żyje. Jego akcje nie stoją jednak dobrze. Jego osobista ochrona została zdiesiątkowana – potwierdzono śmierć ośmiu z dziewięciu jej członków. Dwa inne oddziały Secret Service – grupy osłaniające, jedna stacjonująca na najniższym poziomie tej bazy, a druga przy wyjściach na zewnątrz, każda składająca się z dziewięciu agentów – również zostały wyeliminowane, tak więc straty po stronie prezydenta wynoszą razem dwadzieścia sześć osób. Natomiast wśród moich ludzi nie ma żadnych strat. Ale na scenie pojawili się rycerze w błyszczących zbrojach. Po stronie prezydenta stanęła garstka marines Stanów Zjednoczonych – członków reprezentacyjnej załogi prezydenckiego helikoptera. Wyglądają przepięknie w swoich galowych...”.

Nagle, bez jakiegokolwiek zapowiedzi, telewizory w Strefie 7 zdechły, ich ekrany poczerniały.

Równocześnie zamigotały i zgasły wszystkie światła, pogrążając całą Strefę 7 w

ciemnościach.

W laboratorium na poziomie 4 wszyscy zaczęli się gorączkowo rozglądać.

– Oho... – mruknęła Gant, obserwując sufit.

Po sekundzie światła znów zamigotały, a obwód telewizyjny zrestartował. Cezar zakończył swoją kwestię:

– „...tak więc pięć oddziałów bojowych Siódmego Szwadronu stoi naprzeciwko garstki marines Stanów Zjednoczonych. Tak wygląda stan rzeczy na ósmą rano. Za godzinę przedstawię Państwu następny komunikat”. Ekrany zgasły.

– Kłamca! – prychnęła Juliet Janson. – Ten skurwiel kłamie! Grupa Oslaniająca na dole nie żyła, kiedy dotarliśmy na dół! Pozabijali ich, zanim wszystko się zaczęło!

– Kłamał także o swoich stratach – dodał Mózgowiec. – Oślizgły drań!

– Więc co dalej? – spytała Schofielda Gant. – Mają przewagę liczebną, materiałową i lepsze pozycje. Do tego są na swoim terenie.

Schofield zadawał sobie dokładnie to samo pytanie.

Komandosi 7. Szwadronu nie tylko mieli nad nimi przewagę pod każdym względem, ale także – popatrzył na swój wyjściowy mundur – wkroczyli do walki przygotowani.

– No dobrze – mruknął w końcu. – Poznajmy przeciwnika.

– Że co?

– Ustalmy najpierw podstawowe zasady. Musimy wyrównać możliwości, ażeby to osiągnąć, potrzebujemy więcej informacji. Zasada numer jeden: poznaj przeciwnika. No więc: z kim walczymy?

Janson wzruszyła ramionami.

– Z Siódmym Szwadronem. Najlepszą jednostką bojową sił powietrznych.

Doskonale przeszkoloną, świetnie uzbrojoną...

– I na sterydach – dodała Gant.

– Nie tylko na sterydach – odezwał się jakiś głos. Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

To odezwał się Herbert Franklin.

– Kim pan jest? – spytał Schofield. Niski człowieczek nerwowo zaszurał nogami.

– Nazywam się Herbie Franklin i do dziś rano pracowałem przy projekcie

Fortuna jako immunolog. Ale tuż przed waszym przybyciem zamknięto mnie.

– Co pan chce powiedzieć, mówiąc: „nie tylko na sterydach”? – spytał Schofield.

– Chciałem powiedzieć, że ludzie z Siódmego Szwadronu zostali... wzmocnieni... choć nie jest to chyba najlepsze określenie.

– Wzmocnieni?

– Poprawieni. Zmodyfikowani tak, aby uzyskać większą sprawność.

Zastanawialiście się, dlaczego Siódmy Szwadron tak dobrze wypada na wszelkich manewrach? Zastanawialiście się, dlaczego mogą dalej walczyć, choć wszyscy inni padają z wycieńczenia?

– No cóż...

– Sterydy anaboliczne do zwiększenia siły mięśni i poprawienia ogólnej wydolności fizycznej – mówił szybko Franklin. – Zastrzyki ze sztucznej erytropoetyny, zwiększające natlenienie krwi.

– Sztuczna erytropoetyna? – powtórzyła Gant.

– W skrócie EPO – odparł Herbie. – To hormon, który stymuluje produkcję czerwonych ciałek krwi w szpiku kostnym, zwiększa więc ilość dostarczanego przez krew tlenu. Od lat używają tego środka sportowcy z konkurencji

wytrzymałościowych, zwłaszcza kolarze. Każdy żołnierz Siódmego Szwadronu jest silniejszy od was i może biec cały dzień bez przerwy. Kapitanie... ci ludzie byli niesamowicie sprawni fizycznie jeszcze przed przybyciem tutaj, ale odkąd tu stacjonują, zostali dodatkowo wzmocnieni środkami farmakologicznymi najnowszej generacji – aby móc walczyć lepiej i dłużej niż ktokolwiek inny.

– W porządku, chyba rozumiem o co chodzi – mruknął Schofield. Myślał o sześciolatnim chłopcu, spędzającym życie w szklanym sześcianie, oddalonym o piętnaście metrów. – Tym się tutaj zajmujecie? Po to istnieje ta baza? „Poprawia się” tu komandosów elitarnych jednostek bojowych?

– Nnie... – odparł niepewnie Herbie, rzucając okiem na prezydenta. –

Wzmacnianie Siódmego Szwadronu to tylko zadanie uboczne, mające pomóc chronić bazę.

– Więc co tu się robi?

Herbie znów popatrzył na prezydenta. Wziął głęboki wdech. Ale to prezydent się odezwał.

– W tej bazie znajduje się najważniejsza szczepionka, jaką stworzono w historii Ameryki.

Schofield okręcił się na pięcie.

Przyjrzał się uważnie prezydentowi. Szef miał na sobie czarny garnitur i taki sam krawat. Siwiejące, elegancko przycięte włosy oraz sympatyczna, pobrużdżona twarz sprawiały, że wyglądał jak wiejski przedsiębiorca – choć w tej chwili sprawiał wrażenie człowieka, który nieźle się poci.

– Szczepionka...?

– Tak. Przeciwno najnowszemu chińskiemu wirusowi genetycznemu. Wirusowi

atakującemu wyłącznie przedstawicielei białej rasy i znanemu pod nazwą sinowirus.

– A źródłem tej szczepionki jest... – powiedział Schofield.

– ...istota ludzka, powstała w wyniku działań inżynierii genetycznej – odparł prezydent.

– Kto?

– Osoba, kapitanie Schofield, która od embrionalnej fazy życia była tak przekształcana, aby mogła oprzeć się działaniu sinowirusa. Jej krew może być wykorzystana do produkcji przeciwciał dla reszty mieszkańców Ameryki. Chodzi o pierwszą istotę ludzką o zmienionych genach, o chłopca imieniem Kevin. Oczy Schofielda zwęziły się.

Sporo to wyjaśniało – wzmocnioną ochronę bazy, wizytę Szefa, obecność chłopca w szklanym sześcianie, ale w tym, co powiedział prezydent, było coś zastanawiającego: znał imię chłopca.

– Stworzyliście dziecko, aby wykorzystać je jako szczepionkę? Z całym szacunkiem, sir, nie niepokoi to pana?

Prezydent skrzywił się.

– Kapitanie, moja praca nie składa się z czerni i bieli, a z szarości... nieskończenie wielu odcieni szarości. Muszę często podejmować bardzo trudne decyzje. Kevin zaistniał na długo przedtem, zanim zostałem prezydentem, kiedy się jednak o nim dowiedziałem, musiałem zadzwonić i zlecić kontynuację projektu. Zadzwoniłem. Może mi się to nie podobać, ale w obliczu czegoś takiego jak sinowirus musiałem podjąć taką decyzję.

Zapadła chwila ciszy.

– A co z więźniami na dole? – spytał Book.

– I zwierzętami – dodała Juliet Janson. – Do czego są wykorzystywane? Schofield zmarszczył czoło. Nie widział poziomu 5, nie wiedział więc ani o więźniach, ani o zwierzętach.

– Zwierzęta to element obu programów badawczych – odpowiedział tym razem Herbie Franklin – produkcji szczepionki i wzmacniania ludzi z Siódmego Szwadronu. Niedźwiedzie z wyspy Kodiak są tu ze względu na krew – aby mogły zapaść w sen zimowy, muszą mieć bardzo wysoki poziom tlenu we krwi. Badania dotyczące wzbogacania krwi tlenem na potrzeby Siódmego Szwadronu były przeprowadzane na nich.

– A co z klatkami zalanymi wodą? – spytała Janson. – Co w nich jest? Herbie przez chwilę milczał.

– Rzadka rasa jaszczurek, znanych jako smoki z Komodo – odpowiedział w końcu. – Jest to największa jaszczurka świata: ma około czterech metrów długości, tyle co krokodyl. Mamy ich sześć.

– I do czego ich się używa? – spytał Schofield.

– To najstarsze gady świata, występują jedynie na kilku rozproszonych, środkowych indonezyjskich wyspach. Potrafią doskonale pływać – wiadomo, że przepływają między wyspami – ale biegają również bardzo szybko na lądzie. Mogą bez problemu przegonić człowieka. Mają także niezwykle silny wewnętrzny system ochronny, który sprawia, że są niemal całkowicie niepodatne na choroby. Ich węzły chłonne wytwarzają skoncentrowaną surowicę antybakteryjną, która przez tysiąclecia chroniła je od chorób.

– Osocze krwi smoka z Komodo zostało tak skonfigurowane, aby dało się je dopasować do krwi ludzkiej, i to właśnie ono stanowi podstawę układu

odpornościowego Kevina – dodał prezydent. – Potem pobrano utworzone w ten sposób osocze krwi Kevina, by uzyskać surowicę, którą można będzie dodać do wody pitnej w całej Ameryce i uodpornić całą populację na sino wirus.

– Chcecie dodawać coś do wody pitnej? – spytał Schofield.

– Już to robiono – wyjaśnił Herbie. – W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku przeciwko toksynie jadu kiełbasianego oraz w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku – z powodu Iraku – przeciw węglikowi. Choć Amerykanie nie zdają sobie z tego sprawy, są odporni na większość istniejącej na świecie broni biologicznej.

– A co z więźniami? – spytał Book II. – Do czego oni służą?

Herbie popatrzył na prezydenta, który bez słowa skinął głową. Mały naukowiec wzruszył ramionami.

– To zupełnie inna historia. Nie dostarczają żadnego produktu ubocznego krwi ani surowicy. Ich rola jest prosta: są królikami doświadczalnymi do testowania szczepionki.

– Jezus Maria... – jęknęła Gant na widok listy więźniów. Kiedy Herbie zdradził im przeznaczenie więźniów na dole, ściągnął z którejś z baz danych ich spis.

Wszystkich było czterdziestu dwóch – albo mieli wyroki wielokrotnego dożywocia, albo kary śmierci, ale jakimś sposobem uniknęli krzesła elektrycznego.

– Najgorsi z najgorszych – stwierdził Herbie, patrząc na listę. Schofield o wielu słyszał.

Sylvester McLean – morderca dzieci z Atlanty. Ronald Noonan – piekarz z Houston, który przemienił się w snajpera z wieży zegarowej. Lucifer Leary – seryjny zabójca z Phoenix. Seth Grimshaw – sławetny przywódca Czarnej Ligi, skrajnie

agresywnej organizacji terrorystycznej, której członkowie uważali, że rząd USA przygotowuje Amerykę do przejęcia przez Narody Zjednoczone.

– Seth Grimshaw? – spytała Gant i popatrzyła na Janson. – To chyba nie on...

– On – odparła Juliet Janson, spoglądając nerwowo na prezydenta, stojącego po przeciwnej stronie laboratorium. – Na początku lutego. Zaraz po inauguracji. To naprawdę niebezpieczni ludzie.

– Mam nadzieję, że kraty w ich celach są mocne...

– No to świetnie... doskonale – mruknął Schofield. – W ten sposób wracamy do rzeczywistości. Jesteśmy zamknięci. Chcą zabić prezydenta, a ponieważ ma w sercu przekaźnik aktywizujący bomby, jeśli zginie, czternaście wielkich miast zamieni się w zgliszcza.

– Do tego na oczach wszystkich mieszkańców Ameryki – dodała Janson.

– Niekoniecznie – powiedział prezydent. – Cezar raczej nie zna dyrektywy LBJ.

– Co to jest? – spytał Schofield.

– To ochrona Awaryjnego Systemu Nadawczego, znana jedynie mnie i wiceprezydentowi. Najogólniej mówiąc, jest to wentyl bezpieczeństwa, wprowadzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku przez Lyndona Johnsona i mający zapobiec zbyt pochopnemu zastosowaniu ASN.

– Na czym to zabezpieczenie polega?

– Jeżeli nie zostanie wprowadzony specjalny kod, wszystkie komunikaty nadawane będą przez ASN z czterdziestopięciominutowym opóźnieniem. Innymi słowami – zapobiega to wysłaniu komunikatu w panice i jeśli sprawa nie jest szczególnie pilna, daje czas na uspokojenie. Mamy teraz godzinę ósmą zero dziewięć i pierwszy komunikat Cezara został wysłany, jeśli jednak uda nam się znaleźć

przekaznik komunikatów ASN, możemy następnie zablokować.

Schofield wyduł wargi w namyśle.

– Rozpatrzmy to w drugiej kolejności... gdy uda nam się znaleźć w

odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. – Odwrócił się do Herbiego. – Proszę nam opowiedzieć o kompleksie.

– Co tu jest do opowiadania? – Herbie wzruszył ramionami. – To forteca, niegdyś kwatera główna NORAD. Kiedy się ją zamyka, jest niedostępna. Ale chyba nigdy nikt nie myślał, że zostanie użyta do zamknięcia kogoś w środku.

– Nawet jednak przy całkowitym zamknięciu musi istnieć jakaś procedura otwierania – stwierdził Schofield. – Coś, co otworzy bazę po kryzysie.

Herbie skinął głową.

– Zamek czasowy.

– Zamek czasowy?

– W wypadku pełnego zamknięcia aktywowany jest sterowany zegarowo system bezpieczeństwa. Co każdą pełną godzinę ci, którzy są w środku, mają pięciominutowe okienko na wpisanie któregoś z trzech kodów.

– Jakiego rodzaju? – spytała Gant.

– Proszę nie zapominać, że ten ośrodek został zbudowany na wypadek wojny atomowej z Sowietami – powiedział Herbie. – Kody to odzwierciedlają. Pierwszy kod kontynuuje zamknięcie. Kryzys nuklearny trwa dalej, więc baza pozostaje zamknięta. Drugi kod stosuje się wtedy, gdy kryzys zostaje zażegnany. Kończy on zamknięcie – pancerne drzwi przeciwybuchowe zostają rozsunięte, a wszystkie wejścia i wyjścia ponownie otwarte.

– A trzeci kod?

– Pozwala uciec posłańcowi. Umożliwia otwarcie jednoosobowych wyjść dla posłańców.

Schofield słuchał uważnie tych wyjaśnień i po chwili zapytał:

– A co się stanie, jeśli w czasie trwania okienka nie zostanie wpisany żaden kod?

– Szybki pan jest, kapitanie. No właśnie... Jeżeli nie wpisze się kodu, jest to dla komputera bazy ostrzeżenie, że ośrodek być może został przejęty przez wroga. Daje wtedy jedną szansę na wpisanie któregoś z kodów – podczas okienka po upływie następnej godziny. Jeśli wtedy również nie wpisze się kodu, komputer uznaje, że wróg rzeczywiście przejął bazę, i uruchamia mechanizm samoniszczący.

– Mechanizm samoniszczący! – zawołał Book II. – A co to za wynalazek?

– Głowica termojądrowa o mocy stu megaton, zakopana pod bazą.

– Jezus Maria... – jęknął Mózgowiec.

– Z pewnością została usunięta po upadku Związku Radzieckiego – powiedziała Gant.

– Obawiam się, że nie – odparł Herbie. – Kiedy przekształcano bazę w ośrodek badania broni chemicznej, uznano, że urządzenie samoniszczące może być bardzo przydatne. Gdyby doszło do awarii i w bazie zaczął się rozprzestrzeniać jakiś wirus, można by cały zakażony ośrodek – wraz z wirusem – zniszczyć za pomocą wybuchu jądrowego.

– No dobrze – przerwał mu Schofield. – Więc jeżeli chcemy stąd wyjść, musimy zaczekać na codzienne okienko, znaleźć komputer podłączony do sieci centralnej i wpisać poprawny kod, tak?

– Zgadza się.

– Jak brzmią kody?

Herbie bezradnie wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Mogę w przypadku uwolnienia jakiegoś wirusa zainicjować zamknięcie kompleksu, ale nie mam upoważnienia, by cofnąć ten rozkaz. Może to zrobić jedynie dowództwo sił powietrznych.

– Chwileczkę, nie zapominamy przy tym wszystkim o czymś? – wtrąciła Juliet Janson.

– Na przykład o czym? – spytał Mózgowiec.

– Na przykład o Piłce. Teczce prezydenta. Tej, którą mu zabrano, aby nie uciekł z kompleksu. Ma co dziewięćdziesiąt minut przykładać do znajdującego się w niej czytnika dłoni, bo inaczej w miastach zaczną wybuchać bomby plazmowe.

– Cholera! – zaklął Schofield. Zupełnie o tym zapomniał. Popatrzył na zegarek.

Była godzina 8.12.

Wszystko zaczęło się o 7.00, co oznaczało, że prezydent musi przyłożyć dłoń do czytnika Piłki najpóźniej o 8.30.

– Gdzie jest w tej chwili Piłka? – spytał Schofield.

– Russell powiedział, że będzie w głównym hangarze, na poziomie zero powiedział prezydent.

– Co o tym sądzisz? – spytała Schofielda Gant.

– Sądzę, że nie mamy wielkiego wyboru. W jakiś sposób musimy przyłożyć jego dłoń do Piłki.

– Ale nie możemy tego robić przez cały czas.

– Nie, to prawda. W którymś momencie będziemy musieli zastosować rozwiązanie długoterminowe. Do tego czasu jednak pozostają nam tylko krótkoterminowe.

– Wyprowadzenie prezydenta na schody to samobójstwo – stwierdziła Janson. –

Na pewno będą tam na niego czekać.

– Masz rację. – Schofield wstał. – Dlatego zrobimy coś znacznie prostszego:

przyniesiemy mu Piłkę.

– Pierwsze, co musimy zrobić, to zająć się kamerami – powiedział. – Dopóki

działają, mamy przesrane. – Odwrócił się do Franklina. – Gdzie znajduje się główna skrzynka przełącznikowa?

– Chyba w hangarze na poziomie pierwszym, w północnej ścianie.

– W porządku. Matka, Mózgowiec – zajmijcie się tymi kamerami. Jeśli będzie

trzeba, odetnijcie prąd. Nie interesuje mnie, jak to zrobicie – ale wyłączcie kamery.

Jasne?

– Jasne – odparła Matka.

– I weźcie ze sobą doktora Franklina. Jeśli kłamie, zastrzelcie go.

– Oczywiście – powiedziała Matka, podejrzliwie spoglądając na niskiego naukowca. Herbie przełknął ślinę.

– A co z resztą? – spytała Juliet.

Schofield ruszył w kierunku krótkiej pochylni, prowadzącej do platformy podnoszącej samoloty.

– Resztę zapraszam na górę... pogramy w piłkę.

– Ponowne włączenie systemu przygotowane...

– Status? – spytał Cezar Russell.

Przed dziesięcioma minutami, podczas „przemowy” Russella Poprzez Awaryjny

System Nadawczy, doszło do nagłej przerwy w dostawie prądu i wszystkie

wewnętrzne systemy zostały na chwilę wyłączone.

– Przerwane zostało zasilanie główne – powiedział jeden z radiooperatorów. –

Korzystamy w tej chwili z zasilania awaryjnego. Wszystkie układy sprawne.

– Straciliśmy powiększony obraz satelitarny Awaryjnego Szybu Ewakuacyjnego, który właśnie przechodził. Odnowiamy kontakt z satelitą...

– Zrozumiałem. Główne zasilanie zostało wyłączone w skrzynce przełącznikowej na poziomie pierwszym dokładnie o ósmej, przez operatora zero zero osiem siedemdziesiąt dwa...

– Osiem siedemdziesiąt dwa? – zdziwił się Cezar.

– Sir, nie mamy obrazu. Wszystkie kamery siadły wraz z przerwaniem zasilania. Oczy Cezara zwęziły się.

– Wszystkie oddziały: raport!

– Tu Alfa – powiedział głos Kurta Logana. – Zaczynj sprawdzian częstotliwości.

Możliwe, że wróg przejął część naszego sprzętu radiowego.

– Sprawdzian częstotliwości zakończony – oświadczył główny operator. –

Dowódca oddziału Alfa, mów.

– Jesteśmy w hangarze na poziomie drugim. Kierujemy się do windy osobowej na spotkanie w głównym hangarze. Zgłaszam sześciu zabitych.

– Tu dowódca Bravo. Jesteśmy w głównym hangarze, pilnujemy Piłki. Wszyscy ludzie obecni i sprawni. Bez ofiar.

– Tu dowódca Chanie. Poruszamy się z Echo przez pomieszczenie socjalne na poziomie trzecim. Mamy jednego zabitego i dwóch rannych od tego główna z AWACS-em. Rozumiem, że cele widziano ostatnio na poziomie czwartym.

Przygotowujemy się do wspólnego ataku przez luki sufitowo-podłogowe między poziomami czwartym i trzecim. Proszę powiedzieć...

– Charlie, Echo – tu dowództwo. Straciliśmy wszelki kontakt wzrokowy w strefie laboratoriów na poziomie czwartym...

– Charlie i Echo, atakujcie według swego uznania – wtrącił Cezar Russell. –
Zmuszajcie ich do poruszania się. Nie mogą wiecznie uciekać.

– Tu Delta. Jesteśmy na poziomie piątym. Bez ofiar. Kiedy pokonaliśmy drzwi na ten poziom, cele przeszły na poziom czwarty. Uwaga – w strefie zamkniętej poziomu piątego jest poważne zalanie. Oczekujemy instrukcji...

– Delta, tu Cezar: wracajcie na poziom szósty. Osłaniajcie wyjścia torów X.

– Zrozumiałem, sir...

Dwudziestu ubranych na czarno komandosów pobiegło korytarzem na poziomie 3 – oddziały Charlie i Echo. Ich buty załomotały o podłogę.

Dotarli do przykrytej dywanem kłapy w podłodze. Wpisano odpowiedni kod i okrągły luk otworzył się z sykiem, otwierając przestrzeń na tyle dużą, że dało się nią przepelznąć między poziomami 3 a 4.

Jeden z komandosów wsunął się w otwór.

– Dowództwo, tu oddział Charlie – powiedział do mikrofonu Pyton Willis. –

Jesteśmy w otworze prowadzącym do laboratorium obserwacyjnego na poziomie czwartym. Przygotowujemy się do szturmu od góry.

– Do roboty! – odpowiedział mu Cezar Russell.

Pyton skinął głową swojemu człowiekowi stojącemu w wąskim otworze.

Komandos zwolnił hydrauliczny zamek i kłapa z łoskotem opadła na znajdującą się trzy metry niżej podłogę. Zeskoczył na dół, a za nim podążyło trzech kolejnych komandosów. Broń trzymali gotową do strzału.

Nikogo tu jednak nie było.

Laboratorium było puste.

Skądś, jakby z wnętrza ściany, doleciało głośne, mechaniczne dudnienie.

Komandosi odwrócili się jednocześnie.

Natychmiast rozpoznali odgłos poruszającej się platformy do podnoszenia samolotów.

Pobiegli w górę krótkiej pochylni, prowadzącej z poziomu laboratorium do szybu centralnego.

Kiedy tam dotarli, zdążyli ujrzeć jedynie spód gigantycznej platformy, jadącej w górę, do hangaru głównego.

Pyton Willis przystawił usta do mikrofonu.

– Dowództwo, tu oddział Charlie. Idą po Piłkę.

Potężna platforma unosiła się z głośnym łoskotem.

Jechała powoli – musiała unieść wrak boeinga AWACS.

Samolot leżał przekrzywiony na bok i wyglądał jak zraniony ptak z szeroko rozłożonymi skrzydłami i połamanym dziobem. Obrotowa antena – wciąż sprawna – wznosiła się wysoko nad kupą złomu.

Wielka platforma sunęła w górę pokrytych smarem betonowych ścian.

Kiedy mijala otwarte wrota na poziomie 1, zeskoczyły z niej szybko trzy małe postacie i podążyły do podziemnego hangaru.

Byli to Matka i Mózgowiec oraz ciężko dyszący Herbie Franklin.

Ich celem było dotarcie do centralnej skrzynki przełącznikowej, umieszczonej według Franklina w hangarze na poziomie 1, i zniszczenie systemu kamer obserwacyjnych.

W hangarze nikogo teraz nie było, komandosi 7. Szwadronu dawno sobie stąd

poszli. Ogromną przestrzeń wypełniały jedynie oba „niewidoczne” bombowce i samotny SR-71 Blackbird – ciche i nieruchome niczym śpiący wartownicy.

Matka – sunąca pod lewą ścianą – spojrzała na zegarek.

8.20

Dziesięć minut na doprowadzenie prezydenta do Piłki.

Przed sobą, na końcu ściany, dostrzegła wielki sześcian. Jego trzymetrowe drzwi były poskręcane i pogiete.

– No proszę... – mruknęła.

– Co jest? – spytał zza jej pleców Herbie Franklin.

– Ślady po naszym wcześniejszym spotkaniu z Siódmym Szwadronem –

wyjaśniła. – Wystrzelili dwa stingery... jeden walnął w ten schowek, a drugi przebił zbiorniki z wodą w ścianie przy windzie osobowej.

– O! – zawołał Herbie.

– Zobaczmy, co zostało.

Wielka platforma jechała dalej w kierunku głównego hangaru. Najpierw na górze pojawiły się resztki boeinga. Pierwszy nad krawędź wyjechał oderwany ogon... ..potem antena... ..połamane skrzydła...

Powoli ukazała się reszta poobijanego samolotu, po czym – z głośnym

BUBUMMM – platforma dotarła na poziom podłogi i znieruchomiła. Na długie sekundy zapadła cisza.

Hangar nosił liczne ślady potyczki, która odbyła się tu niemal półtorej godziny wcześniej.

Marine One – ciągle połączony liną z ciągnikiem holowniczym – stał przy

zachodniej krawędzi platformy, podczas gdy bliźniaczy helikopter – Nighthawk

Dwa i jego karaluch stały przy krawędzi pomocnej, przy windzie osobowej.

Po wschodniej stronie boeinga AWACS było dziesięciu komandosów 7.

Szwadronu, z oddziału Bravo, ukrywających się za półkolistą barykadą ze skrzyń i waliz między platformą i piętrowym budynkiem.

Pośrodku tego półkola stała na krześle stalowa walizka – teraz otwarta, ukazująca czerwone i zielone światelka, klawiaturę oraz płaski szklany analizator linii papilarnych.

Piłka.

Kapitan Bruno „Boa” McConnell – szarooki dowódca oddziału Bravo – podejrzliwie obserwował zmasakrowanego boeinga.

Zniszczony samolot stał bez ruchu pośrodku wielkiego hangaru – był teraz wielką stertą złomu. Nic nie przerywało ciszy.

– Jak u was, Matka? – zapytał głos Schofielda w słuchawce Newman, pożyczonej od jednego z zabitych agentów Secret Service.

Na poziomie 1 Matka oglądała zniszczoną skrzynkę przełącznikową. Uderzenie stingera zniszczyło połowę z niej, druga połowa stanowiła beładną plątaninę przewodów – niektóre połączenia były jednak sprawne. Herbie Franklin stukał w klawisze komputera, który jakimś cudem przetrwał uderzenie.

– Jeszcze sekundę – powiedziała Matka do mikrofonu na nadgarstku. – Co jest, Poindexter*?

* Chodzi o admirała Johna Poindextera, doradcę, prezydenta Reagana do spraw bezpieczeństwa narodowego, skazanego za zawiązanie spisku, okłamywanie Kongresu, oszukiwanie rządu i niszczenie dowodów dotyczących afery Iran-Contras (przyp.

tłum.).

Herbie Franklin zmarszczył czoło.

– To nielogiczne... ktoś już tu był, mniej więcej dwadzieścia minut temu, o ósmej.

Odciął główne zasilanie. Cała baza pracuje na zasilaniu awaryjnym.

– Możesz odciąć kamery?

– Nie muszę. Zostały odcięte wraz z przerwaniem zasilania. – Herbie popatrzył na Matkę. – Już są odłączone.

W hangarze głównym otworzyły się drzwi windy osobowej. Z kabiny wysiadł Kurt Logan i trójka komandosów, pozostałych z oddziału Alfa. Podeszli do Boa McConnella i żołnierzy oddziału Bravo.

– Co się dzieje? – spytał Logan.

– Nic... – odparł Boa. – Na razie.

– Dowództwo, tu oddział Chanie – rozległ się w głośnikach głos Pytona Willisa.

– Na poziomie czwartym nie ma nikogo.

– Rozumiem. Wjedź ze swoimi ludźmi windą na poziom zero. Echo, wy zostańcie na dole. Cezar chce, żebyście przeczesali niższe poziomy. Straciliśmy obraz ze wszystkich kamer i potrzebujemy na dole kilku par oczu...

Na poziomie 1 Matka włączyła mikrofon na nadgarstku.

– Strachu na Wróble, tu Matka. Kamery wyłączone. Powtarzam: kamery wyłączone. Idziemy do szybu centralnego.

– Dzięki, Matka.

– Doskonale, wracamy do gry – powiedział Schofield, zwracając się do prezydenta, Booka II i Juliet. Popatrzył na zegarek:

8.25:59 8.26:00

Będzie ciasno...

– Lis, Elvis, Maszyna Miłości – szykować się! Na mój znak. Na trzy... W

głównym hangarze panowała cisza.

– Dwa...

Marine One stał mniej więcej dziesięć metrów od wraku AWACS-a, połyskując w sztucznym świetle.

– Jeden...

Żołnierze oddziału Bravo wpatrywali się uważnie w samolot, trzymając uniesioną, gotową do strzału broń, ich palce mocno naciskały spusty.

– ...teraz!

Schofield nacisnął guzik na niewielkim urządzeniu, które trzymał w ręku – zdalnym detonatorze granatu RDX, który znaleźli przy jednym z komandosów 7.

Szwadronu w pomieszczeniu dekompresyjnym. RDX ma ładunek znacznie mocniejszy od C4 – wybucha z wielką siłą i na bardzo dużą odległość. Jest to tak zwany ładunek super wybuchowy.

Ledwie Schofield wcisnął guzik, ładunek RDX, który umieścił w kokpicie zniszczonego boeinga, eksplodował – zasypując hangar deszczem szkła i szrapneli.

W tym momencie zaczęło dziać się bardzo wiele rzeczy naraz.

Żołnierze oddziału Bravo skoczyli za osłony, próbując ratować się przed skutkami eksplozji.

Nad ich głowami przemknęła fala rozżarzonych kawałków metalu, wbijając się w drewno niczym strzałki w korek.

Kiedy zaczęli się podnosić, dostrzegli jakiś ruch i po chwili ujrzeli trzy cienie, wypełzające z szybu wentylacyjnego pod Marine One.

– Tam! – krzyknął Boa.

Jeden z cieni wybiegł spod prezydenckiego helikoptera, podczas gdy dwa

pozostałe zaczęły wślizgiwać się do środka przez klapę w podłodze kadłuba. Chwilę później silniki Marine One zaryczały.

Ogon rozłożył się z pozycji przeznaczonej do parkowania, tak samo rozłożyły się łopaty wirnika i zaraz potem zaczęły się obracać – choć helikopter w dalszym ciągu był połączony liną z ciągnikiem holowniczym.

Kiedy samotny Marine, który wybiegł spod helikoptera – Maszyna Miłości – odpiął przywiązanego do ogona Marine One karalucha i wpełzł do maleńkiej kabiny kierowcy, komandosi 7. Szwadronu zaczęli strzelać.

– Co się, kurwa... – wymamrotał Kurt Logan, kiedy ciągnik – zarzucając na boki – wyjechał zza Marine One, zakręcił szerokim łukiem i skierował się prosto na komandosów, strzegących Piłki. – Otworzyć ogień! – wrzasnął. – Natychmiast otworzyć ogień!

Rozkaz został wykonany.

O przednią szybę załomotała salwa ciężkich pocisków z P-90, natychmiast rozbijając ją na kawałeczki.

Maszyna Miłości kulił się za deską rozdzielczą. Pociski szarpały oparcie fotela za jego plecami, rozrzucając na boki kłaczki gąbki.

Karaluch pędził naprzód, dziko zarzucając.

Nagle tuż za nim w powietrze uniósł się Marine One – wewnątrz hangaru.

Klekot łopat wirnika odbijał się od ścian, zagłuszając wszelkie inne dźwięki.

Siedząca w kokpicie Gant obsługiwała przyrządy pokładowe, a Elvis

błyskawicznie naciskał kolejne klawisze komputera.

– Elvis! Daj mi rakiety! I nie traf w Piłkę! – zawołała. Elvis wcisnął klawisz odpalania.

WZZZIUMMM !

Z wyrzutni, zamontowanej na boku kadłuba prezydenckiego helikoptera, wystrzeliła rakietka Hellfire i ciągnąc za sobą smugę dymu, pomknęła w kierunku budynku pod wschodnią ścianą hangaru.

Trafiła dokładnie w jego środek – przelatując nad pilnującymi Piłki komandosami oddziału Bravo – i eksplodowała wewnątrz.

Budynek wybuchł od środka, wyrzucając potężną chmurę szkła i tynku. Część oszklonego piętra zapadła się tuż za komandosami 7. Szwadronu.

Odskoczyli od spadającego gruzu, zaraz jednak musieli uciekać w przeciwnym kierunku, by uniknąć innego niebezpieczeństwa – nadjeżdżającego karalucha z Maszyną Miłości za kierownicą.

Zapanowało kompletne szaleństwo.

Hangar zamienił się w dom wariatów.

Dokładnie tak, jak Schofield sobie wymarzył.

Obserwował całe to zamieszanie ze zniszczonego samolotu. Na jego zegarku przeskakiwały cyferki:

8.27:50

8.27:51

Zostały jeszcze dwie minuty.

– Book, ruszamy! – Odwrócił się do prezydenta i Juliet. – Zostaniecie tutaj, dopóki nie wrócimy. Jeżeli się da, przyniesiemy tu Piłkę. Jeżeli nie, będzie musiał pan wyjść.

Powiedziawszy to, wyskoczyli we dwóch z dziury, ziejącej w ogonie AWACS-a, i pobiegli przez otwartą przestrzeń hangaru.

Dokładnie w tym samym momencie z kadłuba, pod nosem Marine One, wysunęło się sześciolufowe minidziało Vulcan i zaczęło wypluwać swoją niszczycielską zawartość.

Komandosi 7. Szwadronu – już i tak mocno rozproszeni – rozproszyli się jeszcze bardziej. Niektórzy schowali się za barykadę ze skrzynek, inni ukryli się między fragmentami wraka boeinga i zaczęli strzelać do prezydenckiego helikoptera.

Gant siedziała za jego sterami i choć pociski wroga drapały leksanową szybę, nie musiała się za bardzo bać, bo kadłub wytrzymał uderzenie rakiety, więc broń ręczna niewiele mogła mu zaszkodzić.

Elvis pokrzykiwał JUHHUU! – i dawał wycisk komandosom 7. Szwadronu.

Schofield i Book II biegli na wschód, szybko zbliżając się do strażników Piłki.

Byli doskonale zgrani – równocześnie podnosili broń i strzelali, ale celowali w karalucha Maszyny Miłości i Marine One. Nie mogli inaczej, bo ich przebranie na nic by się nie przydało – mieli na sobie czarne kombinezony, czarne opancerzenia i czarne maski gazowe 7. Szwadronu, które zabrali zabitym komandosom w komorze dekompresyjnej na poziomie 4.

Odbili w bok, kierując się ku barykadzie przed Piłką, ale choć strzelali aż do rozgrzania się luf, nikogo nie trafiali.

W końcu dotarli do barykady i walizki na krześle.

Schofield przyjrzał się jej.

– Cholera! – zaklął.

Prezydencka walizka była przykuta do tkwiącego w betonie bolca za pomocą grubej liny. Prawdopodobnie z tytanu. Zegarek!

8.28:59 8.29:00

– Janson! – powiedział do mikrofonu na nadgarstku. – Piłka jest przykuta do podłogi! Nie ruszymy jej. Musisz wyjść z prezydentem na zewnątrz!

Odpowiedź była krótka:

– Dobrze.

– Lis! Maszyna Miłości! Potrzebuję jeszcze pół minuty tego chaosu! Potem wiecie, co robić!

– Cokolwiek sobie życzysz, Strachu na Wróble – odpowiedział mu głos Gant.

– Jasne, szefie! – dodał Maszyna Miłości.

W tym momencie Janson i prezydent wyskoczyli z ogona boeinga – również ubrani w mundury 7. Szwadronu – i z pistoletami w rękach, z których natychmiast otworzyli ogień do karalucha.

Janson strzelała ze swojego sig-sauera, trzymając go oburącz, ale prezydent nie potrafił tak dobrze posługiwać się swoją bronią, choć jak na kogoś, kto nigdy nie służył w wojsku, radził sobie doskonale.

Marine One zataczał szerokie koło i mimo że złapał ogień, łopaty jego wirnika wciąż pracowały, ogłuszająco dudniąc w zamkniętej przestrzeni.

Ciągnik holowniczy Maszyny Miłości minął osłaniającą Piłkę barykadę, skręcił w lewo i ruszył na północ. Po chwili przemknął przez szczątki AWACS-a i zniknął za nimi.

Cezar Russel obserwował chaos na dole ze znajdującego się w budynku w hangarze pomieszczenia kontrolnego.

Widział, jak prezydencki helikopter krąży po hangarze, siejąc śmierć i zniszczenie. Patrzył na pędzącego karalucha, taranującego resztki zniszczonego samolotu.

Widział, jak jego ludzie – rozproszeni i zdezorientowani – strzelają beładnie do obu obiektów, jakby nie umieli sobie poradzić z czymś tak szaleńczym.

– Niech to cholera! – wrzasnął. – Gdzie jest Charlie?

– Wjeżdżają windą osobową, sir.

Jak grom z jasnego nieba poraził Russella następny widok.

– O, nie...

Jeden z jego ludzi podbiegł do Piłki – wciąż otoczonej przez kilku ludzi z oddziału Bravo – ściągnął z dłoni rękawicę i pod osłoną trzech innych komandosów

7. Szwadronu przysunął dłoń do analizatora linii papilarnych we wnętrzu walizki.

Zegarek Schofielda tykał nieubłaganie.

8.29:31

8.29:32

Prezydent, ogłuszany kakofonią, tworzoną przez szalejący helikopter oraz strzelaninę, ochraniany przez Schofielda, Juliet Janson i Booka II, podszedł do Piłki.

Ściągnął rękawicę, rozejrzał się i przechodząc obok walizki położył dłoń na analizatorze – w chwili, gdy cyferki zegara przeskoczyły na 0:24.

Walizka zapiszczała i minutnik przeskoczył z 0:25 na 90:00 i znów zaczął odliczanie.

Kiedy zadanie zostało wykonane, cała czwórka ruszyła dalej równym krokiem.

– Broń do góry i strzelać! – rozkazał Schofield. Przyłożył mikrofon na nadgarstku do ust: – Lis, Elvis, Maszyna Miłości: wynoście się stąd! Spotkamy się z wami na dole. Matka: platforma! Natychmiast!

Matka stała w wejściu do hangaru na poziomie 1 i patrzyła w górę centralnego szybu.

Ponad sześćdziesiąt metrów wyżej znajdowała się platforma do podnoszenia samolotów, zza której dolatywały odgłosy walki.

Matka wcisnęła klawisz wzywający platformę i potężne urządzenie zaczęło powoli zjeżdżać w dół.

Potrzaskane resztki boeinga – wraz z platformą, na której leżały – zaczęły zapadać się pod poziom podłogi hangaru głównego.

Schofield, Book II, Juliet i prezydent ruszyli w jej kierunku, strzelając do Marine One, by wyglądać jak komandosi 7. Szwadronu.

Cezar złapał za mikrofon.

– Boa! Logan! Prezydent tu jest! Wszedł między was, a teraz idzie do platformy!

Na Boga – ma na sobie nasz mundur!

Kurt Logan zawirował wokół własnej osi i ujrzał ich – czterech komandosów 7.

Szwadronu, zeskakujących na powoli opadającą platformę i nie zwracających najmniejszej uwagi ani na Marine One, ani na ciągnik.

– Platforma! – wrzasnął. – Oddział Bravo! Ruszać na platformę! Alfa – zdejmijcie ten cholerny helikopter i rozwalcie karalucha!

Marine One powoli opadał na ziemię. Dywersyjna misja została zakończona.

Gant wylądowała dokładnie w tym samym miejscu, z którego wystartowała – nad szybem wentylacyjnym w podłodze, w zachodniej części hangaru – i z pomocą Elvisa tak poprowadziła maszynę, że luk w podłodze kadłuba znalazł się dokładnie nad klapą wentylacyjną.

Ledwie helikopter stanął w miejscu, zeskoczyła z fotela pilota i skierowała się ku lukowi w podłodze, a Elvis otworzył lewe drzwi kabiny, by wpuścić do środka Maszynę Miłości.

Maszyna Miłości przeżywał ciężkie chwile.

Jego pojazd nie był tak kuloodporny jak Marine One, więc komandosi 7.

Szwadronu dali mu nieźle popalić.

Wokół niego waliły pociski, szkło się rozpryskiwało, opony piszczały. A musiał jeszcze dostać się jakoś do Marine One.

Gdy otrzymał komunikat od Schofielda, właśnie zawrócił, by minąć ludzi 7.

Szwadronu po wschodniej stronie platformy podnoszącej samoloty.

Był po przeciwnej stronie szybu centralnego niż Marine One i kierował się na północ, a platforma opadła już na tyle, że nie można było na nią wjechać.

Musiał objechać szyb centralny.

Kiedy trzech ludzi z 7. Szwadronu pojawiło się dokładnie przed nim i obsypało jego pojazd salwą, kolejne dziury przeorały kabinę karalucha. Dwa pociski wbiły się w lewe ramię kierowcy. Maszyna Miłości krzyknął z bólu.

Kolejna salwa trafiła w obie przednie opony. Pojazd nagle zaczął zarzucać na boki i niebezpiecznie blisko przysunął się do krawędzi szybu centralnego, skąd do opadającej platformy były już teraz tylko trzy metry.

Jakimś sposobem Maszynie Miłości udało się nie spaść do szybu. Przeskoczył nad północno-wschodnim brzegiem wielkiej dziury, przemknął obok ostrzeliwującego go wroga i z ogromną prędkością wpadł w resztki Nighthawka Dwa, stojącego niedaleko północnej ściany hangaru – wciąż przywiązanego do ciągnika holowniczego – dokładnie w miejscu, gdzie Book II pozostawił go półtorej godziny wcześniej.

Elvis dostrzegł to zderzenie ze środka Marine One – widział, jak karaluch

Maszyny Miłości wbija się w Nighthawka Dwa, jak podobny do cegły pojazd niemal

do połowy zagłębia się w pogniecionym boku helikoptera i zatrzymuje się, dygocząc.

Patrzył, jak trzech komandosów 7. Szwadronu rusza na zmasakrowanego karalucha.

– O, nie... – jęknął.

W tym czasie Schofield, Book II, Juliet i prezydent – wciąż ubrani w czarne mundury – przekradali się wschodnim brzegiem platformy.

Po opuszczeniu w głąb szybu zamieniła się ona w dno gigantycznej studni, z której nie było jak uciec, a z powodu porzucanych wszędzie resztek AWACS-a poruszanie się na niej przypominało błądzenie po labiryncie.

Między szczątkami samolotu sunęło siedmiu komandosów oddziału Bravo – szukając uciekającej czwórki.

Schofield omijał przeszkody i wypatrywał wroga, ale tak naprawdę szukał czegoś innego.

Jest!

Oderwany kawał skrzydła znajdował się dokładnie w tym samym miejscu, w rogu wschodniej i północnej ściany szybu.

Schofield podbiegł do niego. Z pomocą Booka II podniósł złamane skrzydło, odsłaniając prostokątny otwór w platformie.

Miał on jakieś trzy na trzy metry. Tu właśnie mieściła się „winda w windzie”.

Miniplatforma znajdowała się teraz mniej więcej pięć metrów niżej – ukryta w cieniu, nieruchoma. Czekwała na nich.

Schofield zakrył otwór resztką skrzydła, by nie zauważyli go komandosi 7.

Szwadronu.

Była to droga ich ucieczki.

– Maszyna Miłości! Żyjesz? – wrzasnął do mikrofonu Elvis.

– Kurwa mać... – doleciała zboląta odpowiedź.

– Możesz się ruszać?

– Wynoście się stąd. Ze mną już koniec. Jestem trafiony, a poza tym rozwalilo mi kostkę.

– Nikogo nie zostawiamy – powiedział na tej samej częstotliwości inny głos. Był to głos Schofielda.

– Elvis – dodał kapitan – wycofaj się razem z Lis, ja jestem bliżej, więc zajmę się Maszyną Miłości. Maszyna Miłości – nie łam się i czekaj. Idę po ciebie.

Schofield spojrzał w górę.

– Co zamierzasz? – spytał go Book II.

– Idę po Maszynę Miłości – odparł Schofield, przyglądając się zniszczonemu kadłubowi AWACS-a.

Kadłub samolotu przez cały czas był ustawiony skosem – dziób nisko, tył w górze. Wysoko wznosząca się reszka ogona samolotu w dalszym ciągu wystawała ponad krawędź szybu. Nie miało to jednak potrwać długo.

– Weźcie prezydenta na dół – powiedział Schofield do Booka II i Juliet.

– A pan? – spytała Juliet.

– Idę po Maszynę Miłości. Spotkamy się na dole. Powiedziawszy to, ruszył w płataninę metalu nad ich głowami.

Book II i Juliet przyglądali mu się przez chwilę, a potem skoczyli do znajdującej się w dole mini windy.

Schofield biegł w górę skośnie leżącego skrzydła zniszczonego samolotu.

Dotarł do krawędzi skrzydła, po czym wykorzystując wgniecenia w blasze,

wspiął się na kadłub. Był na dachu samolotu, kiedy dostrzegło go dwóch stojących na platformie komandosów wroga.

Ich P-90 zaczęły strzelać.

Schofield nawet na sekundę się nie zatrzymał. Biegł po skośnie ustawionym kadłubie i cały czas zbliżał się do najwyższego punktu zniszczonego ogona – wciąż jeszcze wystającego nad krawędzią szybu.

Dotarł tam w chwili, gdy szczyt kadłuba zrównał się z krawędzią szybu. Skoczył do przodu, wyciągnięty jak struna, i wylądował z łomotem na betonowej podłodze hangaru, siedem metrów od rozwalonego karalucha Maszyny Miłości – poza linią strzału.

Kiedy podniósł głowę, zobaczył trzech komandosów wroga przy ciągniku. Na widok lufy P-90 przed nosem Maszyna Miłości westchnął. Rysy twarzy trzymającego karabinek szturmowy komandosa zakrywała maska gazowa, ale oczy miał odsłonięte. Błyszczały z zadowolenia. Maszyna Miłości zacisnął powieki i czekał na koniec.

BLAMM!

Koniec nie nastąpił.

Maszyna Miłości, zdziwiony, otworzył oczy i ujrzał, że jego niedoszły oprawca – pozbawiony połowy głowy – zatacza się, po czym jakby w zwolnionym tempie przewraca na bok.

Pozostali dwaj komandosi natychmiast się odwrócili i zaraz potem ścięła ich z nóg seria pistoletu samopowtarzalnego. Maszyna Miłości stwierdził, że stoi przed nim... ...Strach na Wróble.

W mundurze komandosa 7. Szwadronu.

– Chodź! – rzucił Schofield. – Spadamy stąd.

Book II wylądował na miniplatformie obok Juliet i prezydenta – po przeleceniu mniej więcej dwóch i pół metra. Było tu bardzo ciemno.

Kiedy wszyscy się tam znaleźli, Juliet wcisnęła klawisz, umieszczony na konsolecie w podłodze, i miniplatforma zaczęła zjeżdżać w dół – na własnych prowadnicach. Poruszała się szybciej niż duża platforma, więc coraz bardziej się od niej oddalali.

Schofield zaczął wyciągać Maszynę Miłości z karalucha.

Kiedy to robił, zauważył, że na podłodze zniszczonego kokpitu Nighthawka

Dwa leży porozrzucana broń: dwa MP-10, kilka granatów, pistolet samopowtarzalny kaliber 44 Desert Eagle oraz dwa karabiny tkwiące w czarnych skórzanych pochwach do mocowania na plecach. Wszystko to musiało wypaść z arsenału helikoptera, kiedy został trafiony.

Broń, która najbardziej spodobała się Schofieldowi, wyglądała jak tradycyjny pistolet maszynowy, miała krótką grubą lufę i dwie ręczki. Z lufy wystawał złożony chromowany hak, pośrodku którego znajdowała się pękata bryła metalu.

Był to sławny armalite MH-12 maghook, wyrzutnia specjalnego haka, którego część można było zamieniać w silny magnes, przyczepiający się do dowolnych metalowych przedmiotów.

– Wspaniale... – mruknął Schofield, złapał oba maghooki i podał jeden Maszynie Miłości. Wziął też MP-10 i wielkiego desert eagle’a, którego wsunął sobie za pasek.

PING!

Drzwi windy osobowej znajdujące się obok nich rozsunęły się... ..ukazując

dziesięciu uzbrojonych po zęby komandosów 7. Szwadronu. Był to Pyton Willis i

jego oddział Charlie.

Na widok ubranego w mundur 7. Szwadronu Schofielda Pytonowi omal oczy nie wyskoczyły z orbit.

Jego ludzie natychmiast unieśli broń.

– Cholera! – Schofield wepchnął Maszynę Miłości z powrotem do ciągnika i sam wskoczył do kabiny. W tym momencie w jej bok załomotały pociski.

Schofield wrzucił wsteczny bieg – mając nadzieję, że pojazd może się poruszać – i wcisnął gaz do deski.

Karaluch zaskrzeczał, spod jego opon poleciał dym i ciągnik wystrzelił spomiędzy resztek Nighthawka Dwa, sypiąc za sobą snopy iskier.

Pędził do tyłu po cementowej podłodze, o centymetry minął szyb centralny i zbliżał się do znajdującej się po wschodniej stronie hangaru pustej barykady.

Schofield odwrócił się o sekundę za późno.

Wcisnął hamulec i trzytonowy pojazd obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Przód karalucha niczym kij bejsbolowy jednym uderzeniem zmiotł barykadę, rozrzucając we wszystkie strony drewniane skrzynki i walizki. Karaluch z szarpnięciem stanął.

SchofielDEM gwałtownie rzuciło. Kiedy rozejrzał się, by się zorientować, gdzie jest, ku swemu zaskoczeniu – w odległości mniej więcej trzydziestu centymetrów – ujrzał krzesło z prezydencką walizką – Piłką.

Jasna cholera!

Rączka walizki wciąż była przymocowana tytanową linką do bolca w podłodze, teraz jednak nie otaczali jej komandosi 7. Szwadronu, którzy uznali, że po zresetowaniu minutnika prezydent będzie chciał się jak najszybciej oddalić.

Tak więc Piłka leżała sobie na krześle, przez nikogo nie chroniona.

Schofield skorzystał z okazji.

Wyskoczył z ciągnika i podbiegł do Piłki.

Żołnierze oddziału Charlie szli tyralierą przez hangar. Strzelali w karalucha, rwąc jego blachy setkami pocisków.

Schofield, zasłonięty przez ciągnik, wyjął z kieszeni „wywalacz zamków”, przymocował go do bolca w betonie, wcisnął przycisk wyzwalamy eksplozję i uskoczył.

Sto dwadzieścia jeden...

Sto dwadzieścia dwa...

Sto...

Wybuch był krótki i gwałtowny.

Z głośnym trzaskiem bolec w betonie pękł i nagle Piłka była wolna.

Schofield jednym skokiem zanurkował z powrotem do szoferki karalucha. W tej samej chwili znaleźli się przy nim komandosi 7. Szwadronu.

Dwóch z nich wskoczyło na tył pojazdu, ale nie zdążyli jeszcze pewnie stanąć, gdy Schofield wcisnął pedał gazu i impet szarpnięcia sprawił, że polecieeli na boki.

Jeden z nich miał jednak doskonały refleks: odrzucił karabinek i złapał się jakiegoś występu na dachu rozpędzającego się karalucha.

Schofield gwałtownie skręcił, by objechać szyb centralny od południa. Opony piszczwały, silnik wył.

Miał przed sobą Marine One. Łopaty wirnika helikoptera ciągle się poruszały.

Schofield właśnie do niego zamierzał się dostać – chciał podjechać z boku, wskoczyć do środka, zejść w dół lukiem awaryjnym i zsunąć się do szybu

wentylacyjnego.

W tym momencie zobaczył, że zza prezydenckiego helikoptera wychodzi trzech żołnierzy przeciwnika – z uniesionymi w górę karabinkami szturmowymi. Szli po niego.

Z jakiegoś powodu nie strzelali jednak.

Dlaczego nie strze...

Tylne okienko szoferki, znajdujące się tuż za głową Schofielda, nagle się rozprysnęło, obsypując obu marines gradem szkła, i po obu stronach głowy Schofielda pojawiły się odziane w czarne rękawice dłonie. Jedna z nich trzymała nóż. Był to komandos, któremu udało się utrzymać na dachu.

Schofield odruchowo złapał za uzbrojoną dłoń. Palce drugiej wpiły mu się w twarz.

Nadal pędzili na Marine One. Obie przednie opony karalucha były przebite, a pozbawiony sterowania pojazd zarzucał jak pijany.

Schofield kątem oka widział przed sobą Marine One i szybko obracające się śmigło na ogonie – rozmazane koło, wirujące niecałe dwa metry nad podłogą, kilkanaście centymetrów powyżej dachu karalucha.

Nie wahał się ani chwili.

Wprowadził karalucha w poślizg, jego tył wściekle zarzucił i ciągnik wjechał pod wirnik ogonowy Marine One. Ostre jak noże łopaty śmigłały tuż nad karaluchem.

Komandos na dachu wrzasnął przerażony, po czym jego krzyk nagle się urwał.

Głowa żołnierza została odcięta równo przy barkach, a z dachu ciągnika chlusnęła krew.

Kiedy karaluch wjechał pod ogon Marine One, trójka żołnierzy oddziału Alfa

odskoczyła na boki.

Postrzelany pojazd wyjechał spod helikoptera i zatrzymał się przodem do szybu centralnego.

Schofield widział ziejącą przed nimi pustkę. Platforma przez cały czas powoli opadała i obrotowa antena AWACS znajdowała się już jakieś trzy metry pod poziomem podłogi hangaru.

Dodał gazu.

Maszyna Miłości domyślił się, co Schofield zamierza zrobić.

– Kapitanie, zwariowałeś!

– Żeby tylko się udało... Trzymaj się. Dodał gazu.

Karaluch wyprysnął do przodu, tylne opony piszcząły, zbliżali się nieuchronnie do krawędzi.

Najważniejsza jest prędkość, pomyślał Schofield. Potrzebował odpowiedniego impetu, aby dolecieć do... Byli coraz bliżej krawędzi. Wokół wystrzeliwały snopy iskier. Schofield mocno trzymał kierownicę.

Wreszcie karaluch dotarł do krawędzi i wyskoczył w powietrze. Leciał z wysoko uniesionym nosem i wirującymi kołami.

Po chwili zaczął spadać, przekręcając się w powietrzu tak, że przód znalazł się niżej od tyłu.

Platforma była teraz mniej więcej dziesięć metrów poniżej górnej krawędzi szybu, ale korpus rozbitego AWACS-a-i jego obrotowa antena – sprawiły, że ciągnik spadł jedynie trzy metry w dół.

Wylądował z wielkim hukiem dokładnie pośrodku wysoko wystającej, skośnie ustawionej anteny.

Jej konstrukcja z tytanu wytrzymała impet uderzenia karalucha.

Nie wytrzymały jednak podpory.

Natychmiast się wygięły i pękły jak gałązki, pękła również część kadłuba, na której były zamocowane.

Metalowy korpus boeinga pod ciężarem ciągnika został zgnieciony jak puszka po napojach, skutecznie amortyzując impet uderzenia.

Talerz anteny wbił się w jej podstawę, tworząc coś w rodzaju pochylni, po której karaluch zjechał na kadłub samolotu, a stamtąd na lewe skrzydło.

Kiedy ciągnik podskakiwał, ześlizgiwał się na boki i parł naprzód, Schofieldem i Maszyną Miłości rzucało jak szmacianymi lalkami.

Jakimś sposobem Schofieldowi udało się wcisnąć pedał hamulca i karaluch, szarpiąc wściekle, obrócił się, po czym huknął o ścianę szybu – tuż przy prostokątnym otworze w platformie, pod którym znajdowała się „winda w windzie”.

Jeszcze na dobre się nie zatrzymał, gdy Schofield już wstawał, pomagając Maszynie Miłości wypełznąć z kabiny. Niemal w tym samym momencie spomiędzy stert poskręcanej blachy wyskoczyli pierwsi komandosi 7. Szwadronu i natychmiast otworzyli ogień.

Na szczęście ich pociski okazały się niecelne.

Mogli jedynie się przyglądać w zdumieniu, jak Schofield podaje Maszynie Miłości prezydencką walizkę, zarzuca sobie rannego kolegę na plecy i skacze w otwór miniplatformy, znikając w ciemności.

Schofield i Maszyna Miłości lecieli w dół szybu niczym podniebni surferzy, maleńcy jak krasnale na tle gigantycznych ścian.

Maszyna Miłości z całej siły trzymał Schofielda za ramiona, ściskając Piłkę i wrzeszcząc: AAAAAAAAAAAAA!

Szara betonowa ściana przemykała obok nich jak ekspres.

Schofield spojrział w dół i ujrzał prostokąt światła, wpadający do szybu przez otwarte drzwi na poziomie 1 i oświetlający zaparkowaną tam małą platformę – ponad sześćdziesiąt metrów w dole.

Wyjął z pochwy na plecach zdobycznego maghooka i naciśnięciem odpowiedniego przycisku w ręczce otworzył hak.

Nie mógł strzelać w spód głównej platformy, bo maghook miał jedynie czterdzieści pięć metrów linki i zawiśliby wysoko nad wejściem do poziomu 1.

Musiał poczekać, aż spadną jeszcze jakieś piętnaście metrów i...

Ponieważ przelatywali bardzo blisko ściany, Schofield w którymś momencie zahaczył hak o stalowy uchwyt, wystający z pokrytej warstwą smaru ściany. Uchwyt ten przytrzymał wiązkę kabli, schodzących w dół szybu.

Choć hak złapał uchwyt, spadali dalej – a linka rozwijała się szybko, latając na boki.

Mała platforma zbliżała się błyskawicznie. Coraz szybciej... szybciej... szybciej...

Nagle szarpnęło nimi gwałtownie.

Zatrzymali się – metr nad małą platformą, naprzeciwko wielkich wrót, prowadzących na poziom 1.

Schofield przestał przyciskać czarny guzik na przedniej ręczce maghooka, co spowodowało zahamowanie odwijania się linki i ostatni metr opadali powoli.

Kiedy dotknęli stopami platformy, stwierdzili, że mają towarzystwo.

Stali przed nimi Book II, Juliet i prezydent, a z tyłu za nimi Matka, Mózgowiec i

Herbie Franklin.

– Jeśli ktoś spróbuje opowiedzieć dowcip o spadaniu z nieba – mruknęła Matka – będzie miał ze mną do czynienia.

– Musimy stale się poruszać – oświadczył Schofield, zwijając linkę maghooka.

Wielka platforma przez cały czas zjeżdżała w dół – wraz z komandosami 7.

Szwadronu.

Grupa Schofielda kierowała się ku znajdującej się w głębi podziemnego hangaru pochylni dla pojazdów. Book II i Matka nieśli rannego Maszynę Miłości. Juliet Janson podeszła do Schofielda.

– I co teraz?

– Mamy prezydenta i mamy Piłkę. Ponieważ jedynie Piłka kazała mu tu tkwić, myślę, że opuścimy to przyjęcie. Musimy tylko znaleźć podłączony do sieci komputer, otworzyć jakieś wyjście i kłaniamy się państwu! Doktorze Franklin – gdzie jest najbliższy komputer zabezpieczający? Coś, co podczas następnego okienka może nam otworzyć wyjście?

– Na tym poziomie są dwa – odparł Herbie. – Jeden w biurze, drugi w skrzynce przełącznikowej.

– A inne? Z tych tutaj nie możemy skorzystać, bo zaraz zjawią się tu niegrzeczni chłopcy.

– Na poziomie czwartym, w pomieszczeniu dekompresyjnym.

– No to idziemy.

Kiedy ruszyli, w słuchawkach Schofielda rozległ się kobiecy głos:

– Strach na Wróble, tu Lis. Jesteśmy na dole szybu wentylacyjnego. Co mamy robić?

- Możecie przejść dołem do szybu głównego?
- Chyba tak.
- Spotkajmy się w laboratorium na poziomie czwartym.
- Zrozumiałam. Jeszcze jedno: mamy paru nowych pasażerów.
- Wspaniale. Do zobaczenia.

Zbiegli pochylnią na poziom 2 i znaleźli się przy otworze w podłodze, wychodzącym na schody awaryjne. Zbiegli schodami w dół i wkrótce byli przy ciężkich drzwiach pożarowych, prowadzących do pomieszczenia dekompresyjnego na poziomie 4.

Mózgowiec sprawdził drzwi.

Otworzyły się bez trudu.

Schofielda bardzo to zaniepokoiło. Sami zamykali te drzwi i zniszczyli mechanizmy otwierające, a teraz były otwarte. Dał ręką znak: „posuwać się ostrożnie”. Mózgowiec skinął głową.

Szybko i cicho uchylił drzwi. Book II i Matka wślizgnęli się do środka – przyciskając do ramienia broń. Nie musieli jednak strzelać.

Pomijając leżące na podłodze ciała, pozostałe po ich niedawnej potyczce z komandosami 7. Szwadronu – pomieszczenie było puste.

Następni weszli Juliet i prezydent, a za nimi Schofield z przerzuconym przez ramię Maszyną Miłości.

W ścianie po ich prawej ręce, po części schowany za przypominającymi budki telefoniczne pomieszczeniami badawczymi, znajdował się szereg komputerów.

– Doktorze Franklin, proszę uruchomić jeden z nich – powiedział Schofield. –

Mózgowiec, idź z nim. Musicie się dowiedzieć, co mamy zrobić, aby wyjść z tego

labiryntu. Book, weź Maszynę Miłości, a ty, Matka – sprawdź laboratorium obok i poszukaj apteczki.

Matka ruszyła do laboratorium za ścianą, a Book II opuścił krzywiącego się Maszynę Miłości na podłogę i złapał za klamkę drzwi, by je zamknąć.

– Co to ma... – zaczął zdziwiony. Schofield podszedł do niego.

– Co jest?

– Popatrz na drzwi.

Mechanizm ryglujący, solidna sztaba, wysuwająca się z zamka i wchodząca do otworu w ościeżnicy, została odcięta.

Idealnie gładko.

Cięcie było tak równe, że można je było wykonać jedynie laserem... Schofield zmarszczył czoło. Ktoś tu już był.

– Strachu na Wróble... – odezwał się jakiś głos. Matka.

Stała w otwartych drzwiach, prowadzących do zachodniej części poziomu 4.

Była z nią Libby Gant, która nadeszła z drugiej strony poziomu.

– Strachu na Wróble, rzuć na to lepiej okiem.

Schofield podszedł do drzwi w białej ścianie, dzielącej poziom 4 na dwie części.

Przyjrzał się znajdującemu się w nim zamkowi. I tutaj rygiel został przecięty laserem.

– Co jest? – spytał zdziwiony.

Podniósł głowę i z zaskoczeniem ujrzał nowych „pasażerów”, sprowadzonych przez Gant: pułkownika „Hot Roda” Hagerty’ego i Nicholasa Tate’a III, doradcę prezydenta do spraw polityki wewnętrznej.

Gant wskazała kciukiem za siebie – tam, gdzie stał wielki szklany sześcian.

Schofield spojrział w tamtym kierunku i krew zamarła mu w żyłach.

Sześcian wyglądał, jakby został trafiony przez bombę.

Przezroczyste ściany były porozbijane i poprzewracane. Wielkie płyty szkła powpadały do środka. Zabawki zostały poprzewracane, kolorowe meble poniszczone i porozrzucane.

Nie było śladu Kevina.

– Wygląda na to, że wzięli sporo rzeczy z laboratorium na górze – powiedziała Gant. – To miejsce też zostało dokładnie splądrowane.

Schofield przygryzł wargę.

Nie chciał o tym myśleć ani mówić, ale zaprzeczanie prawdzie na nic by się nie zdało.

Był to afrikaans, oficjalny język białego reżimu, rządzącego Afryką Południową do 1994 roku, który jednak – z oczywistych powodów – przestał w tym kraju obowiązywać.

Po konsultacji z dwoma ekspertami DIA od afrikaans, Dave Fairfax przetłumaczył przechwycone rozmowy i były gotowe do prezentacji dyrektorowi.

Kolejny raz popatrzył na transkrypt i uśmiechnął się.

PRZEJ. ZABEZP. ROZM. KOM-SAT E/13A-2 DIA-WYDZKOSM-PENT-DC

OPERATOR: T16-009 ŹRÓDŁO: SPSZ-OS(OOD)7

9 MAJA 22.10:56 AFRIKAANS-ANGIELSKI

GŁOS 1: Kan bevestig dat in-enting plaasvindte. Mogę potwierdzić, szczepionka działa.

13 CZERWCA 18.01:38 AFRIKAANS-ANGIELSKI

GŁOS 1: Toetse op laaste poging word op de vier-en-twintigste verwag. Wat van die onttrekkings eenheid? Test ostatniego szczepu spodziewany dwudziestego

czwartego. Co z oddziałem ratunkowym?

GŁOS 2: Recondo span is already weggestuur. Oddział Recondo został właśnie wysłany.

15 CZERWCA _____ 14.45:46 _____ AFRIKAANS-ANGIELSKI

GŁOS 1: Voorbereidings onderweg. Przygotowania w trakcie.

Vroeg oggend. Beste tyd vir onttrekking. Wcześnie rano. Optymalny czas na zabranie.

16 CZERWCA _____ 19.56:09 _____ ANGIELSKI-ANGIELSKI

GŁOS 3: Wszystko gotowe. Potwierdzam: Wszystko gotowe, trzeciego.

Potwierdzam: trzeciego.

21 CZERWCA _____ 07.22:13 _____ AFRIKAANS-ANGIELSKI

GŁOS 1: Onttrekking kan n’probleem wees. Gestel ons gebruik die Hoeb land hier naby. Verstaan hy Wydobyte to główny problem. Plan zakłada użycie ziemi Hoeba. Członek is n lid van Die Organisasie. Organisasie.

GŁOS 2: Sal die instruksies oordra. Przekażę te instrukcje.

22 CZERWCA _____ 20.51:59 _____ ANGIELSKI-ANGIELSKI

GŁOS 3: Misja rusza. Misja rusza.

23 CZERWCA _____ 01.18:22 _____ AFRIKAANS-ANGIELSKI

GŁOS 1: Die Recondos is gereed. Verwagte aankoms by beplande bestemming binne nege dae.

Recondos są na miejscu. Przybycie do celu za dziewięć dni.

– To dość poważne gównu, przyjacielu – stwierdził jeden z ekspertów od afrikaans, wkładając marynarkę. Był niskim, miłym mężczyzną i nazywał się Lew Alvy. – Oddziały Recondo... Organisasie... Jezu...

– A co to takiego? – spytał Fairfax. Alvy rozejrzał się ukradkiem.

– Recondos są najstraszliwszymi oddziałami specjalnymi świata. To południowoafrykańskie oddziały rozpoznania. Przed Mandelą były oddziałami służącymi białemu reżimowi. To specjaliści od błyskawicznych rajdów przygranicznych i ataków z ukrycia – zazwyczaj skierowanych przeciwko czarnym przywódcom. Nigdy nie zostawiają śladu swojej obecności, zawsze wiadomo jednak, że to oni – podrzynają swoim ofiarom gardła. Twarde dranie. Słyszałem, że kiedyś, w Zimbabwe, ich oddział leżał w zasadzce przez dziewiętnaście dni – w buszu, pod specjalnymi, chroniącymi od gorąca pałatkami – aż pojawił się cel. Tamci byli przekonani, że okolica jest bezpieczna i nagle – BUMMM! – Recondos mieli ich. Niektórzy twierdzą, że w latach osiemdziesiątych zasilali swoje szeregi angolańskimi najemnikami, ale kiedy w dziewięćdziesiątym czwartym władzę przejął Mandela, rozwiązano jednostkę, a jej członkowie stali się ludźmi do wynajęcia.

– Jasna cholera... – jęknął Fairfax. – A Die Organisasie?

– Nikt o nich zbyt wiele nie wie – odparł Alvy. – Ponieważ jednak M szesnaście prowadzi ich akta, to samo robi CIA. To ponoć podziemna organizacja białych emigrantów z Afryki Południowej, próbujących przygotować spisek mający za zadanie obalenie rządu ANC i przywrócenie stanu z dawnych dobrych dni. Bogaci dranie... bogaci, rasistowscy dranie. Znani także jako „Trzecia Siła” albo „Pajęcza Sieć”.

W zeszłym roku Interpol umieścił ich na swojej liście czynnych organizacji terrorystycznych.

Kiedy Alvy wyszedł, Fairfax się zachmurzył.

Co super bogata ultrapravicowa południowoafrykańska organizacja i elitarny

oddział specjalny mogą chcieć od leżącej na takim zadupiu amerykańskiej bazy sił powietrznych?

Hot Rod Hagerty i Nicholas Tate podeszli od razu do prezydenta, a Elvis zajął się rannym kolegą – Maszyną Miłości.

Schofield stał pośrodku pomieszczenia dekompresyjnego, a obok niego Gant.

Skinęła głową w kierunku Hagerty'ego i Tate'a.

– Znaleźliśmy ich we wnętrzu Marine One, w kapsule ewakuacyjnej prezydenta.

Ukrywali się tam.

– Hagerty pewnie zaraz przejmie dowództwo – mruknął Schofield.

– Jest najwyższy rangą.

– Nigdy nie był w ogniu.

– Cholera...

Kilka metrów od nich Mózgowiec i Herbie Franklin siedzieli przy komputerze.

– I co? – spytał Schofield, podchodząc do nich.

– Bardzo dziwne – odparł Herbie i wskazał na ekran. – Niech pan popatrzy:

0S(00D)7-A ZAPIS DOSTĘPU 7-3-010229027

CZAS

KLUCZOWE DZIAŁANIE OPERATOR ODPOWIEDŹ SYSTEMU

06.30:00

Sprawdzian stanu systemu

070-67

Wszystkie systemy operacyjne

06.58:34

Rozkaz zamknięcia

105-02

Uruchomienie zamknięcia

Wszystkie systemy operacyjne

07.00:00

Sprawdzian stanu systemu

070-67

(w trybie zamknięcia)

Wszystkie systemy operacyjne

07.30:00

Sprawdzian stanu systemu

070-67

(w trybie zamknięcia)

Awaria zlokalizowana H

awaryjnego w terminalu 1-A2.

07.37:56

UWAGA: zakłócenie zasilania

System

Brak sygnału zwrotnego z:

TRACS, SYS AWAR-1, RAD

KOM-SFERA, WSN, WY FAN

UWAGA: moc zasilania

07.38:00

System

Terminal 1-A2 nie odpowiada

awaryjnego 50%

Odłączenie zasilania głównego

08.00:15

Rozkaz wyłączenia zasilania

008-72

(terminal 3-A1)

Zasilanie awaryjne start

awaryjny. Protokół oszczędnego

Uruchomienie zasilania

zasilania. Aktywizacja

08.00:18

System

awaryjnego

protokołu oszczędnego zasilania

działanie wszystkich systemów

istotnych

Wpisany rozkaz zwolnienia

08.01:02

zamknięcia specjalnego

008-72

Otwarcie drzwi 003-SE

(terminal 3-A1)

Wpisany rozkaz zwolnienia

08.04:34

zamknięcia

008-72

Otwarcie drzwi 062-Z

specjalnego_(terminal 3 A1)

Wpisany rozkaz zwolnienia

08.04:55

008-72

Otwarcie drzwi 100-Z

zamknięcia specjalnego

(terminal 3-A1)

BŁĄD SYSTEMU: system kamer

nadzorczych (terminal

08.21:30

Rozkaz zamknięcia systemu

008-93

nadzorczych już wyłączony 1-

A1) z powodu protokołu

niskiego zasilania

– Zaczyna się normalnie – dodał po chwili Herbie. – Standardowy sprawdzian systemu dokonany przez lokalnego operatora. To pewnie któryś z operatorów konsolet w głównym hangarze na poziomie ziemi. O szóstej pięćdziesiąt osiem następuje zamknięcie, wpisane przez operatora kodem sto pięć – zero dwa. To ktoś wysoko postawiony, bo prefiks sto pięć oznacza pułkownika lub wyżej.

Prawdopodobnie był to pułkownik Harper. Potem jednak, o siódmej trzydzieści

siedem, coś musiało się stać na poziomie pierwszym i w tym momencie wysiadła niemal połowa zasilania awaryjnego.

– W skrzynkę przełącznikową trafiła rakietą – oświadczył Schofield, przypominając sobie potyczkę z avengerami wyposażonymi w wyrzutnie stingerów – właśnie w hangarze na poziomie pierwszym.

– No dobrze... – mruknął Herbie. – To by wyjaśniało sprawę. W tej skrzynce przełącznikowej mieściły się generatory zasilania awaryjnego. Ale to... – Wskazał na kolejną linijkę tekstu na ekranie.

Odłączenie zasilania głównego

08.00:15

Rozkaz wyłączenia zasilania

008-72

(terminal 3-A1)

– Ktoś wyłączył zasilanie główne – powiedział. – Dlatego nie mogłem później wyłączyć kamer nadzorczych. Widzicie – to mój wpis o ósmej dwadzieścia jeden. Mój kod operatora to zero zero osiem – dziewięćdziesiąt trzy. Problem polegał na tym, że ktoś inny – operator zero zero osiem-siedemdziesiąt dwa – wyłączył kamery, odcinając zasilanie główne. Kiedy odcina się zasilanie główne, system przełącza się samodzielnie na zasilanie awaryjne, teraz jednak – z powodu tej rakiety – pozostała jedynie połowa zasilania awaryjnego, które na dodatek szybko słabnie. Gdy włącza się zasilanie awaryjne, system wyłącza wszystkie mniej potrzebne odbiorniki prądu – takie jak dodatkowe oświetlenie i kamery nadzorujące. Na tym właśnie polega protokół oszczędnego zasilania, o którym tu mowa.

– Tak więc wyłączając zasilanie główne, operator wyłączył kamery... – myślał

głośno Schofield.

– Właśnie.

– Nie chciał, by go widziano.

– Więcej... Proszę zobaczyć, co zrobił potem. Wpisał trzy specjalne kody zwalniające zamki – raz o ósmej zero jeden i dwa razy o ósmej zero cztery – i otworzył troje drzwi.

– W czasie pięciominutowego okienka?

– Zgadza się.

– Które drzwi otworzył?

– Sekundę... zaraz sprawdzę. – Herbie wcisnął kilka klawiszy. – Najpierw zero zero trzy SE. – Na ekranie pojawił się schematyczny rysunek Strefy 7. – Oto i one.

Awaryjny Szyb Ewakuacyjny.

– A pozostałe dwa?

– Zero sześćdziesiąt dwa Z i sto Z... – powiedział Herbie, sprawdzając schemat. – Zero sześćdziesiąt dwa W oznacza: „drzwi sześćdziesiąt dwa zachód”, ale to by oznaczało, że to było...

– Co? – spytał Schofield.

– Sześćdziesiąt dwa zachód to drzwi pancerne, zamykające idący na zachód tunel kolei X na poziomie szóstym...

– A trzecie drzwi? Sto zachód?

– Przy nich kończy się tunel kolei X, przy jeziorze Powell, jakieś sześćdziesiąt pięć kilometrów na zachód stąd. Sto zachód to drzwi zabezpieczające, wychodzące na jezioro.

– Po co ktoś miałby otwierać te drzwi? – zdziwił się Mózgowiec.

– Po to, żeby wpuścić swoich kumpli. Aby pomogli mu wywieźć stąd łup.

– A pozostałe dwa wejścia?

– Żeby stąd wyjść.

– Ale dlaczego odciął prąd? – spytała Gant.

– Zamierzał wyłączyć kamery nadzorujące. Nie chciał, aby siły powietrzne widziały, co robi – odparł Schofield.

– To znaczy co? – spytał Mózgowiec. Schofield i Gant wymienili się spojrzeniami.

– Nie chciał, by widzieli, jak uprowadza chłopca – wyjaśnił Schofield i zwrócił się do Herbiego: – Możesz się dowiedzieć, kim jest operator zero zero osiem – siedemdziesiąt dwa?

– Pewnie. – Herbie zaczął szybko pisać i po chwili zawołał: – Mam!

Na ekranie pojawiła się lista nazwisk. Schofield przeglądał ją przez chwilę i zatrzymał się przy jednym z nich. 008-72 BOTHA, Gunther W.

– Kto to jest? – spytał.

– Skurwysyn – odparł jakiś głos za ich plecami. Był to prezydent, który podszedł do nich.

– Botha... – wyrzucił z siebie z obrzydzeniem. – Powinienem był się domyślić.

– Południowoafrykański naukowiec, pracujący tu nad szczepionką – wyjaśnił po chwili. – Jeśli zawierasz pakt z diabłem, powinieneś się spodziewać, że wróci i ugryzie cię w tyłek...

– Dlaczego miałby zabierać chłopca?

– Kapitanie, sinowirus zabija zarówno ludzi białych i czarnych, bezpieczne są przed nim jedynie osoby pochodzenia azjatyckiego. Chłopiec został stworzony genetycznie jako uniwersalna szczepionka – zarówno dla białych, jak i dla czarnych.

Jeżeli poda się szczepionkę tylko białym, tylko oni przeżyją epidemię spowodowaną sinowirusem, ale jeżeli Botha pracuje dla ludzi, o których myślę...

– I co teraz? – spytał Herbie.

– Jedziemy za chłopakiem – oświadczył Schofield.

– Nic z tego, kapitanie – przerwał mu Hot Rod Hagerty, nagle pojawiając się obok. – Zostanie pan tutaj i będzie chronił prezydenta.

– Ale...

– Jeżeli pan się zdekoncentrował, przypominam, że jeśli prezydent zginie, zginie cała Ameryka. Jeden mały chłopiec może poczekać. Chyba czas, aby zaczął pan dostrzegać priorytety, kapitanie Schofield.

– Ale nie możemy go tak zostawić...

– Możemy i zostawimy – odparł Hagerty, czerwieniejąc na twarzy. – Jeżeli pan o tym zapomniał, ka-pi-ta-nie, jestem pana przełożonym i nakazuję panu posłuszeństwo. Rząd Stanów Zjednoczonych płaci mi za myślenie za pana, więc przyjmie pan teraz następujące założenie: nasz kraj jest ważniejszy od życia jednego chłopca. Na twarzy Schofielda nie drgnął nawet jeden mięsień.

– Nie chciałbym żyć w kraju, który pozwala ginąć dzieciom... Oczy Hagerty'ego rzucały błyskawice.

– Dość tego! Od tej chwili będzie pan robił to, co powiem, jak powiem i kiedy powiem!

Prezydent najwyraźniej zamierzał coś wtrącić, ale Schofield zrobił krok do przodu i stanął przed Hagertym.

– Nie, sir. Nie będę pana słuchał. Gdyby zechciał mnie pan wysłuchać do końca, to usłyszałby pan: „Jedziemy za chłopakiem i zabieramy prezydenta ze sobą”. Jeżeli

pan przez chwilę się zdekoncentrował, przypominę, że Botha i kto tam z nim jest, otworzyli wyjście z tej bazy. Daje nam to możliwość ucieczki.

Hagerty nic na to nie odpowiedział, jedynie zgrzytnął zębami.

– Więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, a nikt nie ma lepszego pomysłu, proponuję, żebyśmy zabierali się stąd w cholerę – dodał Schofield.

W pomieszczeniu dowodzenia czterech radiooperatorów Cezara Russella wyrabiało dwieście procent normy.

– Sir, zasilanie główne wyłączone, żadna kamera nie działa. Wszystkie systemy działają na zasilaniu awaryjnym...

– Ktoś uruchomił kody zwalniania zamków. Otwarto zachodnie drzwi kolei X...

– Kto?

Operator zmarszczył czoło.

– Wygląda na to, że profesor Botha, sir.

– Botha... – mruknął Cezar. – To było do przewidzenia.

– Sir – powiedział inny operator. – Mam ruch w systemie kolei X. Ktoś porusza się na zachód w kierunku kanionów...

– Och, Gunther... nie mogłeś się powstrzymać, co? Próbujesz zabrać chłopaka. –

Cezar uśmiechnął się ze smutkiem. – Kiedy spodziewane jest przybycie kolei X nad jezioro?

– Sześćdziesiąt pięć kilometrów drogi z prędkością dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę... za jakieś czternaście minut, sir.

– Niech oddział Bravo zejdzie na poziom szósty i zacznie ścigać Bothę. Potem otwórzcie górne drzwi i wyślijcie oddział Charlie w AH siedemdziesiąt siedem, żeby odcięli mu drogę przy jeziorze. Weźmiemy go od przodu i od tyłu. Ruszać się!

Bardzo potrzebujemy tego chłopaka. Jeśli go nie odzyskamy, wszystko będzie na nic.

Schofield, Matka, Gant i Book II pędzili w dół schodami. Schofield biegł z wyciągniętym do przodu pistoletem; u jego pasa wisiała Piłka, przymocowana za rączkę do karabińczyka na mundurze.

Za nim biegli prezydent i Juliet, Herbie, Wycior Hagerty i Nicholas Tate. Tyły zamykali Elvis i Mózgowiec, niosący Maszynę Miłości.

Dotarli do drzwi prowadzących na poziom 6. Na podłodze obok nich w dalszym ciągu leżało zakrwawione ciało Franka Cutlera.

– Uważaj – powiedziała Juliet do Schofielda, gdy położył dłoń na klamce. – Tu właśnie nas poprzednio zaatakowali.

Schofield skinął głową, a potem szybko otworzył drzwi i schował się za nimi.

Nic się nie stało. Nikt nie strzelił.

Na klatkę schodową nie poleciały pociski. Matka wyjrzała zza drzwi.

– Jezus Maria... – jęknęła.

Potężna platforma opadała powoli z głośnym łoskotem.

Między szczątkami boeinga stało dziesięciu komandosów z oddziału Bravo.

Zjeżdżali w głąb bazy, kierując się na poziom 6, skąd zamierzali rozpocząć pościg za Guntherem Bothą i chłopcem.

Platforma sunęła w dół, wokół niej przesuwały się szare betonowe ściany.

Minęła poziom 3 i dalej zjeżdżała w dół... minęła poziom 4... zjechała jeszcze niżej... i nagle...

...wjechała w wodę.

Na poziomie 5 – mieszczącym więzienie – znalazła się w wodzie, która zebrała się na dnie szybu. Kilka ton wody natychmiast wlało się na wielki prostokąt i rozlało

między resztkami AWACS-a.

– Jasna cholera! – krzyknął dowódca oddziału, Boa McConnell, kiedy w parę sekund woda sięgnęła mu do pasa.

Chwycił mikrofon.

– Oddział Bravo zgłasza zalanie poziomu 5. Woda zaczyna wypełniać szyb główny. Dojście na poziom 6 możliwe jedynie przez wschodnie schody pożarowe albo zachodni szyb wentylacyjny. Ruszamy do szybu wentylacyjnego...

– Sir, właśnie przechodzi powiększenie obrazu satelitarnego Awaryjnego Szybu Wentylacyjnego.

Z drukarki zaczęła wysuwać się płachta błyszczącego papieru. Radiooperator oderwał kartkę i sprawdził umieszczony na górze wydruku kod czasowy.

– Sprzed dziesięciu minut – powiedział. – Właśnie przechodzi następne... a to co takiego?

– Co się stało? – Cezar Russell wziął zdjęcie z rąk operatora. Powiększenie zrobiono po to, aby określić, czym tak naprawdę są dwadzieścia cztery podłużne obiekty, uchwycone przez satelitę na jednym z poprzednich zdjęć – rozłożone kółkiem wokół Awaryjnego Szybu Ewakuacyjnego. Oczy Cezara zwęziły się. Powiększenie ukazywało bardzo dokładnie kilka z nich. Nie były to ani pręty, ani szczury.

Były to wojskowe buty – wystające spod pałatek. Drukarka wydrukowała kolejne zdjęcie. Sprzed minuty. Obejmowało ten sam fragment pustyni: okolicę Awaryjnego Szybu Ewakuacyjnego.

Na tym zdjęciu nie było butów. Zniknęły.

– Hmm... bardzo sprytne, Gunther – mruknął Cezar. – Przyprowadziłeś ze sobą

Recondos...

Wszędzie leżały ciała.

Jezus Maria, jęknął w duchu Schofield. Jakby przetoczył się tędy front...

Właściwie wiele się nie pomylił.

Poziom 6 przypominał z wyglądu stację metra – pośrodku znajdował się

„peron”, po obu stronach biegły szyny. Jak w zwykłej stacji kolei podziemnej, z obu stron długiego pomieszczenia odchodziły po dwa znikające w ciemności tunele. Ale w odróżnieniu od normalnej stacji kolejowej trzy z czterech tuneli zagradzały masywne drzwi pancerne.

Na peronie leżało dziewięć ciał – wszystkie ubrane w garnitury.

Dziewięciu członków Pierwszej Grupy Osłonowej Secret Service.

Sposób, w jaki były porzrucane ciała, świadczył o tym, że agenci zostali całkowicie zaskoczeni. Trupy były skąpane we krwi, garnitury poszarpane przez niezliczone pociski.

Obok zwłok leżało dziesięć ciał w czarnych mundurach bojowych.

Komandosi 7. Szwadronu.

Wszyscy byli martwi.

Trzech komandosów miało ogromne dziury w klatkach piersiowych. Rany wylotowe. Wyglądało na to, że strzelono im w plecy w chwili, gdy wczołgiwali się na peron z prawych torów, a ich klatki piersiowe rozszarpały od wewnątrz pociski dum-dum.

Na torach leżeli kolejni komandosi 7. Szwadronu – również zalani krwią. Trzech miało rany postrzałowe pośrodku czoła.

Ale czterech komandosów 7. Szwadronu nie zostało zabitych z broni palnej.

Leżeli obok stalowych drzwi, wpuszczonych w ścianę tuż przy prawym torze – gdzie było wejście do Awaryjnego Szybu Ewakuacyjnego.

Poderżnięto im gardła.

Zginęli pierwsi, kiedy napastnicy wyszli z szybu za ich plecami, pomyślał Schofield.

Wszedł na peron. Stacja była pusta.

Stały na niej tylko pojazdy kolei X – po jednym na każdym torze.

– O rany...

Kolejka X to bardzo szybkie pojazdy do poruszania się pod ziemią, wykorzystywane przez wojsko amerykańskie do transportu i dostaw sprzętu.

Wagony tej kolejki – choć w zasadzie nie są to „wagony”, lecz zaopatrzone w potężne silniki jednostki transportowe – poruszają się tak szybko, że dla zachowania stabilności potrzebują czterech torów: dwóch na ziemi i dwóch na górze tunelu.

Sam wygląd wagoników świadczył o ich mocy i możliwościach.

Miały mniej więcej po dwadzieścia metrów długości, czyli tyle, co przeciętny wagon metra, ale smukłe kształty i spiczasty „nos” świadczyły o tym, że zaprojektowano je, aby poruszały się jak najszybciej.

Każdy wagonik wyglądem zewnętrznym przypominał najbardziej znany pociąg ekspresowy świata: japoński Shinkansen. Skośny przód, aerodynamicznie ukształtowane boki i wystające z przodu krótkie skrzydła – wszystko to służyło osiągnięciu jak największej prędkości.

Pociąg stojący na lewo od Schofielda składał się z dwóch wagoników, połączonych harmonijkowym przejściem. Ustawiono je „plecami” do siebie, tak że ich nosy skierowane były w przeciwne strony. Oba wagony były śnieżnobiałe i cały

skład wyglądał jak dwa zetknięte ze sobą ogonami wahadłowce.

Nazwę kolei X najlepiej wyjaśniały wystające z kadłuba wsporniki.

Z przodu i z tyłu każdego wagonika wychodziły po cztery płaskie „skrzydła”, które oglądane od przodu układały się w wielkie X. Dolne wsporniki dotykały szerokich szyn pod wagonikiem, górne – szyn biegnących nad wagonikiem.

Wszystkie były tak wyprofilowane, aby umożliwiać osiągnięcie maksymalnych prędkości.

Przy jednych z pancernych drzwi stał mniejszy pojazd X – mini wagon, mniej więcej trzy razy mniejszy od głównego pojazdu. Wyglądał jak dwuosobowa kabina, zawieszona pośrodku krzyżujących się wsporników.

– To pojazd techniczny – wyjaśnił Herbie. – Używany do konserwacji tunelu i zachowania czystości. Szybszy od dużych maszyn, ale zabiera tylko dwie osoby.

– Dlaczego nie używa się czegoś takiego w nowojorskim metrze? – spytał Elvis, patrząc na dwuwagonowy skład.

– Patrzcie tutaj! – zawołał Mózgowiec, wskazując na otwarte pancerne drzwi, prowadzące do tunelu.

– To drzwi sześćdziesiąt dwa zachód – powiedział Herbie. – Tędy się wydostali.

– My też tędy pojedziemy – oświadczył Schofield. Pobiegli w kierunku dwuwagonowego pociągu, nie zwracając uwagi na to, że wybiegają na otwartą przestrzeń.

Schofield dobiegł pierwszy do przednich drzwi pierwszego wagonika i wcisnął znajdujący się obok nich przycisk. Z cichym sykiem otworzyły się wszystkie drzwi po ich stronie – po dwie sztuki na wagon.

Schofield zatrzymał się w wejściu i poganiał resztę. Po chwili do środka

wskoczył Book II, zaraz za nim Herbie. Obaj natychmiast pospieszyli do kabiny maszynisty.

Jako następni – tylnymi drzwiami – weszli do wagonu Juliet i prezydent, osłaniany przez Gant i Matkę, a za nimi Wycior Hagerty i Nick Tate – jak zwykle dbający o to, by być w pobliżu prezydenta.

Na końcu truchtali Elvis i Mózgowiec – niosący rannego Maszynę Miłości.

– Elvis! Mózgowiec! Szybciej!

Schofield rozejrzał się po wnętrzu wagonika. Było to skrzyżowanie zwykłego wagonu metra z wagonem towarowym – w jednym końcu znajdowało się kilka rzędów ławek, a w drugim wolna przestrzeń do przewozu skrzyń i pojemników.

Schofield patrzył na znajdującego się w drugim końcu wagonika prezydenta – oddalonego mniej więcej o dwanaście metrów – który ciężko opadał na twardą ławkę.

W tym momencie się zaczęło.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia.

W jednej chwili Schofield rozglądał się po wnętrzu wagonu i patrzył na prezydenta, a w następnej każde okno od strony peronu eksplodowało i kawały szkła, wciskanego do środka przez impet setek pocisków, zasypały podłogę.

Ostrzał z każdą sekundą się nasilał – był ogłuszająco głośny i bezlitosny. Pociski z taką siłą uderzały w przeciwległą ścianę wagonika, że cały pociąg drżał.

Schofield skulił się i zasłonił twarz przed latającym szkłem. Odwrócił się i wyjrzał przez wybite okno na peron...

... z szybu wentylacyjnego w zachodniej części stacji wyskakiwała grupa komandosów 7. Szwadronu – z karabinkami P-90 i siejącymi zniszczenie

sześciolufowymi minidziałkami.

Sprężone lufy tej niezwykle silnej broni wirowały, wystrzeliwując

niewyobrażalną liczbę pocisków, rwących boki pociągu.

– Nic panu nie jest?! – krzyknął Schofield do prezydenta, lecz jego głos ledwie się przebijał przez łoskot.

Prezydent, leżący twarzą w dół na podłodze, pokręcił słabo głową.

– Nie podnosić się! – zawołał Schofield. Nagle silnik pociągu zaryczał.

Kiedy Schofield odwrócił się ku przodowi, zobaczył, że siedzący w kabinie Book

II i Herbie gorączkowo wciskają klawisze i przesuwają dźwignie. Silnik pociągu

głośno pracował, rozgrzewał się.

Jedźmy, myślał Schofield. Jedźmy...

Nieoczekiwanie w jego słuchawce rozległ się głos:

– Hej, zaczekajcie na nas! Elvis!

Elvis, Mózgowiec i Maszyna Miłości byli w dalszym ciągu na peronie!

Obciążeni rannym, nie zdążyli dotrzeć do wagonika przed pojawieniem się

komandosów 7. Szwadronu.

Tkwili teraz za betonowym słupem, zaledwie trzy metry od najbliższych drzwi

pociągu, nie mogąc się ruszyć z powodu morderczego ostrzału.

– Przygotuj się! – wrzasnął Elvis. – Teraz! Wskoczyli z ukrycia. Wszędzie waliły kule. Wokół ich głów latały kawały betonu. Dwa pociski przeszły Elvisowi na wylot przez ramię.

– Maszyna Miłości, trzymaj się!

Dotarli do tylnych drzwi pociągu i zaczęli wsuwać Maszynę Miłości do środka,

gdy...

PŁASK!

Głową rannego szarpnęło gwałtownie w bok, przekrzywiła się pod nienaturalnym kątem i uderzyła mocno o bark Elvisa.

– Jasna cholera... – jęknął Mózgowiec. – Nie... Elvis odwrócił się.

Głowa Maszyny Miłości zwisała bezwładnie, a z jego potylicy sączyła się krew, zmieszana z mózgiem. Maszyna Miłości nie żył. Elvis zamarł. Chyba nawet nie czuł własnych ran.

– Elvis, chodź... – powiedział Mózgowiec. – Wciągnijmy go do środka. Pociąg zaraz ruszy.

Elvis nie odpowiedział. Patrzył bez słowa na martwe, oparte o jego ramię ciało Maszyny Miłości.

– Elvis...

– Idź – odparł cicho Elvis, nie zwracając uwagi na uderzające wokół niego pociski. Położył ciało Maszyny Miłości na ziemi, po czym popatrzył Mózgowcowi w oczy. –

Idź.

– A ty co?

– Zostanę z moim przyjacielem.

Mózgowiec ujrzał w oczach Elvisa smutek i straszliwą groźbę – skierowaną przeciwko komandosom 7. Szwadronu, zbliżającym się do nich od końca peronu.

Kiwnął głową.

– Uważaj na siebie.

– Nie mogę – odparł Elvis.

– Mózgowiec! – wrzasnął Schofield, usiłując dostrzec, co się dzieje w tyle

pociągu, i równocześnie próbując nie dać sobie odstrzelić głowy.

– Co się u was dzieje?!

W słuchawkach odpowiedział mu głos Mózgowca:

– Zabili Maszynę Miłości, kapitanie, a Elvis ... och, kurwa... W tym momencie przez hałas przebiły się dwie tępe eksplozje.

DUMB! DUMB!

Schofield odwrócił się...

... i ujrzał lecące w ich stronę dwa granaty wielkości piłki bejsbolowej. Zostały wystrzelone z dwóch wyrzutni M-203, trzymanyh przez komandosów 7.

Szwadronu.

Oba ładunki wpadły przez wybite okna do środka pierwszego wagonu – jeden z przodu, tuż obok Schofielda, drugi z tyłu, niedaleko Gant, Matki i prezydenta.

Granat, który znalazł się bliżej kapitana, odbił się od ściany i zatrzymał dwa metry od niego.

Schofield nie marnował czasu.

Skoczył naprzód – na granat, ślizgiem na piersi pokonał dzielący go od ładunku dystans i pchnął go z powrotem na zewnątrz. Metalowa kula pomknęła po podłodze i wyprysnęła przez otwarte drzwi. Schofield skulił się za ścianą. Kiedy granat Po chwili wybuchł, przez drzwi i okna wpadł do środka potężnych płomieni.

W drugim końcu wagonu Gant i Matka nie mieli tyle szczęścia. Przeznaczony dla nich granat wylądował między ławkami dla pasażerów. Nie było możliwości dotrzeć do niego przed eksplozją.

– Wszyscy! Tędy! – krzyknęła Gant, jednym szarpnięciem poderwała prezydenta na nogi i pchnęła go w kierunku harmonijkowego tunelu, łączącego oba wagony.

Odsunęła oszklone drzwi i zaczęła przepychać prezydenta. Matka, Juliet, Wycior i Tate ruszyli za nimi.

Kiedy pierwsze drzwi zamknęły się za całą grupą, otworzyły się następne i Gant z prezydentem skoczyli do przodu – do drugiego wagonu – mając na plecach pozostałych. Ledwie znaleźli się w środku, granat w wagonie obok eksplodował. Pierwsze drzwi rozprysnęły się w drzazgi, ale drugie wytrzymały, płomienie eksplozji liznęły jedynie łapczywie szkło.

Wybuch drugiego granatu rzucił Schofieldem o podłogę, wstał jednak zaraz i krzyknął do mikrofonu na nadgarstku:

– Lis! Matka! Co z wami?! Odpowiedział mu głos Gant:

– Jeszcze żyjemy i jeszcze mamy prezydenta. Jesteśmy w drugim wagonie.

– Mózgowiec! Jesteś na pokładzie?

– Tak, z tyłu drugiego wagonu...

– Book! – krzyknął Schofield w kierunku kabiny. – Dowiedziałeś się już, jak się tym jeździ?

– Chyba tak!

– To gazu!

Chwilę później pociąg X ruszył i zaczął zbliżać się do komandosów 7.

Szwadronu.

– Sir... – odezwał się w słuchawkach Schofielda Mózgowiec – muszę panu coś powiedzieć. Straciliśmy Maszynę Miłości...

– Jasna cholera... – zaklął Schofield ze smutkiem. – zaraz stracimy Elvisa...

– Co?

Nie zdążyli jednak zamienić ani słowa więcej, bo po podziemnej stacji

przetoczyło się echo trzech wystrzałów, przypominających głośne dźwięczenia.

DZIUŃG! DZIUŃG! DZIUŃG!

W poprzek peronów pomknęły trzy pociski raketowe, ciągnąc za sobą trzy smugi dymu. Kierowały się na wolno rozpędzający się pociąg, po czym – SWUP! SWUP! SWUP! – jeden po drugim wpadły przez powybijane okna do drugiego wagonu.

Do wagonu z prezydentem!

W słuchawkach Schofielda rozległ się wrzask Matki:

– Ja pierdolę! Pociąg przyspieszał. Gant patrzyła zdumiona. Trzy rakiety!

Wszystkie w jej wagonie!

W ułamku sekundy rozważyła wszystkie opcje: jeżeli zostaniemy, na pewno zginiemy. Jeżeli wyskoczymy, możemy walczyć. Prawdopodobnie również zginiemy, ale niekoniecznie.

– Nie możemy tu zostać! – wrzasnęła. – Wysiadać! Złapały z Juliet prezydenta za płaszcz i pociągnęły go do drzwi. Bez wahania wyskoczyły z jadącego wagonu na peron, natychmiast się po nim przetaczając.

Hagerty i Tate wyskoczyli nieporadnie, ledwie utrzymując się na nogach po zeskoku.

Ułamek sekundy później przez rozbite okno obok drzwi wyskoczyła Matka.

Kiedy z przyciśniętym do piersi karabinem spadła na peron, zrobiła przewrót i po chwili stanęła na nogach.

Po sekundzie pociski eksplodowały – nastąpiły trzy kolejne wybuchy i trzy kule ognia wypełniły wagon, rozświetlając stację niczym gigantyczna żarówka i zajmując każdy milimetr przestrzeni.

Z okien wściekle buchnęły płomienie, wyrrywając framugi okien i wyginając ściany.

Kule ognia poleciały w różne strony peronu, przemykając nad głowami Gant i pozostałych, ukrywających się przed ogniem komandosów 7. Szwadronu za betonowymi kolumnami.

Cały pociąg zachybotał się od wybuchu, ale jechał dalej, nabierając coraz większej prędkości.

Schofield ledwie utrzymał się na nogach. Kiedy udało mu się odzyskać równowagę i spojrzeć w tył, krew zamarła mu w żyłach.

Prezydent – otoczony przez Gant, Matkę i Juliet – chował się za kolumną.

Cholera!

Prezydent był poza pociągiem!

Przyspieszający wciąż skład docierał właśnie do zachodniego krańca stacji i mijał rozmieszczonych tam komandosów 7. Szwadronu. Schofield widział ich, oni jednak nie zwracali na niego uwagi.

Interesował ich jedynie prezydent.

Schofield musiał podjąć decyzję.

Czy ma wyskoczyć z pociągu i dołączyć do prezydenta, na którego barkach spoczywał los całego kraju... ..czy gonić chłopca?

W tym momencie, tuż zanim pociąg wjechał w tunel, Schofield zobaczył Elvisa i zrozumiał, że prezydentowi uda się uciec – przynajmniej ze stacji na poziomie 6. Był pewien, że Gant i Matka też go dostrzegły.

Postanowił jechać za Kevinem.

Sekundę później obraz stacji kolei X – oraz obraz komandosów 7. Szwadronu,

zbliżających się do prezydenta i jego ostatnich obrońców, został zastąpiony czernią tunelu.

Gant kulila się, chroniąc głowę przed spadającymi wszędzie kawałami betonu.

Byli załatwieni.

7. Szwadron miał ich w garści.

Nie było dokąd uciec ani gdzie się schować. Tkwili pośrodku peronu, słabsi liczebnie, gorzej uzbrojeni i najwyraźniej pozbawieni szczęścia. Wtedy ujrzała Elvisa.

Poruszając się jak robot i nawet nie próbując się za niczym chować, szedł na komandosów 7. Szwadronu.

Nie miał broni i mocno zaciskał potężne pięści, trzymając je przy udach. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji – oczy miał nieruchome, szczęki zaciśnięte.

Wyglądało na to, że realizuje jakąś sobie tylko znaną misję.

– Jezu... – westchnęła Gant. – Elvis, uważaj... Odwróciła się do swojej grupy.

– Przygotujcie się. Zwiewamy stąd.

– Co? – warknął Hagerty. – Jak?

– Elvis kupi nam nieco czasu. Bądźcie gotowi do ucieczki.

Sierżant Wendall „Elvis” Haynes z korpusu piechoty morskiej Stanów

Zjednoczonych szedł prosto na żołnierzy wroga. Znajdował się między nimi a prezydentem.

Komandosi 7. Szwadronu zatrzymali się, zaskoczeni tym, co robi Elvis.

Najwyraźniej nie miał broni i jedynie powoli szedł, całkowicie spokojnie – był dwadzieścia metrów od nich i dwadzieścia metrów od grupy prezydenckiej.

Żaden z nich nie słyszał słów, które powtarzał cicho pod nosem jak mantrę:

– Zabiliście mojego przyjaciela. Zabiliście mojego przyjaciela. Zabiliście mojego

przyjaciela...

Jeden z komandosów 7. Szwadronu szybko podniósł P-90 i strzelił krótką serią.

Gdy pociski poszarpały pierś Elvisa, przewrócił się, a komandosi ruszyli dalej.

Dopiero kiedy do niego doszli, usłyszeli, jak dławiąc się własną krwią, charczy:

– Zabiliście mojego przyjaciela...

Jego wielka prawa dłoń otworzyła się niczym rozkwitający kwiat.....ukazując granat RDX.

– Zabiliście mojego...

Elvis po raz ostatni nabrał powietrza w płuca. Potem jego dłoń zwiotczała, puszczając zawleczkę, i potężny granat wyzwolił z siebie całą swoją straszliwą siłę.

Pociąg X gnał tunelem.

Smukła maszyna pędziła szerokim tunelem przynajmniej trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę – mimo powybijanych okien i poszarpanych pociskami boków.

Pojazd płynął gładko i niemal bezgłośnie. Działo się tak dlatego, że nie był napędzany silnikiem, a sunął na poduszce magnetycznej. System napędzający skopiowano z systemu wspomagającego start samolotów na lotniskowcach, który zastąpił starzejące się katapulty parowe. Napęd magnetyczny pozwala zredukować liczbę poruszających się elementów i mimo to pozwala osiągać fenomenalne prędkości, co sprawia, że jest bardzo lubiany przez inżynierów, wychodzących z założenia, że im mniej części ma urządzenie, tym mniej może się w nim zepsuć.

Book II siedział w kabinie sterowania z dłońmi na konsolce. Herbie siedział obok niego. Tylko ta kabina miała całe okna.

– Jasna cholera! – rozległ się za ich plecami wrzask Schofielda. – Cholera!

Cholera! Cholera!

Kapitan wszedł do sterowni.

– Co się stało? – spytał Book II.

– To się stało! – Schofield wskazał na wiszącą mu u pasa stalową walizkę. –

Cholera! Wszystko działo się zbyt szybko! Kiedy prezydent wyskoczył z pociągu, zapomniałem o Piłce.

Była godzina 8.55.

– Mamy nieco ponad godzinę, żeby dostarczyć tę walizkę prezydentowi.

– Wracamy?

Schofield przez chwilę się zastanawiał; przez głowę przemykały mu tysiące myśli.

– Nie. Nie zostawię tego chłopca – stwierdził w końcu zdecydowanie. –

Zdążymy wrócić.

– A co z... krajem? – spytał Book II. Schofield uśmiechnął się krzywo.

– Jeszcze nigdy nie spóźniłem się na odliczanie i nie zamierzam dzisiaj zacząć. –

Odwrócił się do Herbiego. – W porządku, Herbie, dwadzieścia pięć słów albo mniej: opowiedz mi o tym systemie transportu. Dokąd dociera?

– Nie jest to dziedzina, w której byłbym szczególnie mocny, choć kilka razy

jechałem tym pociągiem – odparł Herbie. – Z tego co wiem, jedna trasa prowadzi na zachód od Strefy Siedem i kończy się przy jeziorze Powell. Druga idzie na wschód, do Strefy Osiem.

Wyglądało więc na to, że są na zachodniej odnodze trasy – prowadzącej do jeziora Powell.

Schofield słyszał kiedyś o tym jeziorze – nie było to właściwie jezioro, a mająca

mniej więcej trzysta kilometrów długości płatanina wypełnionych wodą kanionów.

Znajdowało się tuż przy granicy Utah i Arizony i przypominało kiedyś Wielki Kanion – tak jak on było skomplikowanym systemem przepaści i kanionów i również utworzyła je rzeka Colorado.

W 1963 roku rząd amerykański zbudował tutaj zaporę i elektrownię wodną, dzięki czemu poziom wody się podniósł, zamieniając niezwykle formacje skalne w płataninę pustynnych kanionów do połowy wypełnionych wodą.

Tak więc typowe dla południa Stanów Zjednoczonych wzgórze o jednym stromym zboczu wyrastają teraz z migoczącego, błękitnego jeziora, a tafle wody są zdominowane przez przypominające świątynie pagórki. Do tego dochodzą oczywiście przepaście i kaniony – tyle że w tej chwili tworzą kanały.

Wyglądało to jak coś w rodzaju skrzyżowania Wielkiego Kanionu z Wenecją.

Jak każdy wielki projekt, także budowa zapory na rzece Colorado w 1963 roku wywołała mnóstwo protestów. Ekolodzy Sierdzili, że zapora spowoduje wzrost poziomu mułu, co zagrozi ekosystemowi, zamieszkanemu przez pewien gatunek dwucentymetrowych kijanek. Ale znacznie gorszy był los właściciela maleńkiej stacji benzynowej z kawiarenką, która – wybudowana w miejscu dawnej stacji handlowej – miała się znaleźć trzydzieści metrów pod wodą. Rząd wyrównał mu jednak straty.

W każdym razie jezioro Powell, liczące 93 nazwane wąwozy i Bóg wie ile nienazwanych, stało się na kilka lat popularnym celem wycieczek posiadaczy łodzi mieszkalnych. Ale czasy się zmieniły i ruch turystyczny osłabł. Obecnie nikogo już nie interesowała gęsta sieć wijących się wąwozów i niezwykle wąskich „kanionów szpar”, w których nie było ani metra poziomego terenu, jedynie pionowe skały i woda, woda, woda.

– Ten tunel kolei X wychodzi na jezioro przez podziemny dok załadunkowy – mówił Herbie. – Został zbudowany z dwóch powodów... Po pierwsze, aby zachować w całkowitej tajemnicy istnienie Stref Siedem i Osiem. Dzięki tunelowi można było dowozić materiały budowlane barkami do jeziora, a następnie przewozić je sześćdziesiąt pięć kilometrów pod ziemią. Dziś trasa ta jest używana jako „zapasowe wejście” – do przyjmowania określonego rodzaju dostaw oraz dowożenia więźniów.

– A drugi powód? – spytał Schofield.

– Miał służyć jako droga ucieczki w przypadku zagrożenia. Schofield patrzył do przodu.

Pod nimi – i nad nimi – z niesamowitą prędkością przemykały szyny. Szeroki tunel zakręcał i ginął w ciemności.

Nagle jakiś odgłos kazał mu się odwrócić i unieść pistolet. W wejściu do kabiny stał Mózgowiec – z uniesionymi rękoma.

– Hej, to tylko ja! Schofield opuścił pistolet.

– Następnym razem pukaj.

– Jasne, szefie – odparł Mózgowiec i usiadł na zapasowym krzeselku.

– Gdzie byłeś?

– Z tyłu drugiego wagonu. Kiedy do środka wpadły rakiety, oddzieliłem się od reszty i zanim wybuchły, schowałem się w szafce.

– Dobrze, że jesteś z nami. Przyda nam się każda pomoc. – Schofield odwrócił się do Herbiego. – Możemy jakoś uzyskać dane telemetryczne innych wagonów?

– Chyba tak... sekundeczkę...

Herbie zaczął wciskać klawisze i jeden z komputerów na desce rozdzielczej zadziałał. Po kilku sekundach zobaczyli schemat trasy.

Trasa kolei od Strefy 7 do jeziora prowadziła po linii wydłużonej, ułożonej poziomo litery S. Wzdłuż trasy poruszały się dwa czerwone punkty.

– Te punkty to pociągi – powiedział Herbie. – Ten bliższy Strefy Siedem to my, ten drugi musiał wyruszyć jakieś dziesięć minut przed nami.

Schofield patrzył, jak pierwszy czerwony punkt dociera do doku załadunkowego i staje.

– No dobrze, Herbie. Ponieważ mamy chwilę czasu, opowiedz mi, kim jest ten Botha.

Ledwie eksplodował granat Elvisa, Gant, Juliet i Matka już stały i strzelały, osłaniając prezydenta w drodze do drzwi Pożarowych, przez które weszli na poziom 6.

Wybuch granatu zabił na miejscu pięciu komandosów 7. Szwadronu. Ich pokrwawione kończyny leżały rozrzucone po peronie i torach.

Pozostałych pięciu przeciwników było w chwili wybuchu granatu nieco dalej od Elvisa. Fala uderzeniowa poprzewracała ich i teraz starali się jakoś poukrywać za kolumnami i peronem, by uniknąć śmierci z rąk ostrzeliwujących się ludzi prezydenta.

Po chwili Gant i pozostałym udało się dotrzeć do schodów.

Gant poprowadziła prezydenta w górę. Oboje ciężko oddychali, ale zmuszali nogi do dalszego wysiłku, a serce do jeszcze cięższej pracy. Matka, Juliet, Hagerty i Tate byli tuż za nimi.

Dotarli do drzwi pożarowych na poziomie 5.

Gant sięgnęła po klamkę, zaraz jednak cofnęła rękę.

Ze szpar pomiędzy drzwiami i ościeżnicą tryskały cienkie strużki wody.

Najwięcej wody leciało dołem drzwi, im wyżej, tym było jej mniej – od góry nie ciekło już nic.

Wyglądało na to, że za drzwiami jest wody po pas – tylko czekającej, by wyrwać się na korytarz.

Nagle zza drzwi doleciało najstraszliwsze wycie, jakie słyszeli w życiu. Było przerażające, pełne bólu i rozpacz.

– O, nie... to niedźwiedzie... – jęknęła Juliet Janson i popatrzyła na Gant. – Chyba nie będziemy tam wchodzić.

– Chyba nie.

Pobiegli wyżej, na poziom 4. Po sprawdzeniu terenu za drzwiami Gant dała znak, że „wszystko czyste”.

– „Witam ponownie!” – zadudnił nad ich głowami jakiś głos.

Wszyscy gwałtownie poderwali głowy i rozejrzeli się wokół. Gant wycelowała broń w kierunku głosu i stwierdziła, że zamierza zastrzelić telewizor. Na ekranie widniała uśmiechnięta gęba Cezara.

– „Mieszkańcy Ameryki, jest cztery po dziewiątej i czas na codzienny komunikat!”.

Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. – „...marines, prezydentowi oraz nieudacznikom i głupcom jak na razie nie udało się spowodować strat wśród moich ludzi.

Nie robią nic innego poza uciekaniem. Jego Wysokość była widziana ostatnio na najniższym poziomie tego kompleksu, podczas rozpaczliwej próby ucieczki na zewnątrz. Przekazano mi, że doszło tam do potyczki, i oczekuję właśnie raportu...”.

Dla Gant był to stek bzdur. Zresztą cokolwiek Cezar by powiedział, nie miało to

najmniejszego wpływu na ich sytuację. Nie zamierzała patrzeć, jak się puszy.

Zostawiła resztę przed telewizorem i zaczęła sprawdzać przesuwne drzwi w podłodze, prowadzące na poziom 5.

Dolatywały zza nich zduszone krzyki. Byli tam ludzie.

Wcisnęła klawisz otwierania drzwi i uniosła broń. Zapora zaczęła się odsuwać.

Kiedy więźniowie na poziomie 5 usłyszeli otwieranie się drzwi, ich okrzyki zamieniły się w wycie.

Gant spojrzała w dół pochylni.

– Dobry Boże...

Zobaczyła wodę. Pochylnia już w niej znikwała.

Głos Cezara dalej dudnił, a Gant zaczęła ostrożnie schodzić. Wkrótce woda zalała jej wypolerowane buty.

Kucnęła i rozejrzała się po poziomie 5. To, co ujrzała, wstrząsnęło nią.

Cały poziom był zalany do wysokości piersi mężczyzny.

Było tam też straszliwie ciemno, w efekcie czego zalany oddział więzienny wyglądał jeszcze okropniej.

Czarna woda znikwała w oddali, drobne fale pluskały o pręty klatek, w których zamknięte były najpaskudniejsze indywidua, jakie kiedykolwiek widziała.

W tym momencie więźniowie ją dostrzegli.

Zawyli, zaczęli jęczeć, i wrzeszczeć, potrząsając prętami swoich cel, które przy dalszym podnoszeniu się wody wkrótce mogły stać się ich zbiorowym grobem.

Tak jak Schofield, Gant nie widziała dotychczas oddziału więziennego, słyszała o nim jedynie od prezydenta, kiedy opowiadał o szczepionce i Kevinie.

– Lepiej stąd chodźmy – powiedziała Juliet, która właśnie podeszła do niej.

Najwyraźniej komunikat Cezara już się skończył.

– Oni się tu potopiają...

– Nawet taka śmierć jest dla nich zbyt łagodna, uwierz mi – oświadczyła Juliet. –

Chodź, poszukamy sobie jakiejś dziury i odsapniemy trochę. Nie wiem jak tobie, ale mnie bardzo przyda się odpoczynek.

Wcisnęła zamykanie drzwi i pozioma zaporą zaczęła się zasuwawać, tłumiąc wrzaski więźniów.

Cała grupa ruszyła ku zachodniej części piętra. Wychodząc, nikt nie zwrócił uwagi na komorę dekompresyjną. Tymczasem zegar na komorze skończył właśnie odliczanie i hermetyczne drzwi się otworzyły.

Ale komora była pusta. Minęła godzina 9.06.

– Dowódca Bravo, zgłoś się. Raportuj – powiedział do mikrofonu jeden z radiooperatorów.

– Dowództwo, tu dowódca Bravo. Ponieśliśmy ciężkie straty na peronie kolei X.

Pięciu zabitych, dwóch rannych. Jeden z ich ludzi miał granat RDX i zabawił się w pieprzonego kamikadze...

– Co z prezydentem?

– Jest w dalszym ciągu w kompleksie. Powtarzam: prezydent jest w dalszym ciągu w kompleksie. Ostatnim razem był widziany, jak wchodził na górę schodami pożarowymi. Niektórzy z jego marines odjechali tunelem w drugim pociągu X...

– A Piłka?

– Nie jest z prezydentem. Jeden z moich chłopców przysięga, że widział tego cholernego Schofielda, jak wsiada z nią do pociągu...

– Dziękuję, dowódca Bravo. Przeprowadź rannych do głównego hangaru.

Każemy oddziałowi Echo przeczesać dolne poziomy w poszukiwaniu prezydenta...

– Gunther Botha był pułkownikiem w batalionie medycznym Afryki

Południowej – zaczął Herbie.

Pociąg X gnał w kierunku pustynnego jeziora.

– Medycy... – mruknął z obrzydzeniem Schofield.

– Słyszał pan o nich?

– Słyszałem. Niezbyt miła banda. Ofensywna jednostka biomedyczna,

wyspecjalizowany pododdział Recondos. Elitarna jednostka, stosująca broń biologiczną na polu bitwy.

– Zgadza się. Przed nadejściem Mandeli Południowoafrykańczycy byli

światowymi liderami w zakresie broni biologicznej. A jak ich kochaliśmy...

Zastanawiał się pan kiedyś nad tym, dlaczego nie musieliśmy zbyt się wysilać, aby

obronić apartheid? Wie pan, kto dostarczył nam sowiecki zarazek powodujący

martwicze zapalenie powięzi? Południowoafrykańczycy. Choć byli tacy dobrzy, nie

wszystko im się udało. Przez lata próbowali stworzyć wirusa, który by zabijał

czarnych, a nie szkodził białym, nie potrafili jednak. Botha był jednym z ich

najlepszych ludzi i chyba był blisko dokonania przełomowego odkrycia... ale wtedy

obalono apartheid. Okazało się jednak, że jego badania można wykorzystać w

programie prowadzonym przez rząd amerykański – mającym za zadanie stworzenie

szczepionki przeciw sinowirusowi, działającemu wybiórczo na rasy.

– Więc go sprowadziliśmy.

– Zgadza się.

– A teraz odkryliśmy, że nie bardzo można temu człowiekowi ufać.

– Na to wygląda. Schofield milczał przez chwilę.

– Nie działa sam – powiedział w końcu.

– Skąd pan wie?

– Świadczą o tym zabici komandos Siódmego Szwadronu, których widzieliśmy na poziomie szóstym. Nigdy nie miałem do czynienia z Guntherem Bothą, ale jestem niemal pewien, że sam nie byłby w stanie zlikwidować całego oddziału

komandosów... Otworzył troje drzwi – dwie pary w systemie kolei X i Awaryjny Szyb Ewakuacyjny, wychodzące na poziom szósty. Wpuścił tamtędy oddział, którego członkowie pozabijali ludzi z Siódmego Szwadronu. Sądząc po strzałach w plecy i poderżniętych gardłach, przyjaciele Bothy zaatakowali ich od tyłu. – Schofield przygryzł wargę. – Ale w dalszym ciągu nie mówi mi to tego, co chciałbym wiedzieć.

– Czyli?

– Jeżeli Botha nas sprzedaje, to chciałbym wiedzieć, komu.

– Od początku było to ryzykowne, ale bez niego nie poradzilibyśmy sobie – oświadczył prezydent.

Siedzieli w laboratorium obserwacyjnym nad zniszczonym szklanym sześcianem na poziomie 4 i odpoczywali.

Kiedy przybyli tu kilka chwil wcześniej, znaleźli na podłodze laboratorium gruby stalowy krąg – była to kłapa przejścia między poziomami, która spadła z sufitu.

A więc przechodził tędy 7. Szwadron.

Dawało to nadzieję, że szybko nie wróci. Przez jakiś czas będą mogli się tu ukrywać.

Libby Gant stała na skraju punktu obserwacyjnego i przyglądała się zniszczonemu sześcianowi. Od ostatniego komunikatu Cezara podziemny kompleks

dziwnie uciekł – jakby komandosi 7. Szwadronu przestali po nim krążyć i ścigać prezydenta.

Gant wcale się to nie podobało.

Miała przecucie, że coś się szykuje.

Właśnie dlatego spytała prezydenta o Gunthera Bothę, człowieka, który zabrał Kevina.

– Botha wiedział więcej o rasowo wybiórczych wirusach niż wszyscy nasi naukowcy razem wzięci – powiedział prezydent. – Miał jednak nie najlepszą przeszłość.

– Z czasów apartheidu?

– Tak, ale nie tylko. Najbardziej baliśmy się jego kontaktów z grupą o nazwie Die Organisasie, czyli Organizacja. To podziemna siatka, utworzona przez byłych ministrów rządu apartheidowego, bogatych południowoafrykańskich posiadaczy ziemskich, byłych członków elitarnych jednostek armii Afryki Południowej oraz usuniętych z armii dowódców, którzy uciekli z kraju po rozpadzie apartheidu, bo bali się, że nowy rząd zażąda ich głów za dokonane w przeszłości przestępstwa. Większość wywiadów uważa, że Die Organisasie chce jedynie odzyskać Afrykę Południową, ale my nie jesteśmy tego do końca pewni.

– To znaczy? Prezydent westchnął.

– Musi pani zrozumieć, o jaką stawkę toczy się ta gra. Selektywna etnicznie broń biologiczna, taka jak sinowirus, nie da się porównać z jakąkolwiek inną bronią w historii ludzkości, jest to argument negocjacyjny, na który nie ma odpowiedzi, może bowiem skazać określoną populację na śmierć – przy równoczesnym całkowitym oszczędzeniu innej. Nasze obawy co do Die Organisasie nie wynikają jedynie z tego,

co mogłaby zrobić w Afryce Południowej – przeraża nas to, co mogłaby zrobić w całej Afryce.

– To znaczy...

– Mówiąc krótko i jasno, Organisasie to organizacja rasistowska. Jej członkowie uważają, że biała rasa ma genetyczną przewagę nad czarną i czarni ludzie powinni być

niewolnikami

białych.

Nienawidzą

nie

tylko

Murzynów

południowoafrykańskich, ale wszystkich Murzynów. Przejmując sinowirusa oraz szczepionkę, Die Organisasie mogłaby rozprzestrzenić wirusa w całej Afryce, a szczepionkę dać tylko tym, którzy ich popierają. Czarna Afryka by wymarła, a reszta świata nic nie mogłaby zrobić, bo nie miałyby szczepionki. Pamięta pani, jak w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku Kadafi mówił o jednoczeniu się Afryki? Mówił o stworzeniu „Stanów Zjednoczonych Afryki”, ale nikt nie potraktował tego poważnie. Sam Kadafi nigdy nie byłby w stanie do czegoś takiego doprowadzić, ponieważ istnieje zbyt wiele nieporozumień plemiennych, aby dało się zjednoczyć różne afrykańskie narody, ale... organizacja, będąca w posiadaniu sinowirusa oraz leku przeciw niemu, mogłaby rządzić Afryką żelazną ręką. Mogłaby zamienić Afrykę – bogatą w surowce, zamieszkaną przez miliardową armię czarnych niewolników – w prywatne imperium.

Poobijany pociąg X Schofielda wciąż pędził podziemnym Minęło dziesięć minut od wyruszenia i Schofield zaczynał się niepokoić. Niedługo dotrą do doku załadunkowego, a nie miał pojęcia, czego mogli się tam spodziewać.

Zastanawiała go też jeszcze jedna sprawa związana ze Strefą 7.

– Herbie, w jaki sposób siły powietrzne zdobyły sinowirusa?

– Dobre pytanie. Trochę czasu to zajęło, ale w końcu udało nam się przekabacić dwóch chińskich pracowników laboratorium w Changchun. W zamian za bilet w jedną stronę do USA i dwadzieścia milionów dolarów na głowę zgodzili się wywieźć z Chin kilka ampulek wirusa.

– Faceci z komory dekompresyjnej... – mruknął Schofield, przypominając sobie azjatyckie twarze, które widział jakiś czas temu w komorze dekompresyjnej na poziomie 4.

– Zgadza się.

– Ale w komorze było czterech ludzi.

– Owszem. Jak pan się z pewnością domyśla, pracownicy tajnych laboratoriów rządowych nie mogą ot, tak sobie wyjeżdżać z kraju. Musieliśmy ich przemycić.

Pozostali dwaj ludzie w komorze kwarantanny to komandosi Siódmego Szwadronu, którzy wywieźli naszych ludzi z Chin – oficerowie Robert Wu i Chet Li. Byli członkami oddziału Echo, dlatego wybrano właśnie ich...

Nagle Schofield uniósł dłoń i podszedł do przedniej szyby.

– Przepraszam, doktorze Franklin, ale obawiam się, że to mi na razie musi wystarczyć. Mam wrażenie, że chyba powinniśmy bardzo uważać...

Skinął głową w kierunku tunelu przed nimi.

Na jego końcu, za przemykającymi ścianami, widać było maleńką plamkę

jasnego światła, która z każdą chwilą rosła. Był to znajomy blask jarzeniowego światła. Dok załadunkowy. Dotarli do końca tunelu.

– Nie wjeżdżaj do środka – powiedział Schofield do Booka. – Mogą na nas czekać. Przejdziemy ostatni odcinek.

Poszarpany pociskami pociąg X zwolnił i po chwili zatrzymał się w ciemnościach tunelu – mniej więcej sto metrów od jasno oświetlonego doku.

Schofield błyskawicznie znalazł się na betonie obok torów – w rękę trzymał pistolet, Piłka zwisała mu u pasa. Mózgowiec, Book II i Herbie wysiedli zaraz za nim.

Pobiegli w kierunku światła. Każdy wysoko unosił broń.

Schofield jako pierwszy dotarł do końca tunelu i wyrztał za róg.

Oślepiło go jaskrawe światło. Patrzył na ogromną skalną jaskinię, zamienioną w nowoczesny dok załadunkowy – o ścianach z gładkiego betonu i nierównych skalnych płaszczyzn.

Po obu stronach znajdującego się pośrodku długiego peronu biegły szyny kolejki X. Tor po stronie Schofielda był pusty, tor po przeciwległej stronie peronu zajmował stojący nieruchomo pociąg Bothy.

Na zamontowanych na ścianach szynach znajdowały się dźwigi, mogące przenosić towary między migoczącym w głębi jeziorkiem a torami.

Granatowa woda migotała i jarzyła się – wzbogacona minerałami z jeziora

Powell. Małe jeziorko zniknęło na zachodzie, wpływając do wijącej się jaskini, która prawdopodobnie łączyła się z dalszymi częściami jeziora. Przy brzegu podskakiwały na falach trzy łodzie mieszkalne i dwie pomalowane na piaskowy kolor motorówki – przywiązane do betonowego nabrzeża.

Podziemny dok załadunkowy był pusty.

Całkowicie, kompletnie pusty.

Schofield ostrożnie wyszedł z tunelu i wspiął się na centralną platformę między torami. W wielkiej przestrzeni wyglądał jak karzeł.

W tym momencie ujrzał coś dziwnego na drugim końcu peronu, przy wodzie.

Wyglądało to na pierwszy rzut oka jak przedziwna sklepowa wystawa: mająca trochę ponad metr piramida z żółtych pięćdziesięciolitrowych beczek, przed którą stała czarna pękata walizka. Jej wieko było otwarte.

Po kilku krokach Schofield przeczytał napisy na beczkach.

– Cholera... – zaklął.

AFX-708: WYPEŁNIACZ WYBUCHOWY AFX-708 to niesamowicie silny materiał wybuchowy, używany podczas wojny w Zatoce w sławnych bombach BLU-109, rozrywających na strzępy bunkry Saddama Husajna. Super-twardy czub bomby BLU-109 wwiercał się nawet w najtwardszy beton, po czym zawierająca AFX-708 głowica eksplodowała – i rozrywała bunkier od środka.

Schofield – mając tuż za plecami Booka II, Mózgowca i Herbiego – zajrzał do otwartej walizki, stojącej przed beczkami z AFX.

Był tam zegar.

00:19 00:18 00:17

– Matko Boska... – jęknął. – Panowie, wiejemy!

Siedemnaście sekund później dokiem wstrząsnęła straszliwa eksplozja.

Z beczek z AFX-708 wystrzelił biały ogień, rozchodząc się kuliście i niszcząc wszystko, na co natrafił.

Skalno-betonowe ściany doku popękały, a jedna z nich w ogóle zniknęła. Pociąg

X Gunthera Bothy – stojący bardzo blisko epicentrum wybuchu – po prostu wyparował.

Schofieldowi nie dane było tego oglądać. W chwili eksplozji ani jego, ani jego towarzyszy nie było w jaskini. Zdążyli uciec.

CZWARTE STARCIE

3 lipca, godzina 9.12

Płaskowyż pustyni

Gorąco uderzyło w nich jak obuchem.

Palący żar odbijał się od skał i wgryzał w skórę. Otaczał człowieka, jakby stał wewnątrz piekarnika. Było to całkowite przeciwieństwo podziemnego chłodu Strefy 7 i tunelu kolei X.

Tu, na zewnątrz, rządziło słońce.

Shane Schofield siedział w kokpicie bardzo dziwnie wyglądającej – ale bardzo szybkiej – motorówki i pędził wąskim, wypełnionym do połowy wodą kanionem.

Razem z nim płynął Book II, a z tyłu – w identycznym pojeździe – siedzieli

Mózgowiec i Herbie.

Techniczna nazwa łódek, którymi płynęli, brzmiała PCR-2, co oznaczało „dwuosobową rzeczną jednostkę patrolową”, ale ta napędzana silnikiem odrzutowym jednostka, zbudowana dla marynarki wojennej USA przez Lockheed Shipbuilding Company, była powszechnie znana pod nazwą „Tandem”. Spośród innych łodzi wyróżniała ją specyficzna konstrukcja: wyglądała jak połączone dwumetrową poprzeczką dwie małe, przypominające pocisk łódki i tworzyła szczególnego rodzaju katamaran. Ponieważ każdy z jej otwartych kadłubów był zaopatrzony w dwustukonny silnik z turbosprężarką, cała jednostka była niezwykle szybka i przy tym stabilna.

Pomalowany na ochronny kolor – piaskowe tło i brązowe plamki – tandem

Schofielda mknął po wodzie z niesamowitą szybkością, wyrzucając w górę

podwójną, trzymetrową fontannę wody. Schofield siedział w lewym kadłubie i

prowadził, a Book II w prawym – przy groźnie wyglądającym karabinie maszynowym kalibru 7,62 mm.

Słońce prażyło niemiłosiernie.

Było prawie czterdzieści stopni w cieniu.

– Jak sobie radzicie? – rzucił Schofield do mikrofonu na nadgarstku, gdy spojrzał na łódkę za nimi – Mózgowiec prowadzi, Herbie siedział przy karabinie.

– Ze mną wszystko w porządku, ale nasz doktorek zaczyna zielenieć – odparł Mózgowiec.

Gnali kanionem o szerokości najwyżej sześciu metrów, zakręcającym na południe, w kierunku głównej części jeziora Powell.

Małe jeziorko w zachodniej części doku załadunkowego rzeczywiście było połączone z dalszą częścią jeziora – należało tylko przejechać przez ciasną, ciemną, wąską jaskinię, której wrota – doskonale zakamuflowaną stalową płytą, ukształtowaną tak, że wyglądała jak skała – uciekający porywacze pozostawili otwarte.

Ledwie Schofield i jego ludzie wypłynęli z jaskini i wyprysnęli przed siebie, skalna ściana, w której mieściły się wrota, została wypchnięta na zewnątrz przez potężną eksplozję beczek wypełnionych AFX.

Obie motorówki pędziły teraz zakręcającym szerokim łukiem kanionem.

Widziany z góry kanion przypominał tor wyścigowy – było to niekończące się pasmo zakrętów, zawijasów i nawrotów.

Ale to akurat nie było najgorsze.

Prawdziwe problemy zaczynały się w miejscu, w którym kanion spotykał się z innymi wąwozami jeziora Powell, tworząc skomplikowaną płataninę rozchodzących

się we wszystkich kierunkach ścieżek wodnych o wysokich pionowych brzegach.

Nadpływając z północnego wschodu, dotarli do skrzyżowania trzech kanionów.

Z początku Schofield nie bardzo wiedział, co robić.

Mieli przed sobą dwa odchodzące w bok kanały – którym z nich popłynął Botha?

Południowoafrykański naukowiec z pewnością miał jakiś plan – ciekawe tylko jaki.

Po chwili Schofield zobaczył, że o nagą skalną ścianę kanionu odchodzącego w lewo uderzają drobne falki – pozostałość po kilwaterze motorówki. Były ledwie dostrzegalne, ale wyraźnie je widział.

Przyspieszył i skręcił w lewo – na południe.

Co parę minut spoglądał w górę. Skalne ściany wznosiły się jakieś sześćdziesiąt metrów nad poziom wody, a przy ich górnych krawędziach kłębiły się chmury piachu, zasłaniając palące słońce.

Rozszalała się burza piaskowa, którą zapowiedziano rano i którą załoga HMX-1 miała nadzieję ominąć. Na dole jednak, pod osłoną stromych ścian kanionów, było stosunkowo spokojnie.

Na razie... – pomyślał Schofield.

W tym momencie wyjechali zza ostatniego zakrętu i zupełnie nieoczekiwanie znaleźli się na rozległej otwartej przestrzeni – w wielkim kraterze, pośrodku którego z wody wystawał gigantyczny ostaniec skalny z płaskim szczytem.

Choć ściany krateru wznosiły się niemal pionowo, był zbyt szeroki, aby ochronić ich przed szalejącą w górze burzą piaskową. Na powierzchnię wody zwały się chmury piachu, wirując szaleńczo.

Mimo że widoczność ograniczała zasłona kłębiącego się piachu, Schofield natychmiast ich ujrział. Objężdżali kamienny ostaniec od prawej strony i szybko się

oddalali.

Pięć łodzi.

Jedna duża, biała – chyba wodolot – i cztery zwinne tandemy, również pomalowane na piaskowy kamuflujący kolor.

Schofield z przerażeniem zobaczył, że od krateru odchodzi przynajmniej dziesięć wąskich „kanionów szparek”, oferując rozmaite drogi ucieczki.

Dodał gazu i pomknął w szalejące kłęby piachu. Kierował się ku południowej stronie ostańca – w nadziei, że dopadnie uciekających po drugiej stronie.

Jego tandem pędził po wodzie z niesamowitą szybkością, napędzany podwójnym miniodrzutowym silnikiem. Tandem Mózgowca i Herbiego niknął tuż za nimi, wyrzucając do tyłu fontanny wody i skacząc na sfałowanej powierzchni wody, smagany strumieniami piachu.

Objechali ostatniec od lewej strony i stwierdzili, że południowoafrykańskie łodzie kierują się w stronę szerokiego kanionu, odchodzącego od zachodniej ściany krateru.

Ruszyli w pogoń.

Uciekający musieli ich dostrzec, bo od wodolotu odłączyły dwa tandemy, zawróciły ostro i skierowały się na nadpływające motorówki, otwierając ogień z karabinów maszynowych.

Nagle lewy południowoafrykański tandem eksplodował.

Wyskoczył wysoko w górę, podniesiony gejzerem wody. W jednej sekundzie płynął po wodzie, a w następnej na jego miejscu pozostał jedynie krąg wzburzonej wody, na który spadał deszcz odłamków plastiku.

Prawy południowoafrykański tandem natychmiast zawrócił, rezygnując z ataku, i popędził za swoimi towarzyszami.

Schofield spojrział w górę. Co to miało...

WZZZUMMM!

Z burzy piasku, gdzieś zza jego pleców, wystrzeliły nagle trzy czarne helikoptery.

Kładąc się ostro na skrzydło, zanurkowały w spokojniejszą przestrzeń krateru niczym bombowce nurkujące z czasów II wojny światowej i natychmiast się wyprostowały, nie tracąc prędkości. Z łoskotem przemknęły nad grupą Schofielda i pognały za południowoafrykańskimi łodziami, które zniknęły w kanionie na zachodzie.

Po chwili wleciały w wąski kanion, nie zmniejszając prędkości. Schofield patrzył na to w osłupieniu.

Helikoptery sprawiały niesamowite wrażenie: były smukłe, szybkie i emanowały grozą. Schofield nigdy przedtem nic podobnego nie widział.

Były pomalowane na czarno i wyglądały jak skrzyżowanie helikoptera szturmowego z samolotem myśliwskim. Miały normalny wirnik z łopatom i spiczasty nos, ale miały także wychodzące z kadłuba skośne skrzydła.

Były to maszyny typu AH-77 Penetrator – średniej wielkości śmigłowce szturmowe, skrzyżowanie samolotu z helikopterem, łączące zdolność helikoptera do zawisania w powietrzu z prędkością myśliwca odrzutowego. Pomalowane matową czarną farbą pochłaniającą promieniowanie radarowe kadłuby, wysuwane skrzydełka i masywne kokpity – wszystko to powodowało, że maszyny wyglądały jak głodne rekiny, które nauczyły się latać.

Trzy penetratory pomknęły za czterema południowoafrykańskimi łodziami, kompletnie ignorując grupę Schofielda.

Kapitanowi przemknęło przez myśl kilka pytań. Co tu robią chłopcy z sił powietrznych? Czy nie powinni raczej szukać prezydenta? Po co im Kevin?

Tak czy owak, znów rozpoczęła się pogonь.

– Sir! – rozległ się w słuchawkach Schofielda głos Mózgowca. – Co robimy?

Musiał szybko podjąć decyzję. Wirowało mu w głowie – Kevin, Botha, siły powietrzne, prezydent, odliczanie czasu przez zegar w Piłce, wszystko to w którymś momencie zmusi go do przerwania pogoni i powrotu...

– Płyniemy za nimi – oświadczył po chwili zdecydowanie.

Tandem Schofielda wpadł z rykiem do kanionu, którym podążali

Południowoafrykańczycy i penetratory. Łódź Mózgowca i Herbiego płynęła tuż za nimi.

Był to szczególnie kręty kanion – wił się w lewo i prawo, zaginał i wciąż zmieniał kierunek – ale na szczęście chronił przed burzą piaskową.

Po mniej więcej stu metrach rozwidłał się jednak na dwie odnogi. Nie wiedzieli, że kaniony jeziora Powell mają zwyczaj rozdzielać się, a potem znów łączyć, tworząc skrzyżowania, na których przecina się większość dróg wodnych.

Helikoptery oderwały się od siebie – jeden poleciał w lewo, dwa w prawo.

Czwarta łódka Południowoafrykańczyków również odbiła w bok.

– Mózgowiec! – wrzasnął Schofield. – Płyn w lewo, a my popłyniemy w prawo!

Pamiętaj: chodzi nam tylko o chłopaka! Kiedy go znajdujemy, spadamy stąd w podskokach!

– Jasne, Strachu na Wróble.

Łódki rozdzieliły się – Schofield popłynął w prawo, Mózgowiec w lewo.

Było to jak obserwowanie pokazu fajerwerków – Schofield widział jak z łoży

wystrzeliwanie długich serii pocisków smugowych, eksplozje rakiet i odrywanie się kawałów skał.

Dwa prawe helikoptery były jakieś osiemdziesiąt metrów przed nimi – ściagały wodolot oraz jeden z tandemów. Trzymały się poniżej górnej krawędzi kanionu – szalejąca burza piaskowa nie pozwalała im wzlecieć wyżej – raz za razem kładąc się na boki i skręcając wraz z zakrętami skalnego przesmyku.

Z zamontowanych na ich dziobach działek wylatywały długie serie pocisków smugowych, a spod ich skrzydeł wypryskiwały pociski powietrze-ziemia, trafiając jednak tylko w pionowe skały po bokach obu pędzących południowoafrykańskich łodzi.

Ale uciekinierzy w łodziach nie czekali biernie na to, co się wydarzy.

Komandosi w tandemie byli nieźle przygotowani do obrony płynącego przodem wodolotu – mieli naramienne wyrzutnie stingerów. Jeden z nich prowadził tandem, drugi strzelał do helikopterów.

Penetratory musiały mieć jednak podobną osłonę jak stojący wewnątrz Strefy 7 boeing AWACS, bo stingery przelatywały obok nich i uderzały w ściany kanionu. Kiedy eksplodowały, od skalnych ścian odrywały się głązy wielkości samochodu, spadając do kanału i sprawiając spore kłopoty Schofieldowi, który musiał je uważnie omijać.

Nagle w podłodze kadłuba jednego z czarnych helikopterów otworzyła się kłapa i wyleciał z niego długi, biały przedmiot, który opadł na małym spadochronie i plasnął o powierzchnię wody.

Sekundę później woda pod helikopterem zakotłowała się i zamieniła w linię pęcherzy

powietrza,

która

zaczęła

szybko

sunąć

w

kierunku

południowoafrykańskiego tandemu.

Torpeda!

Pięć sekund później pod rozpędzonym tandemem doszło do gwałtownej eksplozji.

Siła wybuchu była tak potężna, że katamaran uniósł się nad wodę i zaczął koziółkować. Przewrócił się kilka razy, odbijając się od powierzchni wody, dotarł do skraju i z prędkością kuli armatniej uderzył o skalny brzeg, po czym wybuchł i rozpadł się na kawałki.

Schofield robił, co mógł, by dogonić uciekające przed nim łodzie, i kiedy południowoafrykański tandem został trafiony, był za nim najwyżej jakieś pięćdziesiąt metrów. Ale zbliżał się do przeciwnika bardzo powoli – w chwili wyruszenia tamci mieli nad nim zbyt dużą przewagę.

Nagle kanion skręcił...

... i przeciął się z kanałem, z którym niedawno się rozdzielił – tym, którym w pogoni za pozostałymi dwoma południowoafrykańskimi tandemami popłynęli Mózgowiec i Herbie – obie drogi wodne tworzyły wielkie X.

Biały wodolot, którego gonił Schofield, dotarł do skrzyżowania w tym samym

momencie, w którym z drugiego ramienia wpłynął na niejeden z pary południowoafrykańskich tandemów, ściganych przez Mózgowca.

Łodzie gwałtownie skręciły, próbując uniknąć kolizji. Wyrzuciły w górę gigantyczne fontanny wody i w ułamku sekundy straciły cały rozpęd.

Drugi tandem z pary gonionej przez Mózgowca nie mógł jednak zwolnić.

Przemknął jak pocisk między dwiema pozostałymi łodziami i pomknął odnogą prowadzącą na zachód.

Helikoptery również straciły koordynację. Jednemu udało się zawisnąć nieruchomo w powietrzu, a dwa pozostałe zaczęły latać chaotycznie nad skrzyżowaniem kanałów, przecinając sobie nawzajem drogę i mijając się o centymetry. Aby powrócić do szyku bojowego, musiały odlecieć na bok.

Tego właśnie potrzebował Schofield.

Teraz mógł dogonić uciekinierów.

Mózgowiec był mniej więcej osiemdziesiąt metrów przed skrzyżowaniem kanałów.

Widział całe zamieszanie, ruszający ponownie wodolot i unieruchomiony tandem.

Jego uwagę przykuł wodolot, który wirował na wodzie, próbując wjechać do odpowiedniego kanału.

Schofield dotarł do skrzyżowania w chwili, gdy wodolot skręcił na południe.

Tuż za nim jechał Mózgowiec.

– Płynę za wodolotem, sir! – Widzę! – odparł Schofield.

Sam też zamierzał podążyć za wodolotem, ale nagle jego uwagę zwrócił jakiś ruch po prawej stronie. Odwrócił się i popatrzył na prowadzący na zachód kanał.

Znikał w nim właśnie jeden z południowoafrykańskich tandemów.

Był to ten sam tandem, który przed chwilą – nie mogąc się zatrzymać –

przemknął między unieruchomionymi na chwilę dwoma południowoafrykańskimi łodziami. Dziwne, ale nawet nie próbował zawrócić, by wesprzeć wodolot.

Oczywiście!

W wodolocie nie było chłopca! Był w tandemie. W TYM tandemie.

– O, nie... – jęknął Schofield na widok łodzi Mózgowca, znikającej za zakrętem w pogoni za wodolotem.

Łódź Mózgowca płynęła szybko. Bardzo szybko.

Wkrótce znalazła się na wysokości wodolotu. Obie jednostki gnały obok siebie wąskim kanałem jak samochody wyścigowe, które wyrwały się spod kontroli, a dwa penetratory leciały nad nimi i wściekle je ostrzeliwały.

– Mózgowiec... szysz... nie... – rozległ się w słuchawkach urywany głos

Schofielda, ale z powodu hałasu łopat wirników, silników i strzelaniny młody komandos nie mógł zrozumieć, o co chodzi dowódcy.

Kazał Herbiemu podprowadzić tandem jak najbliżej pędzącego wodolotu, a sam wstał z fotela.

Obserwował pędzący obok wodolot – widział zamontowane na dziobie dwie przecinające wodę płetwy, ale ponieważ szyby kabiny były przyciemnione, nie mógł zajrzeć do jej wnętrza.

Wziął w końcu głęboki wdech i przeskoczył na wąski występ biegnący wokół wodolotu.

– ...gowiec!...noś...tamąd!

Słowa Schofielda były kompletnie niezrozumiałe.

Mózgowiec złapał za uchwyt, wystający z dachu kabiny wodolotu. Nie bardzo wiedział, czego się może spodziewać. Możliwe, że zaraz otworzą się drzwi, ktoś wyskoczy i zacznie do niego strzelać... nic takiego jednak nie nastąpiło.

Nieważne, pomyślał i skoczył szczupakiem na przedni pokład Wodolotu.

Błyskawicznie przetoczył się po nim i strzelił w przednią szybę kabiny. Rozprysnęło się szkło, a kiedy dym się rozwiął, można było zajrzeć do środka.

Dziwne...

Kabina była pusta.

Mózgowiec wdrapał się do niej...

... i stwierdził, że drążki sterujące poruszają się same, prowadzone przez komputerowy antyimpedancyjny system nawigacyjny, nakazujący łodzi odsuwać się od wszystkich obiektów – w tym także od innych łodzi i skalnych ścian.

Nagle w uszach Mózgowca zabrzmiał głos Schofielda:

– Mózgowiec, wynoś się stamtąd! Wodolot to pułapka! Wodolot to pułapka! W ciszy, która po chwili zapadła, Mózgowiec usłyszał głośne buczenie, sygnalizujące koniec jego życia.

Sekundę później wodolot eksplodował i wszystkie okna wyprysnęły na zewnątrz.

Impet wybuchu był tak silny, że tandem Herbiego został przewrócony jak zabawka. Rozpędzona łódka sunęła jednak dalej – dnem do góry – po czym uderzyła w skalny brzeg i znieruchomiła.

Pogięty wrak stał bez ruchu, a wokół niego opadały krople wody.

Schofield zamierzał właśnie ruszyć w pościg za południowoafrykańskim tandemem, który uciekł z pola walki, kiedy wodę wokół niego rozerwał nagle grad

pocisków.

Strzelał do niego czwarty, ostatni południowoafrykański tandem.

Schofield popłynął na wschód – z powrotem, kanionem prowadzącym do krateru z kamiennym ostańcem pośrodku.

Zanim zdążył się zastanowić, co ma dalej robić, wokół jego łódki trysnęły dwie równoległe linie jeszcze większych gejzerów. Pociski padały tak blisko, że bryzgi wody ochlapwały mu twarz.

Zaatakował go trzeci helikopter, unoszący się nad skrzyżowaniem kanałów i obracający się wściekle w powietrzu w poszukiwaniu łodzi z Kevinem. Czarne sześciolufowe działko typu Vulcan głośno ryczało, wypływając z siebie długie jęzory żółtych płomieni.

Schofield dodał gazu i skręcił ostro w lewo, by oddalić się od penetratora, ale oddaliło go to także od łodzi, w której jego zdaniem uprowadzono Kevina. Podążył za południowoafrykańskim tandemem, który wracał do krateru.

Właśnie tę łódź postanowił także ścigać penetrator. Opuścił nos i wystrzelił do przodu jak szarżujący nosorożec, a z jego rur wydechowych trysnęły snopy iskier.

Tandem Schofielda mknął po wodzie, jego kadłub ledwie dotykał jej powierzchni; gonili południowoafrykańską łódź wijącym się kanionem, czując cały czas obecność unoszącego się nad nimi penetratora.

– Jakież pomysły?! – wrzasnął Book II.

– Jasne! – odkrzyknął Schofield. – Nie daj się zabić! Penetrator ponownie otworzył ogień i kolejne dwie linie wodnych gejzerów wystrzeliły z wody po bokach pędzącej motorówki.

Schofield znów ostro skręcił w lewo – tak gwałtownie, że prawy kadłub

katamarana uniół się nad wodę – dokładnie w chwili, gdy seria pocisków przecięła wodę pod nim.

W tym samym momencie z kadłuba helikoptera wypadły dwie torpedy. Kiedy Schofield je ujrzał, strach rozszerzył mu oczy.

– Cholera...

Torpedy jedna po drugiej wpadły z pluskiem do wody i sekundę później dwie linie bąbelków ruszyły w kierunku tandemów.

Jedna z nich mknęła prosto na łódź Schofielda.

Schofield skręcił w prawo, w kierunku przedziwnie ukształtowanego głazu, wystającego nad wodę tuż przy prawym brzegu kanionu. Jego łagodnie skośnie wznoszący się wierzch wyglądał jak pochylnia...

Torpeda doganiała ich.

Tandem Schofielda śmigał jak strzała. Book II zrozumiał, co Schofield zamierza.

Motorówka uderzyła w gładz w chwili, gdy torpeda znalazła się pomiędzy silnikami i...

...oba dzioby łodzi uniosły się w powietrze, a oba kadłuby zaczęły – drapiąc i chrobocząc – sunąć po skale i nagle – ZZZUMMM! – niczym przelatujący przez beczki samochód kaskadera, tandem przeskoczył gładz, dokładnie w chwili, gdy torpeda eksplodowała po jego drugiej stronie, posyłając w niebo tysiące kamiennych kawałków, które rozłożyły się za uciekającą łodzią w kształt wachlarza.

Oba kadłuby plasnęły o wodę i pomknęły dalej.

Schofield spojrział przed siebie. Tandem przed nim właśnie skręcał ostro w lewo, kierując się ku tunelowi, odchodzącemu w gładz lewej ściany kanionu.

Wykonał ten sam manewr, bo druga torpeda goniła ich jak głodny krokodyl.

Południowoafrykański tandem zniknął w tunelu.

Sekundę później to samo zrobił katamaran Schofielda. Torpeda skręciła za nimi.

Oba tandemy – z zapalonymi reflektorami – gnały tunelem z prędkością ponad 150 kilometrów na godzinę, co sprawiało, że szare ściany wokół nich rozmazywały się w niewyraźne pasy. Czuli się, jakby jechali superszybką kolejką górską w wesołym miasteczku.

Schofield musiał się maksymalnie koncentrować. Tempo było niesamowite.

Tunel miał jakieś sześć metrów szerokości i lekko zakręcał. Mniej więcej dwieście metrów z przodu widać było małą plamkę światła – koniec tunelu.

– Zbliża się! – wrzasnął nagle Book II.

– Co?

– Torpeda!

Pocisk bardzo szybko skracał dystans.

Południowoafrykański tandem pędził pięć metrów przed nimi, wzbijając w górę wysokie fontanny wody. Ponieważ każda łódź miała około czterech metrów szerokości, nie było możliwości go wyprzedzić.

Schofield skręcił w lewo – przeciwnik przed nim zrobił to samo. Skręcił w prawo

– łódź przed nimi też.

– Co robimy?! – krzyknął Book II.

– Nie mam... – zaczął Schofield, zaraz jednak dodał: – Trzymaj się!

– Co?

– Trzymaj się mocno!

Torpeda wiła się tuż pod powierzchnią płytkiej wody jak wąż, zbliżając się do ich rufy.

Schofield pchnął manetki przepustnic i zbliżył się do motorówki przed nim. Obie smukłe jednostki gnały z prędkością Ponad 150 kilometrów na godzinę, oddalone od siebie najwyżej o 30 centymetrów.

Prowadzący łódkę przed nimi Południowoafrykańczyk odwrócił się szybko.

– Cześć! – zawołał Schofield, machając mu. – I do Widzenia! Powiedziawszy to, dokładnie w chwili, gdy torpeda zaczęła znikać pod rufą ich łodzi, Schofield pchnął do oporu manetki przepustnic i ostro szarpnął drążkiem sterowniczym w prawo.

Tandem wystrzelił w bok, oba jego kadłuby uniosły się nad wodę i zaczęły jechać po łukowato zakrzywiającej się prawej ścianie tunelu. Łódź uniosła się tak wysoko, że w pewnej chwili znajdowała się pod kątem prostym do powierzchni wody.

Kiedy torpeda straciła pierwotny cel, ruszyła na następny.

W zamkniętej przestrzeni tunelu eksplozja była ogłuszająca.

Południowoafrykański tandem rozprysnął się na drobne kawałki, które pomknęły w obu kierunkach tunelu. Za nimi runęła fala kłębiącego się, ryczącego ognia.

Nie zwalniając tempa, tandem Schofieldda zsunął się na wodę, przemknął przez zwęglone resztki zniszczonej łodzi oraz ścianę ognia i wyprysnął do kanionu za tunelem.

Schofield ściągnął przepustnicę i tandem zatrzymał się pośrodku nowego kanionu.

Zarówno on, jak i Book II byli przemoczeni do suchej nitki.

Rozejrzeli się po wysokich ścianach, próbując zorientować się, gdzie się znaleźli, i stwierdzili, że nie są w żadnym nowym kanionie, ale w tym samym, którym popłynęli po rozłączeniu się z Mózgowcem. Byli bardzo blisko miejsca, gdzie się z

nim rozdzielili.

Schofield dodał gazu i zaczął zakręcać, zamierzając podjąć pogoń za tandemem, w którym był Kevin, gdy nagle do jego uszu – od prawej strony – doleciał charakterystyczny hurgot.

Odwrócił się gwałtownie.

Zobaczył helikopter. Czwarty helikopter – słabo widoczny na tle pionowej skalnej ściany, unoszący się jakieś piętnaście metrów nad wodą, na skrzyżowaniu dwóch kanionów.

Nie był to penetrator. Był zbyt pękaty, miał całkiem inne proporcje.

Kiedy zmienił ustawienie w powietrzu i było go widać z boku, Schofield rozpoznał w nim CH-53E Super Stalliona – potężną maszynę transportową, taką samą jak te, które zwykle towarzyszą Marine One. Ten model helikoptera znany jest z ogromnej wytrzymałości i bardzo dużej ładowności – dzięki opuszczanej z tyłu rampie ładunkowej może zabrać pięćdziesięciu pięciu żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym, zawieźć ich do celu i przywieźć z powrotem.

Siły powietrzne musiały użyć super stalliona, by zabrać Kevina z powrotem do bazy, bo penetratory miały miejsce jedynie dla trzech członków załogi.

Helikopter wisiał w miejscu połączenia dwóch kanionów, powoli się obracając, i można było podejrzewać, że nie tylko miał służyć do transportu małego więźnia, ale także przywiózł jakieś wsparcie.

Schofield zawrócił łódkę i powoli ruszył w kierunku helikoptera.

– Co robisz? – zdziwił się Book II. – Dzieciaka zabrali w drugą stronę...

– Wiem, ale nie sądzę, aby udało nam się go złapać na wodzie. Czas wzbić się w powietrze.

Wszyscy trzej znajdujący się w super stallionie komandosi 7. Szwadronu mieli na głowach słuchawki. Jeden pilotował, a pozostali dwaj mówili szybko do mikrofonów, starając się przekrzyczeć hałas, robiony przez łopaty wirnika. Oni także szukali zbiegłego południowoafrykańskiego tandemu, który uciekł, ledwie unikając kolizji na skrzyżowaniu kanionów.

– Penetrator Jeden, tu Luneta – powiedział jeden z komandosów. – Z prawej zaczyna się kanion. Poleć nim. Możliwe, że właśnie tamtędy uciekli...

– Penetrator Dwa, wracaj na kierunek zachód i sprawdź kanion po swojej lewej stronie... – powiedział drugi.

Na monitorach przed każdym z radiooperatorów jarzyła się zielono mapa systemu kanionów.

OBRAZ GEOSAT CZAS RZECZYWISTY SATELITA xs-0356-070 STREFA: (Jez.)

POWELL, UTAH SIATKA GPS: 114o14'12" W; 23o45'11" N NAKŁADKA THCZKA USAFSA (R) 7-100W

Trzy podświetlone punkty z lewej strony – P-1, P-2 oraz P-3 – oznaczały trzy penetratory, przeczesujące kaniony w poszukiwaniu zbiegłego tandemu.

Nieruchoma plamka niedaleko krateru z ostańcem – LA – oznaczała super stalliona o kryptonimie Luneta. Czarna linia dokumentowała przebytą dotychczas przez helikoptery drogę.

Podczas gdy radiooperatorzy wydawali instrukcje, pilot wyglądał przez przednią szybę pękatego kokpitu, przepatrując kanion w dole.

W głośnym hałasie wirujących łopat oraz nakładających się na siebie w słuchawkach głosów żaden z nich nie usłyszał tępego DUNG! – magnesu maghooka, uderzającego o podłogę kadłuba ich helikoptera.

Tandem Schofielda stał dokładnie pod super stallionem – podskakując na wodzie, spienianej przez falę uderzeniową powietrza, pchanego w dół łopatom helikoptera.

Z unoszącym się piętnaście metrów wyżej super stallionem łączyła go cienka linka z czarnego kevlaru.

Po chwili nad wodą, unoszona na lince, zwijanej przez silniczek maghooka, ukazała się drobna figurka.

Był to Schofield.

Po kilku sekundach wisiał już pod kadłubem helikoptera – piętnaście metrów nad wodą, tuż obok klapy wyjścia awaryjnego, przytrzymywany jedynie siłą potężnego magnesu.

Hałas na górze był okropny. Silna fala pchanego w dół powietrza sprawiała, że kombinezon 7. Szwadronu, w który Schofield był ubrany, kleił mu się do ciała niczym druga skóra, a zwisająca u pasa Piłka bujała się na boki jak wściekła.

Super stalliony mają zdejmowane płozy, tak więc Schofield wykorzystał jeden z okrągłych uchwytów, przez które przeciąga się liny mocujące płozy. Potem wcisnął przycisk na ręczce maghooka i strzelba zaczęła opadać w dół.

Po kilku sekundach przy Schofieldzie znalazł się Book II – wisiał pod brzuchem helikoptera na maghooku.

Schofield sięgnął po dźwignię otwierania luku awaryjnego.

– Gotów?

Book II skinął głową.

Schofield energicznym ruchem przekręcił dźwignię i klapa opadła. Najpierw poczuli uderzenie wiatru.

Do tylnej kabiny wpadła fala powietrza i zaraz potem wślizgnął się do środka

Schofield, a za nim Book II.

Znaleźli się w przedziale do transportu żołnierzy – oddzielonym od kokpitu małymi stalowymi drzwiczkami.

Obaj radiooperatorzy natychmiast odwrócili się i sięgnęli po broń.

Ale Schofield i Book II nacierali już na nich, poruszając się jak swoje lustrzane odbicia. Jeden strzał Schofielda i zginął pierwszy radiooperator. Strzał Booka II i drugi radiooperator przeszedł do historii.

Kiedy pilot zobaczył, co się dzieje, uznał, że jego najlepszą bronią wcale nie będzie pistolet.

Pchnął drążek i maszyna gwałtownie runęła dziobem w dół. Book II natychmiast stracił równowagę.

Schofield rzucił się na podłogę i ślizgając się na brzuchu, pomknął w kierunku otwartych drzwiczek do kokpitu.

Pilot próbował zatrzasać je kopniakiem, ale Schofield był szybszy.

Sunąc po podłodze, przekręcił się na plecy, wjechał do kabiny i zatrzymał się, jedną ręką przytrzymując drzwiczki, a w drugiej unosząc desert eagle'a, wycelowanego prosto w nasadę nosa pilota.

– Nie każ mi tego robić – powiedział, przyciskając spust. Pilot, kompletnie zaskoczony, patrzył na intruza, celującego do niego z pistoletu.

– Nie każ mi tego robić – powtórzył Schofield. Pilot sięgnął do kabury pod pachą po glocka. BAM!

Schofield strzelił.

– Niech cię jasna cholera... – zaklął, po czym zrzucił ciało pilota z fotela i przejął

ster. – Przecież ci mówiłem, palancie...

Opanowany przez Schofielda i Booka II super stallion gnał wąskim kanionem i skręcał raz za razem, kierując się ku skrzyżowaniu kanionów, gdzie niedawno omal nie doszło do karambolu.

Schofield miał przed oczami obraz południowoafrykańskiego tandemu, wpływającego w zachodnią odnogę skrzyżowania, a następnie znikającego w wąskim kanionie z prawej strony. Na mapie na ekranie monitora w helikopterze mógł widzieć obraz tego kanionu – wił się on w kierunku północnym i wychodził na kolejny krater ze skalnym ostańcem, tyle że znacznie mniejszym od pierwszego. Co takiego może być w tym kraterze?

Dlaczego południowoafrykański tandem kieruje się właśnie w tamtym kierunku?

Super stallion leciał z łoskotem wąskim kanionem. Wylecieli zza zakrętu i...
...znaleźli się oko w oko z jednym z penetratorów sił powietrznych.

Schofield szarpnął drążek i jego maszyna zawisła nieruchomo w powietrzu.

Penetrator unosił się nad skrzyżowaniem, do którego zamierzał dotrzeć

Schofield – i obracał się, by pilot mógł zajrzeć do każdej z czterech spotykających się tu odnóg. Wyglądał jak poszukujący ofiary latający rekin.

Pilot penetratora natychmiast ich zobaczył.

– Luneta, tu Penetrator Trzy – rozległ się w głośniku interkomu ostry głos. –

Masz już obraz z satelity w czasie realnym?

Schofield zeszywniał. Cholera jasna!

– Book, szybko! Kontrola broni!

Penetrator obrócił się dziobem do super stalliona.

– Luneta? Słuchasz mnie?

– Mamy na dziobie gatlinga – powiedział Book II. – To wszystko.

– Nic więcej?

Helikoptery unosiły się nad skrzyżowaniem niczym dwa szykujące się do ataku orły, oddalone mniej więcej o sto metrów.

– Nic.

– Luneta... – Głos w głośniku interkomu zrobił się ostrożny. – Podaj natychmiast swój kod autoryzacyjny.

Schofield popatrzył pod skrzydełka penetratora. Wisiały tam rakiety. Wyglądały jak sidewindery. Sidewindery... Wcisnął przycisk na konsolce.

– Do maszyny bojowej Penetrator: tu kapitan Shane Schofield, korpus piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych, ochrona prezydencka. Dowodzę obecnie tą maszyną. Mam ci do powiedzenia tylko dwa słowa.

– Jakie?

– Pieprz się – obojętnym tonem powiedział Schofield. Zapadła cisza.

– No dobrze... – odpowiedział w końcu pilot penetratora. Schofield całą uwagę skoncentrował na skrzydłach maszyny przeciwnika.

Chwilę później spod lewego skrzydła penetratora wystrzeliła błyszcząca rakietą typu AIM-9M Sidewinder.

– Jasna cholera... – jęknął Schofield.

Widział raketę od przodu – zaokrąglony dziób, cztery lotki stabilizujące i smugę dymu, wijącą się za lecącym prosto na nich pociskiem.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął Book II. – Zamierzasz beczynnie siedzieć? W tym momencie Schofield zrobił przedziwną rzecz.

Wcisnął przycisk na drążku sterowniczym.

Kiedy do trafienia brakowało może sekundę, uruchomił się zamontowany na dziobie super stalliona karabin maszynowy Gatling i wypluł długą linię jarzących się pomarańczowo pocisków smugowych.

Schofield skierował zdolne ciąć niczym laser pociski na nadlatującą raketę i kiedy znalazła się dwadzieścia metrów od jego maszyny, pociski trafiły prosto w głowicę, powodując potężną eksplozję – może piętnaście metrów od celu.

– Co to ma... – zaczął Book II. Schofield jednak jeszcze nie skończył. Skierował następną linię pocisków na penetratora.

Widział, jak dwaj piloci gorączkowo starają się odpalić kolejną raketę, ale było już za późno.

Pociski z gatlinga zaczęły się wbijać w kadłub penetratora – jeden po drugim – gnąc blachę, szarpiąc ją i sprawiając, że cała maszyna gwałtownie dygotała.

Kolejna seria pocisków Schofielda musiała przejść przez środek kabiny, bo chwilę później zapalił się jeden ze zbiorników paliwa i helikopter eksplodował, zamieniając się w kulę ognia, po czym spadł z nieba jak kamień i uderzył o powierzchnię wody.

Pomknęli zachodnim kanionem w kierunku wąskiego przesmyku, w którym zniknął południowoafrykański tandem.

– Co ty właściwie zrobiłeś? – spytał Book II.

– Kiedy?

– Nie wiedziałem, że można zestrzelić raketę pociskami smugowymi.

– Tylko sidewindera. Mają czujnik termiczny i kierują się na cel za pomocą systemu emitującego fale podczerwone. Aby było to możliwe, osłona dziobu musi je

przepuszczać, nie może więc być zrobiona z kutej stali. Dziób sidewindera to bardzo kruchy, przezroczysty plastik. Najsłabszy punkt rakiety.

– I ty właśnie strzeliłeś w ten dziób?

– Zgadza się.

– Ryzykowna taktyka.

– Rakietę leciała prosto na nas. Niewielu ludzi ma okazję popatrzeć na sidewindera od przodu. Warto było spróbować.

– Zawsze tak ryzykujesz?

Schofield przez chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem. Popatrzył na młodego sierżanta.

– Staram się tego nie robić, ale... czasami nie da się uniknąć ryzyka.

Dotarli do wąskiego przesmyku, w którym zniknął południowoafrykański tandem.

Był mroczny i znacznie węższy, niż Schofield się spodziewał. Łopaty wirnika ich helikoptera ledwie się w nim mieściły.

Ogromny helikopter leciał dudniąc między skalnymi ścianami, przeciął cień i po chwili wyprysnął na jaskrawe słońce. Znaleźli się w wypełnionym wodą kraterze o stumetrowych pionowych ścianach, przy którego pomocnym brzegu sterczał z wody maczugowaty kamienny ostańiec.

Tak samo jak w poprzednim kraterze również i tu pędzony burzą piasek smagał wodę. Nadlatywał falami i wyglądał niemal jak ulewa. Walił z ogromnym impetem o przednią szybę pilotowanego przez Schofielda helikoptera.

– Widzisz coś?! – krzyknął Schofield.

– Tam! – Book II wskazał na lewo, na pionową ścianę naprzeciwko ostańca. Od

jeziora odchodził w tym miejscu kolejny kanał – najszerszy, jaki tu dotychczas widzieli.

Stała tam mała motorówka, walcząca ze wzburzoną przez wichur wodą.

Południowoafrykański tandem. Sam.

Super stallion pomknął tuż nad wodą. Łopaty wirnika dudniły. Schofield uważnie obserwował motorówkę.

Łódź znajdowała się jakieś dwadzieścia metrów od wchodzącej pionowo w wodę skały.

Schofield zawisł w powietrzu trzydzieści metrów od tandemu i dziesięć nad powierzchnią wody. Gnany wichrem piach trzaskał o przednią szybę.

Przyjrzał się uważnie motorówce. Z jej dziobu odchodziła pionowo w dół lina.

Tandem był zakotwiczony.

Nagle Schofield dostrzegł jakiś ruch.

Na łodzi.

Przez zasłonę piachu dostrzegł w lewym kadłubie pulchnego, łysiego mężczyznę w koszuli z krótkim rękawem. Człowiek ten właśnie wstawał. Gunther Botha.

Kiedy helikopter Schofielda nadleciał pod osłoną burzy piaskowej, Botha był czymś zajęty i prawdopodobnie dlatego go nie zauważył. W prawym kadłubie również ktoś był.

Drobna, dziecięca figurka, całkiem nie na miejscu w stanowisku strzeleckim.

Kevin.

Schofield poczuł ogromną ulgę. Znaleźli go.

Po chwili Schofield zawołał przez zewnętrzne głośniki super stalliona:

– Doktorze Botha, tu piechota morska Stanów Zjednoczonych! Jest pan

aresztowany! Proszę przekazać nam chłopca i poddać się!

Botha jakby go nie słyszał. Wyrzucił za burtę coś kanciastego, o metalicznym połysku. Przedmiot plusnął w wodę i natychmiast zatonął. Co on robi? – zastanawiał się Schofield. Odwrócił się do Booka.

– Otwórz rampę załadunkową i opuść się do łodzi.

Tył wielkiego helikoptera zaczął zbliżać się do motorówki. Schofield stał na otwartej platformie. Był teraz jakieś trzy metry nad powierzchnią wody – w jednej ręce trzymał pistolet, w drugiej mikrofon. Otaczały go rozszalałe chmury piasku.

Uniósł mikrofon do ust.

– Botha, oddaj chłopaka! – zadudnił jego wzmocniony głos.

Ale tamten w dalszym ciągu nie zwracał na niego uwagi. Kevin odwrócił się w fotelu i kiedy ujrzał Schofielda, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Pomachał – po dziecięcemu, całym ramieniem.

Schofield odmachnął mu oszczędnym ruchem dłoni.

Zastanawiał się, co zamierza Botha.

Afrykański naukowiec miał na plecach sprzęt do nurkowania. Rzucił Kevinowi zakrywającą całą twarz maskę nurka i szybkimi gestami kazał mu ją założyć.

Schofield zmarszczył czoło. Sprzęt do nurkowania?

Bez względu na to, co Botha chce zrobić, nadszedł czas, by go powstrzymać, pomyślał.

Uniósł pistolet i właśnie zamierzał strzelić w motorówkę Bothy, by ściągnąć na siebie jego uwagę, gdy zupełnie niespodziewanie gdzieś w górze rozległ się głośny łoskot i tylny wirnik jego super stalliona rozpadł się na kawałeczki.

Ogon helikoptera odłamał się jak sucha gałąź i spadł do wody, a maszyna

zaczęła wściekle wirować, oddalając się od motorówki Bothy.

Pozbawiony ogona super stallion zaczął gwałtownie opadać ku wodzie.

Book II ścisnął drążek, ale nie mógł uratować helikoptera, który bujał się ostro na boki i mknął nosem naprzód ku wodzie.

Schofieldem gwałtownie rzuciło i stracił równowagę; na szczęście udało mu się przytrzymać obciążonego płótnem fotelika.

Helikopter uderzył w wodę.

W górę wytrysnął gigantyczny gejzer.

Dziób potężnej maszyny wbijał się coraz głębiej i głębiej, aż w końcu cała się zanurzyła i dopiero po dziesięciu sekundach wielki kadłub wypłynął na powierzchnię.

Book II wcisnął klawisz awaryjnego wyłączania wszystkich systemów i silniki natychmiast zamarły. Łopaty wirnika powoli zwalniały obroty.

Do przedziału ładunkowego zaczęła wlewać się woda.

Nie wpływała przez otwartą rampę załadunkową, która była tak skonstruowana, że w przypadku wodowania unosiła się tuż nad powierzchnią, ale przez luk awaryjny, którym Schofield i Book II wtargnęli do helikoptera.

Super stallion przez jakiś czas po awaryjnym lądowaniu może utrzymywać się na wodzie, ponieważ jednak ich maszyna miała otwarty luk w podłodze kadłuba, od razu zaczęła tonąć. Schofield pobiegł do kokpitu.

– Co to było? Coś nas trafiło!

– Wiem – odparł Book II i skinął głową, wskazując na zewnątrz. – To chyba oni.

Schofield wyjrzał przez przednią szybę.

Tuż nad wodą po obu stronach motorówki Bothy, zasłaniane przez tumany

piachu, unosiły się dwa pozostałe penetratory sił powietrznych. Super stallion tonął przerażająco szybko.

Woda wlewała się z bulgotem przez otwarty luk, rozlewając się szybko po przedziale towarowym i ściągając tylną część helikoptera pod wodę.

W ciągu minuty rampa załadunkowa znalazła się pod powierzchnią, co spowodowało, że woda mogła się wlewać także szerokim tylnym otworem. Schofield i Book II stali w kokpicie po kostki w wodzie. Nagle tonący wrak przekreślił się gwałtownie w bok.

– Jakieś ryzykowne pomysły? – spytał Book II, łapiąc się jakiegoś występu.

– Żadnych.

Super stallion powoli, ale nieustannie opadał – resztką ogona do dołu. Schofield wyjrzał przez przednią szybę.

Jeden z penetratorów zbliżył się do motorówki Bothy i zawisł tuż przed nią niczym szykujący się do ataku drapieżnik.

Botha stał wyprostowany i patrzył na czarny helikopter. Zamachał obiema rękami. Wyglądał jak karzeł, próbujący przebłagać ptaka-boga.

Spod prawego skrzydła penetratora wystrzelił nagle stinger, ciągnąc za sobą białą strużkę dymu.

Rakieta trafiła w kadłub, w którym stał Botha, i lewa część motorówki wyskoczyła nad wodę.

Naukowiec zniknął. Pozostał po nim jedynie krąg spienionej wody. Kadłub z

Kevinem został gładko odcięty. Pojedynczy kadłub wraz z resztą łącznika podskakiwał na wodzie, obserwowany przez pilotów penetratora. Schofield zamarł.

Zabili Bothę!

Jasna cholera!

Ich super stallion był już w trzech czwartych pod wodą – ponad powierzchnię wystawały jedynie końcówki łopat i wypukła przednia szyba kokpitu. Po chwili drobne fale zaczęły uderzać o szybę.

Cały przedział towarowy wypełniała ciemnozielona woda, która lada moment miała wdrzeć się do kokpitu.

Penetrator opadł niżej nad zniszczonym tandemem i spuszczone z niego specjalną uprząż ratunkową dla Kevina.

– A niech to cholera! – zaklął głośno Schofield.

Super stallion dalej tonął. Ostatnią rzeczą, jaką Schofield ujrzał, zanim przednia szyba została całkowicie zalana falującą wodą, był Kevin – zapięty w uprzęży i wciągany do tylnej części kokpitu helikoptera szturmowego.

Potem wszystko odcięła ciemnozielona zasłona.

Załogi obu penetratorów doskonale wiedziały, kto jest w super stallionie.

Przez ostatnie kilka minut nie dostały odpowiedzi na ani jeden z komunikatów, które przekazywały Lunecie, doprowadził ich jednak do krateru sygnał znajdującego się na pokładzie super stalliona transpondera i dzięki niemu znaleźli Bothę oraz chłopca.

Oba helikoptery unosiły się nad wrakiem, a ich załogi obserwowały, jak pogrąża się w wodzie.

W prowadzącym penetratorze siedział Pyton Willis – dowódca oddziału Charlie.

Musiał się upewnić, że super stallion naprawdę zatonął.

Po kokpicie w zielonej toni zniknął koniec łopaty – ostatnia wystająca jeszcze nad powierzchnię wody część maszyny Schofielda.

Kiedy woda wypełniła wnętrze wraka, wypłynęły z niego kłęby pęcherzyków powietrza.

Penetratory czekały.

Willis czekał, aż znikną ostatnie bąbelki. Musiał mieć pewność, że w podwodnej trumnie nie ma już żadnych zapasów powietrza.

Po kilku następnych minutach powierzchnia wody wygładziła się. Penetratory w dalszym ciągu czekały.

Pozostały na miejscu jeszcze przez dziesięć minut – gdyby ktoś wypłynął, zginąłby od kul.

Nikt się jednak nie pojawił.

W końcu zawróciły i poleciały z powrotem do Strefy 7.

Nikt nie wytrzymałby tak długo pod wodą, nawet w kieszeni powietrznej.

Mowy nie ma.

Shane Schofield – i ktokolwiek jeszcze siedział z nim w maszynie – był bez wątpienia martwy.

Gant, Matka, Juliet i prezydent znajdowali się w dalszym ciągu na poziomie 4, w ciemnym laboratorium. Byli z nimi także Wycior Hagerty i Nicholas Tate.

– Powinniśmy się zbierać – stwierdziła Gant.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała Matka.

– Proszę powiedzieć, co pani wyprawia, sierżancie Gant?! – zażądał wyjaśnień Hagerty.

– Nie możemy tu pozostać – odparła Gant.

– Ale to przecież doskonała kryjówka.

– Powinniśmy się nieustannie przemieszczać. Jeżeli nas szukają, a my

pozostaniemy w jednym miejscu – w końcu nas dopadną. Musimy zmieniać miejsce pobytu przynajmniej co dwadzieścia minut.

– Gdzie się tego pani nauczyła?

– Tak jest napisane w podręczniku szkoleniowym Szkoły Kandydatów na Oficerów – odparła Gant. – To standardowe techniki unikania kontaktu. Z pewnością czytał pan o tym w którymś momencie swojej kariery. Poza tym chciałabym coś sprawdzić.

Hagerty poczerwieniała.

– Nie zamierzam się zgodzić, aby mówił tak do mnie sierżant...

– Ale zgodzi się pan – oświadczyła Matka, podchodząc do Hagerty'ego.

Wyglądała przy nim jak wieża. Skinęła głową w kierunku Gant. – Ponieważ w sytuacji bojowej ta mała laska jest znacznie sprytniejsza i bardziej opanowana, niż pan będzie kiedykolwiek. A tak dla pańskiej informacji, długo już sierżantem nie pozostanie. Wkrótce będzie oficerem. I powiem panu coś jeszcze: bez obawy oddam swoje życie w jej ręce, a w pańskie nigdy. Hagerty wydał wargi.

– Rozumiem. A więc...

– Pułkowniku Hagerty – przerwał mu prezydent. – Sierżant Gant dwa razy uratowała mi dziś życie... najpierw w windzie, potem na platformie. W obu sytuacjach zachowała się zdecydowanie i ze spokojem, a wielu ludzi wytrąciłyby one z równowagi. Cieszę się, że moje bezpieczeństwo zależy od niej.

– Ty pierdolony dupku... – mruknęła Matka, patrząc na Hagerty'ego.

– Sierżancie Gant – powiedział prezydent. – Co pani zamierza? Gant uśmiechnęła się, jej błękitne oczy zamigotały.

– Uważam, że powinniśmy coś zrobić z przekaźnikiem w pańskim sercu, sir.

W sterylnym, pozbawionym okien pomieszczeniu w piwnicach Pentagonu

David Fairfax wciąż intensywnie pracował nad odszyfrowaniem przechwyconych rozmów telefonicznych, prowadzonych z 7. Strefy Specjalnej (o ograniczonym dostępie) Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Po odszyfrowaniu tekstów w afrikaans był z siebie bardzo zadowolony, ale coś go jeszcze dręczyło. Chodziło o znajdujące się między nimi zdania po angielsku. Jeszcze raz puścił nagranie i wysłuchał go uważnie.

16 CZERWCA _____ 19.56:09 _____ ANGIELSKI-ANGIELSKI

GŁOS 3: Wszystko gotowe. Wszystko gotowe.

Potwierdzam: trzeciego. Potwierdzam: trzeciego.

22 CZERWCA _____ 20.51:59 _____ ANGIELSKI-ANGIELSKI

GŁOS 3: Misja rusza. Misja rusza.

Jedno było pewne: obydwie komunikaty zostały przekazane przez tę samą osobę.

Był to mężczyzna, Amerykanin z południowym akcentem. Mówił powoli, starannie ważąc słowa.

Fairfax poprawił okulary i zaczął stukać w klawiaturę.

Postanowił przeprowadzić analizę głosu.

Polegała ona na porównaniu cyfrowej charakterystyki głosu z nagrania – zwanej czasem „głosowym odciskiem palca” – z charakterystykami wszystkich głosów, których próbki przechowywano w bazie danych DIA, głosów, które nagrywała Agencja.

Kiedy Fairfax wprowadził nagranie do bazy danych, po ekranie przemknęły zygzakowate linie.

Po chwili komputer zapiszczał. Znalaziono 6 rekordów Pokazać wszystkie?

– Poproszę – powiedział Fairfax i wcisnął klawisz „Y”. Na ekranie pojawiło się

sześć grup danych.

Nr

DATA

WYDZIAŁ

ŹRÓDŁO

1

29 maja

WYDZKOSM-01

NADZ-SAT (TECZ. 034-77A)

2

07 czerwca

WYDZKOSM-01

NADZ-SAT (TECZ. 034-77A)

3

16 czerwca

WYDZKOSM-02

SP-SZ (R) 07 (TECZ. 009-21D)

4

22 czerwca

WYDZKOSM-02

SP-SZ (R) 07 (TECZ. 009-21D)

5

02 lipca

WYDZKOSM-01

NADZ-SAT (TEŁCZ. 034-77A)

6

03 lipca

WYDZKOSM-01

NADZ-SAT (TEŁCZ. 034-77A)

– No dobrze... – mruknął Fairfax sam do siebie. Odrzucił wpisy trzy i cztery –

były to dwie rozmowy, nad którymi właśnie pracował. Skrót WYDZKOSM-02

informował, że chodzi o jego sekcję, pozostałe cztery wiadomości należały jednak do

głównej sekcji wydziału kosmicznego, znajdującej się po drugiej stronie korytarza.

Źródłem tych czterech wiadomości było NADZ-SAT, co oznaczało „nadzór

satelitarny”. Wyglądało na to, że chłopcy z pierwszej sekcji od pewnego czasu

podsluchują przekazy satelitarne.

Fairfax kliknął na pierwszy rekord.

29 MAJA 13.12:00 PRZECHWYCENIE SATELITARNE (ANGIELSKI)

Przeprowadzili test dziś rano. Szczepionka działa na wszystkie dotychczasowe

szczepy. Potrzebują próbki najnowszej wersji.

Zmarszczył czoło. W jednym z komunikatów w afrikaans również wspomniano

o szczepionce i udanym teście. Rozwinął następny rekord.

7 CZERWCA 23.47:33 PRZECHWYCENIE SATELITARNE (ANGIELSKI) GŁOS

1: Oddział wysłany po wirus jest w drodze do Changchun. Nazwiska: KAPITAN

ROBERT WU I PORUCZNIK CHET LI. Obu można ufać. Jak mówiliśmy, cena za

dostarczenie wam szczepionki będzie wynosić sto dwadzieścia milionów dolarów –

po dziesięć milionów dla każdego uczestnika akcji.

Changchun... Chińska fabryka broni biologicznej. Sto dwadzieścia milionów

dolarów do podziału na dwunastu ludzi.

Robiło się ciekawie. Następny zapis.

2 LIPCA 02.21:57 PRZECHWYCENIE SATELITARNE (CHIŃSKI-ANGIELSKI)

GŁOS 1: Rozumiem, Żółta Gwiazda. Będziemy na miejscu.

A to co? Żółta Gwiazda? Przecież to...

Otworzył ostatnią wiadomość.

3 LIPCA 04.04:42 PRZECHWYCENIE SATELITARNE (ANGIELSKI) GŁOS 1:

Wu I Li wrócili dziś rano ze szczepionką do Strefy 7. Wasi ludzie są z nimi.

Wszystkie pieniądze dotarły. Nazwiska moich ludzi, którzy muszą zostać

wywiezieni: BENNETT, CALVERT, COLEMAN, DAYTON, FROMMER, GRAYSON,
LITTLETON, MESSICK, OLIVER i ja.

Kiedy patrzył na nazwiska, nagle otworzono drzwi i do gabinetu jak bomba

wpadł jego szef – wysoki łysy biurokrata, Eugene Wisher – a za nim trzech

uzbrojonych żandarmów. Wisher kierował operacją, prowadzoną po drugiej stronie

korytarza – śledzeniem właśnie wystrzelonego chińskiego wahadłowca.

– Fairfax! – wrzasnął. – Co pan tu wyprawia?!

Kryptolog przełknął ślinę i ze strachem popatrzył na żandarmów.

– Eee... o czym pan mówi?

– Dlaczego czyta pan przekazy, przejęte w ramach naszej operacji?

– Waszej... operacji?

– Tak. Naszej operacji. Dlaczego ściąga pan z bazy danych informacje należące
do tajnej operacji, prowadzonej przez Pierwszą Sekcję?

Fairfax zaczął intensywnie myśleć, podczas gdy szef dalej się na niego wydzierał.

Nagle wszystko zrobiło się jasne jak słońce.

– Boże drogi... – wymamrotał.

Wymagało to nieco wyjaśnień – pod bronią – ale po pięciu minutach David

Fairfax znalazł się w pomieszczeniu operacyjnym po drugiej stronie korytarza, przed dwoma zastępcami dyrektora DIA.

Wszędzie jarzyły się monitory, przy kilkunastu konsolach pracowali technicy – wszyscy zajmowali się chińskim wahadłowcem „Żółta Gwiazda”.

– Muszę mieć listę personelu Strefy Siedem – powiedział Fairfax do stojących przed nim urzędników.

Natychmiast mu ją dostarczono.

Wyglądała następująco:

Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych

Strefa Specjalna (o ograniczonym dostępie) 07

Personel obecny na miejscu

Klasyfikacja: ŚCIŚLE TAJNE

DOWÓDZTWO Harper, JT (kom.)

NAZWISKO

NAZWISKO

NAZWISKO

7. SZWADRON

JEDNOSTKA

JEDNOSTKA

JEDNOSTKA

Alvarez, MJA

Dillan, STD

Logan, KW

(maj.)

Arthurs, RTC

Doheny, FGA

McConnell, BAB

Atlock, FDBE

Agan, RRB

Messick, KE

Baines, AWA

Fraser, MSC

Milbourn, SKD

Bennett, BE

Fredericks, GHA

Morton, INC

Biggs, NMC

Frommer, SNE

Nance, GFD

Boland, CSB

Gale, AD

Nystrom, JJD

Boyce, LWD

Giggs, REB

Oliver, PKE

Calvert, ETE

Golding, DKD

Price, ALC

Carney, LEE

Goldman, WEA

Rawson, MJC

Christian, FCA

Grayson, SRE

Sayles, MTB

Coleman, GKE

Hughes, RA

Sommers, SRC

Coles, MB

Ingliss, WAB

Stone, JKC

Crick, DTD

Johnson, SWD

Taylor, ASB

Criece, TWA

Jones, MD

Willis, LSC

Davis, LRC

Kincaid, RB

Wolfson, HTA

Dayton, AME

Littleton, SOE

PERSONEL CYWILNY

Botha, GW

Lek.

Franklin, HS

Lek.

Shaw, DE

Lek.

Fairfax wziął do ręki wydruk ostatniej wiadomości, którą przed kilkoma minutami skopiował.

3 LIPCA 04.04:42 PRZECHWYCENIE SATELITARNE (ANGIELSKI)

GŁOS 1: Wu i Li wrócili dziś rano ze szczepionką do Strefy 7. Wasi ludzie są z nimi. Wszystkie pieniądze dotarły. Nazwiska moich ludzi, którzy muszą zostać wywiezieni: BENNETT, CALVERT, COLEMAN, DAYTON, FROMMER, GRAYSON, LITTLETON, MESSICK, OLIVER i ja.

– Doskonale – powiedział, biorąc do ręki różowy fluoryzujący marker, zaczepony o dekolt podkoszulka. – Bennett, Calvert, Coleman...

Zaczął przeciągać mazakiem po nazwiskach. Kiedy skończył, lista wyglądała następująco:

Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych

Strefa Specjalna (o ograniczonym dostępie) 07

Personel obecny na miejscu

Klasyfikacja: ŚCIŚLE TAJNE

NAZWISKO JEDNOSTKA

NAZWISKO JEDNOSTKA

NAZWISKO JEDNOSTKA

DOWÓDZTWO Harper, JT (kom.) 7. SZWADRON

Alvarez, MJ

Arthurs, RTAC

Oillan, ST

Doheny, FGD

Logan, KW (maj.)

McConnell, BAAB

Atlock, FDB

Egan, RRB

Baines, AWA

Fraser, MSC

Milbourn, SKD

Fredericks, GHA

Morton, INC

Biggs, NMC

Nance, GFD

Boland, CSB

Gale, AD

Nystrom, JJD

Boyce, LWD

Giggs, REBM

Golding, DKD

Price, ALC

Carney, LEE

Goldman, WEA

Rawson, MJC

Christian, FCA

Sayles, MTB

Hughes, RA

Sommers, SRC

Coles, M

Crick, DT

Criece, TWBDA

Ingliss, WA

Johnson, SW

Jones, MBDD

Stone, JK

Taylor, AS

Willis, LSc BC

Kincaid, RB

Wolfson, HTA

Dayton, AME

PERSONEL CYWILNY

Botha, GW

Lek.

Franklin, HS

Lek.

Shaw, DE

Lek.

– Ktoś widzi tu coś niezwykłego? – spytał. Wszyscy mężczyźni, wymienieni w przejętym komunikacie, należeli do oddziału „E” – Echo.

– Jediną osobą z oddziału Echo, która nie została wymieniona na tej liście, jest Carney, LE. Moim zdaniem to jego głos jest na taśmie. – Fairfax odwrócił się do obu dyrektorów. – W bazie jest grupa zdrajców. Grupa, która porozumiewała się z Chińczykami i ich nowym wahadłowcem. Cały oddział Echo.

– ...Oddział Echo, raportuj.

– Tu dowódca oddziału Echo – odpowiedział głos kapitana Lee „Kobry”

Carneya. Kobra mówił powoli, z silnym południowym akcentem. Już sam jego spokojny, lodowaty głos informował, jak bardzo może być niebezpieczny. – Jesteśmy w kwaterach mieszkalnych na poziomie trzecim. Właśnie przeczesaliśmy oba poziomy podziemnych hangarów. Nic tam nie ma. Przebijamy się w dół i obserwujemy schody.

– Zrozumiałem, dowódca oddziału Echo.

– Sir – zwrócił się do Cezara Russella inny operator – oddział Charlie właśnie wrócił znad jeziora. Są na zewnątrz i mają chłopaka.

– Doskonale. Straty?

– Pięciu.

– Do przyjęcia. Co z Bothą?

– Nie żyje.

– Jeszcze lepiej. Wpuśćcie ich górnymi drzwiami.

Gant i pozostali kierowali się ku schodom przy wschodnim krańcu poziomemu 4.

– Wiem, że może nie ma to bezpośredniego związku z obecną sytuacją – zaczęła mówić do Gant Matka – ale chciałabym cię zapytać o twoją randkę ze Strachem na Wróble w minioną sobotę. Nic na ten temat nie mówiłaś.

Gant uśmiechnęła się.

– Nie szukasz przypadkiem plotek, Matka?

– No cóż, przyznam, że tak. Tego mi właśnie potrzeba. Takie stare mężatek wiemy jak ja strasznie podniecają historyjki o seksualnej gimnastyce młodych ładnych panienek. Po prostu jestem... no wiesz... ciekawa.

– Nie poszło tak, jak bym chciała – odparła ze smutkiem Gant.

– To znaczy?

Gant wzruszyła ramionami.

– Nie pocałował mnie. Zjedliśmy wspaniałą kolację w małej restauracyjce, a potem poszliśmy na spacer wzdłuż Potomacu i rozmawialiśmy. Przegadaliśmy cały wieczór. Kiedy odwiózł mnie do domu, miałam nadzieję, że mnie pocałuje, ale... nie zrobił tego. Oboje powiedzieliśmy sobie do zobaczenia i... było po wszystkim.

Oczy Matki zwęziły się.

– Ożeż ty... Strachu na Wróble, skopię ci tyłek.

– Nawet o tym nie myśl! – zawołała Gant. – I nie mów mu, że ci cokolwiek powiedziałam.

Matka zgrzytnęła zębami.

– Niech ci będzie...

– W każdym razie wolę o tym teraz nie myśleć. Mamy robotę – oświadczyła

Gant. Uchyliła odrobinę drzwi i trzymając broń na wysokości twarzy, wyrzała przez szparę. Schody były ciemne i ciche. Puste.

– Na schodach czysto – szepnęła.

Otworzyła drzwi na całą szerokość i weszła na kilka stopni. Matka trzymała się za jej plecami.

Doszły do podestu poziomemu 3 i zobaczyły drzwi prowadzące do kwater mieszkalnych.

Tu również nikogo nie było.

Na podeście nie pozostawiono ani jednego żołnierza – nawet wartownika, który by mógł zatrzymać ich grupę.

Bardzo dziwne, pomyślała Gant. Gdyby to ona dowodziła siłami przeciwnika, przeczesałaby każde piętro w poszukiwaniu prezydenta i zadbała o zablokowanie schodów.

Najwyraźniej 7. Szwadron działał inaczej.

Cała grupa szybko weszła wyżej – na poziom 2, poziom niższego hangaru.

Hangar ten, nietknięty – przynajmniej na razie – był niemal identyczny jak hangar piętro wyżej, lecz stacjonowały tu bardziej zwyczajne samoloty. Na poziomie 1 trzymano dwa bombowce Stealth i SR-71 Blackbird, a tutaj tylko dwa boeingi AWACS.

Ale właśnie takie maszyny były potrzebne Gant.

Dwie minuty później siedziała w dolnej ładowni jednego z samolotów i odkręcała znajdującą się w podłodze ciężką ołowianą płytę.

Kiedy ją zdjęła, we wnętrzu ukazała się plątania kabli i elektronicznych części, pośrodku których przymocowano jaskrawo-pomarańczowe urządzenie wielkości

pudełka na buty. Wyglądało na zrobione z bardzo wytrzymałego materiału.

– Co to jest? – spytała Juliet Janson. Zamiast Gant odpowiedział jej prezydent.

– Rejestrator danych lotu. Czarna skrzynka.

– Nie wygląda bardzo czarno – stwierdził kwaśno Wycior Hagerty.

– Nigdy nie są czarne – odparła Gant, wyjmując pudełko z przytrzymujących je uchwytów. – To tylko nazwa. Niemal zawsze są jaskrawo-pomarańczowe, aby łatwiej było je znaleźć we wraku. Choć prawdę mówiąc, znajduje się w inny sposób...

– Właśnie... – mruknął prezydent.

– Co jest? – zaniepokoił się Hagerty. – Co się stało?

– Zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego po katastrofie samolotowej tak szybko udaje się odnaleźć czarną skrzynkę? – spytała go Gant. – Kiedy maszyna spada, jej szczątki rozpryskują się na dużą odległość, a mimo to czarną skrzynkę odnajdują bardzo szybko... zwykle w kilka godzin.

– Jak?

– Jest to możliwe dlatego, że każda czarna skrzynka ma w środku zasilany baterią transponder. Wysyła on silny sygnał mikrofalowy, przekazujący ekipom ratowniczym informację o swojej pozycji.

– I co pani zamierza z tym zrobić? – spytał Hagerty.

– Matka! – krzyknęła Gant przez otwartą klapę nad sobą.

– Tak? – doleciał gdzieś z oddali głos Newman.

– Znalazłaś sygnał?

– Będę go miała za dwie sekundy! Gant popatrzyła spod oka na Hagerty'ego.

– Chcę spróbować sfingować sygnał emitowany przez serce prezydenta. Matka

siedziała przed komputerem w głównej kabinie AWACS-a.

Ekran monitora ukazywał mikrofalowy sygnał, docierający do Strefy 7 z satelity, poruszającego się po bardzo niskiej orbicie. Był to ten sam obraz, który Mózgowiec wywołał na początku zamieszania w zniszczonym teraz boeingu – o sekwencji odbicia długości 25 sekund.

Gant wyszła z ładowni z pomarańczowym pudełkiem w ręku. W gniazdo z jego boku wsadziła wtyczkę, łącząc urządzenie z komputerem Matki. Na małym podświetlanym ekraniku u góry czarnej skrzynki natychmiast pojawił się zygzakowaty rysunek.

– Widzisz sygnał poszukiwawczy? – zwróciła się Gant do Matki, pokazując najwyższy „szpic”. – Chcę, żebyś ustawiła jego częstotliwość na czarnej skrzynce jako „znalezione”.

Kiedy inspektorzy, badający przyczyny katastrofy samolotu, szukają czarnej skrzynki, używają radioprzekaźnika, wysyłającego mikrofalowy sygnał o częstotliwości określanej jako „znalezione”. Gdy transponder odkryje ten sygnał, wysyła odpowiedź i ujawnia przy tym miejsce, w którym skrzynka się znajduje.

– Chwileczkę... – odpowiedziała Matka – ...gotowe.

– Doskonale – odparła Gant. – Teraz tę odbitą częstotliwość – szpic w dół – ustaw jako sygnał zwrotny.

– Już się robi.

– Czy sygnał będzie wystarczająco silny, aby dotrzeć do satelity? – spytał prezydent.

– Sądzę, że tak. Sygnałów mikrofalowych używano do rozmów z Armstrongiem na Księżycu, a SETI stosuje je do przesyłania komunikatów jeszcze dalej w kosmos. –

Gant uśmiechnęła się. – To nie siła sygnału o tym decyduje, ale jego jakość.

– Gotowe! – zameldowała Matka. – No więc, Nieustraszony Wodzu, co udało mi się stworzyć?

– Jeżeli się nie pomyliłaś, to po uaktywnieniu transpondera w czarnej skrzynce będziemy naśladować sygnał nadawany przez serce prezydenta.

– I co teraz? – spytał prezydent.

– No właśnie – złośliwie wtrącił Hagerty. – Włączamy?

– Nie. Jeżeli to zrobimy, satelita zacznie odbierać dwa identyczne sygnały, co może spowodować zdetonowanie bomb. Tego nie wolno nam ryzykować. Na razie wykonaliśmy jedynie pracę wstępną – teraz czas na trudniejszą część. Musimy zastąpić prezydencki sygnał tym z czarnej skrzynki.

– A jak tego dokonamy? – spytał Hagerty. – Proszę mi tylko nie mówić, że przeprowadzi pani scyzorykiem operację na otwartym sercu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Nie jestem McGyverem. Według mnie wygląda to następująco: Cezar Russell jakimś sposobem umieścił przekaźnik w sercu prezydenta...

– Zgadza się. Zrobił to podczas operacji, którą miałem kilka lat temu.

– ...ale moim zdaniem włączył go dopiero dzisiaj. Inaczej skanery Białego Domu natychmiast stwierdziłyby obecność nieautoryzowanego sygnału.

– Czyli... – ponaglił ją Hagerty.

– Czyli Cezar Russell ma gdzieś w tej bazie urządzenie, które aktywuje i dezaktywuje przekaźnik w sercu prezydenta. Myślę, że znajduje się ono – prawdopodobnie jest to niewielki aparacik z klawiszem do włączania i wyłączania – w tym samym pomieszczeniu co Cezar.

– Oczywiście! – zawołał prezydent, przypominając sobie małe urządzenie, które

Russell włączył na samym początku „wyścigu”. – Miał je, kiedy pokazał się w telewizji na początku tego zamieszania. Jest czerwone, mieści się w dłoni i ma krótką czarną antenkę.

– No to wspaniale – stwierdziła Gant. – Pozostaje nam tylko znaleźć centrum dowodzenia. – Odwróciła się do Juliet. – Twoi ludzie sprawdzali to miejsce. Masz jakiś pomysł?

– Główny hangar – odparła Juliet. – Budynek z widokiem na hangar. Na górze ma w pełni wyposażoną centralę dowodzenia.

– No to idziemy tam. Plan jest prosty: najpierw zajmujemy centralę dowodzenia Cezara Russella, a później – między sygnałami poszukiwawczymi, wysyłanymi z satelity, użyjemy urządzenia Russella do wyłączenia przekaźnika w sercu prezydenta i zaraz potem włączymy czarną skrzynkę. – Gant popatrzyła na prezydenta z chytrym uśmieszkiem. – Jak mówiłam, to proste.

Pięciu pozostałych przy życiu członków oddziału Charlie posuwało się szybko niskim betonowym tunelem. Biegli zgięci wpool, a obok nich truchtał Kevin, który z powodu wzrostu nie musiał się schylać.

Oddział Charlie właśnie wrócił z jeziora Powell – po zabiciu Bothy, przejęciu Kevina i stwierdzeniu utonięcia Schofielda.

Posadzili swoje penetratory na zewnątrz bazy i wchodzili teraz do niej przez wejście, łączące główny kompleks z jednym z zewnętrznych hangarów – znane jako „górne drzwi”.

Tunel, zaczynający się za „górnymi drzwiami”, kończył się w szybie windy osobowej z trzydziestocentymetrowej grubości tytanowymi drzwiczkami. Oddział

Charlie dotarł do srebrnej przegrody.

Pyton Willis wcisnął na klawiaturze w ścianie kod. Było to szczególne wejście – jeżeli znało się ten kod, można było otworzyć drzwi w każdej chwili – nawet przy pełnym zamknięciu bazy.

Grube drzwi otworzyły się...

... i Pyton zamarł.

Tuż pod stopami miał dach kabiny windy.

Na dachu stał Kobra Carney i czterech komandosów oddziału Echo. Druga połowa oddziału Echo – Pyton widział ich przez otwartą klapę w dachu kabiny – była w windzie.

– Jezu, Kobra... przestraszyłeś mnie. Nie spodziewałem się was tutaj.

– Cezar kazał po was przyjść. Sprawdzić, czy wszystko w porządku. Pyton przesunął do przodu Kevina i postawił go na dachu windy.

– Straciliśmy pięciu ludzi, ale dostaliśmy go.

– To dobrze – odparł Kobra. – Znakomicie.

W tym momencie Pyton dostrzegł przez otwartą klapę, że w kabinie znajduje się jeszcze czterech ludzi. Byli to Azjaci. Zmarszczył czoło.

Rano siedzieli jeszcze w komorze dekompresyjnej – kapitan Robert Wu i porucznik Chet Li z 7. Szwadronu oraz dwaj chińscy robotnicy. Ludzie, którzy przynieśli do Strefy 7 najnowszy szczep sinowirusa.

– Kobra, co tu się dzieje?

– Przykro mi, Pyton – powiedział dowódca oddziału Echo i dał swoim ludziom znak głową.

Czwórka komandosów błyskawicznie uniosła karabinki szturmowe i skierowała

ogień na oddział Charlie.

Pyton Willis dostał tyle postrzałów, że jego twarz i pierś w ułamku sekundy zmieniły się w krwawą papkę. Żołnierze za jego plecami padli jak pozbawione sznurków marionetki – jeden po drugim. Przy tytanowych drzwiach została tylko jedna postać – przerażony Kevin.

Kobra Carney podszedł do chłopca i złapał go brutalnie za ramię.

– Uśmiechnij się, dzieciaku. Idziesz teraz ze mną.

W pomieszczeniu operacyjnym na piętrze budynku w głównym hangarze panowała cisza.

Boa McConnell i czterej ludzie, którzy pozostali z oddziału Bravo, siedzieli na podłodze w kącie. Byli pokrwawieni i brudni, dwóch z nich odniosło poważne rany. Zajmował się nimi pułkownik Jerome T. Harper, formalnie dowódca Strefy 7, a w rzeczywistości sługus Cezara Russella.

W głębi pomieszczenia był ktoś jeszcze – ukryty w cieniu. Choć przebywał tu od rana, nie powiedział ani słowa, obserwował jedynie wszystko w milczeniu.

Obecny był także major Kurt Logan – wraz z resztkami oddziału Alfa. Stał teraz obok Cezara i coś do niego cicho mówił. Jego oddział wcale nie poradził sobie lepiej od oddziału Bravo – z dziesięciu ludzi zostało mu czterech.

Nie wyglądało jednak na to, by Cezar się tym specjalnie przejął.

– Jest coś od oddziału Echo?

– Kobra przekazał, że są na poziomie czwartym. Jak na razie ani śladu prezydenta.

– Jasna cholera! – zawołał w tym momencie jeden z radiooperatorów. Zgasł mu monitor.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia. Bez wstępnych oznak awarii.

– Co jest? – spytał drugi operator.

– Kurwa! – wrzasnął kolejny radiooperator, któremu też padł komputer.

Monitory gasły jeden po drugim, a zewsząd napływały komunikaty.

– Właśnie zepsuła się klimatyzacja...

– Chłodzenie wody nie działa...

– Co się dzieje? – spytał Cezar Russell.

– Gwałtownie spada moc doprowadzana do więzienia...

– Rozlatuje się zasilanie kompleksu – wyjaśnił Russellowi główny operator. – Nie wiemy jednak dlaczego...

Włączył sprawdzanie systemu i na ekranie pojawił się następujący zapis:

OS(OOD)7-A ZAPIS DOSTĘPU 7-3-010229027

CZAS

KLUCZOWE DZIAŁANIE OPERATOR ODPOWIEDŹ SYSTEMU

06.30:00

Sprawdzian stanu systemu

070-67

Wszystkie systemy operacyjne

06.58:34

Rozkaz zamknięcia

105-02

Uruchomienie zamknięcia

Wszystkie systemy operacyjne

07.00:00

Sprawdzian stanu systemu

070-67

(w trybie zamknięcia)

Wszystkie systemy operacyjne

07.30:00

Sprawdzian stanu systemu

070-67

(w trybie zamknięcia)

Awaria zlokalizowana H

awaryjnego w terminalu 1-A2.

07.37:56

UWAGA: zakłócenie zasilania

System

Brak sygnału zwrotnego z:

TRACS, SYS AWAR-1, RAD

KOM-SFERA, WSN, WY FAN

UWAGA: moc zasilania

07.38:00

System

Terminal 1-A2 nie odpowiada

awaryjnego 50%

Odłączenie zasilania głównego

08.00:15

Rozkaz wyłączenia zasilania

008-72

(terminal 3-A1)

Zasilanie awaryjne start

Uruchomienie zasilania

08.00:18

System

awaryjny. Protokół oszczędnego

awaryjnego

zasilania.

Protokół oszczędnego zasilania

awaryjnego. Aktywizacja

UWAGA: zasilanie awaryjne

System

08.00:19

protokołu oszczędnego

operacyjne.

awaryjny

zasilania: działanie wszystkich

istotnych systemów.

Wpisany rozkaz zwolnienia

08.01:02

zamknięcia specjalnego

008-72

Otwarcie drzwi 003-SE

(terminal 3-A1)

Wpisany rozkaz zwolnienia

08.04:34

zamknięcia specjalnego

008-72

Otwarcie drzwi 062-Z

(terminal 3-A1)

Wpisany rozkaz zwolnienia

08.04:55

zamknięcia specjalnego

008-72

Otwarcie drzwi 100-Z

(terminal 3-A1)

UWAGA: moc zasilania

System

08.18:00

Terminal 1-A2 nie odpowiada

awaryjnego 35%

awaryjny

BŁĄD SYSTEMU: system kamer

Rozkaz zamknięcia systemu

nadzorczych już wyłączony z

08.21:30

kamer nadzorczych (terminal 1-

008-93

powodu protokołu niskiego

A1)

zasilania

UWAGA: moc zasilania

System

08.38:00

Terminal 1-A2 nie odpowiada

awaryjnego 25%

awaryjny

UWAGA: moc zasilania

System

08.58:00

Terminal 1-A2 nie odpowiada

awaryjnego 15%

awaryjny

Wpisany rozkaz zwolnienia

09.04:43

zamknięcia specjalnego

077-01E

Otwarcie drzwi 63-W

(terminal 3-A2)

UWAGA: moc zasilania

System

Rozpocząć ponowne włączanie

09.08:00

awaryjnego 10%

awaryjny

systemu?

UWAGA: moc zasilania

System

Rozpocząć ponowne włączanie

09.18:00

awaryjnego 5%

awaryjny

systemu?

UWAGA: moc zasilania

System

Zamknięcie systemu

09.28:00

awaryjnego 0%

awaryjny

inicjacyjnego

– Jezu, pracujemy na zasilaniu awaryjnym od ósmej! – wykrzyknął główny operator.

Do ekranu podszedł pułkownik Harper.

– Powinno to nas utrzymać jeszcze przez minimum trzy godziny... dość, aby ponownie uruchomić zasilanie główne.

Cezar wpatrywał się w jeden z wpisów.

Wpisany rozkaz zwolnienia

09.04:43

zamknięcia specjalnego

077-01E

Otwarcie drzwi 62-W

(terminal 3-A2)

Prefiks „077” oznaczał komandosa 7. Szwadronu, „E” oznaczało oddział Echo, a „01” – dowódcę, Kobrę Carneya.

Oczy Cezara zwęziły się. Komputer informował, że podczas ostatniego

„okienka” na otwarcie bazy Kobra Carney otworzył drzwi 62-W – wschodnie pancerne wrota kolei X na poziomie 6...

Jerome Harper i radiooperator ciągle jeszcze omawiali sytuację energetyczną.

– Tak, powinno – przyznał radiooperator. – Ale kiedy system awaryjny się włączył, miał tylko pięćdziesiąt procent mocy, dlatego wytrzymał jedynie półtorej godziny...

Monitor głównego operatora zgasł. Jako ostatni. Nagle pogasły również światła pod sufitem.

Cezar obrócił się na pięcie, by wyrzeć przez okno na hangar. Ustawione na całej jego długości halogenowe reflektory gasły jeden po drugim.

Po chwili wszystko ogarnęła kompletna ciemność.

– Wszystkie systemy wyłączone – powiedział czyjś głos. – Cała baza straciła zasilanie.

Kiedy światła pogasły, siedzący w samolocie AWACS na poziomie 2 Libby Gant

i pozostali przygotowywali się do przejścia sztabu Cezara Russella.

Gigantyczny hangar zamienił się w czarną jaskinię.

Gant zapaliła cieniutką jak długopis latarkę, zamocowaną do lufy MP-10.

Promień wystarczył jedynie do oświetlenia jej twarzy.

– Zasilanie... – powiedziała Matka. – Dlaczego wyłączyli zasilanie?

– To im tylko utrudni znalezienie nas – stwierdziła Juliet.

– Może nie mieli wyboru – zasugerowała Gant.

– Co to dla nas oznacza? – spytał prezydent.

– Plan się nie zmienia – oświadczyła Gant. – Idziemy do punktu dowodzenia.

Musimy się tylko zorientować, jak bardzo brak prądu nam to utrudni.

W tym momencie gdzieś z głębin kompleksu doleciał dziki wrzask – ludzki, choć równocześnie nieludzki. Po chwili przeszedł w przerażające wycie.

– Jezus Maria... – jęknęła Gant. – Więźniowie. Wydostali się.

PIĄTE STARCIE

3 lipca, godzina 9.30

Pękaty helikopter transportowy CH-53E powoli zapadał się w mroczne głębiny jeziora Powell.

Był to niezwykły widok.

Pozbawiona ogona maszyna tonęła niemal pionowo, tyłem w dół, a przez jej otwartą tylną rampę ładunkową wlewały się tony wody. Wyglądało to, jakby spadała z nieba w zwolnionym tempie.

W górę unosiły się cienkie łańcuszki pęcherzyków powietrza – uważnie obserwowane przez załogi unoszących się nad jeziorem penetratorów sił powietrznych.

Shane Schofield i Buck Riley junior patrzyli przez przednią szybę kokpitu – pionowo w górę.

Powierzchnia jeziora już była piętnaście metrów nad nimi i coraz bardziej się oddalała.

Za zamazanym lustrem wody migotały niewyraźnie dwa helikoptery szturmowe, czyhające na nich z gotową do strzału bronią.

Wokół tonącego super stalliona rozciągał się przedziwny, ale wspaniały podwodny krajobraz. Na dnie jeziora leżały gigantyczne głazy, a obok nich wiły się wąskie – niegdyś pustynne – ścieżki. Nieopodal wznosił się pionowy skalny klif, przebijający powierzchnię i wystrzeliwujący wysoko w niebo. Zalany wodą pustynny świat był bladozielony.

Book II odwrócił się do Schofielda.

– Jeśli masz jakiś cudowny plan ucieczki, najwyższy czas, byś go przedstawił.

– Przykro mi – odparł Schofield. – Nic z tego.

Za nimi – a raczej pod nimi – woda wlewała się do przedziału ładunkowego. Jej poziom szybko się podnosił.

Na szczęście kokpit był hermetyczny, więc powstała w nim kieszeń powietrzna – jak w zanurzanej w wannie „do góry nogami” filizance.

Po dwudziestu siedmiu metrach dotarli do dna.

Kiedy resztki zniszczonego ogona uderzyły w nie, wzniosła się wielka chmura mułu i helikopter – cały czas w pozycji pionowej – znieruchomiał, oparty o potężny głaz.

– Nie mamy wiele czasu – stwierdził Schofield. – Powietrze niedługo się skończy.

– Co robimy? Jeśli tu zostaniemy – zginieemy. Jeśli wypłyniemy – też zginieemy.

– Musi być jakiś... – mruknął do siebie Schofield.

– Nie rozumiem.

– Botha musiał mieć jakiś powód...

– O czym ty mówisz? Powód do czego? Schofield odwrócił się do Booka II.

– Żeby się właśnie tu zatrzymać. W tym akurat miejscu. Nie zacumował tu dla krajobrazu. Musiał wiedzieć, po co rzuca tutaj kotwicę... – urwał, bo w tym momencie dostrzegł przyczynę. – Ty szczwany draniu... – mruknął.

Patrzył Bookowi II przez ramię – w mętną zieloną otchłań. Jego towarzysz odwrócił się i też to dostrzegł.

– O mój Boże... – szepnął.

Kilka metrów obok helikoptera, przesłonięte mętną warstwą wody, znajdowało się coś, co zdecydowanie było dziełem ludzkiej ręki i na dnie jeziora Powell wyglądało całkowicie nie na miejscu.

Najpierw zobaczyli dużą markizę, a za nią mały oszklony budynek biurowy i szerokie garażowe drzwi. Pod markizą stały dwa staromodne dystrybutory benzyny.

Mieli przed sobą stację benzynową.

Podwodną stację benzynową.

Stała u podstawy klifu, w miejscu, gdzie od okrągłego krateru odchodził na zachód szeroki kanion.

Schofield słyszał już wcześniej o niej.

Była to zalana wodami jeziora Powell w 1963 roku stacja benzynowa z kawiarnią, która powstała na miejscu dawnego punktu handlu wymiennego.

– Ruszajmy – powiedział. – Zaraz skończy się nam powietrze.

– Dokąd? – spytał Book II. – Mamy iść na tę stację benzynową?

– Właśnie – odparł Schofield i popatrzył na zegarek. Była godzina 9.26. Zostały im trzydzieści cztery minuty na dostarczenie Piłki do prezydenta.

– Na stacjach benzynowych są kompresory do pompowania kół i w zbiornikach wyrównawczych może być powietrze, którym będziemy mogli oddychać, dopóki nie odlecą penetratory. Jeżeli rząd dał właścicielowi odszkodowanie, może po prostu porzucił stację i zostawił wszystko, jak było.

– To ma być ten cudowny plan ucieczki? Powietrze w tej stacji miałoby czterdzieści lat... może być zepsute albo skażone nie wiadomo czym.

– Jeśli zbiorniki były hermetyczne, pewnie się jeszcze nadaje. Poza tym nie mamy wyboru. Pójdę pierwszy. Jeśli coś znajdę, dam ci znak, żebyś podpłynął.

– A jak nie?

Schofield odpiął Piłkę od pasa i podał walizkę Bookowi II.

– Wtedy będziesz musiał wymyślić własny cudowny plan.

Super stallion leżał na dnie jeziora, otoczony milczącym podwodnym krajobrazem. Z części ogonowej wyleciała strużka pęcherzyków powietrza, wypchniętych przez Schofielda, który wypłynął spod helikoptera. Cały czas ubrany był w mundur komandosa 7. Szwadronu.

Przez chwilę wisiał nieruchomo i rozglądał się. Nagle coś zobaczył.

Dokładnie pod nim, w odległości mniej więcej metra, leżał na dnie jakiś przedmiot.

Był to niewielki pojemnik firmy Samsonite – o wielkości dwóch złożonych kaset magnetowidowych – skonstruowany tak, aby wytrzymać silne uderzenia. Leżał na dnie, przytrzymywany przez niewielką kotwicę.

To ten właśnie przedmiot Gunther Botha wyrzucił za burtę motorówki, kiedy się zjawili.

Schofield podpłynął do pojemnika, odciął linkę kotwicy i przypiął sobie pojemnik do pasa.

Sprawdzi jego zawartość później. Teraz miał co innego do zrobienia.

Popłynął w kierunku stacji długimi, silnymi pociągnięciami ramion. Szybko dotarł na miejsce.

Zaczynały go kłuć płuca. Musi szybko znaleźć przewód z powietrzem... Jest!

Leżał obok otwartych drzwi do biura. Czarny szlauch, połączony z dużą beczką ciśnieniową.

Schofield popłynął w tamtym kierunku.

Dotarł do szlauchu, po czym nacisnął przycisk znajdującego się na końcu wentyla. Przewód prychnął i wypluł kilka pęcherzyków powietrza. Nie najlepszy znak, pomyślał Schofield.

Nagle z wentyla z głośnym szumem wyprysnął gęsty kłęb potężnych bąbli.

Schofield bez zastanowienia przyłożył przewód do ust i wciągnął czterdziestoletnie powietrze.

Zachłysnął się i zaczął gwałtownie kasłać. Powietrze było gorzkie i stęchłe, po chwili jednak zrobiło się czyste i można je było bez obaw wdychać.

Schofield pomachał do Booka II i pokazał mu uniesiony kciuk.

Kiedy Book II podpływał, Schofield schował się wraz ze szlauchem do wnętrza budynku – aby powietrze nie wypływało na powierzchnię, lecz zatrzymywało się pod sufitem biura.

Uważnie rozejrzał się wokół.

Myślał o afrykańskim naukowcu.

Jego plan ucieczki nie mógł się kończyć na dotarciu do tej podwodnej stacji benzynowej. Musiało być coś jeszcze... Stwierdził, że stacja opiera się o klif. Przez tylne okienko biura zauważył, że coś jest w podstawie klifu. Szerokie, zabite deskami wejście.

Zrobiono je z grubych pali i zdawało się wchodzić w skałę. Pod deskami zniknęły szyny.

Kopalnia...

Plan Bothy stawał się coraz bardziej zrozumiały.

Pół minuty później do Schofielda dołączył Book II i łąpczywie wciągnął porcję powietrza.

Po następnej minucie Schofield wychylił się z ukrycia i spojrzał ku powierzchni wody. Penetratory właśnie robiły nawrót i odlatywały w kierunku Strefy 7.

Kiedy zniknęły, Schofield dał Bookowi znak i pokazał mu wejście do kopalni.

„Idę tam, ty zostajesz tutaj”.

Book skinął głową.

Schofield zapalił zamocowaną do swojego pistoletu latareczkę i ruszył w kierunku wejścia do kopalnianego tunelu.

Gdy dotarł do zabitego deskami wejścia, stwierdził, że część gnijących desek została usunięta – prawdopodobnie dość niedawno.

Wpłynął do środka.

Otoczyła go ciemność. Nieprzenikniona podwodna ciemność. Cienki promyk światła latarki ukazał surowe skały, stare stemple, rdzewiejące wózki transportowe i znikające w dali szyny. Schofield płynął szybko przed siebie.

Musiał jakoś sprawdzić, jak daleko dotarł. Wkrótce nadejdzie moment decyzji – wracać do Booka po powietrze czy płynąć dalej, w nadziei dotarcia do niezalanej części kopalni.

Jedyną wskazówką, że taka część istnieje, było zachowanie Bothy. Naukowiec nie przypląnąłby tutaj, gdyby nie...

Nagle Schofield ujrzał odchodzący w górę wąski pionowy szyb, na ścianie którego zamocowana była stalowa drabinka.

Podpłynął do niego i zaświecił w górę latarką. Szyb biegł zarówno w górę, jak i w dół – i w obu kierunkach niknął w ciemnościach. Był to bez wątpienia korytarz dostępowy, pozwalający szybko dotrzeć do wszystkich poziomów kopalni.

Schofieldowi zaczynało już brakować powietrza.

Przypomniał sobie, że jezioro ma w tym miejscu mniej więcej 27 metrów głębokości. Po wspięciu się na tę wysokość po drabince powinien wydostać się na powierzchnię.

Nie wystarczy mu na to czasu.

Pieprzyć to, pomyślał.

Nie miał wyboru.

Zawrócił.

Dwie minuty później był z powrotem – tym razem z Bookiem, Piłką i płucami pełnymi powietrza.

Ruszyli od razu w górę, próbując wspinać się jak najszybciej.

Szyb był cylindryczny i mniej więcej co 3 metry w jego ścianach wycięte były wnęki. Wspinanie się nim przypominało wchodzenie w górę rury kanalizacyjnej.

Schofield prowadził, licząc szczeble drabinki. Uznał, że trzy poprzeczne

metalowe pręty to metr.

Po piętnastu metrach zaczęły go palić płuca.

Po dwudziestu do gardła podeszła mu żółć.

Po dwudziestu siedmiu ciągle jeszcze nie było widać powierzchni i Schofield zaczął się martwić, że źle wszystko obliczył, że popełnił niewybaczalny błąd i zaraz będzie z nimi koniec, bo za chwilę zemdleje i...

...i w tym momencie jego głowa wystrzeliła we wspaniałe, chłodne powietrze.

Natychmiast odsunął się, aby Book II mógł wynurzyć się obok niego. Po chwili obaj wisieli na stalowej drabince i łąpczywie chwyтали powietrze.

Szyb wznosił się dalej – tyle że nie wypełniała go już woda.

Po krótkim odpoczynku Schofield wyszedł z wody i wszedł do najbliższej wnęki.

Znajdowało się za nią duże pomieszczenie – być może dawne biuro kopalni.

Najbardziej zaskakujące było to, co tu zgromadzono.

Pod ścianami stały skrzynie z zapasami: jedzenie, woda, kuchenki gazowe, mleko w proszku. Setki skrzyń.

Wiele setek.

Pod ścianami stało także kilkanaście łóżek polowych. Na stole w rogu piętrzyła się sterta paszportów i praw jazdy – najprawdopodobniej fałszywych. Obóz, pomyślał Schofield. Baza...

Obóz, w którym zgromadzono zapasy na kilka tygodni lub nawet miesięcy – aby przeczezać poszukiwania ludzi, którzy ukradli sinowirusa i cenne źródło szczepionki – Kevina.

Kiedy rząd amerykański przerwałby w końcu poszukiwania, Botha i jego kołesie mogliby spokojnie wrócić do domu.

Schofield popatrzył na sterty skrzyń. Ktokolwiek założył ten obóz, musiał poświęcić na to sporo czasu...

– Jezu... – Do jaskini wszedł Book II. – Ktoś się dobrze przygotował. Schofield popatrzył na zegarek. 9.31

– Chodź! Mamy dwadzieścia dziewięć minut na dostarczenie tej walizki prezydentowi. Musimy wyjść na powierzchnię i sprawdzić, czy jest jakiś sposób, by wrócić stąd do Strefy Siedem.

Wspinali się po drabince najszybciej, jak umieli. Pionowo w górę szybem dostępowym. Schofield z pojemnikiem Bothy, Book II z Piłką.

W ciągu minuty dotarli do szczytu drabinki i znaleźli się w zbudowanym z aluminium budynku, wyglądającym jak ogromna szopa.

Po przeciwległej stronie tej szopy zaczynały się tory kolejki górniczej, które po chwili znikały pod ziemią. Wzdłuż nich stały szeregi porzeczonych ładowarek i starych przenośników taśmowych. Wszystko było pokryte kurzem i pajęczynami.

Pobiegli do drzwi i otworzyli je kopniakami.

Oślepiło ich jaskrawe słońce, gnany wichrem piasek zasypał im oczy. W dalszym ciągu szalała burza piaskowa. Wyszli obaj z szopy i...

...stwierdzili, że stoją na wielkim pustynnym półwyspie, wchodzącym daleko w jezioro Powell. Poczuli się maleńcy jak mrówki – ogrom rozciągającego się we wszystkie strony płaskowyżu sprawiał, że mała wydawała się nawet aluminiowa szopa, z której właśnie wyszli.

Na półwyspie, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od szopy, stał niewielki dom farmerski ze stodołą.

Schofield i Book II pobiegli w jego kierunku przez smagający ich piach.

Na skrzynce na listy było napisane: HOEG. Schofield wpadł przez bramę na podwórze.

Dobiegł do okna domu i przykląkł. Kiedy zaglądał do środka, ścianę tuż obok jego głowy zorały pociski z broni maszynowej. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał mężczyznę w drelichu, wybiegającego zza rogu – z kałasznikowem w rękach.

BŁAM!

Rozległ się pojedynczy strzał i farmer padł martwy na ziemię. Obok Schofielda pojawił się Book II – z dymiącym pistoletem.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– Podejrzewam, że jeśli przeżyjemy, dowiemy się, że pan Hoeg to przyjaciel Gunthera Bothy. Chodź! – Schofield ruszył biegiem w kierunku stodoły, w nadziei, że znajdzie w niej jakiś środek transportu. Otworzył wrota. – No, najwyższy czas... dzięki Ci, Boże. Zasłużyliśmy na małe ułatwienie życia.

Mieli przed sobą – błyszczący jak nowy samochód w salonie – pojazd powszechnie używany na farmach w tej okolicy kraju: przepiękny jasnozielony dwupłatowiec do prac polowych.

Trzy minuty później mknęli po niebie, przelatując wysoko nad wijącymi się kanionami jeziora Powell. Była godzina 9.38.

Musimy się sprężyć, pomyślał Schofield.

Lecieli samolotem marki Tiger Moth – dwupłatowcem z czasów II wojny światowej, często używanym do opryskiwania zasiewów na suchym południowym zachodzie. Maszyna miała dwie równoległe pary skrzydeł – jedną nad kadłubem, a drugą pod nim – połączone krzyżującymi się rozporkami i linkami. Z przodu wystawały dwa koła na długich wysięgnikach – przypominające nieco nogi komara –

a na ogonie zamocowany był pojemnik na środki owadobójcze.

Jak większość dwupłatowców, także i ten był dwumiejscowy – pilot siedział z tyłu, a drugi pilot przed nim.

Samolot był w doskonałym stanie technicznym. Najwyraźniej pan Hoeg był entuzjastą latania.

– Co planujesz? – spytał Book II. – Lecimy do przystanku kolei X?

– Nie teraz. Mamy za mało czasu. Lecimy prosto na Strefę Siedem. Do Awaryjnego Szybu Wentylacyjnego.

Serce Davida Fairfaxa galopowało. Dzień zrobił się jednak bardzo ciekawy.

Po wysłuchaniu oceny sytuacji w Strefie 7, jakiej dokonał David, i wysunięciu przez niego hipotezy o przebywającej tam zdradzieckiej jednostce, zastępca dyrektora DIA, kierujący inwigilacją chińskiego wahadłowca, zarządził pełen podsłuch wszystkich przekazów, pojawiających się w promieniu stu kilometrów od Stref 7 i 8. Każdy sygnał, pojawiający się na tym obszarze, zostanie przechwycony przez satelity szpiegowskie DIA.

Pod wrażeniem dotychczasowych osiągnięć młodego analityka zastępca dyrektora dał mu wolną rękę co do dalszych działań, mogących popchnąć śledztwo naprzód.

– Rób wszystko, co musisz, młody człowieku – powiedział mu. – Od tej chwili podlegasz bezpośrednio mnie i tylko mnie składasz raporty.

Fairfax był jednak w dalszym ciągu mocno zaniepokojony. Kawałki tej łamigłówki wciąż jeszcze nie układały się w spójną całość.

Chińczycy mieli w kosmosie wahadłowiec, komunikujący się ze zdradzieckim oddziałem w bazie sił powietrznych.

No dobrze...

To oznaczało, że w bazie znajdowało się coś, co Chińczycy zamierzali przejąć.

Fairfax podejrzewał, że jest to szczepionka, o której wspomiano w odkodowanych komunikatach.

Oczywiście, że tak.

Wahadłowiec był najlepszym sposobem bezpośredniego komunikowania się z ludźmi na Ziemi. Nieprawda.

Do utrzymania komunikacji z ludźmi na Ziemi Chińczycy mogli wykorzystać dowolny spośród ponad dziesięciu satelitów. Nie trzeba było do tego wahadłowca. Ale jeżeli wahadłowiec miał wykonać jeszcze jakieś zadanie... Fairfax odwrócił się do jednego z łączników, których wezwała DIA.

– Jaki sprzęt trzymają siły powietrzne w Strefie Siedem? Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Parę stealthów, SR-siedemdziesiąt jeden blackbirda, kilka AWACS-ów. Baza jest głównie używana jako kompleks biologiczny.

– A ta druga baza? Strefa Osiem? Oczy łącznika zwęziły się.

– To całkiem inna historia.

– Niech pan opowie. Muszę to wiedzieć. Naprawdę. Oficer sił powietrznych zawahał się. Po chwili jednak zaczął mówić.

– W Strefie Osiem znajdują się dwa działające prototypy wahadłowca X-trzydzieści osiem. Jest to zabójca satelitów – mniejsza, smuklejsza wersja standardowego wahadłowca, startującego z grzbietu wysoko lecącego boeinga siedemset czterdzieści siedem.

– Zabójca satelitów?

– Ma na skrzydłach specjalne bezgrawitacyjne rakiety AMRAAM. Jest przeznaczony do szybkiego startu i akcji na niewielkie odległości: wznosi się na orbitę, załatwia satelity lub stacje kosmiczne wroga i wraca na Ziemię.

– Ilu ludzi może wziąć na pokład? Łącznik zmarszczył czoło.

– Trzech pilotów w kabinie i dziesięciu, może dwunastu ludzi w przedziale zbrojeniowym... Dlaczego pan o to pyta?

Fairfax analizował te dane z szybkością komputera.

– O, nie! – zawołał po chwili. – Mowy nie ma! Sięgnął po leżący na biurku wydruk. Był to transkrypt ostatniej odszyfrowanej przez niego wiadomości – tej, która ujawniała żołnierzy oddziału Echo jako zdrajców.

3 LIPCA 04.04:42 PRZECHWYCENIE SATELITARNE (ANGIELSKI)

GŁOS 1: Wu I LI wrócili dziś rano ze szczepionką do Strefy 7. Wasi ludzie są z nimi. Wszystkie pieniądze dotarły. Nazwiska moich ludzi, którzy muszą zostać

wywiezieni: BENNETT, CALYERT, COLEMAN, DAYTON, FROMMER, GRAYSON, LITTLETON, MESSICK, OLIVER I Ja. Przeczytał głośno:

– „Nazwiska moich ludzi, którzy muszą zostać wywiezieni”... wywiezieni?

– Co to pana zdaniem znaczy? – spytał łącznik. Fairfax nie odpowiedział. Po chwili jednak wrócił do rzeczywistości.

– Gdyby chciał pan wywieźć supertajną szczepionkę ze znajdującej się pośrodku pustyni supertajnej bazy sił powietrznych, jak by pan to zrobił? Nie można użyć do tego samolotu, bo odległość jest zbyt wielka. Zestrzelono by pana jeszcze przed Kalifornią. To samo dotyczy wywiezienia szczepionki drogą lądową – nigdy nie dotarłby pan do granicy. Morzem? Ten sam problem. A jednak ci pieprzeni Chińczycy znaleźli sposób.

– Co ma pan na myśli?

– Nie wywieziesz nic z Ameryki, jeśli pojedziesz na wschód, zachód, północ czy południe – odparł Fairfax. – Ale możesz to zrobić, uciekając w górę. W kosmos.

Schofield popatrzył na zegarek. 9.47

Trzyście minut na dostarczenie Piłki do prezydenta.

Lecieli już kilka minut w małym samolociku nad pustynią, zbliżając się do celu z prędkością trzystu kilometrów na godzinę.

W oddali przed nimi widać było wyrastający z płaskiego terenu pagórek, pas startowy oraz grupkę budynków, tworzących Strefę 7.

Zaraz po starcie Schofield wykorzystał wolną chwilę i otworzył pojemnik, znaleziony na dnie jeziora.

W środku było 12 błyszczących szklanych ampulek, powciskanych w wycięte w piance otwory. Każda ampulka zawierała płyn o intensywnie błękitnej barwie i na każdej była biała nalepka z takim samym napisem:

Szczepionka dożylna Dawka wyważona: 55 ml Przetestowane działanie przeciwko SW, szczep W. 9.1 Certyfikat: 3/7 05.24:33

Oczy Schofielda rozszerzyły się.

Był to połowy zestaw zawierający szczepionkę, której dostarczyła stworzona sztucznie krew Kevina i którą można było natychmiast podawać w dożylnym zastrzyku.

Dzieło Bothy.

Antidotum na ostatni szczep sinowirusa. Schofield wsunął sześć ampulek do kieszeni kombinezonu. Może przydadzą się później. Klepnął Booka II w ramię i podał mu pozostałe sześć ampulek.

– Na wypadek, gdybyś złapał grypę.

Book od początku lotu nie odezwał się ani słowem, patrzył jedynie tępo przed siebie.

Wziął ampułki od Schofielda i schował je do kieszeni, po czym znów wbił wzrok w przestrzeń.

– Dlaczego mnie nie lubisz? – spytał Schofield.

Book II przekręcił głowę na bok. Po chwili w słuchawkach Schofielda rozległ się jego głos:

– Od dawna chciałem pana o coś zapytać, kapitanie...

– O co chodzi?

– Mój ojciec był z panem na Antarkydzie. Jak zginął? Schofield milczał przez chwilę.

Ojciec Booka II – Riley senior – zginął w straszliwy sposób podczas akcji w Stacji Lodowej Wilkes. Dowódca oddziału brytyjskich SAS, major Trevor Barnaby, dał go na pożarcie – żywcem – grupie wściekłych orek.

– Został pojmany przez wroga – odpowiedział w końcu Schofield. – Zabili go.

– Jak?

– Nie chciałbyś wiedzieć.

– Jak?

Schofield zamknął oczy.

– Powiesili go głową na dół nad grupą orek zabójców i spuścili do wody.

– Korpus nigdy nie mówi człowiekowi, jak zginął ktoś z jego bliskich – mruknął

Book II. – Przysłali jedynie list, w którym napisali, jakim patriotą był tata, i że zginął w akcji.

– Wie pan, kapitanie, co się stało z moją rodziną po śmierci ojca? Schofield

przygryzł wargę.

– Nie. Nie wiem.

– Moja matka mieszkała w bazie Camp Lejeune w Karolinie Północnej, a ja byłem na szkoleniu podstawowym na wyspie Parris. Wie pan, co się dzieje z żoną Marine, kiedy jej mąż ginie w akcji, kapitanie?

Schofield wiedział, nie odezwał się jednak.

– Zostaje wywieziona z bazy. Prawdopodobnie żony żyjących żołnierzy nie lubią obecności świeżych wdów – wdów, które mogłyby próbować ukraść im mężów. Tak więc matka straciła nie tylko męża, ale i dom. Próbowала zacząć wszystko od nowa, próbowała być silna, nie udawało jej się jednak. Trzy miesiące po wyprowadzce z bazy znaleziono ją w łazience nowego mikroskopijnego mieszkania. Wzięła całą butelkę środka na sen. – Book II obrócił się w fotelu i popatrzył Schofieldowi prosto w oczy. – Dlatego pytałem przedtem o ryzykowne strategie. To nie jest zabawa. Jeżeli ktoś ginie, ktoś inny ponosi konsekwencje. Mój ojciec nie żyje, a matka zabiła się, ponieważ nie mogła bez niego żyć. Chciałem się tylko upewnić, czy nie zginął z powodu jakiegoś pańskiego ryzykownego manewru taktycznego.

Schofield milczał.

Nie znał zbyt dobrze matki Booka II.

Book senior nie przyjaźnił się z innymi żołnierzami, wolał spędzać wolny czas z rodziną. Schofield raz czy dwa spotkał Paulę Riley na jakimś oficjalnym przyjęciu czy towarzyskiej kolacji, ale nie poznał jej tak naprawdę. Słyszał o jej śmierci – i żałował, że nic dla niej nie zrobił.

– Twój ojciec był najodważniejszym człowiekiem, jakiego znałem – powiedział w

końcu. – Zginął, ratując komuś życie. Z poduszki wypadła mała dziewczynka i on wyskoczył za nią, osłonił ją własnym ciałem przed upadkiem. Tylko dlatego go złapali. Zabrali go do stacji i zabili. Próbowałem wrócić do bazy na czas, ale... nie zdążyłem.

– Zdawało mi się, że twierdził pan, iż nigdy się nie spóźnia. Schofield nic na to nie odpowiedział.

– Sporo o panu mówił – mruknął Book II. – Uważał, że jest pan jednym z najlepszych dowódców, pod którymi służył. Mówił, że kochał pana jak własnego syna, jak mnie. Nie zamierzam przeproszać, że jestem w stosunku do pana nieco chłodny, kapitanie, ale musiałem wyrobić sobie własne zdanie o panu.

– I do czego doszedłeś?

– Jeszcze do niczego.

Samolot zaczął schodzić ku pustyni.

Kiedy koła przebijającego się przez burzę piaskową jasnozielonego tiger motha dotknęły piaszczystego gruntu, wznosząc chmurę pyłu, była godzina 9.51.

Ledwie dwupłatowiec się zatrzymał, Schofield i Book II już byli na zewnątrz – Schofield z Piłką i desert eagle'em w rękę, Book II z dwoma niklowanymi M9 – i biegli w kierunku zagłębienia w ziemi, w którym mieścił się Awaryjny Szyb Ewakuacyjny.

Wszędzie leżały zasypywane przez piach ciała.

Dziwiesięciu agentów Secret Service – w garniturach. Cała Grupa Osłaniająca numer dwa.

Było tu także czterech martwych marines w pełnych mundurach bojowych. Colt Hendricks i ludzie z Nighthawk Trzy, którzy przyszli sprawdzić szyb.

Boże drogi, pomyślał Schofield, gdy zaczęli odsuwać ciała, by dostać się do wejścia. Tyle śmierci. A każda będzie miała konsekwencje...

9.52

Po chwili dotarli do drzwi – były otwarte po wtargnięciu do bazy Recondos – i znaleźli się w wąskim betonowym tunelu. Otoczył ich mroczny chłód Strefy 7.

Stanęli przy schodzącej w dół drabince, złapali poręcze i zjechali – nie schodzili – 150 metrów w dół. Ponieważ nie było tu światła, wspomagała ich jedynie latarka, zamontowana pod lufą pistoletu Schofielda. Ozdobne pistolety Booka II nie posiadały takiego wyposażenia.

9.53

Dotarli na dół i ujrzeli odchodzący w bok długi, niezbyt szeroki tunel. Opadał w dół i również nie był oświetlony. Ruszyli biegiem. Równocześnie Schofield mówił do mikrofonu na nadgarstku:

– Lis! Lis! Słyszysz mnie? Wróciliśmy! Jesteśmy z powrotem w kompleksie! Ale w jego słuchawce tylko szumiało i skrzeczało.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Może radia Secret Service nie były przystosowane do długiego przebywania pod wodą. 9.54

Po kilkuset metrach biegu wąziutkim korytarzem wpadli na poziom 6 i stwierdzili, że stoją na północnych torach kolei X. Stacja była pogrążona w ciemnościach. Nie świeciła ani jedna lampa. Było to przerażające.

Oświetlając najbliższą okolicę swoją minilatarką Schofield wydobył z ciemności porozrzucane wszędzie ciała oraz zwęglony, wysadzony kawał peronu – w miejscu, gdzie eksplodował granat RDX Elvisa.

– Schody – powiedział, wskazując promieniem latarki na znajdujące się po lewej stronie drzwi, prowadzące na schody pożarowe. Wskoczyli na peron i pobiegli ku drzwiom.

– Lis! Lis! Słyszysz mnie? – zawołał Schofield do mikrofonu. Skrzek. Trzaski.

Dotarli do drzwi. Schofield otworzył je jednym szarpnięciem i...

...natychmiast usłyszał tupot kilkunastu par pędzących ku nim wojskowych butów.

– Szybko! Tędy! – rzucił i skoczył na tory za peronem, natychmiast ukrywając się za stojącym tam wagonikiem technicznym.

Gdy Book II wylądował obok niego, zgasił latarkę. Po niespełna sekundzie gwałtownie otworzyły się drzwi i z klatki schodowej wypadli Kobra Carney oraz ludzie z oddziału Echo. Światła latarek, które trzymali, szybko omiatały perony.

Schofield natychmiast dostrzegł Kevina – otoczonego przez czterech Azjatów.

– A to co znowu? – szepnął zdumiony Book II. Schofield przyjrzał się czwórce „opiekunów” Kevina.

Byli to ci sami ludzie, których widział w komorze dekompresyjnej – ci, którzy przywieźli z Chin sinowirusa.

Kotłowały mu się w głowie pytania, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi. Co tu się dzieje?

Kevin dopiero co został przywieziony do Strefy 7 na pokładzie penetratora, a teraz znów go dokądś zabierano. Czyżby Cezar wydał rozkaz przeniesienia go w inne, bezpieczniejsze miejsce?

Natychmiast pojawiło się następne pytanie: dlaczego Cezar Russell interesował się Kevinem? Dlaczego nie ścigał przede wszystkim prezydenta?

Kobra i jego ludzie zeskoczyli na tory – po przeciwnej stronie peronu – i

natychmiast ruszyli nimi, jakby realizując jakiś z góry założony plan.

W świetle latarek żołnierzy oddziału Echo Schofield dostrzegł nagle, że pancerne wrota, zamykające tunel kolei X, są otwarte. Wrota w poprzek torów, którymi można było dotrzeć do Strefy 8.

Kobra i jego ludzie – z Kevinem i czwórką Azjatów – zniknęli w tunelu.

Odchodząc w ciemność, oglądali się za siebie.

Dlaczego oglądają się za siebie?

Kiedy tuż przed zniknięciem w tunelu Kobra Carney jeszcze raz z niepokojem popatrzył przez ramię, Schofield zrozumiał, co się dzieje. Ci ludzie kradli Kevina...

Cezarowi...

W mrocznym hangarze na poziomie 2 Gant nerwowo patrzyła na zegarek. 9.55

W ciągu najbliższych pięciu minut prezydent musi położyć dłoń na analizatorze linii papilarnych w Piłce, a tu w dalszym ciągu ani słowa od Stracha na Wróble...

Cholera!

Jeśli zaraz nie wróci, całe przedstawienie się skończy.

Gant i Matka – z Juliet, prezydentem, Hagertym i Tate'em – kilka minut wcześniej wyszli z boeinga i kierując się światłami latarek pod lufami karabinów, przeszli przez hangar do platformy podnoszącej samoloty.

Gant, cały czas niosąc czarną skrzynkę zabraną z AWACS-a, kierowała się na centrum dowodzenia Cezara Russella na poziomie 0.

Ale jeśli Schofield się nie zjawi, żadne jej działania nie zmienią sytuacji.

W całej bazie panowała kompletna cisza.

W połączeniu z ciemnością tworzyło to dość niesamowitą atmosferę. Nagle w

słuchawce Gant zaskrzypiało.

– ...is... ysz mnie?

Juliet też odebrała ten porwany komunikat.

– Słyszałaś? – spytała, odwracając się do Gant. Nagle, tak nieoczekiwanie, że wszyscy podskoczyli, w szybie windy eksplodował strzał.

Zadudnił przerażająco głośno, zwielokrotniony echem. Oddano go z wielkokalibrowej strzelby samopowtarzalnej. Ale znacznie bardziej przerażające było to, co nastąpiło po strzale. Rozległ się przypominający gdakanie śmiech. Śmiech chorego umysłowo osobnika, tnący powietrze niczym kosa i mknący szybem w górę.

– Ah-hah-haaaaaaa! Dzieńnnnn dobbbry wszystkim! Idziemy po was!

Po tym wrzasku rozległo się zwierzęce wycie. Nawet Matka przełknęła nerwowo ślinę.

– Więźniowie...

– Musieli znaleźć szafę z bronią w stróżówce – stwierdziła Juliet.

W tym momencie w głębi szybu centralnego rozległ się metaliczny, klekoczący dźwięk.

Gant spojrzała w dół szybu.

Gigantyczna platforma znajdowała się na samym dole, na poziomie 5, zanurzona w wodzie, z której wystawały resztki zniszczonego boeinga AWACS.

W różnych miejscach platformy widać było poruszające się zapalone pochodnie

– mniej więcej dwadzieścia – trzymane wysoko w ludzkich rękach.

Musieli to być zbiegli więźniowie.

– Ilu widzisz? – spytała Juliet.

– Nie wiem dokładnie. Trzydziestu pięciu, może czterdziestu. A ilu ich tu w ogóle jest?

– Czterdziestu dwóch.

– Pięknie...

Nagle platforma z potężnym stęknieniem wynurzyła się z wody na dnie szybu.

– Zdawało mi się, że nie ma zasilania... – mruknęła Matka. Juliet pokręciła głową.

– Platforma ma samodzielny napęd hydrauliczny. Na wypadek podobnej sytuacji jak ta.

Platforma jechała w górę szybu, jej potężne kontury stawały się z każdą chwilą coraz wyraźniejsze.

– Szybko! Cofamy się! – zakomenderowała Gant i popchnęła prezydenta za koła jednego ze stojących w hangarze AWACS-ów. Obie z Matką pogasiły latarki na swoich karabinach.

Potężna platforma minęła otwarte wejście na poziom 2 i jechała dalej. Gant wyjrzała z ukrycia.

Widok, jaki ujrzała, mógł pochodzić z horroru.

Stali na platformie z wysoko uniesionymi pochodniami, w wolnych rękach trzymali strzelby i pistolety i wyli jak zwierzęta. Ich chrapliwe wrzaski przypominały drapanie pazurami po szkolnej tablicy.

Więźniowie z bloku na poziomie 5.

Połowa z nich miała nagie torsy, które błyszczały w światłach pochodni. Wokół głów i bicepsów poowijali sobie bandany. Wszyscy mieli przemoczone spodnie.

Po chwili platforma minęła ukrytą za samolotem grupę, więc Gant wyszła ostrożnie i patrzyła na spód sunącej coraz wyżej platformy, która w końcu

zatrzymała się z głośnym tąpnięciem na poziomie 0.

Cezar Russell szedł miarowym krokiem przez centralę dowodzenia.

Przed chwilą w jego polu widzenia pojawiła się platforma z wyjącami i strzelającymi dziko więźniami. Ledwie się zatrzymała, więźniowie rozbiegli się we wszystkie strony.

– Przejdźcie na radiotelefony – rozkazał spokojnie Cezar. – Powiedzcie ludziom z oddziału Charlie, żeby czekali przy górnych drzwiach i przygotowali się na ewakuację do drugiego punktu dowodzenia. Zaraz do nich dojdziemy. Gdzie Echo?

– Nie mogę ich złapać, sir – odparł najbliższy radiooperator.

– Nieważne. Skontaktujemy się z nimi później. Idziemy! Wszyscy się poderwali.

Logan i jego trzech ludzi z oddziału Alfa, Boa McConnell i jego czterech ludzi z oddziału Bravo.

Cezar otworzył kartą magnetyczną hermetyczne drzwi, ukryte w północnej ścianie.

Ukazał się betonowy tunel – opadający w lewo i w dół, gdzie stykał się z przejściem do „górnych drzwi”.

Pierwsi weszli do niego trzej ludzie z oddziału Alfa, za nimi Cezar, potem Logan.

Następny miał być pułkownik Jerome Harper, ale nie zdążył.

Ledwie Logan zniknął w korytarzu, drzwi wejściowe do centrali dowodzenia zostały wyłamane i stanęło w nich pięciu więźniów z karabinami.

BUMMM!

Jedna z konsol rozpadła się na kawałki.

Logan na ułamek sekundy odwrócił się i stwierdziwszy, że nikomu więcej nie

uda się schować w tunelu, zatrzasnął tajne drzwi, zamykając Harpera i resztę komandosów w centrali dowodzenia.

Zostawili w sumie jedenastu ludzi: Harpera, Boa McConnella, jego czterech ludzi, czterech radiooperatorów i człowieka, który od samego początku akcji trzymał się w cieniu.

Oddali ich wszystkich na łaskę i niełaskę więźniów.

Na poziomie 6 Schofield i Book II wypadli z kryjówki, wskoczyli na peron i pognali do drzwi prowadzących na schody pożarowe.

9.56

Schofield jednym szarpnięciem otworzył drzwi i natychmiast usłyszał echo strzału, po którym rozległo się głośne: ARRROOO! Szybko zamknął drzwi.

– No, to znaleźliśmy się w piekle – stwierdził.

– Mamy cztery minuty na znalezienie prezydenta – przypomniał mu Book II.

– Wiem. Ale żeby tego dokonać, musimy w jakiś sposób wejść na górę. –

Schofield przez chwilę rozglądał się, wbijając wzrok w ciemność. – Tędy! – rzucił i zaczął biec po peronie.

– Co chcesz zrobić?

– Jest jeszcze inna droga na górę! Używali jej chłopcy z Siódmego Szwadronu – to szyb wentylacyjny na drugim końcu peronu!

9.57

Kiedy dotarli do szybu, Schofield znów włączył mikrofon – ciągle miał nadzieję, że pływanie w jeziorze Powell nie uszkodziło go zbyt poważnie.

– Lis! Lis! Słyszysz mnie? Trzaski i chrzęsty. Brak komunikacji. Weszli do szybu wentylacyjnego i pobiegli nim, głośno łomocząc butami.

Po chwili znaleźli się przy wysokim, studwudziestometrowym pionowym szybie.

– Rany... – jęknął Book II, patrząc na znikający w ciemnościach tunel. 9.58

– Szybko na górę! – rozkazał Schofield. – Przejdziemy poziomymi odnogami do szybu windowego, przetniemy platformę i zobaczymy, czy Gant i pozostali są gdzieś w pobliżu.

Wystrzelił w górę głowicę maghooka. Kiedy linka się rozwinęła, magnes natychmiast przykleił się do ściany szybu.

9.58:20

Schofield wjechał na górę pierwszy, Book II zaraz za nim.

9.58:40

Wbiegli w pierwszą poziomą odnogę i popędzili nią. Piłka bujała się w ręku Schofielda.

9.58:50

Dotarli do szybu centralnego. Tak jak wszystko, również i on był spowity ciemnościami. Widzieli jedynie kiwający się na boki, pomarańczowy blask ognia w prostokątnym wycięciu platformy, przeznaczonym dla małej windy. Główna platforma znajdowała się na poziomie ziemi, na wysokości głównego hangaru.

Schofield i Book II stali przy końcu szybu – na poziomie 3.

Kapitan przyłożył mikrofon do ust.

– Lis! Lis! Gdzie jesteś?

– Hej! – zadudnił echem znajomy kobiecy głos. Schofield natychmiast się rozejrzał i powiódł wokół lufą trzymanej w ręku broni.

Ujrzał małą białą plamkę – światło zamontowanej pod lufą latarki – migające z

drugiej strony szybu, ale z wyższego poziomu – z wrót hangaru na poziomie 2.

Nad światelkiem, w kręgu słabego poblasku, widać było twarz mocno przestraszonej Libby Gant.

9.59:00

– Lis!

– Strach na Wróble!

Głos Gant był teraz głośny i wyraźny. Woda musiała pogorszyć jedynie zasięg urządzenia.

– Jasna cholera! – krzyknął Schofield. – Myślałem, że będzie tu platforma!

– Więźniowie wjechali nią do głównego hangaru.

9.59:05

9.59:06

– Strachu na Wróble, co mamy robić? Została nam jeszcze minuta... Schofield doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Sześćdziesiąt sekund...

Za mało czasu, aby zejść na dół szybu, przepłynąć na drugą stronę i wejść z powrotem na górę. Za mało, aby wisząc na rękach, obejść szyb. Nie można było też przeskoczyć na drugą stronę, używając linki maghooka, bo była za krótka, aby sięgnąć przeciwległej ściany szybu.

Cholera jasna...

Niech to... niech to... niech to... niech to... niech to...

– A co z mostem portowym? – rozległ się w słuchawkach Schofielda głos Matki.

„Most portowy” był legendarną sztuczką z użyciem dwóch maghooków. Dwóch stojących naprzeciwko siebie ludzi musiało strzelić z maghooków w taki sposób, żeby rozłożone kotwice głowic zderzyły się i zahaczyły o siebie. Nazwa pochodziła

od znajdującego się w Sydney słynnego mostu portowego, zbudowanego z dwóch oddzielnych łuków, które spotykały się pośrodku, między dwoma portami. Schofield widział wielu marines, próbujących wykonać tę sztuczkę, ale nigdy nie zdarzyło się, by komuś się udało.

– Nie, „most portowy” jest niewykonalny – odparł. – Nigdy nie widziałem, aby komukolwiek udało się trafić kotwicą drugą kotwicę w locie, chociaż może gdyby...

9.59:09

9.59:10

Popatrzył na prezydenta i Gant, stojących w drzwiach hangaru. Oceniał odległość. Potem spojrzał w górę, na znajdującą się wysoko w górze platformę. Sugestia Matki nasunęła mu pewien pomysł. Może mogliby za pomocą dwóch maghooków...

– Lis! Szybko! Gdzie jest miniwinda?

– Tam, gdzie ją zostawiliśmy – na poziomie pierwszym.

– Wejdz na poziom pierwszy, wsiądź do windy, podjedź w górę i zatrzymaj się trzydzieści metrów pod główną platformą. Ruszaj się! Tempo!

Gant wiedziała, że z Schofieldem się nie dyskutuje, poza tym nie było czasu.

Złapała prezydenta za rękę i zniknęli.

9.59:14

9.59:15

Schofield minął Booka II i pobiegł z powrotem w kierunku głównego szybu.

Kiedy tam dotarł, bez zastanowienia wystrzelił w górę głowicę maghooka. Zaczekał, aż rozwinie się cała linka – 50 metrów – i dopiero wtedy aktywował magnes.

Tak samo jak poprzednio, potężny magnes szarpnął linką w bok, zadudnił o

stalową ściankę szybu i przykleił się do niej.

9.59:22

9.59:23

Schofield pomknął w górę szybu.

Tym razem był sam – nie było czasu na posyłanie maghooka w dół, by mógł się na nim podciągnąć Book II. Musiał załatwić sprawę sam, poza tym potrzebował maghooka...

Leciał w górę szybu, wciągany na lince cudownej broni. Kiedy minął trzy odnogi tuneli, zatrzymał zwijarkę. Był ponad trzydzieści metrów poniżej poziomu 0. Pobiegnął poprzecznym korytarzem.

9.59:29

9.59:30

Znów znajdował się przy szybie głównym. Spód platformy był bliżej – oddalony nieco ponad trzydzieści metrów. Schofield słyszał odgłosy wystrzałów i wrzaski więźniów i przez chwilę zastanawiał się, co wyprawiają.

9.59:34

9.59:35

W świetle latarki podlufowej zobaczył mknącą w górę miniwindę. Byli na niej Gant, Juliet, Matka i prezydent.

9.59:37

9.59:38

Kiedy miniwinda znalazła się na jego wysokości, krzyknął:

– Zatrzymaj się!

Miniwinda stanęła z szarpnięciem. Była po przeciwnej stronie szybu – w

odległości sześćdziesięciu metrów od Schofielda.

Patrzyli na siebie z przeciwległych stron gigantycznej przepaści.

9.59:40

– Lis, strzel z maghooka w spód platformy.

– Linka jest za krótka, aby jej użyć jako wahadła...

– Wiem, ale dwie linki wystarczą. Spróbuj trafić platformę mniej więcej w jednej czwartej przekątnej. Ja zrobię to samo z mojej strony.

9.59:42

Schofield nacisnął dźwignię. Głowica wystrzeliła z maghooka z

przypominającym smagnięcie batem trzaskiem i pomknęła skosem w górę.

Po chwili rozległo się głośne metaliczne tąpnięcie i magnes przykleił się do spodu platformy.

9.59:43

BRZDĘK! Z drugiej strony szybu rozległ się identyczny dźwięk. Pod platformą przykleił się magnes z maghooka Gant.

9.59:45

9.59:46

Schofield trzymał swojego maghooka jedną ręką. Drugą otworzył Piłkę. Zegar w

środku odliczał sekundy: 00.00:14... 00.00:13. Kapitan złapał walizkę za rączkę i szeroko rozłożył jej dwie połówki.

– Słuchaj, Lis! – powiedział do mikrofonu. – Daj linkę prezydentowi. Zostało nam dwanaście sekund, mamy więc tylko jedną próbę.

– Chyba żartujesz... – rozległ się w słuchawkach Schofielda głos Matki. Gant przekazała maghooka prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

– Życzę szczęścia, sir.

Schofield i prezydent stali po przeciwległych stronach szybu i trzymali się napiętych linek. Przypominali artystów cyrkowych, szykujących się do występu na trapezie.

9.59:49

9.59:50

– Ruszamy! – krzyknął Schofield.

Obaj skoczyli do przodu.

Zabujali się na swoich linkach.

Dwie maleńkie figurki na cieniutkich niteczkach.

Mknęli ku sobie, aby spotkać się pośrodku. Schofield wyciągał do przodu Piłkę, prezydent dłoń.

9.59:52

9.59:53

Obaj błyskawicznie osiągnęli najniższy punkt łuku i zaczęli się wznosić ku górze.

W słabym świetle Schofield widział przerażenie malujące się na twarzy prezydenta. Ale Szeff zachowywał się jak należy – ścisnął mocno kolbę maghooka i wyciągał do przodu prawą rękę.

9.59:54

9.59:55

Zbliżali się do siebie, wahadłowy ruch unosił ich do najwyższego punktu...

9.59:56

9.59:57

... i po chwili, 120 metrów nad dnem szybu centralnego, poruszając się w niemal

kompletnej ciemności, znaleźli się tuż obok siebie i prezydent przyłożył wyciągniętą dłoń do płytki analizatora w Piłce.

BIP!

Zegar w walizce natychmiast się zresetował.

00.00:02 zamieniło się w 90.00:00 i zegar ponownie zaczął odliczanie. Prezydent i

Schofield rozdzielili się i pomknęli ku punktom, z których wystartowali.

Prezydent wrócił do miniwindy i został złapany przez Gant, Matkę i Juliet.

Schofield skoczył zgrabnie na krawędź tunelu, westchnął z ulgą i popatrzył na metalową walizkę.

Udało im się. Dostali dziewięćdziesiąt minut dodatkowego czasu. Teraz musiał tylko dostać się wraz z Bookiem II do prezydenta i będą znów w grze.

Zwinął linkę maghooka i okręcił się na pięcie, by wrócić do szybu wentylacyjnego. Zamarł.

Drogę zagradzało mu trzech ludzi – w dzinsach, ale bez koszul. Każdy miał w ręku samopowtarzalną strzelbę, tatuaże na ciele, pękate bicepsy i wybite przednie zęby. – Sięgaj nieba, stary – powiedział jeden z nich.

Cezar Russell biegł niskim betonowym tunelem.

Przed nim biegli komandosi z oddziału Alfa, a z tyłu Kurt Logan.

Przed chwilą zostawili Harpera i pozostałych swoich ludzi w centrali dowodzenia na pastwę zbiegłych więźniów i pędzili drogą ewakuacyjną do miejsca, w którym przecinała się z tunelem prowadzącym do „górných drzwi”.

Wybiegli zza zakrętu, stanęli przed schowanymi w betonie masywnymi stalowymi drzwiami, wpisali kod. Drzwi się otworzyły.

Ukazał się przed nimi biegnący w lewo i w prawo tunel.

Droga na prawo prowadziła ku wolności – poprzez drzwi, którymi można było wyjść do jednego z hangarów poza podziemnym terenem Strefy 7.

Z lewej strony – za zakrętem – znajdował się szyb windy osobowej i...

...coś jeszcze.

Cezar zamarł.

Zza rogu wystawał wojskowy but. Czarny but martwego komandosa.

Cezar podszedł bliżej.

But należał do straszliwie zakrwawionych zwłok Pytona Willisa – dowódcy oddziału Charlie, tego, który sprowadził do Strefy 7 Kevina. Twarz Cezara pociemniała.

Miał przed sobą zwłoki komandosów z oddziału Charlie, ale nigdzie nie było śladu Kevina.

Siedzący w ciemnościach hangaru na poziomie 1 Nicholas Tate III, doradca prezydenta do spraw polityki wewnętrznej, patrzył z niepokojem w górę szybu centralnego.

Prezydent i jego trzy opiekunki nie wrócili z wycieczki miniwindą w górę szybu i Tate był tym mocno zaniepokojony.

– Sądzi pan, że złapali ich więźniowie? – spytał Wyciora Hagerty'ego. Słyszeli strzały i wrzaski, dolatujące z głównego hangaru. Czuli się niemal jak kibice, śledzący mecz spoza stadionu.

– Mam nadzieję, że nie... – szepnął Hagerty.

Tate wpatrywał się w szyb nad sobą, a przez głowę przemykały mu tysiące myśli – związanych przede wszystkim z niepokojem o własny tyłek. Minęła kolejna minuta.

– Co pana zdaniem powinniśmy zrobić? – spytał w końcu, nie odwracając się.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Zmarszczył czoło, odwrócił się.

– Pytałem...

Ale Hagerty zniknął.

Tate zobaczył przed sobą jedynie rozległą, skąpaną w mroku przestrzeń hangaru, z której wylaniały się tylko niewyraźne kontury potężnych samolotów.

Hagerty zniknął.

Bezgłośnie, natychmiast – bez śladu. Jakby wypchnięto go z kręgu żywych.

Tate poczuł, że ogarnia go strach. Został sam – w szczelnie zamkniętej bazie, pełnej zdradzieckich komandosów sił powietrznych i bezlitosnych morderców.

Nagle coś przyciągnęło jego uwagę.

Dwa metry od jego stóp – w miejscu, gdzie po raz ostatni widział Hagerty’ego – coś błysnęło na podłodze. Podeszedł bliżej. Był to sygnet. Złoty sygnet oficerski.

Sygnet, który Hagerty otrzymał z okazji ukończenia studiów w Annapolis.

Ostatni dwaj radiooperatorzy nie wytrzymali długo.

Kiedy na platformie rozległy się kolejne strzały, więźniowie eskortujący grupkę Gant i Schofielda przyłączyli się i otoczyli ich ciasnym kręgiem.

– Cześć... – powiedziała Gant.

– Cześć – odparł Schofield.

Po cyrkowym numerze, jaki wykonali prezydent i Schofield, szczęście przestało im dopisywać.

Ledwie zawieszony na lince prezydent bujnął się z powrotem i stanął na małej platformie, miniwinda została ściągnięta na górę przez kogoś w głównym hangarze.

Gdy wjechali na poziom 0, znaleźli się w centrum kolejnego koszmaru.

Więźniowie – niedawne obiekty eksperymentów Gunthera Bothy – właśnie przejmowali bazę.

Choć nie mieli możliwości ukrycia swojego marnego arsenału, Gant wiedziała, że pozostał im jeszcze jej maghook, przyczepiony do spodu miniwindy.

Kiedy jednak mała platforma dotarła na poziom głównego hangaru, zamykając sobą kwadratowy otwór w rogu wielkiej platformy, Gant nadal miała przy sobie „czarną skrzynkę” z AWACS-a.

Nie chcąc, by którykolwiek z więźniów zainteresował się pomarańczowym pudełkiem, położyła je na podłodze miniwindy i stanęła na nim, a kiedy platforma zrównała się poziomem z podłogą głównego hangaru, „potknęła się” i popchnęła je stopą. Czarna skrzynka potoczyła się na podłogę hangaru i zatrzymała niedaleko szybu.

Ponieważ polowanie na opuszczonej dużej platformie już się zakończyło, więźniowie skierowali swoją uwagę na prezydenta i jego ochronę.

Spośród więźniów wystąpił starszy mężczyzna, trzymający w dłoniach strzelbę.

Mógł mieć nieco ponad pięćdziesiąt lat, a sądząc po jego pełnym godności sposobie poruszania się, niewątpliwie cieszył się szacunkiem współwięźniów. Choć czubek jego głowy był łysy, po jej bokach spływały długie, siwe włosy. Miał wąski, orli nos, niemal przezroczystą, trupio bladą skórę i zapadnięte policzki.

– „Chodź do mojego pokoiku, powiedział pająk do muchy” – wycedził, stając przed prezydentem. Mówił cicho, ale w jego głosie kryła się groźba. – Dzień dobry, panie prezydencie. Jak miło, że pan do nas dołączył. Pamięta mnie pan?

Prezydent nie odpowiedział.

– Oczywiście, że pan pamięta. Jestem osiemnaście-osiemdziesiąt cztery. Poznał pan wszystkich dziewięciu ludzi, których za pana prezydentury skazano z artykułu osiemnastego, część pierwsza, rozdział osiemdziesiąty czwarty Kodeksu Stanów Zjednoczonych... za zamach na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jestem Grimshaw, Seth Grimshaw – oświadczył długowłosej więźni, wyciągając dłoń. – Poznaliśmy się w kwietniu, kilka tygodni po tym, jak został pan prezydentem, kiedy wychodził pan z hotelu Bonaventure w Los Angeles przez kuchnię w piwnicy. To ja próbowałem panu wtedy wpakować kulę w czaszkę. Prezydent nadal milczał.

– Udało się panu zapobiec nagłośnieniu tego incydentu. Jestem pod wrażeniem. Zwłaszcza że takim jak pan bardzo zależy na rozgłosie. Ale straszenie narodu nie jest mądre, prawda? Lepiej niech głupie masy nie zdają sobie sprawy z tego, co się dzieje w kraju, prawda? Jak mówią: ignorancja to zadowolenie.

Także i na to prezydent nic nie odpowiedział. Grimshaw zlustrował go od stóp do głów, z rozbawieniem przyglądając się czarnemu bojowemu kombinezonowi prezydenta. W takie same stroje byli ubrani Juliet i Schofield, podczas gdy Gant i Matka miały na sobie wyjściowe – choć teraz bardzo brudne – mundury korpusu piechoty morskiej.

Grimshaw uśmiechnął się złośliwie.

Podszedł do więźnia trzymającego Piłkę i wziął od niego srebrną walizkę.

Otworzył ją, popatrzył na świecący się ekran, a potem spojrzał na prezydenta.

– Wygląda na to, że wraz z moimi niedawno uwolnionymi towarzyszami natknąłem się na ciekawy spektakl... sądząc po pańskim ubraniu i sposobie, w jaki przemknęliście bezceremonialnie przez nasz oddział, zabawiacie się tutaj w kotka i myszkę... –

Z dezaprobatą mlasnął językiem. – Naprawdę, panie prezydencie... muszę powiedzieć, że to absolutnie nieprezydenckie. Absolutnie. – Zmrużył oczy. – Kimże jednak jestem, aby przerywać tak efektowne przedstawienie? Prezydent Stanów Zjednoczonych i jego lojalni ochroniarze przeciwko zdradzieckiemu aliansowi wojskowo-przemysłowemu... – Odwrócił się. – Goliat! Przyrowadź pozostałych! Zza jego pleców wyszedł potężnie zbudowany więzień i ruszył w kierunku znajdującego się w hangarze budynku. Był ogromny, miał ramiona grube jak konary i kanciastą czaszkę, przywodzącą na myśl Frankenstein. Z jego czoła wystawała płaska narośl – Schofield wiedział, że tak wyglądają wszyscy ci, którzy mają wstawioną w czaszkę stalową płytkę. Goliat trzymał w jednej ręce karabinek szturmowy P-90, a w drugiej maghooka Schofielda.

Kiedy wrócił po kilkunastu sekundach, szło za nim siedmiu ludzi z sił powietrznych i czterech radiooperatorów, których Cezar Russell zostawił w centrali dowodzenia.

Pułkownik Jerome T. Harper.

Boa McConnell i jego czterech ludzi z oddziału Bravo – w tym dwóch poważnie rannych.

Samotny osobnik, który obserwował wszystkie wydarzenia, kryjąc się w cieniu w centrali dowodzenia Cezara Russella. Schofield natychmiast go rozpoznał.

Prezydent także.

Był to chorąży Carl Webster, oficjalny strażnik Piłki, stojący teraz przy żołnierzach sił powietrznych z bardzo głupią miną.

Jego oczy pod gęstymi brwiami latały na boki, jakby szukał drogi ucieczki.

– Ty pierdolony mały kutasie... – syknęła Matka. – Oddałeś Piłkę Russellowi.

Sprzedajesz prezydenta.

Webster nic na to nie odpowiedział.

Schofield patrzył na niego przez chwilę. Już rano zastanawiał się, czy chorąży rzeczywiście został porwany przez komandosów 7. Szwadronu. Do realizacji planu Cezar Russell potrzebował Piłki i Schofield już wiedział, jak ją zdobył.

Przemoc nie była potrzebna, a krew na kajdankach, którymi Piłka była przypięta do ręki Webstera, była jedynie elementem podstępny. Webster został kupiony na długo przed przybyciem prezydenta do Strefy 7.

– No dobrze, moje dzieci – powiedział Seth Grimshaw, machając Piłką. –

Oszczędzajcie siły. Za chwilę będziecie mogli rozstrzygnąć wszystkie swoje spory, najpierw jednak... – odwrócił się do pułkownika Harpera – mam pewne pytanie, dotyczące tego kompleksu. Chodzi o wyjście. Gdzie ono jest?

– Stąd nie ma wyjścia – skłamał Harper. – Baza jest zamknięta. Nie da się z niej wydostać.

Grimshaw uniósł strzelbę, wycelował w twarz Harpera i przeładował.

– Może nie wyraziłem się wystarczająco dokładnie – warknął, po czym odwrócił się i strzelił najpierw w jednego z rannych żołnierzy oddziału Bravo, a potem w drugiego. Impet strzału zwałił obu z nóg. Grimshaw odwrócił się z powrotem do Harpera i uniósł brwi.

Pułkownik zbladł. Skinął głową w kierunku windy pasażerskiej.

– W szybie windy są drzwi. Nazywamy je „górnymi drzwiami”. Prowadzą na zewnątrz. Kod brzmi: pięć-pięć-sześć-cztery-siedem-siedem-jeden.

– Dziękuję, pułkowniku, jest pan bardzo uprzejmy. Ale musimy kazać wam teraz dokończyć to, co zaczęliście. Z pewnością rozumiecie, że opuszczając to okropne

miejsce, nie możemy pozwolić, by ktokolwiek z was przeżył. Na znak dobrej woli chciałbym wam jednak wszystkim zrobić ostatnią przysługę... choć dostarczy ona rozrywki raczej mnie niż wam.

– Dam wam okazję pozabijać się nawzajem. Pięciu na pięciu.

Tam, w dole. W ten sposób przynajmniej zwycięzcy umrą, wiedząc, kto wygrał waszą zaimprovizowaną wojnę domową. – Odwrócił się do Goliata. – Daj tutaj piątkę z sił powietrznych, a grupkę prezydenta ustaw po tamtej stronie.

Schofield i jego grupa zostali zaprowadzeni pod bronią na przeciwległy – wschodni – brzeg szybu, w którym stała platforma.

Piątka z sił powietrznych – Jerome Harper, Boa McConnell, dwóch ostatnich żołnierzy oddziału Bravo i zdrajca chorąży Webster – stanęli naprzeciwko nich, oddzieleni sześćdziesięcioma metrami znajdującej się trzy metry niżej platformy.

– Zaczynamy bitwę! – zawołał Seth Grimshaw, szczerząc zęby. – Na śmierć!

Schofield skoczył w dół i natychmiast znalazł się w labiryncie poskręcane go metalu, utworzonego przez szczątki boeinga.

Fragmenty skrzydeł samolotu piętrzyły się pod wszelkimi możliwymi kątami, a zewsząd skapywała woda. Przypominające gigantyczne beczki silniki stały pionowo.

Na środku platformy tkwiła największa część wraka – połamany, skośnie leżący kadłub, przypominający martwego ptaka.

Panująca wokół ciemność nie ułatwiała Schofieldowi zadania.

Mrok rozświetlały jedynie trzymane przez więźniów pochodnie. Rzucane przez nie długie cienie zamieniały platformę w metalowy las, w którym widoczność nie przekraczała dwóch metrów.

Jak myśmy się w to wpakowali? – zastanawiał się Schofield.

Stał ze swoimi towarzyszami po wschodniej stronie platformy, opierał się plecami o ścianę szybu i nie bardzo wiedział, co począć.

Nagle w beton nad jego głową huknął strzał.

– Obie drużyny mają się natychmiast zaatakować! – wrzasnął Seth Grimshaw. –

Jeśli zaraz nie zaczniecie walki, powystrzelamy was jak kaczki – z góry!

– Jezu... – westchnęła Juliet Janson. Schofield popatrzył na swoich towarzyszy.

– Nie mamy wiele czasu, więc słuchajcie uważnie: musimy nie tylko przeżyć, ale także znaleźć sposób, by się stąd wydostać.

– Mini winda – powiedziała cicho Gant, wskazując brodą w jej kierunku. „Winda w windzie” znajdowała się na tym samym poziomie co duża platforma, pilnowało jej jednak pięciu więźniów.

– Będziemy potrzebowali trochę dywersji – stwierdził Schofield. – Czegoś, co...

Nadlatujący kawał metalu o mało nie odciął mu głowy.

Ujrzał go w ostatniej chwili i kucnął całkiem odruchowo, ułamek sekundy przed tym, zanim poszarpana blacha huknęła o betonową ścianę nad jego głową niczym ostrze siekiery.

Odwrócił się błyskawicznie, by zobaczyć, skąd nadleciał pocisk, i ujrzał wyskakujących z cienia dwóch komandosów oddziału Bravo, trzymających w rękach wąskie, długie kawały blachy i pędzących na nich z tymi „mieczami”.

– Rozprosz się! – wrzasnął Schofield, gdy pierwszy komandos znalazł się tuż przed nim i próbował trafić go swoim „mieczem”.

Zablokował cios, łapiąc przeciwnika za nadgarstek. Gant starła się z drugim napastnikiem.

– Naprzód! – zawołał Schofield do Juliet, Matki i prezydenta. – Wynoście się

stąd! Juliet i prezydent natychmiast wykonali rozkaz, Matka jednak została.

– Idź! – krzyknął Schofield. – Musisz być przy prezydencie!

Kiedy Schofield i Gant starli się z żołnierzami oddziału Bravo, więźniowie zawyli z zachwytu.

Prezydent i Juliet – za którymi biegła Matka – pomknęli na północ, w mrok, w kierunku miniwindy.

Więźniowie widzieli z góry to, czego nie mogła widzieć uciekająca trójka: z lewej zbliżały się do nich trzy postacie, sunące szybko wzdłuż północnej ściany szybu:

Jerome Harper, Carl Webster i koordynujący atak kapitan Boa McConnell.

Schofield i Gant stali plecami do siebie. Gant udało się podnieść z podłogi kawał rury i zastawiała się nią jak zaprawiony w walkach na kije średniowieczny wojownik.

Jej przeciwnik walił z całej siły, trzymając oburącz swoją broń, ale Gant dobrze parowała.

– Jak sobie radzisz? – spytał Schofield między dwoma uderzeniami swojego przeciwnika.

– To tylko... pieprzony... mięczak... – wydyszała, zaciskając zęby.

– Musimy dostać się do prezydenta.

– Wiem, ale... najpierw muszę... uratować ci... tyłek... – Popatrzyła przez ramię na Schofielda, uśmiechnęła się i w tym samym momencie dostrzegła, że jego przeciwnik zmienia sposób ataku. – Strach na Wróble! Padnij! – wrzasnęła.

Schofield runął na beton jak wór.

„Miecz” jego przeciwnika śmignął w powietrzu i wytrącony z równowagi mężczyzna zatoczył się w kierunku Libby Gant. Libby tylko na to czekała.

Odwróciła się na ułamek sekundy od swojego przeciwnika i machnęła rurą jak kijem bejsbolowym. TRZASK!

Dźwięk uderzającego w czaszkę metalu był paskudny. Komandos natychmiast osunął się na ziemię, a Gant – wykręcając piruet niczym w balecie – odwróciła się akurat na czas, aby sparować następny cios swego przeciwnika.

– Strachu na Wróble! Idź! – wrzasnęła. – Idź do prezydenta! Schofield popatrzył na nią ostatni raz, po czym skoczył między czarne blachy.

Juliet i prezydent odbiegli już jakieś dwadzieścia metrów na północ. Mijali sterczące z wielkiej platformy przeszkody i zbliżali się do miniplatformy – nieświadomi obecności zbliżających się do nich z lewej strony ludzi.

Najpierw została zaatakowana Juliet.

Z ciemności, zza zniszczonego ogona AWACS-a wyprysnęły dwie postacie – Boa McConnell i chorąży Carl Webster. Zderzyli się z Juliet, natychmiast zwalając ją z nóg.

Prezydent kątem oka dostrzegł, że dziewczyna pada na beton i przytrzymują ją dwie pary męskich rąk. Kiedy się rozejrzył, zobaczył stojącego nieco dalej pułkownika Harpera, obserwującego to wszystko z bezpiecznej odległości.

Właśnie zamierzał iść na pomoc Juliet, gdy spomiędzy blach wystrzelił ciemny kontur, mijając go o centymetry.

Matka.

Wyskoczyła z ciemności niczym rasowy futbolista. TRACHCHCH!

Ramieniem trafiła McConnella z taką siłą, że o mało nie pękły mu kręgi szyjne.

Kapitan poleciał w bok, wyraźnie oszołomiony.

Carl Webster potrzebował sekundy, aby zorientować się, co się dzieje. Rozejrzył

się i...

...natychmiast z potężną siłą trafiła go pięść Matki.

Choć nie był ułomkiem, spadł z Juliet i odtoczył się między blachy. Zaraz jednak złapał paskudnie wyglądający, metrowej długości wąski kawał metalu i ruszył na Newman.

Matka wyszczerzyła zęby i zawarczała. Webster zaatakował. Walka była brutalna.

Siły przeciwników nie mogły być bardziej wyrównane – oboje mieli duże doświadczenie w walce wręcz, oboje byli tego samego wzrostu – mieli prawie metr dziewięćdziesiąt – i oboje wazyli mniej więcej tyle samo, około dziewięćdziesięciu kilo każde.

Webster zamachnął się, ale Matka schyliła się i złapała kawał blachy, którym zasłoniła się niczym tarczą. Ciosy Webstera odbijały się od niej z metalicznym brzękiem, wciąż jednak spychał Matkę w kierunku zniszczonego skrzydła samolotu. Cofając się, również podniosła z podłogi coś w rodzaju miecza.

Próbowała odpowiedzieć atakiem, ale Webster był zbyt rozpędzony. Znow uderzył i ciał ją głęboko w ramię.

– Aaaaa! – wrzasnęła Matka, rzuciła tarczę i trzy następne ciosy sparowała samym „mieczem”.

Cholera jasna... Potrzebowała tylko jednego odsłonięcia się, jednej szansy...

– Dlaczego zdradziłeś prezydenta?! – zawołała, by zdekoncentrować swojego przeciwnika, cofając się równocześnie.

– Są takie chwile, kiedy trzeba podjąć decyzję! – odkrzyknął chorąży. – Kiedy trzeba się za kimś opowiedzieć! Walczyłem za ten kraj, miałem przyjaciół, którzy za

niego przelewali krew... tylko po to, aby wydymali ich tacy politycy jak on! Kiedy więc pojawiła się okazja, stwierdziłem, że nie będę się obojętnie przyglądać, jak kolejny kurwojebca, który wymigał się od poboru, pcha ten kraj ku zagładzie!

Uderzył mocno z boku.

Matka odchyliła się, po czym wskoczyła na skrzydło samolotu. Była teraz metr nad podłogą.

Skrzydło zabujało się pod jej ciężarem i na ułamek sekundy straciła równowagę, dzięki czemu Webster mógł skierować kolejne uderzenie z boku w jej odsłonięte nogi – za szybko, aby mogła się obronić.

Straszliwy cios dotarł tam, gdzie został wycelowany...

BANG!

Kiedy miecz Webstera uderzył Matkę tuż pod kolanem, jego ręka aż zadygotała.

Zbladł.

– Co to ma...

Matka uśmiechnęła się.

Trafił ją prosto w protezę – tytanową protezę!

Natychmiast wykorzystała zaskoczenie przeciwnika i zamachnęła się z całej siły.

CIACH!

Gdy ostrze trafiło w szyję Webstera, z przeciętej tętnicy trysnęła fontanna krwi.

„Miecz” wypadł z ręki zdrajcy, Webster osunął się na kolana i złapał się za krwawiące gardło. Po chwili wyciągnął ręce do przodu i z niedowierzaniem popatrzył na zakrwawione dłonie. Rzucił przerażone spojrzenie Matce, po czym padł twarzą w kałużę własnej krwi.

Więźniowie ryknęli z zachwytu.

Wszyscy widzowie – wraz z Sethem Grimshawem – przenieśli się na północną stronę platformy, by móc lepiej delektować się tym, co się działo.

Niektórzy z więźniów zaczęli pokrzykiwać na prezydenta niczym dopingujący swoją drużynę kibice:

– U-S-A! U-S-A!

We wschodniej części dziury Gant w dalszym ciągu walczyła o życie.

„Miecz” jej przeciwnika raz za razem odbijał się z brękiem od jej rury.

Walczyli, przeciskając się między blachami. Komandos 7. Szwadronu przez cały czas spychał Gant do tyłu. Przy każdym potężnym uderzeniu uśmiechał się złowieszczo. Czuł, że ma coraz większą przewagę.

Aby szybciej skończyć, podwoił wysiłki, Gant wiedziała jednak, że w ten sposób tylko traci siły.

Zacząła symulować zmęczenie: raz i drugi zatoczyła się do tyłu, jednocześnie udając, że broni się rozpaczliwie.

W końcu jej przeciwnik zamachnął się niedbale – a wtedy Gant zrobiła

błyskawiczny unik, wyrzuciła ręce do przodu i trafiła komandosa końcem rury prosto w grdykę. Zmiażdżyła mu jabłko Adama i wepchnęła mu je dwa centymetry w przelyk, zatrzymując go w pół ruchu.

Żołnierz popatrzył na nią z niedowierzaniem, zabujał się lekko na boki i chrapliwie wciągnął powietrze. Stał jeszcze przez chwilę, ale już nie żył. Nie odwracając wzroku od Gant, padł na beton.

Więźniowie zamilkli – wyglądało na to, że szybkie jak błyskawica uderzenie Gant ich także zaskoczyło.

Zaraz jednak ryknęli w zachwycie. Rozległy się wilcze wycia, oklaski i

pohukiwania.

– Rany, mała!

– To dopiero kobieta!

W północnej części wielkiej dziury prezydent ukląkł obok Juliet i zaczął ją podnosić. Kiedy oboje stanęli na nogi, zamarli.

Przed nimi – znacznie bliżej niż przedtem – stał pułkownik Jerome T. Harper.

Obok niego leżał na betonie Boa McConnell. Stękał z bólu, nie mógł się pozbierać po ciosie Matki.

Pokrzykiwania i wycia więźniów otaczały ich coraz ciśniej.

– Dawaj, panie prezydencie! Ubrudź sobie ręce krwią! Zabij skurwiela!

– Najesz się gówna, Harper, a potem zdechniesz!

– U-S-A! U-S-A!

Harper wiedział, że jest sam. Wszyscy jego ludzie zginęli albo zostali zneutralizowani.

Zachowywał jednak dziwny spokój. Wyciągnął coś z kieszeni.

Wyglądało to jak bardzo nowoczesny granat – pojemnik pod ciśnieniem z dyszą na górze i przezroczystym okienkiem z boku.

Prezydent popatrzył na niego i ujrzał jego zawartość. Płyn w pojemniku miał barwę musztardy.

– Jezus Maria... – jęknął przerażony. Harper miał w ręku granat biologiczny.

Chiński.

Pojemnik ciśnieniowy z sinowirusem.

Na twarzy pułkownika pojawił się szatański uśmiech.

– Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie – powiedział. – Na szczęście – jak

każdy żołnierz sił powietrznych w tym kompleksie – zostałem zaszczepiony. Nie da się tego powiedzieć o pańskich strażnikach z piechoty morskiej.

A potem, nawet nie mrugnawszy okiem, wyciągnął zawleczkę.

Kiedy ją wyciągał, kątem oka dostrzegł jakiś ruch i zaraz potem zobaczył wypryskującego z mroku Shane'a Schofielda, machającego żeliwną rurą niczym kijem bejsbolowym.

Rura trafiła Harpera w nadgarstek, ale od dołu, tak że granat z sinowirusem wypadł mu z ręki i pofrunął w górę.

Biologiczna bomba wznosiła się niczym rakieta.

Poruszała się jak w zwolnionym tempie, koziółkując w powietrzu i wznosząc się wysoko.

Schofield patrzył na pocisk szeroko otwartymi oczami.

Więźniowie rozdziawili gęby.

Prezydent skamieniał.

Harper uśmiechał się złośliwie.

Sto dwadzieścia jeden...

Sto dwadzieścia dwa...

Sto dwa...

W tym momencie, w najwyższym punkcie lotu, mniej więcej dziesięć metrów nad platformą – w północnym jej rogu – granat z sinowirusem eksplodował.

W migoczącym świetle pochodni więźniów wybuch aerozolowego granatu wyglądał niemal jak fajerwerk. Rozbryzgi żółtawych kropeł wystrzeliły promieniście na boki, po czym zaczęły opadać, tworząc parasol, którego krople miały różne odcienie brązu.

Po chwili musztardowy parasol zaczął powoli opadać – najpierw po bokach, potem pośrodku.

Cząsteczki sinowirusa opadały jak śnieg.

Ponieważ granat eksplodował nad podłogą hangaru, żółta mgiełka opadła najpierw na więźniów stojących na krawędzi szybu.

Reakcja była natychmiastowa i bardzo gwałtowna.

Większość z nich zgięła się w pół tam, gdzie stała, i niemal natychmiast zaczęła charczeć oraz wymiotować. Niektórzy opadli na kolana i wypuścili z rąk pochodnie, paru innych dostało drgawek.

Po minucie wszyscy – poza dwoma – leżeli na betonie i wili się w agonii, wrzeszcząc z bólu, powodowanego rozpuszczaniem się narządów wewnętrznych.

Jednym z dwóch, z którymi nic się nie działo, był Seth Grimshaw.

Razem z Goliatem stał spokojnie, nie zwracając uwagi na musztardową mgiełkę.

Tylko oni i nieżyjący Gunther Botha wiedzieli, że od poprzedniego wieczoru w ich żyłach krążyła szczepionka z krwi Kevina. Żółta mgła opadała w ciemnościach.

Znajdowała się mniej więcej pięć metrów nad platformą – półtora metra nad górną krawędzią szybu – i ciągle opadała.

Libby Gant – sama po wschodniej stronie dziury – również widziała eksplozję.

Nie trzeba było być naukowcem, aby domyślić się, co było w pojemniku.

Czynnik biologiczny.

Sinowirus.

Ruszaj się! – nakazała samej sobie.

Rozejrzała się błyskawicznie. Stała trzy i pół metra poniżej krawędzi. Na górze nikogo nie było.

Nie marnowała ani sekundy.

Ponieważ była w mundurze wyjściowym, nie miała przy sobie maski gazowej – pomyślała więc, że lepiej będzie, jeśli natychmiast stąd zniknie.

Cząsteczki sinowirusa były już tylko nieco ponad cztery metry nad platformą i wciąż opadały.

Gant przysunęła się pod ścianę obok boeinga, złapała za krawędź i wciągnęła się na górę.

Przetoczyła się, starając się pozostać jak najbliżej podłogi, nadal pod chmurą zarazków.

Mniej więcej dwadzieścia metrów od niej znajdował się piętrowy budynek ze skośnymi oknami na górze.

Centrum dowodzenia. Sztab Cezara. Kuląc się jak najniżej, pobiegła do budynku.

Żółta mgła wciąż opadała.

Zniszczywszy więźniów na północnej krawędzi, cząsteczki zaczęły spływać w dół. Schofield rozglądał się gorączkowo.

Po eksplozji granatu, gdy więźniom powypadały z rąk pochodnie i zrobiło się bardzo ciemno, stracił z oczu Harpera.

Zaraz po detonacji pułkownik zniknął między częściami wraka i Schofield wiedział, że może czyhać na niego gdzieś w mroku.

Teraz miał jednak inne zmartwienia.

Mgła była już w zagłębieniu – niecałe trzy metry od dna.

Rozejrzał się za prezydentem i Juliet.

Tak samo jak on, oboje byli ubrani w zdobyczne mundury 7. Szwadronu – mieli więc maski gazowe.

– Kapitanie! Proszę założyć maskę! – zawołał prezydent, zakładając swoją. –

Bezpośrednio wdychając to świństwo, natychmiast pan zginie! Maska spowolni działanie!

Schofield nasunął maskę na twarz.

Juliet zdjęła swoją maskę i rzuciła ją Matce, która właśnie skończyła walkę z

Websterem. Ubrana w mundur wyjściowy korpusu piechoty morskiej, nie była wyposażona tak jak oni.

– A ty? – spytała Matka. Juliet wskazała na swoją twarz.

– Mam azjatycką krew. Nic mi nie będzie, ale jeśli ty nie założysz maski, będzie po tobie.

– Dzięki! – krzyknęła Matka i natychmiast skorzystała z zaoferowanego jej daru.

– Szybko! – zawołał Schofield. – Tędy!

Z maską na twarzy ruszył między blachy wraka – na północny wschód, do miniwindy.

Pobiegli za nim.

Wkrótce znaleźli się przy windzie.

Na małej platformie leżała zapalona pochodnia. Musiała wypaść z ręki kóremuś z umierających więźniów.

Schofield złapał ją i odwrócił się. Dobiegli do niego Matka i prezydent.

Wtedy do nich dotarło, że nie ma z nimi Juliet.

Juliet Janson leżała na betonie, tuż przy podwoziu AWACS-a.

Kiedy miała ruszyć za Schofieldem i resztą, nie wiadomo skąd wychynęła czyjaś ręka i złapała ją za kostkę. Juliet przewróciła się.

Chwycił ją Boa McConnell, wciąż jeszcze oszołomiony po ataku Matki, ale na

tylko przytomny, że umiał odróżnić sojusznika od wroga.

Trzymał Juliet za nogę i nie pozwalał jej odejść.

Zaczęła walczyć.

Boa wyciągnął zza cholewy nóż i uniósł go wysoko. Juliet patrzyła z przerażeniem, jak ostrze zmierza ku jej stopie...

BAM!

Głowa McConnella eksplodowała nagle jak balon. Padł martwy na miejscu. Juliet odpełzła od trupa i popatrzyła w górę, by sprawdzić, kto strzelał. Na południowej krawędzi szybu ktoś machał pochodnią i wołał:

– Janson! Agentka Janson!

Juliet zmrużyła oczy, próbując zobaczyć, kto ją woła.

Był to na pewno mężczyzna – w mundurze komandosa 7. Szwadronu, wystarczyło jednak, że dostrzegła w jego dłoni niklowany pistolet, by go rozpoznała.

Book II.

– Janson! Gdzie jesteś?! – krzyknął do mikrofonu na nadgarstku Schofield, czekający niecierpliwie na miniplatformie. Odpowiedział mu głos Booka II:

– Strach na Wróble, tu Book. Mam Janson. Spadajcie stąd.

– Dzięki, Book. – odparł Schofield i zapytał: – Lis, żyjesz jeszcze? Nie było odpowiedzi.

Schofield zeszywniał.

Po chwili nadeszła odpowiedź:

– Jestem tutaj, Strachu na Wróble.

– Gdzie?

– W budynku na wschodnim krańcu hangaru. Zabieraj prezydenta i nie martw

się o mnie.

– Dobrze... posłuchaj: muszę się dostać do Strefy Osiem. Żli chłopcy zabrali tam

Kevina. Biorę ze sobą prezydenta. Spotkamy się, kiedy... o cholera!

– Co jest?

– Piłka. Jest gdzieś w hangarze. Ma ją Grimshaw.

– Zostaw to mnie. Wyprowadź tylko stąd prezydenta. Spotkamy się w Strefie Osiem, gdy tylko będę mogła tam przyjść.

– Dzięki. Lis?

– Tak?

– Uważaj na siebie. Zapadła chwila ciszy.

– Ty też.

Schofield wcisnął klawisz i mała platforma zaczęła zwozić jego, Matkę i prezydenta w dół szybu.

Matka dotknęła ramienia Schofielda.

– Strefa Osiem? Schofield odwrócił się do niej.

– Tak.

Bez względu na to, jak bardzo próbował o tym nie myśleć, wciąż powracał do niego ten sam obraz: komandosów 7. Szwadronu na peronie kolei X, prowadzących Kevina do wagonika, by uciec z nim do Strefy 8.

Kevin...

Chłopiec był osią wszystkich wydarzeń.

– Chcę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, i potrzebuję do tego dwóch rzeczy...

– To znaczy?

Schofield wskazał na prezydenta.

– Po pierwsze jego.

– A po drugie?

– Kevina. Dlatego musimy jak najszybciej dostać się do Strefy Osiem.

Cezar Russell, Kurt Logan i trzech komandosów z oddziału Alfa przebiegli w prażącym słońcu kilkaset metrów po pasie startowym Strefy 7 i wpadli do trzypiętrowej wieży kontrolnej, stojącej jakieś sto metrów od głównego kompleksu.

Wieża, z której także można było kierować bazą, miała im posłużyć jako zapasowe centrum dowodzenia.

Wbiegli do środka – pomieszczenie wyglądało identycznie jak centrala dowodzenia w hangarze – i zaczęli przełączać klawisze. Rozjaśniły się monitory, na konsolach zapalały się światła.

– Dajcie mi namiar z lokalizatorów osobistych oddziału Echo.

Znalezienie komandosów z oddziału Echo nie zajęło im zbyt wiele czasu. Każdy żołnierz 7. Szwadronu miał wszczepiony pod skórą nadgarstka specjalny nadajnik.

– Są w kolei X. Właśnie dojeżdżają do Strefy Osiem.

– Uruchomić penetratory. Lecimy do Strefy Osiem.

Znajdujący się na poziomie 1 Nicholas Tate chodził bezradnie tam i z powrotem, kompletnie sparaliżowany przerażeniem.

Po nagłym i tajemniczym zniknięciu Wyciora Hagerty'ego zupełnie nie wiedział, co robić.

Trzymając w ręku latarkę, zaczął iść w głąb hangaru. Kiedy znalazł się dwadzieścia metrów przed schodzącą na poziom 2 rampą, zatrzymał go dziwny widok. Z dołu coś się wynurzało.

To, co zobaczył, omal nie pozbawiło go zmysłów.

Cała ta scena miała w sobie coś surrealistycznego.

Pochylnią wchodziła na poziom 1 rodzina niedźwiedzi. Niedźwiedzi!

Na betonową podłogę powoli wkroczył ogromny samiec, a za nim nieco mniejsza samica i troje młodych. Każde z idących na czterech łapach zwierząt ostrożnie wyciągało łeb do przodu i niuchało.

Pod Tate'em ugięły się nogi.

Odwrócił się i ruszył biegiem w kierunku szybu centralnego.

Miniwinda jechała w dół w niemal kompletnej ciemności. Jedyne światło, wydobywające z mroku sylwetki Schofielda, Matki i prezydenta, rzucała pochodnia w rękę kapitana.

Schofield wyjął z kieszeni na udzie dwie ampułki ze szczepionką Bothy.

– Ile mamy czasu? – spytał prezydenta.

– Jeżeli wirus wnika przez skórę, do pojawienia się pierwszych objawów musi upłynąć pół godziny. Zakażenie przez skórę jest wolniejsze od bezpośredniego, przez wdychanie. Ale to antidotum zneutralizuje całkowicie wirusa.

Schofield podał po jednej ampułce Matce i prezydentowi i wyjął trzecią dla siebie.

– Przed jazdą do Strefy Osiem musimy znaleźć kilka sterylnych strzykawek.

Wkrótce dotarli do poziomu 1. Ledwie się tam znaleźli, z ciemności wyskoczył zdenerwowany Nicholas Tate i natychmiast wskoczył na miniplatformę.

– Eee... chyba nie zechcecie... tam iść... – wystękał.

– Dlaczego? – spytał Schofield.

– Nie... dźwie... dzie – jęknął Tate.

Schofield zmarszczył czoło i popatrzył na prezydenta. Pomyślał, że Tate

najwyraźniej postradał zmysły.

– Gdzie Wycior? – spytała Matka.

– Zniknął – odparł Tate. – Po prostu – PUFFF! – zniknął. W jednej chwili stał za mną, a w następnej już go nie było. Tylko to po nim zostało.

Uniósł w górę sygnet Hagerty’ego.

Schofield nic z tego nie rozumiał. Ale prezydent rozumiał.

– Jezu... – szepnął. – Uwolnił się...

– Kto? – spytała Matka.

– W tym kompleksie jest tylko jedna osoba, która na miejscu porwania zostawia coś z biżuterii swojej ofiary – powiedział prezydent. – Seryjny zabójca Lucifer Leary.

– Chirurg z Phoenix... – Schofield natychmiast przypomniał sobie zarówno nazwisko Chirurga, jak i fakty związane z jego działalnością.

– No to wspaniale! – zawołała Matka. – Tylko tego nam jeszcze brakowało... kolejnego popierdolonego świra, latającego po tym wariatkowie.

Prezydent zwrócił się do Schofielda:

– Kapitanie, nie mamy czasu. Jeżeli Cezar Russell dostał chłopca...

Schofield przygryzł wargę. Nie lubił nikogo zostawiać – nawet jeśli był to Wycior Hagerty.

– Kapitanie – powiedział prezydent z kamienną twarzą. – Jak mówiłem dziś rano, czasami muszę podejmować trudne decyzje i właśnie zamierzam taką podjąć.

Jeżeli pułkownik Hagerty jeszcze żyje, będzie musiał sam o siebie zadbać. Nie możemy tracić czasu na szukanie go. Gra się toczy o znacznie większą stawkę.

Znacznie większą. Musimy odzyskać chłopca.

Zjechali miniwindą piętro niżej – na poziom 2 – i ruszyli hangarem. Towarzyszył im wciąż oszołomiony Nicholas Tate.

Na szczęście nie było tu niedźwiedzi.

Wbiegli na schody pożarowe i popędzili w dół, prowadzeni jedynie światłem pochodni Schofielda. Ponieważ przybywali prosto z walki na centralnej platformie, nie mieli broni ani latarek, niczego.

Szybko znaleźli się na dole schodów, pod drzwiami prowadzącymi na poziom 6.

Schofield ostrożnie je otworzył. Peron kolei X był zupełnie ciemny. Żadnego dźwięku, ani śladu życia.

Schofield ostrożnie ruszył w kierunku peronu. Wszędzie leżały ciemne kształty – ciała po trzech wcześniejszych strzelaninach i po eksplozji granatu RDX Elvisa.

Schofield i Matka podbiegli prosto do trupów żołnierzy oddziału Bravo, wzięli sobie po karabinku P-90 i zabrali kilka pistoletów. Przy jednych ze zwłok Schofield znalazł apteczkę z czterema sterylnymi strzykawkami.

Doskonale.

Rzucił prezydentowi pistolet, wołał jednak nie dawać żadnej broni rozkojarzonemu Tate'owi.

– Tędy – powiedział.

Pobiegli wzdłuż peronu, do pociągu stojącego na północnym torze, skierowanego w stronę tunelu prowadzącego do Strefy 8.

Na górze, w hangarze, Book II wyciągał Juliet Janson z opuszczonej trzy metry poniżej poziomu hangaru platformy centralnej. Miał na twarzy maskę ER.G-6.

W powietrzu unosiła się resztką drobnej mgiełki, pozostałość po sinowirusie.

Juliet zobaczyła ich w chwili, gdy wyszła z wielkiego dołu – Seth Grimshaw i

Goliat znikali właśnie w windzie osobowej. Grimshaw trzymał w ręku Piłkę.

– Tam! – zawołała. – Idą do wyjścia w szybie! Harper zdradził Grimshawowi kod!

– A ty go znasz?

– Jasne! Przecież byłam przy tym, kiedy mu go przekazywał. Chodź! Libby Gant musiała radzić sobie sama.

Stała w ciemnym korytarzu w budynku dowodzenia – u podstawy schodów, czujna jak żbik.

W hangarze rozprzestrzenił się sinowirus, a ona nie miała maski przeciwigazowej.

Spokojnie, pomyślała. W takim miejscu jak to z pewnością mają gdzieś...

W szafce pod schodami znalazła kombinezony przeciwskażeniowe. Wielkie, żółte, baloniaste stroje typu Chemturion – z wielkimi plastikowymi hełmami i aparatami oddechowymi o zamkniętym obiegu.

W tej samej szafce znalazła również masywną latarkę. Bardzo przydatna rzecz.

Natychmiast wślizgnęła się w chemturiona, zaciągnęła zamek i włączyła aparat oddechowy. Kombinezon natychmiast się napompował i zaczęła słyszeć własny oddech. Brzmiał jak charkot Dartha Vadera.

Zabezpieczona przed wirusem, zajęła się następnym problemem.

Przyszła tu, by znaleźć urządzenie włączające i wyłączające przełącznik w sercu prezydenta, aby można było następnie – wykorzystując czarną skrzynkę z AWACS-a

–

zacząć nadawać fałszywy sygnał. Czarna skrzynka...

O ile było jej wiadomo, leżała w dalszym ciągu na podłodze głównego hangaru,

tam, gdzie ją kopnęła z mini windy.

Postanowiła najpierw poszukać jednostki włączająco-wyłączającej. Potem pójdzie po czarną skrzynkę.

Przyświecając sobie zdobytą właśnie latarką, weszła po schodach i dotarła do centrali dowodzenia.

Drzwi do niej nie były zamknięte.

Pchnęła je powoli.

Pomieszczenie wyglądało, jakby rozegrała się tu bitwa.

Ściany były podziurawione pociskami. Wychodzące na hangar skośne okna były spękane albo wybite. Kilka monitorów komputerowych miało pośrodku ekranów okrągłe dziury, ale pozostałe też były ślepe – bo pozbawione prądu.

Poruszając się niezdarnie w ograniczającym ruchy kombinezonie, Gant weszła do środka i przeszła nad dwoma martwymi komandosami 7. Szwadronu. Nie było przy nich broni – prawdopodobnie zabrali ją więźniowie, którzy wtargnęli do budynku.

Rozejrzała się wokół.

Po chwili je dostrzegła.

Urządzenie włączające przekaźnik leżało na jednym z monitorów i wyglądało dokładnie tak, jak opisał je prezydent: małe, mieszczące się w dłoni czerwone pudełeczko z krótką czarną anteną.

Jednostka włączająco-wyłączająca.

Gant wzięła aparat do ręki. Wyglądał jak mały telefon komórkowy. Miał dwa klawisze. Pod jednym naklejono kawałek plastra, na którym napisano „1”, pod drugim: „2”.

Gant zmarszczyła czoło. Dlaczego Cezar...

Odsunęła tę myśl, wsunęła urządzenie do kieszeni i wyjrzała na hangar, by sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu nie widać czarnej skrzynki.

W ogromnym hangarze wciąż unosiła się mgiełka sinowirusa.

Jeśli nie liczyć płomieni leżących na betonie pochodni, nic się nie poruszało.

Gant zobaczyła leżące wszędzie ciała zabitych, szczątki Marine One, rozwalonego karalucha, zniszczony helikopter i rozbitą barykadę ze skrzynek i pudeł, za którą ukrywali się ludzie z oddziału Bravo.

Jej latarka była bardzo mocna, więc po chwili wydobyła z ciemności jasno-pomarańczowy kontur czarnej skrzynki.

Doskonale... – pomyślała.

Stwierdziła, że czas iść po skrzynkę, ale nagle jej uwagę zwrócił bladobłękitny poblask.

Zatrzymała się w pół ruchu. Wyglądało na to, że nie wszystkie monitory zostały unieruchomione.

Jarzył się jeden ekran – zasłonięty kawałem tynku zwisającym ze ściany. Gant zmarszczyła czoło.

Zasilanie kompleksu zostało wyłączone, co oznaczało, że ten system pracował w niezależnym obiegu. I oznaczało to, że musiał być bardzo ważny... Odsunęła tynk.

Na ekranie widniał tekst:

PROTOKÓŁ

ZAMKNIĘCIA

OS(OOD)7-A

HISTORIA

SYSTEMU

ZABEZPIECZAJĄCEGO 7-3468201103

CZAS

KLUCZOWE DZIAŁANIE ODPOWIEDŹ SYSTEMU

URUCHOMIENIE

AUTORYZOWANE

06.58

PROTOKOŁU ZAMKNIĘCIA

WPROWADZENIE KODU

INICJUJĄCEGO

KONTYNUACJA PROTOKOŁU

AUTORYZOWANE

ZAMKNIĘCIA

08.01

WPROWADZENIE KODU

PRZEDŁUŻAJĄCEGO

ZAMKNIĘCIE

KONTYNUACJA PROTOKOŁU

AUTORYZOWANE

ZAMKNIĘCIA

09.00

WPROWADZENIE KODU

PRZEDŁUŻAJĄCEGO

ZAMKNIĘCIE

UZBROJENIE MECHANIZMU

KODU SAMONISZCZACEGO

KOMPLEKS

UWAGA

AKTYWACJA

PROTOKOŁU

AWARYJKEGO:

JEŻELI

DO

11.05

NIE

WPISZESZ

BRAK WPROWADZENIA

AUTORYZOWANEGO KODU

10.05

AUTORYZOWANEGO

PRZEDŁUŻAJĄCEGO

ZAMKNIĘCIE ALBO KODU

KOŃCZĄCEGO ZAMKNIĘCIE,

AKTYWOWANA ZOSTANIE

SEKWENCJA

SAMONISZCZENIA

KOMPLEKSU.

CZAS TRWANIA SEKWENCJI

SAMONISZCZENIA:

10

MINUT

Oczy Gant rozszerzyły się.

Sekwencja samoniszczenia kompleksu...

Nic dziwnego, że akurat ten system pracował na niezależnym zasilaniu.

Z jakiegoś powodu – prawdopodobnie z powodu wtargnięcia do kompleksu zbiegłych więźniów – ludzie Cezara Russella nie wpisali w czasie „okienka” o godzinie 10.00 odpowiedniego kodu.

Tak więc – jeżeli nikt nie wpisze do godziny 11.05 właściwego kodu – zacznie się procedura samozniszczenia Strefy 7 – dziesięciominutowe przygotowanie do eksplozji zakopanej pod bazą głowicy termojądrowej o mocy stu megaton.

– Matko Boska... – jęknęła Gant.

Popatrzyła na zegarek. Była godzina 10.15.

Odwróciła się, by wyjść...

...i w tym samym momencie o jej plecy załomotała żelazna rura.

Natychmiast straciła przytomność i padła na podłogę.

Nie miała nawet okazji spojrzeć na napastnika.

Nie poczuła, jak zarzuca ją sobie na plecy.

Nie poczuła, że wynosi ją z centrali dowodzenia.

Pociąg X pędził z łoskotem tunelem, z każdą sekundą zbliżając się do Strefy 8.

Podróż nie zapowiadała się na długą. Przy prędkości 340 kilometrów na godzinę pokonają 34 kilometry w jakieś sześć minut.

Choć nie mieli pojęcia, dokąd oddział Echo zamierza zabrać Kevina, wiedzieli, że

pokonał już ten odcinek tunelu.

No cóż, lepsze to niż nic.

Po włączeniu autopilota Schofield poszedł do kabiny, do prezydenta i Matki.

Nick Tate – ciągle otumaniony – siedział w drugim końcu wagonika i wpatrywał się z wielką uwagą w przyciski swojego telefonu komórkowego.

Schofield usiadł, wyjął strzykawkę i zabrał się do przygotowywania zastrzyku.

To samo robili prezydent i Matka.

Kiedy wbił sobie igłę w przedramię, popatrzył na prezydenta.

– A teraz, sir, jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu, czy mógłby pan... proszę... powiedzieć mi, co tu się, do diabła, dzieje?

Prezydent wyduł wargi.

– Może pan zacząć od tego, dlaczego generał sił powietrznych zamierza zabić pana na oczach całego narodu – powiedział Schofield. – Potem może pan wyjaśnić, dlaczego tak bardzo chce pan dostać chłopca stworzonego za pomocą inżynierii genetycznej i będącego szczepionką na bombę etniczną. Prezydent pochylił głowę.

– Formalnie biorąc, Cezar Russell nie jest generałem sił powietrznych. Formalnie, nie żyje. Dwudziestego stycznia bieżącego roku – w dniu inauguracji mojej prezydentury – w Federalnym Zakładzie Karnym Terre Haute na Charlesie Samsonie Russellu, oskarżonym o zdradę stanu, wykonano wyrok, podając mu śmiertelny zastrzyk. A chce tego samego, czego chciał przed egzekucją: radykalnie zmienić oblicze tego kraju. Na zawsze. Aby to osiągnąć, musi zrobić dwie rzeczy: po pierwsze, zabić mnie w upokarzający sposób, w dodatku tak, aby jak najwięcej ludzi to widziało, a po drugie – zdobyć kontrolę nad szczepionką przeciwko sinowirusowi. Aby zrozumieć, dlaczego to robi, trzeba znać jego życiorys, zwłaszcza

jego powiązania z tajnym ugrupowaniem, istniejącym wewnątrz sił powietrznych, zwanym Braterstwem.

– No tak... – ostrożnie powiedział Schofield. Prezydent przysunął się do niego.

– W ciągu ostatnich trzydziestu lat do Komisji Kongresu do spraw Sił Zbrojnych docierały plotki o istnieniu niepożądanych stowarzyszeń w różnych częściach naszego wojska... o nieformalnych podziemnych ugrupowaniach, próbujących realizować cele nie do przyjęcia. Były to stowarzyszenia nienawiści.

– Na przykład?

– W latach osiemdziesiątych istniała w wojsku tajna grupa o nazwie Kurwobijcy. Przeciwstawiała się ona obecności kobiet w wojsku i jej członkowie robili różne rzeczy, aby obrzydzić kobietom służbę. Na ich konto można zapisać przynajmniej osiemnaście napaści seksualnych w wojskach lądowych – choć trudno było zdobyć jednoznaczne dowody. Nigdy nie ustalono dokładnej liczby członków tej grupy, ale z tego typu stowarzyszeniami zawsze są problemy – nie ma materialnych dowodów ich istnienia. Są niemal jak duchy, porozumiewanie się członków ogranicza się do specyficznego spojrzenia podczas salutów, kiwnięcia głową na korytarzu lub awansowaniu „swojaka” zamiast „obcego”. Schofield nie odzywał się.

Choć nigdy w swojej karierze nie zwrócił się do niego nikt związany z tego typu grupą, słyszał o ich istnieniu. Byli niczym uczelniane bractwa, grupki podające sobie rękę tajnym kodem, posiadające własne „szyfry” i niesmaczne ceremonie inicjacyjne. Ich członkami było wielu absolwentów West Point i Annapolis oraz żołnierzy ze wszystkich obozów szkoleniowych w kraju.

– Powstają z najrozmaitszych powodów – kontynuował prezydent – na przykład istniejąca od dawna w marynarce Liga Żydowskich Chłopców to antysemita, inne –

jak Kurwobijcy – to seksiści. Tworzenie tego typu grup przez przedstawicieli zawodów wiążących się z dużym ryzykiem jest dobrze udokumentowane – tajne „stowarzyszenia nienawiści” tworzyli nawet wysoko postawieni funkcjonariusze Wydziału Policji Los Angeles. Jeśli chodzi o przemoc, najgorsze były zawsze grupy rasistowskie. Pojawiały się w każdej służbie. W marynarce wojennej był to Zakon Białej Ameryki, w wojskach lądowych – Czarna Śmierć, w siłach powietrznych – Braterstwo. Wszystkie trzy ugrupowania cechowała szczególna nienawiść do służących wraz z nimi czarnych Amerykanów. Uważano, że wszystkie te ugrupowania zostały zlikwidowane podczas czystki przeprowadzonej przez Departament Obrony w późnych latach osiemdziesiątych. Ale mimo że nie wiadomo nic o odradzaniu się nastrojów rasistowskich w wojskach lądowych i marynarce, odkryto, że Braterstwo nadal istnieje i ma się świetnie, a jednym z jego przywódców jest generał Charles Cezar Russell.

Schofield w dalszym ciągu się nie odzywał. Prezydent przez chwilę milczał.

– Charles Russell był sądzony i został skazany za zlecenie zabójstwa dwóch admirałów marynarki wojennej, doradców Połączonego Dowództwa Sztabów – oświadczył w końcu. – Tuż po ogłoszeniu mojej kandydatury na prezydenta zwrócił się do nich z propozycją przyłączenia się do zdradzieckiego przedsięwzięcia, które po wsze czasy zmieniłoby oblicze Ameryki. Przekazał im jedynie, że plan zakłada usunięcie prezydenta, a jego celem jest oczyszczenie kraju z „ludzkich odpadków”. Obaj admirałowie odmówili, więc Cezar kazał ich wyeliminować. Nie wiedział jednak o tym, że jeden z nich nagrał tę rozmowę i przekazał taśmę FBI oraz Secret Service. Aresztowano Russella i sądzono go za morderstwo i zdradę. Ponieważ sprawę prowadził sąd wojskowy, proces odbył się natychmiast, na posiedzeniu

zamkniętym. W jego trakcie szeroko rozprawiano nad tym, czym są owe „ludzkie odpadki Ameryki”. Przedstawiono dowody poszlakowe, że Russell jest członkiem Braterstwa – tajnego sprzysiężenia wysokich rangą oficerów sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, pochodzących głównie z południa i starających się przeciwdziałać awansom Murzynów w hierarchii sił powietrznych. Ale prokurator wojskowy był czarny, co prawdopodobnie nie pomogło procesowi, w każdym razie sprawy nie wyjaśniono w sposób jednoznaczny. Russell został uznany winnym i skazano go na śmierć na podstawie nagrania na taśmie. Ponieważ nie zamierzał składać apelacji, wszystko potoczyło się bardzo szybko i „wykonano wyrok” w styczniu. Tak się nam przynajmniej wydawało...

– Mam wrażenie, że przeczuwaliście, co planuje, choć nie było o tym mowy na procesie – powiedział Schofield.

Prezydent skinął głową.

– Podczas ostatnich dziesięciu lat Cezar Russell dowodził wszystkimi większymi bazami sił powietrznych między Florydą a Nevadą. Dwudziestej Dywizji w Warren w Wyoming, która dba o nasze zapasy rakiet balistycznych. Ośrodka Broni Kosmicznej w Falcon w Colorado, skąd steruje się satelitami obronnymi i misjami kosmicznymi. I oczywiście Strefy Siedem. Spędził nawet rok w AFSOC* w Hurlbut Field na Florydzie, nadzorując najlepsze oddziały operacyjne sił powietrznych – w tym także Siódmy Szwadron.

* AFSOC (Air Force Special Operations Command) – Dowództwo Operacji Specjalnych Sił Powietrznych (przyp. tłum.).

W każdej z tych baz ma lojalnych zwolenników, starszych rangą oficerów, którzy dzięki niemu awansowali – niewielką, ale posiadającą dużą władzę grupę komendantów baz, których podejrzewamy o przynależność do Braterstwa.

– Wie oczywiście, co znajduje się w każdej z naszych najtajniejszych baz – kontynuował prezydent. – Wiedział o sinowirusie od początku jego powstawania, znał jego potencjalne zastosowania i wiedział, jak zamierzamy go zneutralizować... za pomocą przeciwciał wytworzonych w skonstruowanej metodami inżynierii genetycznej, odpornej na niego istoty ludzkiej. Od samego początku. Problem polega na tym, że Charles Russell jest bardzo cwany i natychmiast dostrzegł możliwości otwierające się przed kimś, kto by przejął tę etniczną bombę oraz szczepionkę... Sądząc po umieszczonym w moim sercu przekaźniku, planował to od paru lat, a pojawienie się sino wirusa było dla niego idealną okazją.

– Jak to?

– Cezar Russell chce cofnąć Amerykę do stanu sprzed wojny domowej – wyjaśnił prezydent.

Zapadła cisza.

– Słyszał pan, jak wymieniał nazwy miast, w których umieścił bomby plazmowe? Czternaście bomb, czternaście lotnisk w całym kraju. To nieprawda. Nie są rozmieszczone w całym kraju, ale jedynie na północy. Nowy Jork, Waszyngton, Chicago, Los Angeles, San Francisco, Seattle. Najbardziej na południe wysunięte miasto to Saint Louis. Nie Atlanta, nie Houston, nawet nie Miami. Poza granicą Tennessee i Kentucky nie ma nic.

– Dlaczego wybrał akurat te miasta?

– Ponieważ reprezentują liberalną Pomoc, rozgadanych lalusiów, którzy według niego nic nie wytwarzają, a jedynie konsumują. Cezar chce Ameryki bez Północy. Mając w swoich rękach sinowirusa i antidotum na niego, będzie mógł rządzić połową narodu, bo każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko – czy to biali,

czy czarni – będą zdani na jego łaskę i niełaskę. – Prezydent westchnął. – Myślę, że najpierw zostanie wyeliminowana czarna populacja – gdy poda się szczepionkę tylko białym. Cezar jest rasistą, więc z pewnością właśnie czarnych miał na myśli, mówiąc o „odpadkach”. Proszę jednak nie zapominać tego, co powiedziałem przedtem: musi mieć Kevina oraz zabić mnie. Żadna rewolucja – żadna „prawdziwa” rewolucja – nie nastąpi bez spektakularnego i poniżającego zniszczenia poprzedniego reżimu. We Francji ścięto Ludwika XVI i Marię Antoninę, w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku w Rosji uwięziono cara, a potem, w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, zabito go, w latach trzydziestych Hitler dokonał nazifikacji Niemiec. Każdy może zabić prezydenta – jeżeli bardzo chce to uczynić, ale rewolucjonista musi tego dokonać na oczach ludzi, którymi zamierza rządzić – demonstrując w ten sposób, że dotychczasowy system rządów nie zasługuje na szacunek. Cezar Russell nie robi tego jednak przed całym narodem Ameryki, a przed najbardziej ekstremalnymi elementami w tym kraju – biedakami, ludźmi rozczarowanymi, ludźmi pozbawionymi praw obywatelskich, ludźmi uważającymi białą rasę za nadrzędną, członkami nierespektujących prawa federalnego „milicji ludowych” – ludźmi mieszkającymi głównie w południowych stanach, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby popijający cappuccino liberałowie z Nowego Jorku, Chicago i San Francisco zostali zdmuchnięci z powierzchni ziemi.

– Ale to by przecież zdziesiątkowało kraj – powiedział Schofield. – Dlaczego miałby chcieć rządzić zniszczonym krajem?

– On tego tak nie postrzega. Jego zdaniem kraj nie będzie wtedy zniszczony...

będzie oczyszczony, odnowiony, posprzątnany. To byłby nowy początek. Ośrodki miejskie na Południu będą całe, Środkowy Zachód też będzie w niezłym stanie –

przynajmniej na tyle, by móc produkować żywność.

– A co z pozostałymi rodzajami sił zbrojnych? Co by z nimi zrobił?

– Kapitanie, jak pan zapewne wie, siły powietrzne Stanów Zjednoczonych otrzymują więcej pieniędzy niż pozostałe wojska. Co prawda mają na stanie jedynie trzysta osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, ale mają więcej rakiet i potężniejszą siłę uderzeniową niż pozostałe służby. Gdyby Cezarowi Russellowi udało się podporządkować sobie choć jedną pięćdziesiątą sił powietrznych, mógłby dzięki posiadanym bombowcom wyeliminować dowolne urządzenie należące do wojsk lądowych i marynarki wojennej – oraz każdą bazę lotnictwa, która nie byłaby po jego stronie – zanim ktokolwiek zdążyłby zorganizować opór. To samo byłoby w przypadku oporu poza granicami. Mając „niewidzialne” bombowce, myśliwce szturmowe i znacznie większą liczbę rakiet z głowicami jądrowymi, niż posiada jakikolwiek inny kraj świata, siły powietrzne Cezara mogłyby odeprzeć każdą zagraniczną interwencję. Dla wypaczonego umysłu Russella byłby to idealny scenariusz: Ameryka znów byłaby odizolowana, samowystarczalna, rządzona przez biały reżim. Powrót do stanu sprzed wojny domowej.

– Skur... wy... syn... – wycedziła Matka. Schofield zmarszczył czoło.

– No dobrze, a jeśli mu się nie uda? Jeżeli poniesie porażkę? Na pewno nie pogodzi się z nią i nie pójdzie sobie do domu. Nie wyobrażam sobie, aby rozbroił swoje bomby i powiedział: „W porządku, myliłem się, wygraliście”.

– Oczywiście, że nie – odparł prezydent. – Mnie też to martwi, bo jeżeli jakimś cudem przeżyjemy, pojawi się pytanie: co nam teraz przygotował?

Po wyważeniu zewnętrznych drzwi windy osobowej, Book II i Juliet Janson dotarli do „górných drzwi”.

Juliet wpisała podany przez Harpera kod: 5564771. Tytanowe drzwi otwarły się z sykiem.

Pobiegli znajdującym się za nimi betonowym tunelem – każde z nich miało jeden z pistoletów Booka.

Przebiegli jakieś czterdzieści metrów, minęli kolejne przejście i nagle stanęli w wejściu do najnormalniej wyglądającego hangaru. Przez szeroko otwarte wrota wpadało jaskrawe słoneczne światło. Było tu kompletnie pusto: żadnych samochodów, samolotów, żywej...

Goliat musiał czekać za drzwiami.

Juliet stała pierwsza i wystarczył mu jeden krok, by poczuła na skroni ucisk lufy jego P-90.

– PENG-PENG, już nie żyjesz – powiedział głupekowato. Kiedy zaczął pociągać za spust, Book II – którego Goliat jeszcze nie widział – wyrzucił rękę do przodu i błyskawicznie pociągnął do tyłu dźwignię załadowczą P-90, wyrzucając znajdujący się w komorze nabój. KLIK!

Przystawiona do skroni Juliet broń nie wypaliła.

– Co to... – zdziwił się Goliat i popatrzył na Booka II. W następnym momencie wszystko wydarzyło się bardzo szybko.

Juliet jednym płynnym ruchem złapała lufę P-90 Goliata i poderwała swój pistolet, równocześnie jednak druga potężna pięść olbrzyma – w której trzymał maghooka Schofielda – pomknęła ku jej głowie. Maghook huknął Juliet w skroń i natychmiast straciła równowagę. Jej ciało załomotało tępo o beton, a P-90 z metalicznym klekotem poleciał gdzieś w bok.

Book podniósł swoją berettę – niestety niedostatecznie szybko. Goliat złapał go

za dłoń i zawarczał jak pies.

Obaj trzymali ten sam pistolet.

Goliat wypchnął swój podbródek Frankensteina, niemal dotykając nim twarzy

Booka, i zaczął przyciskać jego palec do spustu.

BUM! BUM! BUM! BUM! BUM! BUM! BUM! BUM!

Pistolet strzelał, a Goliat przekręcał rękę Booka – próbując wycelować lufę w jego twarz.

Przypominało to siłowanie się na rękę.

Book II starał się z całych sił zatrzymać ruch broni, ale chwyt tamtego był zbyt mocny.

BUM! BUM! BUM!

Pistolet celował teraz w lewe ramię Booka...

BUM!

Lewy biceps Booka eksplodował i krew opryskała twarz młodego żołnierza.

Book ryknął z bólu.

Zanim zdążył się zorientować, lufa znalazła się dokładnie przed jego twarzą i...

KLIK!

Skończyła się amunicja.

– Tak lepiej – stwierdził Goliat. – Teraz możemy uczciwie powalczyć. Odrzucił pistolet, jedną ręką złapał Booka za gardło, podniósł go i przycisnął do ściany.

Stopy Booka zawisły trzydzieści centymetrów nad podłogą.

Przez chwilę bezskutecznie próbował wyrwać się z uchwytu Goliata. Zamachnął się i walnął olbrzymą pięścią w czoło, ale jego dłoń odbiła się jak od ściany. Goliat zachichotał.

– Stalowa płyta... nie jestem od tego mądrzejszy, ale za to twardszy... Uniósł maghooka i skierował go między oczy Booka.

– A co z tobą, żołnierzyku? Masz twardą czachę? Myślisz, że ta zabawka mogłaby ją rozwalić? Może to sprawdzimy?

Przycisnął zimną głowicę do nosa przeciwnika.

Book złapał strzelbę oburącz i choć bardzo bolało go lewe ramię, odepchnął ją od siebie. Maghook na chwilę znalazł się w pionie, zaraz jednak zaczął wracać ku twarzy Booka. Wyglądało na to, że te zapasy wygra Goliat.

Nagle Book dostrzegł wyjście z sytuacji.

– A co mi tam! – mruknął.

Wyciągnął rękę do przodu, złapał rączkę wyrzutni maghooka i wcisnął klawisz oznakowany „M”. Aktywował magnes. Broń natychmiast zareagowała.

Na głowicy zapaliło się światełko i magnes zaczął szukać najbliższego metalu.

Znajdował się on oczywiście w czole Goliata.

Z głośnym DOMP! – magnes przyssał się do czoła wielkoluda. Uderzenie było bardzo mocne – jakby głowica chciała wcisnąć się pod skórę.

Goliat ryknął wściekle i sięgnął do swojego czoła – wypuszczając Booka.

Book II padł na podłogę, ściskając dłonią poszarpaną ranę w bicepsie.

Goliat wirował wokół własnej osi, szarpiąc magnes na czole.

Book II trzymał się od niego z dala – ale tylko do chwili, aż zataczający się wielkolud oparł plecy o ścianę. Wtedy szybko do niego podszedł, złapał zdrową ręką uchwyt maghooka i pociągnął za spust.

Wyrzutnia odpaliła z głośnym sykiem i głowa Goliata została odrzucona do tyłu i w dół. Jego kark załamał się niemal o dziewięćdziesiąt stopni, a czaszka huknęła o

ścianę, wybijając w niej dziurę wielkości pięści. Zgodnie z trzecim prawem termodynamiki, Booka odrzuciło kilka metrów do tyłu.

Mimo wszystko był w lepszym stanie od Goliata. Wielkolud osuwał się powoli na podłogę – oczy miał rozszerzone przerażeniem, a z jego pękniętej czaszki powoli wysączała się mieszanka krwi i mózgu.

Podczas gdy Book II walczył z Goliatem, ciągle lekko oszołomiona Juliet szukała na podłodze swojego pistoletu. Kiedy go wreszcie znalazła i wstała, zamarła.

Dwadzieścia metrów od niej stał Seth Grimshaw. – Przypominam sobie ciebie... – powiedział, podchodząc.

Janson nie odzywała się. Grimshaw nadal trzymał w jednej ręce Piłkę, a w drugiej nisko opuszczony karabinek P-90.

– Byłaś w „Bonaventure”, kiedy próbowałem zdjąć Jego Wysokość... ty pieprzona patriotko... mała cwana dupko. Uważasz, że ochrona skorumpowanego prezydenta to coś bardzo honorowego?

Dziewczyna w dalszym ciągu milczała.

Trzymała berettę przy udzie.

Grimshaw celował prosto w nią i uśmiechał się.

– Spróbuj teraz zatrzymać to – powiedział i zaczął pociągać za spust.

Janson zachowywała spokój. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. Jak wszyscy agenci Secret Service, doskonale strzelała, a Grimshaw – jak większość przestępców – strzelał z biodra. Secret Service analizował takie sytuacje i ze statystyk wynikało, że prawdopodobnie przynajmniej trzy pierwsze strzały Grimshawa nie trafiają.

Potrzebowała jednak czasu na podniesienie broni, będzie go więc musiała trafić za pierwszym strzałem.

Pomóż swojej szansie, powiedziała sobie. Pomóż szansie.

W chwili, gdy Grimshaw pociągnął za spust, błyskawicznie poderwała broń i strzeliła... w tym samym momencie, gdy Grimshaw wystrzelił trzypociskową serię.

Wydawało się, że ich szansę są bardzo nierówne...

Oboje upadli – jak lustrzane odbicia – na plecy, z obojga trysnęła krew.

Janson leżała na plecach, wpatrywała się w sufit hangaru i bardzo szybko oddychała. W lewym ramieniu miała poszarpaną, zakrwawioną ranę.

Grimshaw nie ruszał się.

Nawet nie drgnął.

Choć Janson jeszcze tego nie wiedziała, jej pojedyncza kula trafiła go między oczy, wybijając u nasady czoła dziurę, w którą dałoby się wsadzić palec. Rana wyjściowa w jego potylicy była znacznie większa.

Seth Grimshaw nie żył.

Piłka leżała spokojnie obok niego.

Pociąg X mknął tunelem.

Po rozmowie z prezydentem Schofield przeszedł do kabiny maszynisty. Za dwie minuty mieli dotrzeć do Strefy 8 i potrzebował chwili spokoju.

W tym momencie z cichym sykiem otworzyły się drzwi za jego plecami i do sterówki weszła Matka.

– Co słychać? – spytała, gdy usiadła.

– Mówiąc szczerze, kiedy budziłem się dziś rano, nie spodziewałem się takiego dnia.

– Dlaczego jej nie pocałowałeś? – spytała nieoczekiwanie Matka.

– Co? Kogo?

– Libby. Kiedy poszliście na kolację i odprowadziłeś ją do domu. Dlaczego jej nie pocałowałeś?

Schofield westchnął.

– Nie zrobiłabyś kariery w korpusie dyplomatycznym.

– Pieprzę to. Jeśli mam dziś zginąć, nie zamierzam z tego powodu płakać.

Dlaczego jej nie pocałowałeś? Chciała, żebyś to zrobił.

– Naprawdę? Niech to cholera...

– No więc dlaczego?

– Ponieważ... chyba się przestraszyłem.

– Strachu na Wróble, o czym ty, kurwa, gadasz? Czego się przestraszyłeś? Ta dziewczyna szaleje za tobą.

– Ja za nią też. Od dawna. Pamiętasz dzień, kiedy do nas dołączyła, a Komisja Kwalifikacyjna zrobiła grilla w bazie? Już wtedy wiedziałem – natychmiast jak ją zobaczyłem – ale wtedy sądziłem, że nigdy się mną nie zainteresuje, przez to... –

Dotknął pionowych blizn na swoich powiekach.

Matka prychnęła.

– Nie rozmawiałem wtedy z nią zbyt długo. Zdawało mi się, że w którymś momencie przyłapała mnie na gapieniu się w przestrzeń... ciekawe, czy wie, że myślałem wtedy o niej.

– Strachu na Wróble, oboje przecież wiemy, że Lis widzi więcej niż tylko twoje oczy.

– Właśnie w tym problem. Wiem o tym. Nie wiem tylko do końca, co mi tak naprawdę chodziło po głowie w zeszłym tygodniu, kiedy poszliśmy na randkę. Cały wieczór świetnie się ze sobą czuliśmy. Wszystko szło doskonale, a kiedy wreszcie

stanęliśmy pod jej drzwiami, nie chciałem wszystkiego speprzyć i... bo ja wiem...

chyba po prostu... sparaliżowało mnie.

Matka pokiwała głową jak mędrzec i nagle parsknęła śmiechem.

– Cieszę się, że cię to bawi – burknął Schofield. Matka klepnęła go w ramię.

– Strachu na Wróble, czasami miło wiedzieć, że masz także słabe strony, jak każdy człowiek... Skaczesz z lodowych klifów i bujasz się na linie nad przepaściami, ale sztywniejesz, kiedy chodzi o pocałowanie dziewczyny. Jesteś cudowny!

– Dzięki. Matka wstała.

– Obiecuj mi tylko jedno – powiedziała. – Kiedy zobaczysz Gant, pocałuj ją, zrozumiano?!

Podczas gdy Schofield, Matka i prezydent mknęli w pociągu X pod pustynią,

Cezar Russell i czterech pozostałych komandosów 7. Szwadronu lecieli

penetratorami wysoko nad pustynią – w tym samym kierunku, wyprzedzając o kilka minut pociąg.

Przed helikopterami pojawił się kompleks naziemnych budynków Strefy 8.

Strefa 8 była mniejszą kopią Strefy 7: znajdowały się tu dwa prostopadłościowe hangary, dwupiętrowa wieża kontrolna i asfaltowy pas startowy – wraz z ukrytymi pod piaskiem przedłużeniami, które zauważył rano Schofield.

Gdy helikoptery nadlatywały nad bazę, wielkie wrota jednego z hangarów zaczęły się otwierać.

Trochę to potrwało, kiedy jednak wrota były już otwarte, Cezar Russell wytrzeszczył oczy.

Z hangaru powoli wytoczyła się jedna z najbardziej niezwykłych maszyn latających świata.

Dokładniej mówiąc, były to dwie maszyny latające. Jedną był potężny srebrny boeing 747. Wielkonosa maszyna o potężnych skrzydłach wychynęła powoli z cienia hangaru.

Ale uwagę Cezara przyciągnął zamocowany na kadłubie boeinga mniejszy samolot.

Był pomalowany tak, jak maluje się wszystkie wahadłowce NASA: kadłub na biało, spód i dziób na czarno, na boku amerykańska flaga i wielkie litery UNITED STATES.

Nie był to jednak zwykły wahadłowiec.

Był to X-38, jeden z dwóch smukłych miniwahadłowców, zbudowanych przez siły powietrzne Stanów Zjednoczonych do niszczenia satelitów oraz – w razie potrzeby – atakowania stacji kosmicznych i przejmowania ich lub likwidowania.

Kształtem maszyna przypominała zwykły wahadłowiec – miała trójkątny obrys, wysoko sięgający aerodynamiczny ogon i trzy stożkowate dysze z tyłu – była jednak znacznie mniejsza. „Atlantis” i jej siostry były koźmi roboczymi, przeznaczonymi do wynoszenia potężnych satelitów na orbitę, a to była wersja bojowa, stworzona do niszczenia.

Pod skrzydłami miała zawieszane cztery bezgrawitacyjne rakiety AMRAAM, a pod kadłubem znajdowały się dwie potężne rakiety wynoszące – ogromne cylindry wypełnione płynnym tlenem.

Tylko niektórzy ludzie wiedzą o tym, że w lotach kosmicznych naszej doby wykorzystuje się wiele technologii, stworzonych pod koniec lat 60. XX wieku.

Przykładem tego są choćby rakiety wynoszące Saturn V i Titan II, znane z prowadzonego wtedy między USA a ZSRR wyścigu kosmicznego.

X-38 – dzięki platformie startowej na kadłubie boeinga 747 oraz silnikom odrzutowym Pegasus II – był pierwszym wahadłowcem, który można było nazwać pojazdem latającym XXI wieku.

Specjalnie przystosowany samolot wynoszący – wyposażony w nowoczesne silniki turbośmigłowe firmy Pratt&Whitney, poprawiony układ ciśnieniowy i dodatkową ochronę przeciwpromienną dla pilotów – mógł wynieść X-38 na wysokość 20 kilometrów, czyli prawie 7500 metrów wyżej niż liniowy jumbo-jet.

Start z grzbietu samolotu pozwalał wahadłowcowi w pierwszej fazie lotu poprawić o jedną trzecią stosunek mocy do współczynnika wznoszenia.

Po chwili włączyły się silniki odrzutowe wahadłowca.

Były silniejsze od rakiet Titan III o cały rząd wielkości i po starcie z grzbietu samolotu zapewniały tak silny ciąg, że wahadłowiec mógł wejść na niską orbitę. Po znalezieniu się na niej, niecałe 350 kilometrów nad powierzchnią Ziemi, mógł swobodnie manewrować w przestrzeni, niszczyć satelity wroga, po czym – wciąż na własnym napędzie – wylądować.

Cezar Russell przez długą chwilę wpatrywał się w niezwykłą maszynę, a potem odwrócił się do Logana.

– Nie można pozwolić, aby ten wahadłowiec oderwał się od...

Nie skończył zdania, bo nagle zza boeinga wystrzelono w kierunku nadlatujących helikopterów pięć stingerów. Zatoczyły łuk nad skrzydłami srebrnego samolotu transportowego i skierowały się prosto na przybyszy.

Zauważył ich oddział Echo.

Stacja kolei X Strefy 8 wyglądała tak samo jak stacja w Strefie 7: po każdej stronie umieszczonego pośrodku peronu biegły szyny, a w ścianie przy północnych torach

znajdowała się winda.

Po niecałych siedmiu minutach pociąg X wjechał na jasno oświetloną stację.

Wagoniki zwolniły i zatrzymały się dokładnie tam, gdzie powinny się zatrzymać.

Drzwi otworzyły się z sykiem i na peron wyszli Schofield, Matka i prezydent Stanów Zjednoczonych. Natychmiast ruszyli do windy. Dwa metry za nimi – nadal sprawiając wrażenie kompletnie zagubionego, z przyłożonym do ucha telefonem komórkowym – dreptał Nicholas Tate III.

Schofield wcisnął klawisz wzywania windy.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na Tate'a. Urzędas z Białego Domu był niezłe przetrzepany, wydarzenia poranka pozostawiły na nim trwałe ślady, ale najciekawsze było to, że rozmawia przez telefon.

– Nie! – rzucił z irytacją Tate. – To ja chcę wiedzieć, z kim mówię! Przerwał mi pan rozmowę z moim maklerem. Proszę o identyfikację!

– Co pan wyprawia? – spytał go Schofield.

Tate zmarszczył czoło i zaczął wyjaśniać. Robił to bardzo spokojnie, co ostatecznie dowodziło, że zwariował.

– No cóż, dzwoniłem do mojego maklera – oświadczył. – Uznałem, że wobec zaistniałej sytuacji warto sprzedać dolary. Kiedy wyjechaliśmy z tunelu, zadzwoniłem, ale zanim dostałem połączenie, przerwał mi ten dupek!

Schofield wyrwał telefon z jego dłoni.

– Hej, co pan... – próbował protestować Tate. Schofield zaczął mówić:

– Tu kapitan Shane M. Schofield, korpus piechoty morskiej Stanów

Zjednoczonych, ochrona prezydencka, numer służbowy trzysta pięćdziesiąt osiem sześć tysięcy dwieście siedemdziesiąt dziewięć. Z kim mówię?

– David Fairfax z Defense Intelligence Agency. Mówię z punktu nadzorującego w Waszyngtonie. Sprawdzaliśmy wszystkie komunikaty wychodzące z dwóch baz sił powietrznych, znajdujących się na pustyni w Utah. Uważamy, że w jednej z baz może się znajdować oddział zdrajców i zagrożone może być życie prezydenta.

Dokonałem awaryjnego włączenia się w rozmowę pańskiego przyjaciela.

– Panie Fairfax, nie znacie nawet połowy prawdy.

– Czy prezydent jest bezpieczny?

– Jest przy mnie – odparł Schofield i podał telefon prezydentowi.

– Tu mówi prezydent Stanów Zjednoczonych – powiedział prezydent do telefonu. – Kapitan Schofield jest ze mną.

– W tej chwili ścigamy właśnie oddział, o którym pan wspomniał – wyjaśnił Schofield, kiedy prezydent oddał mu telefon. – Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan o nich wie.

W tym momencie brzęknął dzwonek windy.

– Proszę zaczekać – polecił Schofield prezydentowi i skierował na jej drzwi lufę

P-

90.

Drzwi otworzyły się.....ukazując zakrwawione wnętrze kabiny. Na podłodze leżały ciała trzech żołnierzy sił powietrznych – bez wątplenia byli to pozostali członkowie personelu bazy.

– Chyba mamy świeży trop – stwierdziła Matka. Wbiegli do windy.

Tate został na zewnątrz, najwyraźniej nie miał ochoty narażać się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Prezydent natomiast zamierzał iść za Schofieldem i Matką.

– Sir... – zaczął Schofield.

– Kapitanie! Jeżeli mam dziś zginąć jako przedstawiciel tego kraju, nie chcę, aby stało się to w jakimś kącie, w którym będę się kulił i czekał, aż mnie znajdą. Czas stanąć prosto. Poza tym chyba przyda się wam każdy dodatkowy człowiek.

Schofield skinął głową.

– Jeśli pan tak uważa, sir... Proszę trzymać się blisko mnie i strzelać prosto w cel.

Drzwi windy zamknęły się i Schofield wcisnął klawisz poziomu 0, a potem przyłożył do ucha telefon Tate'a.

– Jestem, panie Fairfax. Dwadzieścia pięć słów lub mniej – poproszę wszystko, co pan wie o tym oddziale zdrajców.

David Fairfax wyprostował się na krześle. Sprawy zaczynały się klarować.

Najpierw przejął rozmowę telefoniczną, wychodzącą ze Strefy 8. Wszedł na linię

– przerywając jakiemuś debilowi – i porozmawiał z tym Schofieldem, człowiekiem z ochrony prezydenta. Kiedy kapitan się przedstawił, Fairfax natychmiast wpisał do komputera jego numer służbowy. Miał teraz przed sobą jego akta – wraz z informacją o odbywanej aktualnie służbie na pokładzie Marine One.

– Doskonale – powiedział do mikrofonu. – Jak powiedziałem, pracuję dla DIA i ostatnio odszyfrowałem kilka nieautoryzowanych komunikatów, które wyszły z tych baz. Po pierwsze, uważamy, że do bazy zmierza oddział byłych południowoafrykańskich Recondo...

– Już ich pozabijaliśmy – odparł Schofield. – Zdrajcy. Mów o zdrajcach.

– Och... no dobrze. Naszym zdaniem jest to jeden z pięciu oddziałów Siódmego Szwadronu strzegącego bazy. Oddział Echo.

Winda jechała w górę.

Z telefonu dobiegał głos Fairfaksa:

– Sądzimy, że pomagają agentom chińskim ukraść szczepionkę, którą stworzono w Strefie Siedem.

– Czy pan się domyśla, w jaki sposób zamierzają uciec z nią z USA?

– Eee... chyba tak. Ale może mi pan nie uwierzyć.

– Panie Fairfax, uwierzę niemal we wszystko. Niech pan sprawdzi.

– Dobrze... myślę, że umieszczą szczepionkę na pokładzie stacjonującego w Strefie Osiem wahadłowca do niszczenia satelitów i spotkają się z wahadłowcem, którego Chiny wystrzeliły w zeszłym tygodniu. Następnie przesiądą się na niego i wrócą ze szczepionką do Chin, gdzie nic im nie będziemy mogli zrobić...

– Skurwiele...

– Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale...

– ...ale to jedyny sposób na wywiezienie szczepionki poza teren Stanów

Zjednoczonych. Każdy inny transport możemy powstrzymać – samochód, samolot, statek. Jeśli wzleczą w kosmos, uciekną nam. Dolecą do celu, zanim wahadłowiec pościgowy wyjedzie na pas startowy na przylądku Canaveral.

– Właśnie.

– Dziękuję, panie Fairfax. Proszę zawiadomić piechotę morską i wojska lądowe i niech zmobilizują wszystko, co mają latającego – harriery, helikoptery, wszystko i przyślijcie ich prosto do Stref Siedem i Osiem. Nie korzystajcie z sił powietrznych. Powtarzam: nie korzystajcie z sił powietrznych. Do chwili przekazania dalszych informacji traktujcie cały personel sił powietrznych jako podejrzanych.

Świetlne napisy na panelu sterującym windy zmieniały się powoli: – 3... – 2...

– Musimy już iść – oświadczył Schofield.

– Co pan zamierza? Co z prezydentem?

„-1” zmieniło się na „P” i zza drzwi windy doleciały stłumione odgłosy strzelaniny. PING! Winda dotarła na poziom ziemi.

– Idziemy poszukać szczepionki. Zadzwoń później – odparł Schofield i rozłączył się.

Sekundę później drzwi windy zaczęły się rozsuwać...

SZÓSTE STARCIE

3 lipca, godzina 10.23

...i w ułamku sekundy znaleźli się w samym środku całkiem nowej gry. W

głównym hangarze Strefy 8 odbywała się regularna bitwa. Ekspłodowały granaty, ryczała broń maszynowa.

Przez otwarte wrota hangaru do środka wpadało jaskrawe światło. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów od windy, wypełniając otwarte wrota i częściowo zasłaniając wpadające światło, sterczał ogon srebrnego boeinga 747.

– A niech mnie cholera... – mruknął Schofield na widok zamontowanego na grzbiecie samolotu wahadłowca.

Przy wrotach hangaru nadal trwała strzelanina.

Pięciu ubranych na czarno komandosów 7. Szwadronu – Schofield podejrzewał, że byli to członkowie zdrazieckiego oddziału Echo – ukrywało się za skrzydłami wrót i strzelało do czegoś przed hangarem.

– Tędy! – rzucił, wskazując drogę. Cała trójka obiegła szybko hunwee i dwa karaluchy – i wtedy zobaczyli, o co chodzi. Przed hangarem unosiły się tuż nad ziemią dwa penetratory, blokując samolot z wahadłowcem na kadłubie.

Zamontowane pod nosami penetratorów sześciolufowe działka Vulcan

zarzucały ludzi z oddziału Echo gradem pocisków, przyszpilając ich do ziemi i nie pozwalając im przebiec do znajdujących się na otwartej przestrzeni przewoźnych schodków, stojących teraz przy wejściu do boeinga.

Spod krótkich skrzydełek penetratorów wystrzeliły rakiety, w boeingu musiano jednak zastosować najnowocześniejsze elektroniczne środki obronne, bo żadna z nich nawet się nie zbliżyła do samolotu. Kilka metrów przed boeingiem wszystkie oszalały, zaczęły koziołkować w powietrzu i w końcu po kolei uderzyły w ziemię, eksplodując fontannami betonu i piachu.

Nawet wystrzeliwane przez helikoptery pociski smugowe nie uderzały w samolot, ale odlatywały w bok – jakby jego kadłub był chroniony przez magnetyczną tarczę.

Schofield, który krył się za jednym z karaluchów, rozpoznał obu ludzi, siedzących w jednym z helikopterów – byli to Cezar Russell oraz Kurt Logan.

Na pewno nie są zadowoleni ze swoich ludzi z oddziału Echo, pomyślał.

Russell i Logan musieli dopiero co przybyć – w chwili, gdy komandosi z Echo wsiadali do samolotu, którym zamierzali uciec. Wyglądało na to, że helikoptery Cezara otworzyły ogień, zanim wszystkim ludziom z Echa udało się wsiąść – zanim udało im się uciec z Kevinem.

Kevin...

Schofield rozejrzał się wokół. Chłopca nigdzie nie było.

Musi już być na pokładzie samolotu...

Napęd 747 nagle zadziałał i z czterech potężnych silników wystrzeliło powietrze, sprawiając, że wszystko, co nie było zamocowane, zaczęło latać po hangarze.

Samolot potoczył się – wyjeżdżając z hangaru w kierunku pasa startowego – na

oba penetratory. Schodki na kółkach przewróciły się z klekotem na beton.

Była to doskonała taktyka.

Piloci penetratorów zdawali sobie sprawę, że nie mają szans w bezpośrednim starciu z masywnym boeingiem, odlecieli więc na boki jak przestraszone gołębie.

Schofield dostrzegł stojącego w luku wejściowym boeinga żołnierza z oddziału Echo. Komandos pomachał swoim pozostałym w hangarze kolegom i rzucił im drabinę sznurową. Drabinka zaczęła powiewać za samolotem niczym chorągiew.

Nagle uwagę Schofielda przyciągnął jakiś ruch w okolicy wrót hangaru.

Odwrócił się w ich kierunku i zobaczył, że piątka żołnierzy oddziału Echo wystartowała w kierunku humvee, zaparkowanego niedaleko karalucha, za którym się krył.

Zamierzali wejść na pokład samolotu...

...podczas jego jazdy po pasie startowym.

Kiedy komandosi biegli, zaczęto do nich strzelać z działek penetratorów. Pociski rwały beton wokół biegnących mężczyzn.

Dwóch żołnierzy przewróciło się i kule natychmiast poszarpały ich ciała na krwawe strzępy. Pozostałej trójce udało się dobiec do humvee, wskoczyli do środka i ruszyli. Wielki samochód zaczął przyspieszać, zataczając szeroki krąg...

WZZZUMMM!

Przez otwarte wrota hangaru wpadła do środka rakietka. Kierowała się prosto na humvee.

Trafiła samochód prosto w środek maski – z taką siłą, że jego szeroki kadłub pomknął do tyłu, ślizgając się po mokrym betonie, huknął o ścianę, po czym w nagłym rozblasku światła eksplodował, rozpryskując na wszystkie strony deszcz

odłamków metalu.

– Coś takiego, wybuchające humvee! – wrzasnęła Matka.

– Szybko! – zawołał Schofield. – Tędy!

– Co robimy? – spytał prezydent. Schofield wskazał na boeinga.

– Wchodzimy do tego samolotu.

Jak w wielu innych pustynnych bazach, także i w Strefie 8 przedłużony pas startowy miał kształt wielkiej litery L, której krótsza odnoga stykała się z głównym hangarem.

Samoloty startowały z dłuższego ramienia pasa i tam również lądowały, aby się jednak na nie dostać, musiały najpierw przeokołować krótszym pasem. Dłuższa odnoga pasa miała mniej więcej 5000 metrów, krótsza 400.

Srebrny boeing 747 z jaskrawobiałym X-38 na kadłubie kołował po krótszym pasie, oflankowany przez dwa penetratory.

Maszyny smagał wirujący pustynny piach, od ich boków odbijało się prażące słońce.

Kiedy wielki boeing docierał do połowy pasa dojazdowego, z hangaru wyprysnął niski pojazd.

Był to karaluch – samolotowy holownik.

Jeden z dwóch, które parkowały w hangarze. Wyglądający jak cegła na kołach wehikuł mknął z łoskotem po betonie, ścigając boeinga.

W ciasnej szoferce tłoczyły się trzy osoby. Matka prowadziła, a Schofield i prezydent dzielili się prawym siedzeniem.

– Dawaj, Matka, goń go! – popędzał Schofield. – Musimy go dorwać, zanim dotrze do głównego pasa. Jeśli zacznie startować, mamy przesrane!

Matka wrzuciła trzeci bieg – najwyższy. Silnik V8 ryknął i pojazd skoczył

naprzód, przyspieszając do granicy możliwości.

Błyskawicznie zbliżali się do wielkiego samolotu.

Penetratory otworzyły do nich ogień, ale Schofield opuścił szybę i puścił dwie serie – ze swojego P-90 i karabinka Matki. Trafił w działko jednego z helikopterów, zmuszając go do rejterady. Drugi penetrator nie ustępował jednak, ostrzeliwał ich z całą siłą ognia i wszędzie wokół karalucha wystrzeliwały snopy iskier.

– Matka! Wjedź pod samolot! Potrzebujemy jego elektroniki obronnej!

Matka jeszcze mocniej wcisnęła pedał i karaluch osiągnął maksymalną prędkość.

Doganiał boeinga centymetr po centymetrze i w końcu udało mu się wjechać pod srebrny ogon.

Było to tak, jakby znaleźli się w wypełnionym powietrzem bąblu. Pociski z lecącego obok penetratora nie dolatywały do nich, skończyły się fajerwerki iskier.

Ciągnik sunął ku dziobowi samolotu, ukryty w jego cieniu. Po chwili minęli tylne koła.

Karaluch skręcił w lewo, pod skrzydło, kierując się ku sznurowej drabince, zwisającej przez cały czas z luku wejściowego. Dotarli do drabinki i w tym momencie... ..samolot nagle skręcił w prawo.

– Jasna cholera! – wrzasnęła Matka, kiedy karaluch wyjechał spod osłony.

– Skręca na główny pas! – krzyknął Schofield. Wielki srebrny ptak wjechał na przedłużenie pasa startowego.

– Matka, do drabinki!

Matka ponownie wcisnęła do końca pedał gazu i gwałtownie skręciła kierownicą, by przysunąć pozbawionego przez chwilę elektronicznej ochrony

karalucha do sznurowej drabinki. Zanim jednak znów się schowali, jeden z penetratorów zdążył się ustawić przed nimi i otworzyć ogień.

Tuż przed karaluchem załomotał o asfalt grad pocisków smugowych.

Rykoszetujące pociski rozpryskiwały się we wszystkie strony.

Kilka z nich trafiło w przednią szybę pojazdu, rysując na niej długie pęknięcia.

Znacznie więcej odbiło się od asfaltu – pod przednim zderzakiem – i uderzyło w podwozie. Trzy pociski trafiły w kolumnę kierowniczą.

Efekt był natychmiastowy.

Kierownica w dłoniach Matki oszalala.

Tuż karalucha zaczął wściekle zarzucać i pojazd przestał jechać w linii prostej.

Pędził teraz zygzakami, odbijając po kilka metrów w lewo i prawo. Matka musiała użyć całej siły, aby utrzymać kierownicę. Boeing zakończył skręt i zaczął prostować koła.

Pas startowy biegł prosto przed dziobem samolotu – długa wstęga czarnego asfaltu, znikająca za drżącym pustynnym horyzontem.

– Matka! – wrzasnął Schofield.

– Wiem! Idziesz! Właż na dach! Podjadę pod drabinkę! Weź ze sobą prezydenta!

– A ty?

– Za dwanaście sekund ten samolot wystartuje i jeśli nie będziesz na pokładzie, stracimy dzieciaka! Muszę zostać za kierownicą, bo ten złom odjedzie!

– Ale penetratory cię zabiją!

– Dlatego musisz go zabrać ze sobą – odparła Matka, wskazując na prezydenta. –

Nie martw się o mnie. Przecież wiesz, że aby mnie wyeliminować, trzeba czegoś więcej niż bandy pedałów z sił powietrznych!

Schofield wcale nie był tego taki pewien.

Widział jednak jej spojrzenie i wiedział, że podjęła decyzję – była gotowa zginąć, byle tylko on i prezydent dostali się na pokład boeinga. Odwrócił się do prezydenta.

– Chodźmy! Idzie pan ze mną.

I Karaluch pędził równo z samolotem, znów chroniony przez jego elektronikę.

Po chwili podjechał pod lewy luk wejściowy, z którego zwisała drabinka.

Dwie maleńkie figurki, Schofield i prezydent – ubrane w czarne mundury komandosów 7. Szwadronu – wspięły się na dach pędzącego ciągnika. Na szczęście przy każdym mundurze były gogle, ich oczy były więc chronione przed siekącym piachem.

Matka z całej siły trzymała kierownicę, starając się utrzymać pojazd w prostej linii. Po wejściu na dach karalucha Schofield natychmiast spróbował sięgnąć po drabinę, ale jej koniec bujał się tuż poza jego zasięgiem. Nagle rozległ się ogłuszający ryk. Silniki boeinga zwiększyły obroty. Schofieldowi krew zamarła w żyłach.

Samolot zwiększał moc, szykując się do startu. Lada chwila przyspieszy i ucieknie im!

Koniec drabinki latał na wietrze przed karaluchem, wszędzie wirowały kłęby piachu.

Schofield odwrócił się do prezydenta i krzyknął:

– Złapię drabinę, a pan złapie się mnie!

– Co?!

– Dokładnie to, co powiedziałem! – krzyknął ponownie Schofield.

Pobiegł na przód dachu, odbił się od jego krawędzi i.....poleciał w powietrze,

wyciągając przed siebie ręce.....i złapał najniższy szczebelek.

Machnął na prezydenta, by podszedł do skraju dachu karalucha.

– Niech pan mnie złapie!

Szef pokręcił z powątpiewaniem głową i mruknął coś pod nosem, ale ruszył do przodu i...

...skoczył...

...dokładnie w chwili, gdy boeing wystrzelił do przodu.

Prezydent przeleciał metr w powietrzu i zderzył się z Schofieldem. Natychmiast objął kapitana wokół pasa i mocno zacisnął ręce.

Karaluch z Matką został z tyłu, niezdolny do zwiększenia prędkości. Oba penetratory także zrezygnowały z pogoni i znieruchomiały w powietrzu.

Wiszący na drabince Schofield – pędzili teraz z prędkością niemal 200 kilometrów na godzinę i musiał nie tylko sam się utrzymać, ale także wytrzymać ciężar prezydenta – patrzył z przerażeniem, jak jeden z penetratorów wystrzeliwuje raketę w kierunku niechronionego już przez nic karalucha.

Rakieta trafiła pojazd z tyłu i eksplodowała, unosząc tył ciężkiego holownika jakieś półtora metra nad ziemię.

Ciągnikiem gwałtownie zarzuciło i zjechał z pasa startowego. Wrył się w piasek, wzbijając potężną chmurę pyłu, po czym przekoziółkował – raz, drugi, trzeci – i w końcu z głośnym łoskotem znieruchomiał podwoziem ku górze.

Wisząc na drabince podwieszanej do coraz bardziej rozpędzającego się samolotu, Schofield mógł jedynie mieć nadzieję, że Matka zginęła szybko i nie cierpiąc.

Boeing wciąż pędził pasem startowym. Z powodu zamocowanego na kadłubie

wahadłowca potrzebował do startu szczególnie długiego rozpędu.

– Pan pierwszy! – wrzasnął Schofield do prezydenta. – Niech pan wlezie po mnie do góry i wejdzie po drabince!

Prezydent zrobił, co mu kazano.

Wspiął się po Schofieldzie, wykorzystując do oparcia stóp każde możliwe zagłębienie jego ciała, i stanął na jego ramionach, skąd przeszedł na drabinkę.

Kiedy prezydent z niego zszedł, Schofield zaczął się podciągać.

Pas w dole śmigał z ogromną prędkością, wiatr smagał ich bezlitośnie.

Gdy dotarli do luku, pas jakby się zapadł. Oddalał się bardzo szybko, malał w oczach.

Schofield przełknął ślinę.

Byli w powietrzu.

Helikopter Cezara Russella wylądował miękko na pasie startowym jakieś dwadzieścia metrów od przewróconego karalucha Matki. Cezar wysiadł i patrzył na odlatujący samolot.

Kurt Logan podszedł do przewróconego pojazdu. Został z niego poobijany, poskręcany wrak. Wszędzie leżały kawały poodrywanego metalu.

Kabina kierowcy była całkowicie spłaszczona, jej przednia szyba została wepchnięta do środka. Wyglądała jak zdeptana puszka po napojach.

Po chwili Logan zobaczył ciało. Leżało twarzą do dołu – poskręcane i połamane.

Widać było jedynie korpus i kończyny, brakowało głowy. Musiała zostać odcięta przez przedni zderzak, który wbił ją potem w piasek. Lewa noga była oderwana przy kolanie. Siła uderzenia karalucha o ziemię musiała być naprawdę potężna.

Logan wrócił do Russella. Cezar nie odwracał wzroku od srebrnego samolotu.

– Echo mają chłopaka – powiedział Logan. – A marines prezydenta.

– No cóż... – mruknął Cezar. – Trudno. Musimy wobec tego przejść do planu awaryjnego. A to oznacza, że wracamy do Strefy Siedem.

Prezydent padł z głuchym tąpnięciem w krótkim korytarzyku tuż za otwartym lukiem boeinga. Ledwie dyszał.

Kilka sekund po nim wylądował tam Schofield. Udało mu się stanąć i zatrzasnąć luk, który zamknął się z głośnym, basowym tąpnięciem.

Gdy obaj mężczyźni leżeli na podłodze – nie mieli siły nawet zdjąć gogli – schodkami zszedł z górnego pokładu jeden z pilotów, komandos 7. Szwadronu z oddziału Echo.

Miał na sobie obszerny pomarańczowy kombinezon, w którym Schofield natychmiast rozpoznał strój ciśnieniowy.

Są one obowiązkowe podczas lotów na dużych wysokościach albo podczas lotów na niskich orbitach. Choć zewnętrzna powłoka jest luźna, w środku dość ciasno obejmują całe ciało, zwłaszcza nogi i ręce. Opaski na kończynach uciskają je, regulują przepływ krwi i przede wszystkim zapobiegają jej odpływowi z głowy.

Kombinezon ma wokół szyi metalowy krąg, do którego mocuje się hełm, a w pasie karabińczyk do podwieszenia przewodów jednostki podtrzymywania życia.

– O, udało się wam – stwierdził pilot, biorąc ich najwyraźniej za swoich kolegów.

– Przepraszam, ale nie mogliśmy dłużej czekać. Kobra kazał ruszać. Chodźcie, zostałem tylko ja i Coleman. Wszystko w wahadłowcu jest goto...

TRZASK!

Schofield z całej siły uderzył pilota w nos, nokautując go jednym ciosem.

– Przeprosiny nie zostały przyjęte – powiedział i odwrócił się do prezydenta. –

Proszę zaczekać tutaj.

– Tak jest – odparł Szef.

Boeing mknął w górę. Świat w jego wnętrzu był obrócony o niemal czterdzieści pięć stopni.

Schofield pobiegł na górny pokład. Trzymał P-90 przed sobą – szukał drugiego pilota, Colemana.

Zobaczył go, kiedy tamten wychodził z kokpitu. Kolejny błyskawiczny silny cios – tym razem kolbą P-90 – i Coleman również stracił przytomność.

Schofield wpadł do pustego kokpitu i rozejrzał się szybko.

Miał nadzieję, że uda mu się przejąć kontrolę nad samolotem i sprowadzić go na ziemię.

Nic z tego.

Napis na ekranie przed fotelem pilota informował, że maszynę obsługuje autopilot i kieruje ją na wysokość 20 500 metrów – prawdopodobnie boeing właśnie tam miał dostarczyć wahadłowiec.

Na dole ekranu znajdowały się następujące słowa:

AUTOPILOT URUCHOMIONY ABY UNIERUCHOMIĆ AUTOPILOTA LUB
ZMIENIĆ KURS NALEŻY WPISAĆ KOD AUTORYZACJI Kod autoryzacji? A niech
to...

Nie mógł wyłączyć autopilota, co oznaczało, że samolotu nie da się sprowadzić na ziemię.

Co im pozostawało?

Schofield popatrzył na chmury na zewnątrz i na nieprzytomnego Colemana u swoich stóp.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wrócił do prezydenta z Colemanem na plecach.

– Niech pan włoży jego kombinezon – powiedział, wskazując ruchem głowy drugiego nieprzytomnego pilota. Sam zaczął rozbierać Colemana.

Po kilku minutach Schofield i prezydent mieli na sobie pomarańczowe kombinezony – a w kieszeniach sig-sauery.

– Teraz dokąd? – spytał prezydent. Schofield popatrzył na niego.

– Tam, gdzie jeszcze nikt z nas nie był.

Wahadłowiec X-38 był połączony z boeingiem rurą o średnicy prawie metra. Co prawda zamocowano go do kadłuba samolotu kilkoma tytanowymi rozporkami, ale można się było do niego dostać tylko przez tę rurę.

Jeden jej koniec stykał się z tylną częścią dachu boeinga, a drugi dochodził do brzucha wahadłowca. Od strony samolotu wejście do przewodu łączącego znajdowało się pośrodku jego kadłuba, na dolnym pokładzie.

Schofield i prezydent pobiegli w tamtym kierunku.

Złota warstewka na wizjerach ich hełmów, mająca chronić oczy przed intensywnym promieniowaniem ultrafioletowym na dużych wysokościach, całkowicie ukrywała ich twarze.

Dotarli do „pępowiny” – idącej pionowo w górę rury, znikającej w suficie. Po jej ścianie biegła wąziutka stalowa drabinka.

Schofield zadarł głowę – na końcu przewodu łączącego, jakieś trzydzieści metrów wyżej, widać było oświetlone wnętrze wahadłowca.

Odwrócił się do prezydenta i wskazał kciukiem w górę.

Wspinali się powoli, obciążeni skafandrami i przypominającymi spore plecaki

jednostkami podtrzymania życia.

Po mniej więcej minucie Schofield wysunął się z okrągłego luku w podłodze wahadłowca i znieruchomiał.

Tyłny przedział towarowy wahadłowca wyglądał jak wnętrze pojazdu z filmów science fiction.

Przestrzeń była niewielka, ale zaprojektowano ją tak, aby można było w niej przewozić wszystko – ludzi, broń czy nawet małego satelitę. W śnieżnobiałych ścianach znajdowały się gniazda do podłączenia aparatów oddechowych, klawiatury komputerowe i uchwyty do mocowania sprzętu, teraz jednak przerobiono to miejsce na kabinę pasażerską, wstawiając dwanaście masywnych foteli. Wszystkie stały tak, że siedzący w nich ludzie patrzyli do przodu, i były ustawione po dwa.

W fotelach siedzieli zdrajcy z oddziału Echo i ich chińscy wspólnicy.

Było ich pięciu i każdy miał na sobie hełm ze złotym wizjerem i obszerny pomarańczowy kombinezon z naszytą na ramieniu amerykańską flagą.

Jak na ironię... – pomyślał Schofield.

Wszyscy byli mocno przypięci pasami, przygotowani do wytrzymania dużego przeciążenia podczas wchodzenia na orbitę.

Przez otwarte drzwi kokpitu widać było trzech kolejnych ludzi – pilotów wahadłowca. Za nimi jarzyło się już tylko błękitne niebo.

Schofield czuł, jak podnosi mu się poziom adrenaliny.

Choć wiedział, że wizjer zasłania jego twarz, wydawało mu się, że każdy natychmiast rozpozna w nim wkraczającego na teren wroga dywersanta.

Z przodu kabiny znajdowało się kilka wolnych foteli – prawdopodobnie były przeznaczone dla obu pilotów boeinga i pięciu komandosów, którzy zostali odcięci

w hangarze.

Schofield wspiął się powoli do kabiny.

Nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Kevina, ale nigdzie go nie było widać. O, nie...

Po chwili jednak zauważył, że jedna z ubranych w kombinezony postaci nie do końca wypełnia strój. Wyglądała niemal komicznie. Rękawice kombinezonu zwisały jak u bezrękiego inwalidy, a końce nogawek wraz z butami załamywały się, jakby były w środku puste. Najwyraźniej właściciel tego kombinezonu był bardzo mały...

To z pewnością Kevin.

Zamiast podwinąć mu rękawy i nogawki, aby mógł włożyć ręce w rękawice, a nogi w buty, żołnierze oddziału Echo woleli, żeby korzystał w pełni z ochrony, jaką dawał kombinezon – nawet jeśli wyglądał z tego powodu jak Charlie Chaplin.

No dobrze, pomyślał Schofield. Co teraz?

Może złapać Kevina, zanim ktokolwiek zdąży się odpiąć, zanurkować z nim w rurę, wrócić do boeinga i...

W tym momencie ktoś położył mu rękę na ramieniu i w jego słuchawkach eksplodował głos:

– Cześć, Coleman!

Był to jeden z pilotów, który wyszedł właśnie z kokpitu.

– Jesteście tylko we dwóch? Co się stało z resztą? Schofield ze smutkiem pokręcił głową.

– No cóż... – powiedział pozbawiony twarzy astronauta i wskazał palcem dwa fotele, stojące tuż przy drzwiach do kokpitu. – Siadajcie i przypnijcie się.

Pochylił się, pomógł wyjść z wjazdu prezydentowi i zatrzasnął klapę. Potem

wrócił do kokpitu, po drodze wydając wszystkim instrukcje:

– Cały personel uwaga! Przygotować się do oddzielenia od pojazdu nośnego za trzydzieści sekund.

Drzwi kokpitu zatrzasnęły się za nim, szczelnie oddzielając pomieszczenie pilotów od kabiny, i Schofield został sam, zapatrzony w zamkniętą klapę w podłodze.

Jasna cholera...

Za chwilę mieli wejść na orbitę.

Z prezydentem za plecami podszedł do dwóch pustych foteli obok drzwi do kokpitu.

Po drodze przyjrzał się, w jaki sposób ludzie z oddziału Echo podłączyli się do centralnego układu podtrzymywania życia i jak się przypięli w fotelach.

Podszedł do jednego z pustych foteli i wsadził końcówkę przewodu, wychodzącego z jego „plecaka”, w gniazdo na podłokietniku fotela. Usiadł i zaczął zapinać pasy.

Prezydent obserwował go uważnie i po chwili zrobił to samo w swoim fotelu po drugiej stronie przejścia.

Po zabezpieczeniu się Schofield obejrzał wewnątrz wahadłowca.

Z drugiej strony przejścia – tuż za prezydentem – siedział Kevin. Wyglądał przedziwnie w swoim zbyt wielkim kombinezonie.

Nagle stało się coś dziwnego.

Kevin zamachał do Schofielda.

Zamachał...

Był to szybki, ukradkowy ruch, sprawił jednak, że pusty rękaw kombinezonu

chłopca zabujał się w powietrzu. Schofield zmarszczył czoło.

Przecież miał na głowie hełm ze złożonym wizjerem i nie było możliwości, aby dzieciak zobaczył jego twarz.

Czyżby mnie rozpoznał? – przemknęło mu przez głowę.

Odrzucił tę myśl. Dzieciak prawdopodobnie machał każdemu nowo

przybyłemu. Odwrócił się w kierunku prezydenta, który właśnie zapinał pasy i

chyba brał też głęboki wdech. Domyślał się, jak Szeff może się teraz czuć. Nagle w

interkomie hełmu rozległy się głosy:

– Zapłon dopalaczy gotowy...

– Zbliżamy się do wysokości startowej...

– Odłączenie pępowiny za trzy... dwie... jedną... teraz! Spod wahadłowca

doleciało głośne metaliczne brzęknięcie i maszyna podskoczyła w górę, jakby zrobiła się lżejsza.

– Pępowina odłączona... oderwaliśmy się od pojazdu startowego...

W słuchawkach Schofielda rozległ się cichy chichot, a potem głos Kobry Carneya powiedział:

– Spalcie go.

– Tak jest, sir. Przygotowanie dopalaczy Pegasus do odpalenia... odpalenie za trzy...

Wahadłowiec zaczął dygotać.

– ...dwie...

Schofield czekał w napięciu na dalszy rozwój wydarzeń.

– ...jedną... teraz!

Wyglądało to tak, jakby wystrzelono z miotacza ognia.

Kiedy odpalono dopalacze wahadłowca, czyli zamocowane pod nim dwie rakiety, znajdował się on tuż nad boeingiem, a jego potężne dysze były skierowane prosto w srebrzysty kadłub.

Obie dysze plunęły jasnym ogniem, jakby zapalono magnezję. Wystrzeliły z nich dwa bliźniacze, niesamowicie długie jęzory białego ognia.

Trafiły prosto w kadłub boeinga, przecinając go jak gigantyczne palniki.

Samolot pękł na pół. Paliwo w skrzydłach zapaliło się, a ułamek sekundy później potężna maszyna eksplodowała, wystrzeliwując w niebo tysiące dymiących kawałów metalu.

Fakt zniszczenia boeinga prawie nie dotarł do świadomości Schofielda. Jeszcze nigdy nie słyszał czegoś tak głośniego jak odpalenie dopalaczy. Hałas był wszechobecny, zagłuszał wszystko inne.

Schofield wiele razy słyszał odpalenie silnika odrzutowego – ale to, co słyszał teraz, było tysiąc razy głośniejsze.

Wahadłowiec zadarł dziób w górę i wyprysnął jak wystrzelony z armaty.

Zwielokrotniona siła ciężenia wcisnęła kapitana w fotel. Kabina zaczęła drżeć i dygotać. Schofield poczuł, jak spłaszczają mu się policzki. Zacisnął zęby.

Przez piętnastocentymetrowej grubości okienko w tylnej ścianie kokpitu widać było niebo przed przednią szybą wahadłowca. Im wyżej się wznosili, tym bardziej robiło się czerwone.

Pchany siłą wielkich rakiet, wahadłowiec wspinał się przez kilka minut. W pewnej chwili przez ryk dopalaczy przebił się w słuchawkach głos:

– Przygotować się do odrzucenia dopalaczy i przejścia na zasilanie własne...

– Zrozumiałem.

– Gotów do odrzucenia dopalaczy. Za trzy... dwie... jedną... teraz! Zgrzytnęło i załomotało.

Po chwili poczuli, jak olbrzymie rakiety odpadają od wahadłowca.

Schofield popatrzył na prezydenta, który mocno trzymał się podłokietników. Był to dobry znak, oznaczał bowiem, że Szeff nie stracił przytomności.

X-38 wznosił się coraz wyżej. Drżenie ustało i lot zrobił się płynny i cichy – jakby wahadłowiec unosił się na poduszce powietrznej.

Schofield mógł się wreszcie dokładniej rozejrzeć.

Najpierw zwrócił uwagę na klawiaturę obok drzwi kokpitu – był to mechanizm blokujący, prawdopodobnie na wypadek, gdyby kabina zaczęła nagle tracić ciśnienie.

Obejrzał także swój kombinezon. W lewym rękawie, na wysokości przedramienia, było wszyte urządzenie, które służyło chyba do korzystania z interkomu w hełmie. Wskazywało w tej chwili, że włączony jest kanał 5.

Popatrzył na prezydenta, dyskretnie stuknął palcem w urządzenie na przedramieniu i uniósł trzy palce.

„Przełącz na kanał 3”.

Prezydent skinął głową. Kilka sekund później Schofield spytał:

– Słyszysz mnie pan?

– Tak. Jaki plan?

– Siedzimy cicho. Czekamy na okazję przejścia tego ptaszka. Wahadłowiec wznosił się coraz wyżej.

Widoczne za oknami ciemnoczerwone niebo zmieniło się w kruczoczarne.

Nagle, jakby uniesiono kurtynę, pojawiły się gwiazdy, a pod nimi – jarzący się

jak opał na tle czerni – łuk kuli ziemskiej, opadający po obu stronach i tak ogromny,
że aż trudny do objęcia rozumem.

Widok zapierał dech w piersiach.

Byli bardzo wysoko – prawie na linii oddzielającej atmosferę ziemską od
pozaziemskiej – mniej więcej na wysokości 320 kilometrów.

Ziemia – potężna i olśniewająca – wypełniała ponad trzy czwarte pola widzenia.

Schofield wpatrywał się w turkusową planetę, unoszącą się w kosmosie. Potem
popatrzył na gwiazdy. Niebo było tak przejrzyste, morze gwiazd tak nieskończone...

Nagle jedna z gwiazd poruszyła się.

Schofield zamrugał i przyjrzał jej się ponownie.

Gwiazda naprawdę się poruszała.

– Jezus Maria...

Nie była to jednak gwiazda, ale wahadłowiec kosmiczny – o zupełnie innym
kształcie i rozmiarach niż modele amerykańskie.

Płynął w kosmicznej nieważkości, kierując się na nich. Czerwono-żółta flaga na
jego boku była jednoznaczną informacją.

Był własnością Chin.

Schofield przełączył się na kanał 5 i usłyszał:

– Żółta Gwiazda, tu Uciekający Orzeł. Mam z tobą kontakt wzrokowy.

Zmniejszamy siłę napędu, wchodzimy na orbitę postojową. Możesz za trzydzieści
sekund rozpocząć podchodzenie.

Drzwi kokpitu otworzyły się i wyszło z niego dwóch pilotów. Schofield
popatrzył na nich.

Ponieważ znajdowali się na niskiej orbicie, piloci mogli chodzić, ale stąpali

bardzo lekko i dla zachowania kontaktu z podłogą musieli przytrzymywać się uchwytów na suficie.

Obaj mieli zasunięte wizjery hełmów i wyposażeni byli w „plecaki” z jednostkami przetrwania. Minęli Schofielda i prezydenta i poszli na tył wahadłowca, by przygotować połączenie z chińską maszyną.

Dwóch ludzi w przedziale towarowym zaczęło się odpinać, by pomóc przetransferować ładunek.

Schofield natychmiast dostrzegł w tym ich szansę. Przełączył się na kanał 3.

– To jest to – powiedział do prezydenta. – Proszę za mną.

Odłączył przewód powietrzny i podłączył go do „plecaka”, po czym zaczął rozpinać pasy.

Prezydent robił to samo.

Po odpięciu pasów Schofield natychmiast poczuł nieważkość. Złapał rączkę na suficie i zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać czy spytać, co robi, podszedł do Kevina i zaczął go odpinać z fotela.

Dwóch ludzi z oddziału Echo popatrzyło na niego ze zdziwieniem.

Schofield wskazał palcem na kokpit, jakby pytał chłopca: „Chcesz popatrzeć?”.

Kevin skinął głową.

Ludzie z oddziału Echo wrócili do swoich zajęć.

Schofield, Kevin i prezydent – łapiąc za kolejne uchwyty w suficie – ruszyli do kokpitu.

Widok z kabiny pilotów był jeszcze bardziej niesamowity. Ziemia wyglądała przez panoramiczną szybę wspaniale – rozciągała się przed ich oczami niczym gigantyczna błękitna wypukła soczewka.

Kiedy weszli, siedzący w kokpicie pilot odwrócił się do nich. Schofield przełączył się na kanał 5.

– Pomyślałem, że wpadniemy i rzucimy okiem na widoki – powiedział pochrzając, aby ukryć prawdziwe brzmienie swego głosu.

– Niezłe, co? Nie podnoście tylko wizjerów – promieniowanie jest zabójcze, a słońce oślepia.

Schofield posadził Kevina w pustym fotelu drugiego pilota, a potem odwrócił się do prezydenta i przełączył się na kanał 3.

– Niech pan rozepnie temu człowiekowi pasy i użyje ich do unieruchomienia mu rąk. Ja się zajmę jego przewodem powietrznym.

– Eee... jak? Kiedy?

– Gdy tylko...

Pochylił się błyskawicznie do przodu, złapał złoty wizjer pilota i pociągnął go do góry.

– Aaaaa! – zawył pilot, gdy oślepiło go białe światło.

Schofield wyrwał jego przewód powietrzny z gniazda w ścianie, a prezydent w tym samym czasie rozpiął mu pasy i błyskawicznie zapiął je z tyłu fotela, unieruchamiając mu ręce.

Pozbawiony powietrza pilot zaczął charczeć.

Schofield skoczył do drzwi i walnął pięścią w znajdujący się obok nich przycisk.

Drzwi błyskawicznie się zasunęły, zamykając kokpit. Prezydent odwrócił się do Schofielda.

– I co...

Schofield jednak jeszcze nie skończył.

Wiedział, że mają tylko parę sekund, zanim ktoś otworzy drzwi od strony przedziału towarowego.

Obok drzwi znajdowała się klawiatura – identyczna jak na zewnątrz. Stał przy niej.

Poza zwykłymi przyciskami był tu długi czerwony klawisz z plastikową osłoną, na której było napisane:

TYLKO DO UŻYTKU AWARYJNEGO BLOKADA DRZWI KOKPITU Schofield otworzył osłonę i wcisnął czerwony przycisk. PENG! PENG! PENG! PENG! PENG!

Skoble pięciu zamków drzwi natychmiast wskoczyły w gniazda, zamykając kokpit niczym sejf bankowy.

Sekundę później zza drzwi doleciało stłumione pukanie, a potem ludzie z oddziału Echo zaczęli wściekle walić w drzwi.

Przez piętnastocentymetrowej grubości szybkę zaglądały złote hełmy.

Schofield miał to w nosie.

Wahadłowiec należał teraz do niego.

Na niebie migotały miliony gwiazd.

Na konsolcie w kokpicie X-38 migotało niemal tyle samo lampek, przełączników i wskaźników. Wyglądała jak konsoleta w kokpicie jumbo-jeta, była jednak znacznie bardziej skomplikowana.

Prezydent usiadł w fotelu drugiego pilota i posadził sobie Kevina na kolanach.

– I co teraz? – spytał. – Niech mi pan nie mówi, kapitanie, że umie pan latać wahadłowcem.

– Niestety nie, ale on umie – odparł Schofield i wskazał ruchem głowy charczącego pilota.

Wyjął z kieszeni sig-sauera i przystawił lufę pistoletu do złotego wizjera

tamtego, a prezydent wsadził jego rurę do oddychania w gniazdo na ścianie. Pilot

przestał charczeć i Schofield przełączył interkom pilota na kanał 3.

– Chciałbym, żebyś pomógł mi sprowadzić tego ptaszka na ziemię.

– Pieprz się...

– Hmm... – mruknął Schofield i dał znak prezydentowi, by wyjął rurę do

oddychania z gniazda ściennego. Pilot natychmiast znów zaczął się dusić. – Może

ujmę to inaczej: albo mi powiesz, jak doprowadzić ten wahadłowiec bezpiecznie do

Utah, albo zrobię to bez twojej pomocy. Biorąc pod uwagę, jak wspaniale latam,

prawdopodobnie spalimy się przy wejściu do atmosfery albo rozwalimy o jakąś

górzę. Tak czy siak, zginiemy. Musisz mi więc powiedzieć, co robić, inaczej umrzesz,

patrzac na to, co wyprawiam.

Twarz pilota była sina. Prezydent znów podłączył go do powietrza.

– W porządku... – wydyszał pilot. – Niech ci będzie...

– Znakomicie. Pierwsze, czego potrzebuję, to... Przerwał, bo na ekranie

przeziernym na szybie kokpitu* pojawiły się nagle jasnozielone literki.

* HUD (Head Over Display) – nowoczesna metoda pokazywania danych w taki sposób, by pilot nie musiał odwracać wzroku od przedniej szyby. Litery i cyfry są wyświetlane na szybie przed oczami pilota, sprawiając wrażenie, jakby pojawiały się w jej wnętrzu (przyp. tłum.).

UCIEKAJĄCY ORZEŁ, TU ŻÓŁTA GWIAZDA ZMIENIŁEŚ KURS WRÓĆ NA

WEKTOR TRZY-ZERO-ZERO

Schofield wbił wzrok w te słowa. Wydawały się unosić na tle gwiazd.

Za przezroczystym tekstem widać było zbliżający się chiński wahadłowiec.

Sunął powoli prosto na ich pojazd. Dzieliło ich jakieś trzysta metrów, a dystans

szybko malał.

UCIEKAJĄCY ORZEŁ, POTWIERDŹ ODBIÓR.

– Już się robi... – mruknął Schofield, przeglądając klawisze w poszukiwaniu przycisków dotyczących uzbrojenia.

Otworzył plastikową osłonę, pod którą znajdowały się dwa identyczne przyciski, oznakowane ODP. RAK.

– To za Matkę – wycodził i wcisnął oba guziki.

Oba wahadłowce wisiały skierowane dziobami do siebie, oświetlane od dołu błękitnym światłem Ziemi.

Spod skrzydeł znacznie mniejszego X-38 wystrzeliły dwie białe kreski – bezgrawitacyjne rakiety klasy AMRAAM. Wyprysnęły spod skrzydeł i pomknęły przez próżnię między dwoma pojazdami.

Nie pozostawiały za sobą smug dymu, nie wyrzucały płomieni – w próżni nie jest to możliwe – jedynie dysze ich pędników jarzyły się pomarańczowo na tle czarnego nieba.

Chiński wahadłowiec nie mógł nic zrobić. W kosmosie nie można zastosować żadnych środków obronnych.

Obie rakiety uderzyły w chiński statek dokładnie w tej samej sekundzie – jedna trafiła w środek kadłuba, druga w dziób.

Wahadłowiec popękał, a po chwili wystrzeliło z niego białe światło i rozerwał się na strzępy, które powoli zaczęły odpływać na boki.

Żółta Gwiazda nie wróci na Ziemię.

Żołnierze oddziału Echo jeszcze walili w drzwi, gdy Schofield – poinstruowany przez związanego pilota – uruchomił automatyczną procedurę ponownego wejścia w atmosferę ziemską.

Ludzie z Echo byli bezradni.

Drzwi kokpitu zrobiono z ośmiocentymetrowej warstwy tytanu, a strzelanie w piętnastocentymetrową szybkę nie wydawało się rozsądnym rozwiązaniem.

Kiedy wahadłowiec opuścił orbitę i uderzył w atmosferę, uaktywnił tarczę termiczną, by zneutralizować panujące na zewnątrz 2200°C, mogli się więc jedynie ponownie przypiąć i próbować jakoś wytrzymać.

Wahadłowiec pędził w dół, sterowany przez autopilota. Gwiazdy nad nimi powoli blakły i po chwili zastąpiło je ciemnoczerwone niebo, a potem otoczył ich jaskrawy błękit.

Orbitując, X-38 przemieszczał się na wschód, zdążył więc dolecieć mniej więcej do połowy Colorado. Zaczęli schodzić na Ziemię. Daleko w dole pojawiły się stalowoszare góry i zielone doliny. Za nimi, na zakrzywionym horyzoncie, widać było żółtą pustynię Utah.

Schofield popatrzył na zegarek.

10.36

Nie byli zbyt długo na orbicie, może tylko jakieś dwanaście minut. Przy prędkości naddźwiękowej powrót do Utah zajmie im jedynie kilka minut. Na ekranie przeziernym zapalił się napis:

ZLOKALIZOWANY LOTNISKOWY SYGNAŁ KIERUNKOWY LOTNISKO
ZIDENTYFIKOWANE JAKO OBSZAR SPECJALNY (O OGRANICZONYM
DOSTĘPIE) SIŁ POWIETRZNYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH NR 8
KONTYNUUJĘ NAMIERZANIE Strefa 8...

Nie.

Schofield wcale nie zamierzał się tam znaleźć.

Zakończenie całego tego zamieszania było możliwe tylko wtedy, jeśli udałoby się zabrać stąd prezydenta – razem z Piłką. Nie miał jednak Piłki.

Ostatni raz widziano ją w Strefie 7, w rękach Setha Grimshawa. A prezydent musiał przyłożyć dłoń do jej analizatora o 11.30. Schofield odwrócił się do pilota. – Musimy się dostać do Strefy Siedem.

X-38 opadał błyskawicznie, mknąc na zachód nad pustynią. Kiedy zbliżyli się do Strefy 8, Schofield wyłączył autopilota i sterując ręcznie, pozwolił maszynie minąć bazę.

Trzydzieści kilometrów do Strefy 7 pokonali w niecałą minutę. Wkrótce zobaczyli niską górę, w której kryła się baza, oraz zespół budynków i przedłużony pas startowy. W dali migotały wody jeziora Powell.

Wahadłowiec schodził w dół tuż nad budynkami Strefy 7. Pas startowy biegł w linii wschód-zachód, więc nie musieli przed podejściem do lądowania zataczać łuków.

X-38 dudniąc, przeleciał nad budynkami Strefy 7, wstrząsnął ścianami, po czym opadł na asfaltową wstęgę.

Wciąż jednak pędził z ogromną prędkością i Schofield nie dostrzegł stojących przy hangarach dwóch czarnych penetratorów.

Po chwili jeden z nich uruchomił silnik i wzniósł się w powietrze.

X-38 nadal pędził pasem startowym, spod jego opon leciał dym.

Schofield spróbował zwolnić, wyrzucając spadochron hamujący, który natychmiast rozwinął się z łopotem. Wahadłowiec zaczął zwalniać.

Gdy stracił cały rozpęd, Schofield przełączył kilka klawiszy, zamierzając podejść do głównego hangaru.

Nie udało mu się jednak zawrócić.

Kiedy tylko stanęli, penetrator podleciał do nich od przodu i zawisł nad pasem startowym jak drapieżny ptak.

Wahadłowiec i skrzydlaty helikopter szturmowy tkwili naprzeciwko siebie niczym dwaj rewolwerowcy z Dzikiego Zachodu – wahadłowiec na pasie startowym, helikopter w powietrzu.

Schofield zerwał z głowy hełm. Prezydent zrobił to samo.

– Cholera! Co teraz... – zaczął prezydent, zaraz jednak przerwało mu głośnie BA-BANG!

Drzwi kokpitu zadrżały.

To ludzie z oddziału Echo powstawali z foteli i łomotali w nie wściekle. Nagle w słuchawkach rozległ się głos pilota penetratora:

– X-38, tu penetrator sił powietrznych. Skierowaliśmy na was rakiety. Oddajcie chłopca.

Schofield odwrócił się do Kevina. Myślał gorączkowo, co teraz powinien zrobić.

Pułapka wokół nich zaciskała się – na zewnątrz był penetrator, który lada chwila wystrzelił w nich rakiety, a wewnątrz komandosi oddziału Echo... W tym momencie ujrzał szafkę w ścianie, tuż za fotelem Kevina. Odwrócił się do prezydenta.

– Sir, proszę pomóc Kevinowi zdjąć kombinezon. Prezydent zrobił, co mu kazano, a Schofield wcisnął klawisz interkomu.

– Penetrator sił powietrznych – jakie macie zamiary? Mówiąc do mikrofonu, podszedł do szafki w ścianie i otworzył drzwiczki.

Napis na nich brzmiał: ZESTAW PRZETRWANIA.

– Jeżeli uwolnicie chłopca, zostawimy was w spokoju.

– No pewnie... – mruknął Schofield.

Gorączkowo zaczął przerzucać zawartość „zestawu przetrwania”.

– Szybciej... – mruczał do siebie. – Musi tu być... zawsze jest... – Do mikrofonu

powiedział: – A jeśli go nie wypuścimy?

– Wtedy będziemy musieli was zabić.

W

tym

momencie

Schofield

znalazł

to,

czego

szukał:

sześciodziesięciocentymetrowy metalowy cylinder, który wyglądał jak...

Złapał go, uniósł głowę i stwierdził, że patrzy na wycelowany w siebie zza szyby

w drzwiach kokpitu pistolet.

Błysnęło i pistolet wystrzelił.

Schofield zamknął oczy, czekając, aż pocisk przeleci przez szybę i trafi go w

głowę.

Szkoło okazało się jednak za grube. Pocisk jedynie zadrapał jego powierzchnię i

odbił się od niej.

Schofield odetchnął z ulgą i pobiegł do swojego fotela.

– Penetrator sił powietrznych! – krzyknął do mikrofonu i zaczął się przypinać. –

W porządku. Posłuchaj: mam tu także prezydenta... – Dał znak Szefowi, aby się

odpiął.

– Prezydenta...

– Tak jest. Wypuszczę go razem z chłopakiem. Na pewno nie będziesz miał nic przeciwko temu, prawda? Mam twoje słowo, że nie strzelisz do nas, jeśli ich wypuścimy?

– Zgadza się.

– No dobrze... – powiedział Schofield do Kevina i prezydenta. – Kiedy otworzę właz, macie natychmiast oddalić się od wahadłowca. Jasne?

– Jasne – odparł Kevin.

– Jasne – potwierdził prezydent. – Ale co z panem? Schofield pchnął dźwignię zwalniającą właz.

Z krótkim syknięciem w powietrze wystrzelił kawałek sufitu wahadłowca – umieszczony dokładnie nad głową Schofielda. Nad jego głową otwarło się niebo.

– Uciekajcie najdalej, jak się da – powtórzył. – Dołączę do was za dwie minuty. Muszę tylko zniszczyć helikopter.

W otwartym włazie dachowym pojawiły się dwie postacie. Prezydent i Kevin.

Prezydent był ubrany w pomarańczowy kombinezon ciśnieniowy, ale nie miał hełmu. Kevin miał na sobie codzienne ubranie, w którym wsadzono go do kombinezonu.

Penetrator unosił się nad nimi, mielone łopatami wirnika powietrze drżało.

Z dachu wahadłowca zwisała plastikowa drabinka – rozwinęła się automatycznie, kiedy wystrzelony został właz dachowy.

Prezydent i Kevin szybko zeszli po drabince w dół pod czujnym okiem załogi penetratora.

Kiedy ich stopy dotknęły rozgrzanego asfaltu, zaczęli uciekać. Schofield położył sobie na udach metalowy cylinder i czekał w napięciu, aż prezydent i Kevin oddalą się na bezpieczną odległość.

Spojrzał na przywiązanego cały czas do fotela pilota wahadłowca.

– Na co patrzysz? – spytał.

ZZZZZZZZZZZZZZZZ! – usłyszał nagle i zza jego pleców wystrzelił snop iskier.

Jasna cholera...

Żołnierze Echo przecinali drzwi palnikiem.

Muszę jeszcze chwilę zaczekać, aż prezydent i chłopiec będą bezpieczni... – pomyślał Schofield.

W słuchawkach rozległ się głos pilota penetratora:

– Dziękuję, X-38. Przykro mi, że cię zawiodłem, ale niestety musimy cię zlikwidować. Żegnaj.

Spod prawego skrzydła helikoptera wystrzeliła rakietą Sidewinder, ciągnąc za sobą smugę białego dymu. Pomknęła w dół, prosto na przednią szybę wahadłowca.

Iskry z palnika wciąż wpadały do kokpitu. Pieprzyć to, pomyślał Schofield. Czas stąd spadać. Pociągnął za dźwignię obok fotela.

Wystrzelił w niebo niczym sylwestrowa rakietą – razem z fotelem. Poleciał pionowo w górę i przez chwilę wahadłowiec, penetrator i on sam tworzyli przedziwny trójkąt.

Potem wszystko wydarzyło się równocześnie.

Najpierw rakietą z helikoptera uderzyła w przednią szybę wahadłowca, zamieniając X-38 oraz znajdujących się w jego wnętrzu ludzi w kulę białego ognia.

Schofield wznosił się coraz wyżej, osiągając najwyższy punkt lotu mniej więcej

na wysokości penetratora.

Kiedy jego załoga ujrzała, że siedzący na fotelu wyrzutnym człowiek przyciska do ramienia metalową tubę, ich oczy rozszerzyło przerażenie.

Nie była to byle jaka metalowa rura.

Była to wyrzutnia raketowa.

Wyrzutnia rakiet M-72, w jakie wyposażano astronautów na wypadek lądowania na terytorium wroga – lekka, ale o dużej sile rażenia broń. Schofield pociągnął za spust.

Z rury wystrzeliła srebrzysta głowica i ruszyła prosto na helikopter.

Wpadła z trzaskiem przez przednią szybę do kokpitu i natychmiast eksplodowała. Boki maszyny wydeły się na zewnątrz i helikopter pękł jak balon. Płonący wrak runął w dół i po chwili huknął o asfalt, rozpryskując się na drobne kawałki.

W tym momencie otworzył się spadochron Schofielda.

Rozwinął się niczym kwiat nad fotelem i wyciągnął go z niego. Schofield opadł łagodnie w dół i po chwili stanął na asfalcie, nieopodal płonących resztek wahadłowca i penetratora.

Prezydent i Kevin podbiegli do niego.

– To było super! – zawołał chłopiec.

– Proszę mi stale przypominać, żebym nigdy nie kierował w pana stronę załadowanej broni – powiedział prezydent.

Schofield uwolnił się od spadochronu i popatrzył na pas startowy, biegnący do Strefy 7.

Strefa 7...

Ku swemu zdziwieniu nie pomyślał ani o Piłce, ani o losie ojczyzny. Pomyślał o Libby Gant.

Ostatni raz widział ją podczas bitwy na platformie centralnej, kiedy pułkownik Harper zdetonował granat z sinowirusem. Zostali wtedy rozdzieleni i... W tym momencie ujrzął drugi helikopter.

Drugi penetrator – Cezara i Logana – stał pusty przed kompleksem hangarów.

– Cezar wrócił do Strefy Siedem... – mruknął. – Ciekawe po co?

Nagle zobaczył postać, wychodzącą z wieży kontrolnej lotniska. Mężczyzna słabo zamachał ręką. Był to Book II.

Schofield, Kevin i prezydent podbiegli do niego.

Book II był blady i wycieńczony. Na lewym bicepsie miał zawiązany gruby bandaż, a rękę podtrzymywał prowizoryczny temblak.

– Strachu na Wróble! Szybko! – powiedział, krzywiąc się z bólu. – Lepiej będzie, jeśli rzucisz na to okiem.

Po chwili wspinali się do wieży kontrolnej.

– Kiedy Cezar wrócił? – spytał Schofield.

– Kilka minut przed wami. Gdy się zjawiliście, szli do górnych drzwi. Siedziałem w wieży przy Janson i widzieliśmy ten pana numer z fotelem wyrzutnym. Cezar i Logan obserwowali akcję z wejścia do hangaru, ale kiedy posłał pan ich chłopaków na łono Abrahama, obydwaj natychmiast wrócili do kompleksu.

– Cezar wrócił do kompleksu... dlaczego? – Schofield podniósł głowę. – Było coś od Gant?

– Nie – odparł Book II. – Sądziłem, że jest z panem.

– Rozdzieliliśmy się, kiedy wybuchł granat z sinowirusem. Musi być w środku

bazy.

Dotarli na górną kondygnację wieży. Juliet Janson leżała bezwładnie na zestawionych krzesłach. Ramię miała grubo obwiązane bandażem. Była blada, ale żyła. Obok niej stała Piłka.

– Co miałem zobaczyć? – spytał Schofield.

– To – odparł Book II i wskazał na jeden z ekranów komputerowych. Migało na nim:

PROTOKÓŁ ZAMKNIĘCIA OS(OOD)7-A SYSTEM ZABEZPIECZAJĄCY

URUCHOMIONY KOD AUTOR.: 7-3-468201103 Schofield popatrzył na zegarek.

10.43

Dwadzieścia dwie minuty do odpalenia termojądrowego mechanizmu

samoniszczącego bazy. A nadal nie mieli znaku życia od Gant... Cholera!

– Jest coś jeszcze – powiedział Book II. – Udało nam się uruchomić generatory, ale zasilanie w dalszym ciągu jest bardzo słabe. Uruchomiliśmy kilka systemów, więc jest trochę światła, działa też kilka linii telefonicznych i system komunikacji wewnętrznej.

– Ale...?

– Proszę spojrzeć na to.

Book II przełączył klawisz i jeden z ciemnych monitorów zamrugał. Ukazywał wnętrze centrali dowodzenia w głównym hangarze. Pośrodku zdewastowanego pomieszczenia, patrząc prosto w kamerę – tak jak już kilka razy tego dnia – stał Cezar Russell. Uśmiechał się.

Kiedy zaczął mówić, jego głos zadudnił z głośników w wieży.

– „Witam, panie prezydencie i narodzie amerykański. Wiem, że jest nieco za

wcześniej na mój codzienny komunikat, ale ponieważ wygląda na to, że wyścig się skończył, z pewnością nie będziecie mieli nic przeciwko temu przyspieszeniu.

Moi ludzie zginęli, moja sprawa jest przegrana. Powinienem pogratulować prezydentowi i jego odważnym ludziom, ale nie zrobię tego. Pożegnam się z wami słowami: ten kraj już nigdy nie będzie taki jak przedtem, nie po dzisiejszym dniu...”.

Kiedy skończył mówić, zrobił coś, co sprawiło, że krew zastygła Schofieldowi w żyłach.

Rozsunął poły munduru, ukazując nagą pierś.

– O, nie... – jęknął Schofield.

Przez pierś Cezara – dokładnie na wysokości serca – biegła długa, pionowa blizna, dowodząca, że miał kiedyś robiony zabieg na sercu.

Cezar wyszczerzył zęby w upiornym, szaleńczym uśmiechu.

– Mówię to z ręką na sercu... – dodał.

– O co chodzi? Nic nie rozumiem – powiedział prezydent. Ale Schofield zrozumiał.

Nie odpowiedział jednak.

Wyjął z kieszeni kawałek papieru. Był to wydruk, który Mózgowiec zrobił w AWACS-ie na samym początku zamieszania – kiedy szukali potwierdzenia, że w sercu prezydenta rzeczywiście tkwi przekaźnik.

Schofield popatrzył na wydruk. Były na nim zakreślone koła:

Przypomniał sobie wyjaśnienia Mózgowca:

„To standardowy zapis odbijanego sygnału. Satelita wysyła sygnał poszukiwawczy – te wysokie szpice do góry – i zaraz potem odbiornik na ziemi, czyli prezydent, odbija go. To te wysokie szpice do dołu. Poszukiwanie i odbicie.

Pomijając interferencję, wygląda na to, że sekwencja ta powtarza się co dwadzieścia pięć sekund”.

Schofield wpatrywał się w wydruk.

– Pomijając interferencję... ale tu przecież nie ma interferencji. To dwa osobne sygnały. Satelita musi odbierać dwa sygnały... – Wziął długopis i połączył po dwa koła w pary: pierwsze z trzecim i drugie z czwartym.

– Ten wykres wskazuje na istnienie dwóch schematów sygnału...

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał prezydent.

– To, że nie jest pan w tym kompleksie jedyną osobą, która ma przekaźnik w sercu. To ostatnia karta Cezara, dzięki której nawet jeśli przegra, to wygra. On też ma w sercu przekaźnik. Jeśli zginie, bomby na lotniskach wybuchną.

– Jest w środku bazy, a za dwadzieścia minut rozpocznie się sekwencja samoniszczenia – dodał Book II.

– Wiem – mruknął Schofield. – To oznacza, że będę musiał zrobić coś, w co do niedawna sam bym nie uwierzył. Muszę wrócić do Strefy Siedem i wyciągnąć stamtąd żywego Cezara Russella.

SIÓDME STARCIE

3 lipca, godzina 10.45

Schofield uzbroił się.

Zabrał Bookowi II swojego maghooka i wsunął go do pochwy na plecach. Wziął także P-90, którego Seth Grimshaw wyniósł z kompleksu. Zostało w nim już tylko jakieś czterdzieści naboju, było to jednak lepsze niż nic. Do kabur na udach wepchnął M-9 Booka II i swojego desert eagle’a. Potem zamienił swój uszkodzony przez wodę zestaw komunikacyjny – mikrofon na nadgarstku oraz słuchawki – na zestaw Juliet.

Book i Juliet mieli pozostać w wieży – uzbrojeni w P-90 – i pilnować prezydenta,

Piłki oraz Kevina, aż do przybycia wsparcia ze strony piechoty morskiej i sił lądowych.

Schofield wyjął telefon komórkowy Nicholasa Tate'a i wystukał numer centrali.

Natychmiast odezwał się David Fairfax.

– Panie Fairfax, potrzebuję przysługi.

– Tak?

– Potrzebne mi są kody zwalniające zamki Strefy Specjalnej Siedem i kod wyłączający mechanizm samoniszczenia. Raczej nie ma ich w żadnej książce. Będzie pan musiał wejść w jakąś lokalną sieć i wydobyć je stamtąd.

– Ile mam czasu?

– Dokładnie dziewiętnaście minut.

– Zabieram się do roboty – oświadczył Fairfax i odwiesił słuchawkę. Schofield wsunął w M-9 nowy magazynek. Podszedł do niego Kevin.

– Myślę, że ona żyje – powiedział. Schofield popatrzył na chłopca.

– Skąd wiedziałeś, że o tym myślę?

– Wiedziałem. Po prostu. Zawsze wiem. Wiedziałem, że doktor Botha okłamuje ludzi z sił powietrznych. Wiem też, że jest pan dobrym człowiekiem. Nie widzę dokładnie, co kto myśli, tylko wiem, co ludzie czują. Teraz martwi się pan o kogoś, na kim panu zależy. O kogoś, kto jest w środku.

– Dlatego poznałeś mnie w wahadłowcu?

– Tak.

Schofield dokończył ładowanie broni.

– Jakaś rada na koniec? – spytał Kevina.

– Widziałem ją, kiedy staliście przed moim sześcianem, i poczułem, że naprawdę pana lubi. Lepiej więc będzie, jeśli ją pan uratuje.

– Dzięki. – Schofield uśmiechnął się i ruszył do akcji. Najpierw spróbował wejść do bazy przez „górne drzwi”. Nie udało mu się.

Cezar musiał zmienić kody – ręcznie. Było zbyt mało czasu, aby Fairfax zdążył je złamać.

Pozostawała tylko jedna możliwość: Awaryjny Szyb Ewakuacyjny. Schofield pobiegł do porzuconego przez Cezara helikoptera. Była godzina 10.48.

Dwie minuty później penetrator Cezara – pilotowany teraz przez Schofielda – wylądował obok ASW w chmurze piachu i pyłu.

Nietrudno było odnaleźć szyb – jego lokalizację zdradzał jasnozielony dwupłatowiec pana Hoega, czekający na pustyni.

Ledwie czarny helikopter dotknął ziemi, Schofield był na zewnątrz i biegł w kierunku ASW.

Po chwili wskoczył do wykopanego w ziemi zagłębienia i zniknął w otwartym włazie.

Kiedy stanął na spowitych czernią torach kolei X na poziomie 6, była godzina 10.51. Jedynym światłem był promień latarki zamontowanej pod lufą jego P-90.

Wokół leżały martwe ciała – niemi świadkowie potyczek, jakie się tu wcześniej odbyły.

Siły powietrzne walczyły z Secret Service. Południowoafrykańczycy walczyli z siłami powietrznymi. Schofield i jego marines walczyli z siłami powietrznymi. Jezu...

Umysł Schofielda drażyła jednak całkiem inna myśl. Kevin miał rację. Pomijając konieczność uratowania Cezara Russella, Schofield miał znacznie bardziej osobisty

powód, aby powrócić do Strefy 7.

Chciał znaleźć Libby Gant.

Nie miał pojęcia, co się z nią działo po eksplozji granatu z sinowirusem w głównym hangarze, nie dopuszczał jednak do siebie myśli, że mogła zginąć.

Przystawił do ust mikrofon na nadgarstku.

– Lis! Lis! Jesteś tam gdzieś? Tu Strach na Wróble. Jestem znów w środku.

Słyszysz mnie?

Głęboko w trzewiach Strefy 7 do świadomości Libby Gant dotarł głos.

– ...szysz mnie?

Upłynęła właśnie godzina, odkąd straciła przytomność, i nie miała zielonego pojęcia, gdzie się znajduje ani co się z nią stało.

Pamiętała, że była w centrali dowodzenia, zobaczyła coś ważnego i nagle...

koniec.

Wracając do przytomności zauważyła najpierw, że w dalszym ciągu ma na sobie jaskrawożółty kombinezon przeciwskażeniowy – tyle że bez hełmu. Zdjęto go jej.

Poczuła silny ból w ramionach. Otworzyła oczy i...

...po jej kręgosłupie przebiegł lodowaty dreszcz.

Siedziała na ziemi i była przywiązana do dwóch stalowych, skrzyżowanych ze sobą dźwigarów. Ręce miała rozciągnięte na boki, jej nadgarstki były przymocowane taśmą samoprzylepną do poprzecznego dźwigara, a szyję miała przywiązaną do skrzyżowania dźwigarów i wyglądała jak ukrzyżowana. Jej nogi – skrupowane w kostkach taśmą – były wyprostowane i wyciągnięte do przodu na podłodze.

Mimowolnie zaczęła bardzo szybko oddychać.

Co się z nią stało?

Była więźniem...

Nadal było dość ciemno i narastało w niej przerażenie, ale powoli wracała do siebie. Zaczęła się rozglądać.

Zauważyła, że w miejscu, gdzie się znajduje, nie ma światła elektrycznego, a ciemność rozświetlają jedynie trzy małe ogniska.

Potem ujrzała Hagerty'ego.

Pułkownik Wycior Hagerty siedział tuż obok, po jej prawej stronie. Był podobnie „ukrzyżowany” – jego nogi leżały wyprostowane na ziemi, a ręce miał rozciągnięte na „krzyżu”. Miał zamknięte oczy, głowa mu opadła na pierś. Co chwila pojękiwał. Gant rozejrzała się wokół.

Uwięziono ich w najbardziej zaciemnionym miejscu. Przed nimi znajdowało się coś w rodzaju podestu. Na podeście leżały porozrzucone dziecięce zabawki i kawały porozbijanego szkła.

Kiedy zauważyła, że podest musiał być kiedyś otoczony szklanymi ścianami, z których pozostały jedynie resztki, zrozumiała, gdzie się znajduje.

Była w pomieszczeniu z sześcianem, w którym mieszkał kiedyś Kevin, a uwięziono ją pod laboratorium obserwacyjnym, tuż pod tworzonym przez jego okna nawisem.

W tym momencie zobaczyła trzecią ukrzyżowaną osobę. Na jej widok mogło się zrobić niedobrze. Był to pułkownik sił powietrznych Jerome Harper. A raczej to, co z niego pozostało.

Leżał na podłodze po jej lewej stronie, ręce miał przywiązane do „krzyża”, a jego głowa zwisała bezwładnie na taśmie samoprzylepnej, którą obwiązano mu gardło.

Nie to jednak przerażało najbardziej. Najbardziej przerażał widok dolnej części jego

ciała. Harper nie miał nóg.

Ciało pułkownika od pasa w dół zostało brutalnie odrąbane i wyglądało jak źle oprawiona w rzeźni świnia – cały dół tułowia był jednym wielkim kawałem krwawiącego mięsa.

Gant jeszcze nigdy nie widziała czegoś tak okropnego.

Kiedy ponownie się rozejrzała, w pełni uzmysłowiła sobie swoje położenie.

Była więźniem potwora, zamkniętego do dnia dzisiejszego w jednej z cel Strefy 7.

Lucifera Leary'ego. Chirurga z Phoenix.

Seryjnego zabójcy – byłego studenta medycyny – który na drodze

międzystanowej z Las Vegas do Phoenix porywał autostopowiczów, zawoził nieszczęśników do swojego domu i tam obcinał im nogi i zjadał je na ich oczach.

Świadomość tego była przerażająca.

Nigdzie jednak nie widziała Leary'ego – ponad dwumetrowego olbrzyma z okropnym tatuażem na twarzy.

Wbijając wzrok w ciemność, ale wokół – poza nią i Hagertym – nikogo nie było.

Wydało jej się to jeszcze bardziej przerażające.

Schofield dotarł do schodów we wschodniej części poziomu 6.

Musiał wejść do centrali dowodzenia w budynku w głównym hangarze i albo przed 11.05 wpisać kod przerywający sekwencję samozniszczenia, albo pojmać Cezara i zabrać go ze Strefy 7 przed 11.15, zanim wybuchnie bomba pod bazą.

Otworzył drzwi na klatkę schodową i...

...światło jego latarki wydobyło z ciemności ogromnego czarnego niedźwiedzia, stojącego na tylnych łapach i z wściekłym rykiem wyciągającego ku niemu pazury.

Natychmiast zanurkował za krawędź peronu i rodzina niedźwiedzi – ojciec,

matka i trzy młode – wyszła jeden za drugim na stację.

Nicholas Tate nie majaczył – w bazie były swobodnie poruszające się niedźwiedzie.

Wielki samiec powęszył w powietrzu, po czym ruszył w kierunku zachodnim, prowadząc za sobą swoją rodzinę.

Kiedy zwierzęta oddaliły się na bezpieczną odległość, Schofield wślizgnął się na klatkę schodową.

David Fairfax stukał gorączkowo w klawisze. Po pięciu minutach komputer znalazł numer źródłowy, reprezentujący kod zatrzymujący samozniszczenie Strefy 7.

Niezły wynik, był tylko jeden problem. Numer miał 640 milionów cyfr. Fairfax pisał dalej.

10.52

Schofield biegł w górę schodów w niemal kompletnej ciemności. Światelko z jego latarki skakało po ścianach.

Próbował porozumieć się z Gant.

– Lis, tu Strach na Wróble! Słyszysz mnie? Powtarzam: Lis, tu Strach na Wróble...

Nie było odpowiedzi.

Minął prowadzące na poziom 5 drzwi pożarowe – zza których wyciekały strużki wody – dotarł do otwartych drzwi na poziom 4, minął je i popędził dalej.

Znajdująca się na drugim końcu poziomu 4 Gant znów usłyszała głos. Był bardzo cichy i zdawał się dolatywać z wielkiej oddali.

– ...tarzam: Lis, tu Strach na Wróble... Strach na Wróble...

Głos dochodził ze słuchawek, zwisających luźno na szyi Gant. Musiały jej spaść, kiedy została zaatakowana.

Popatrzyła na lewy nadgarstek, przyklejony taśmą do stalowej poprzeczki.

Mikrofon, w który była wyposażona przez Secret Service, w dalszym ciągu na nim tkwił, nie było jednak możliwości zbliżenia go do ust, a działał tylko w bezpośredniej bliskości źródła dźwięku.

Zaczęła stukać w niego palcem.

Schofield dotarł do drzwi prowadzących na poziom 2 i nagle się zatrzymał. Z jego słuchawki wydobywały się dziwne dźwięki. PUKK-PUK-PUKK-PUKK... PUK-PUK... Krótkie i długie stuknięcia. Alfabet Morse'a. Litery układające się w: L... I... S... L... I... S...

– Lis, to ty? Raz na nie, dwa na tak. PUK-PUK – Wszystko gra? PUK.

– Gdzie jesteś? Stuknij numer poziomu. PUK-PUK-PUK-PUK 10.53

Schofield wpadł jak bomba na poziom 4 i patrząc wzdłuż lufy, wodził wzrokiem po pomieszczeniu z komorą dekompresji. Było ciemno. Bardzo ciemno.

Ta część poziomu 4 była całkiem pusta – komora dekompresyjna była pusta, znajdujące się naprzeciwko niej boksy testowe były puste, tak samo biegnące górą pomosty. Przesuwne drzwi w podłodze – prowadzące na poziom 5 – były otwarte. W ciągu ostatnich godzin poziom wody na poziomie 5 znacznie się podniósł – jej lustro zrównało się już z podłogą poziomu 4. O krawędzie prostokątnego otworu w podłodze pluskały drobne falki i sprawiał wrażenie wpuszczonego w podłogę basenu.

Wyglądało na to, że poziom 5 znajduje się całkowicie pod wodą.

Kiedy Schofield przechodził obok tego „basenu”, coś szybko przemknęło w wodzie. Odwrócił się błyskawicznie i skierował broń w kierunku ruchu, niczego jednak już tam nie było.

Sytuacja nie była zbyt przyjemna: ciemne wnętrza, po których krążą niedźwiedzie, ukryci gdzieś Cezar i Logan i wszędzie pełno wody – nie wspominając już o pozostałych przy życiu więźniach.

Doszedł do ściany, dzielącej poziom 4 na dwie części, pchnął drzwi i równocześnie uniósł broń.

Natychmiast dostrzegł Gant – za zmasakrowanymi resztkami sześcianu Kevina, rozciągniętą na dziwnym stalowym krzyżu.

Przebiegł dzielący ich dystans i opadł przed Gant na kolana.

Odłożył broń, delikatnie ujął jej głowę w obie ręce i nie zastanawiając się, pocałował ją w usta.

Z początku była zaskoczona, kiedy się jednak zorientowała, kim jest, oddała pocałunek.

Gdy Schofield się odsunął, zobaczył mężczyzn po bokach Libby. Najpierw ujrzał nieprzytomnego Hagerty'ego – podobnie ukrzyżowanego. Potem zobaczył martwego pułkownika Harpera – zmasakrowanego i porąbanego jak zwierzę w rzeźni.

– Jezus Maria...

– Musisz się pospieszyć – powiedziała Gant. – On zaraz wróci.

– Kto? – Schofield zaczął odwijać taśmę z jej szyi.

– Lucifer Leary.

– Cholera... – Schofield przyspieszył tempo. Po chwili Gant miała uwolnioną głowę. Zaczął odrywać taśmę z jej pierwszego nadgarstka, gdy nagle...

... z wnętrza ścian doleciało głośnie dudnienie. Oboje natychmiast popatrzyli w górę.

– Platforma... – jęknął Schofield.

– Musiała być na górze, a teraz wraca. Prędeż... Schofield próbował coraz szybciej odrywać taśmę z lewego nadgarstka Gant, była jednak bardzo ciasno owinięta i palce mu się ześlizgiwały. To trwało zbyt długo...

Rozejrzał się i zobaczył potrzaskane szkło, które mogłoby się nadać do przecięcia więzów. Podeszedł do rozbitego sześcianu i zaczął grzebać w odłamkach, próbując znaleźć odpowiedni kawałek. Gdy w końcu zdecydował się na jeden z nich, Gant krzyknęła:

– Strachu na Wróble! Schofield odwrócił się i...

...zobaczył przed sobą niezwykle wysokiego, barczystego osobnika. Zamarł.

Mężczyzna również stał bez ruchu – może metr od niego, jego twarz kryła się w cieniu. Wznosił się nad Schofieldem niczym wieża i w milczeniu gapił się na niego. Schofield nawet nie usłyszał, jak się zbliża.

– Wiesz, dlaczego łasica nigdy nie kradnie jaj z gniazda aligatora? – spytała skryta cieniem postać. Nie było widać ruchu jej ust.

Schofield przełknął ślinę.

– Ponieważ nigdy nie wie, kiedy aligator wróci – powiedział olbrzym i wszedł w krąg światła.

Schofield ujrzał najstraszliwszą, najpaskudniejszą gębę, jaką kiedykolwiek widział. Najbardziej przerażający był czarny, zakrywający całą lewą stronę twarzy tatuaż, wyglądający, jakby zadrapała ją potężna łapa, zaopatrzona w ostre pazury.

Lucifer Leary.

Był ogromny – miał przynajmniej dwa metry wzrostu oraz potężne bary i nogi jak słupy. Był wyższy od Schofielda przynajmniej o głowę. Miał na sobie więzienne

dżinsy i jasnoniebieską koszulę z oderwanymi rękawami. W czarnych oczach wpatrujących się w Schofielda nie było śladu ludzkich uczuć.

Otworzył usta, ukazując żółte zęby.

Schofield popatrzył na Gant i na leżący przed nią karabinek P-90. Po chwili zastanowienia sięgnął po pistolety i najszybciej jak umiał, wyszarpnął je z kabur na udach.

Broń ledwie zdążyła się wysunąć. Leary przewidział jego ruch. Z szybkością węża skoczył do przodu, złapał oba nadgarstki Schofielda i zaczął je ścisnąć.

Schofield jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał takiego bólu.

Padł na kolana i zacisnął zęby. Krew przestała mu dopływać do dłoni. Miał wrażenie, że zaraz eksplodują mu palce.

Puścił pistolety, które zaklekotały o podłogę. Leary kopnął je na bok, a potem złapał Schofielda za gardło, uniósł go nad ziemię i wrzucił do porozbijanego sześcianu Kevina.

Schofield przejechał po podeście, potracił kilka zabawek, uderzył we fragment jeszcze całej szyby, rozbił ją swoim ciałem i spadł z podestu na podłogę.

Lucifer ruszył za nim. Przy każdym kroku pod jego nogami chrzęściło szkło.

Schofield jęknął i spróbował wstać, ale Leary natychmiast znalazł się przy nim.

Podniósł Schofielda za mundur i uderzył go z taką siłą w twarz, że głowa kapitana odskoczyła do tyłu jak piłka.

Gant mogła jedynie bezradnie obserwować ze swojego krzyża, jak olbrzym katuje Schofielda.

Walka była jednostronna.

Kiedy Lucifer ponownie uderzył, Schofield poleciał do tyłu i zwałił się na

podłogę. Próbował wstać, ale Lucifer natychmiast złapał go i rzucił nim w kierunku drzwi. Sunąc po podłodze, Schofield wpadł do pomieszczenia dekompresyjnego.

Lucifer ruszył za nim.

Kolejny kopniak i Schofield potoczył się po podłodze – krwawiąc i dysząc i zatrzymał się przy krawędzi zalanego wodą otworu w podłodze.

Z wody nagle wystrzelił wielki łeb i sięgnął zębami ku niemu.

Schofield przetoczył się szybko, w ostatniej chwili uciekając przed zatraskującymi się szczękami.

Boże drogi!

Był to smok z Komodo, największy żyjący na świecie jaszczur. Prezydent mówił, że kilka sztuk tych gadów jest trzymany w bazie razem z niedźwiedziami z wyspy Kodiak – w klatkach na poziomie 5, do eksperymentów z sinowirusem.

Wyglądało na to, że elektryczne zamki zwierzęcych klatek również puściły z powodu zaniku napięcia.

Na widok wyskakującego z wody potwora na ustach Lucifera pojawił się złośliwy uśmiezek.

Podniósł Schofielda w górę i przytrzymał go nad prostokątem wody. Bezradny Schofield kopał nogami i próbował złapać gigantyczne pięści Lucifera. Widział krążące w wodzie przynajmniej dwa jaszczury. Lucifer puścił swoją ofiarę.

Schofield plasnął o powierzchnię wody, a chwilę potem Lucifer wcisnął umieszczony w podłodze przycisk i poziome drzwi zamknęły się ze szczękiem.

Kiedy rozległo się bębnienie pięści o spód zamykających się drzwi, Lucifer wydobył z siebie charkot, mający być prawdopodobnie śmiechem. Roześmiał się głośniejszym, gdy w wodzie się zakotłowało – pewnie smoki zaczęły już pożerać tego

głupkowanego żołnierzyka.

Począł, aż odgłosy walki ucichły, po czym wrócił do sąsiedniego

pomieszczenia, gdzie czekał na niego przysmak w postaci ładnej komandoski.

Kiedy Lucifer Leary wrócił sam, Libby Gant gwałtownie wciągnęła powietrze. O, nie...

Lucifer nie mógł... O, nie...

Olbrzym szedł powoli przez laboratorium. Miał opuszczoną głowę i wpatrywał się w Gant.

Opadł przed nią na kolana i przyciągnął jej głowę do siebie. Jego oddech cuchnął – śmierdział ludzkim mięsem. Poglaskał Gant po głowie.

– Jaka szkoda... szkoda, że twój księżę w błyszczącej zbroi nie okazał się tak odważny, za jakiego się uważał. Pozostaje nam teraz... hmm... lepiej się poznać...

– Nic z tego – odezwał się jakiś głos zza jego pleców. Olbrzym odwrócił się na pięcie.

W drzwiach prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia stał ociekający wodą Shane Schofield.

– Jeśli ją tkniesz, będziesz miał ze mną do czynienia – powiedział ponuro. Lucifer ryknął, złapał leżący na podłodze P-90 i puścił długą serię. Schofield schował się za węglem i pociski posiekały ścianę. W kilka sekund naboje się skończyły, więc Lucifer rzucił broń i pobiegł za Schofieldem.

Poziome drzwi w podłodze były otwarte, wielkie jaszczury krążyły w wodzie.

Nie wiadomo dlaczego nie zrobiły Schofieldowi krzywdy.

Po chwili Lucifer dostrzegł swojego przeciwnika – stał przy komorze dekompresyjnej, z prawej strony jeziora wody.

Skoczył na Schofielda, wyrzucając do przodu prawą pięść.

Kapitan uchylił się przed ciosem. Był spokojny i skoncentrowany. Nie zaskoczył go ten atak.

Lucifer zawirował na pięcie i ponownie się zamachnął. Znow nie trafił. Schofield odpowiedział mu szybkim ciosem w twarz. TRZASK!

Złamał olbrzymowi nos.

Lucifer sprawiał wrażenie zdziwionego. Dotknął spływającej mu po twarzy krwi, jakby to było coś niezwykłego – jakby jeszcze nigdy nikt go nie zranił.

Schofield ponownie go trafił – i potężny więzień lekko się zachwiał. Jeszcze jedno uderzenie – znacznie silniejsze – i Lucifer cofnął się o krok. Jeszcze jedno – i kolejny krok do tyłu.

Jeszcze jedno – najsilniejsze, jakie Schofield kiedykolwiek wykonał – i tylna stopa

Lucifera dotknęła krawędzi otworu z wodą. Odwrócił głowę – i w tym samym momencie Schofield znow trafił olbrzyma w nos, wytrącając go z równowagi.

Lucifer odchylił się do tyłu...

... i wpadł prosto do basenu z jaszczurami.

Rozległ się głośny plusk. Zaraz potem smoki z Komodo rzuciły się na wielkoluda i powierzchnia wody zamieniła się w kłębowisko czarnych gadzich grzbietów, pazurów i ogonów, spomiędzy których wystawały stopy Lucifera Leary'ego, kopiące w rytm straszliwych wrzasków.

Po chwili woda zrobiła się czerwona, a stopy więźnia znieruchomiały. Smoki kontynuowały ucztę.

Nie był to przyjemny widok, jeśli jednak ktokolwiek zasłużył na taką śmierć, to był nim właśnie Lucifer Leary.

Schofield wcisnął klawisz zamykania poziomych drzwi basenu i wrócił do Gant.

10.59

W ciągu minuty Gant była rozwiązana i oboje zabrali się do uwalniania Hagerty'ego.

– Nie ma co, wspaniałe urodziny – mruknęła Gant i skinęła głową w kierunku pomieszczenia dekompresyjnego. – Co tam się stało? Bałam się, że Leary...

– Zrobił to. Wrzucił mnie do wody z jaszczurami.

– Jak ci się udało wydostać? Schofield wyciągnął maghooka.

– Gady są bardzo wrażliwe na wyładowania magnetyczne. Dowiedziałem się tego rano od Kevina, włączyłem więc maghooka i odechciało im się do mnie zbliżyć.

Otworzyłem od dołu drzwi i przyszedłem po ciebie. Niestety Lucifer nie wziął ze sobą magnesu, kiedy szedł się kąpać...

– Ślicznie. Gdzie prezydent i Kevin?

– Są bezpieczni. Czekają poza bazą.

– Więc dlaczego wróciłeś? Schofield popatrzył na zegarek. Była dokładnie jedenasta.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że za pięć minut aktywizuje się mechanizm samozniszczenia tej bazy. Dziesięć minut później wszystko wyparuje, a nie można na to pozwolić, dopóki Cezar Russell jest w środku. Tak więc albo w jakiś sposób powstrzymamy eksplozję, albo zabierzemy stąd Cezara Russella.

– Zaraz, zaraz... dlaczego mamy ratować Russella?

– Wygląda na to, że nasz gospodarz także ma w sercu przekaźnik. Jeśli zginie – zginie cała Ameryka.

– Skurwiel... a drugi powód? Schofield poczerwieniał lekko.

– Chciałem odnaleźć ciebie.

Twarz Gant pojaśniała, powiedziała jednak obojętnym tonem:

– Porozmawiamy o tym później, dobrze?

– Chyba tak będzie najlepiej. Może na następnej randce? Gant uśmiechnęła się szeroko.

– Jestem za.

11.01

Schofield i Gant jechali miniwindą w górę szybu głównego – uzbrojeni jedynie w jego dwa pistolety: M-9 i desert eagle’a.

Kapitan posłał Hagerty’ego na dół, na poziom 6, i kazał mu opuścić kompleks przez Awaryjny Szyb Ewakuacyjny. Z początku Hagerty się opierał, ale widok zwłok pułkownika Harpera odebrał mu ochotę do dyskusji. Wyglądało na to, że z przyjemnością jak najszybciej opuści Strefę 7.

– Nie wiem, czy uda nam się rozbroić system samozniszczenia – powiedziała Gant, kiedy Schofield dał jej zastrzyk przeciwko sinowirusowi, by mogła wejść do skażonego hangaru. – Jak mamy do jedenastej zero pięć wpisać kod rozbrajający, jeżeli go nie znamy?

– Pracuję nad tym – odparł Schofield i wyjął z kieszeni telefon. Wcisnął przycisk powtarzający wybieranie ostatniego numeru i w słuchawce natychmiast rozległ się głos Fairfaxesa.

– Panie Fairfaxes, co słyhać? – zapytał Schofield.

– Kod kasujący procedurę brzmi: jeden-zero-pięć-zero-dwa. Wszedłem do systemu od tyłu, od kodu źródłowego. Okazuje się, że to numer operatorski tamtejszego szefa – niejakiego pułkownika Harpera.

– Wątpię, by mu się jeszcze kiedyś przydał – odparł Schofield. – Dziękuję, panie Fairfax. Jeśli wyjdę stąd żywy, stawiam piwo.

Rozłączył się i odwrócił do Gant.

– Czas wyłączyć tę bombę. Potem jeszcze tylko musimy złapać Cezara. Po chwili jechali ciemnym szybem w górę.

W górze zionął gigantyczny otwór, podświetlany pomarańczowymi płomieniami.

Lucifer Leary sprowadził wcześniej platformę centralną na poziom 4. Kiedy dotarli tam z laboratorium obserwacyjnego, czekała na nich – z przynajmniej piętnastoma ciałami więźniów, komandosów 7. Szwadronu, marines i urzędników Białego Domu, które Leary najprawdopodobniej zamierzał rozczłonkować.

Gant sięgnęła pod platformę miniwindy i wyciągnęła swojego maghooka, którego wcześniej udało jej się tam ukryć.

– Przygotuj się – powiedział Schofield. Dotarli do głównego hangaru.

Było tu jak w piekle.

Wszędzie płonęły ognie, oświetlając wszystko upiornym, migoczącym światłem.

Wokół leżały ciała, szczątki helikopterów, zmiażdżone pojazdy holownicze i resztki zniszczonej barykady, za którą bronili się żołnierze oddziału Echo.

Wydawało się, że nie ma tu ani jednej całej rzeczy.

Wyglądające na hangar skośne okna centrali dowodzenia zostały całkowicie pozbawione szyb. W jednej z potężnych skrzyń, zwisających z podwieszonych pod sufitem dźwigów, tkwił poskręcany fragment łopaty wirnika helikoptera.

A jednak coś ocalało.

Marine One.

Stojący na zachodnim skraju platformy centralnej helikopter jakimś cudem nie został nawet uszkodzony.

Kiedy miniwinda się zatrzymała, Schofield i Gant rozejrzeli się ostrożnie. 11.02

– Komputer sterujący procedurą jest w centrali dowodzenia – oświadczyła Gant.

– No to idziemy tam – odparł Schofield i ruszył przed siebie.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała Gant.

Zatrzymała się i zaczęła szukać czegoś wzrokiem na podłodze.

– Nie mamy ani chwili do stracenia.

– To idź sam. Zawołaj mnie, gdybyś potrzebował pomocy. Chcę czegoś spróbować.

– Dobrze – zgodził się Schofield i pobiegł do centrali dowodzenia. Gant uklęknęła i zaczęła grzebać w rozrzuconych na podłodze śmieciach. Schofield wpadł do budynku z wyciągniętym w rękę pistoletem.

Po sekundzie był już na schodach. Po raz pierwszy tego dnia czuł, że panuje nad sytuacją. Znał kod – 10502 – i jeśli wpisze go do komputera, bomba zostanie rozbrojona.

Będzie miał wtedy wystarczająco dużo czasu na znalezienie Cezara,

wyprowadzenie go z Strefy 7 i oddanie w ręce sprawiedliwości. 11.03

Doszedł ostrożnie do drzwi centrali dowodzenia i pchnął je – cały czas z wyciągniętym do przodu pistoletem.

To, co ujrzał, kompletnie go zaskoczyło.

Pośrodku zdewastowanego pomieszczenia na obrotowym fotelu siedział uśmiechnięty od ucha do ucha Cezar Russell.

– Liczyłem na to, że pan wróci – powiedział. Nie był uzbrojony.

– Wie pan co, kapitanie? Szkoda kogoś takiego jak pan dla tego kraju. Jest pan inteligentny, odważny i robi pan wszystko, by zwyciężyć – łącznie z tak nielogicznymi i absurdalnymi rzeczami jak ratowanie mojego życia. Ignorancy głupcy, rządzący tym krajem, nie docenią ani pana, ani pańskich wysiłków. Wielka szkoda, że będzie pan musiał... zginąć.

W tym momencie do skroni Schofielda przytknięto lufę pistoletu. Schofield odwrócił się...

... i ujrzał majora Kurta Logana, celującego do niego ze srebrnego sig-sauera.

11.04

– Proszę wejść do środka – powiedział Cezar.

Logan odebrał Schofieldowi desert eagle'a i dwaj mężczyźni weszli do zniszczonej centrali dowodzenia.

– Proszę popatrzeć na wyrok śmierci dla Ameryki. – Cezar wskazał ręką na ekran za sobą. Schofield już raz widział ten tekst.

PROTOKÓŁ ZAMKNIĘCIA OS(OOD)7-A SYSTEM ZABEZPIECZAJĄCY

URUCHOMIONY KOD AUTOR.: 7-3-468201103

UWAGA

AKTYWACJA PROTOKOŁU AWARYJNEGO. JEŻELI DO 11.05 NIE WPISZESZ

AUTORYZOWANEGO KODU PRZEDŁUŻAJĄCEGO ZAMKNIĘCIE ALBO KODU

KOŃCZĄCEGO ZAMKNIĘCIE, AKTYWOWANA ZOSTANIE SEKWENCJA

SAMONISZCZENIA

KOMPLEKSU.

CZAS

TRWANIA

SEKWENCJI

SAMONISZCZENIA: 10 MINUT

UWAGA

W dolnym rogu ekranu znajdował się zegar.

11.04:29

11.04:30

11.04:31

– Tik-tak, tik-tak – powiedział z zadowoleniem Cezar. – Musi to być dla pana bardzo frustrujące, kapitanie. Nie będzie już żadnych sprytnych planów ewakuacyjnych, wahadłowców, tajnych wyjść. Kiedy sekwencja samoniszcząca zostanie aktywowana, nic jej nie powstrzyma. Dziesięć minut i koniec. Ja zginę, pan zginie, zginie także Ameryka.

Na zegarze w rogu ekranu wciąż przeskakiwały cyferki. Pilnowany przez Logana Schofield mógł się jedynie bezradnie przyglądać, jak odliczanie zbliża się do godziny 11.05.

11.04:56

11.04:57

Z rozpaczą zaciskał pięści.

Znał kod, ale nie mógł go wykorzystać. Gdzie jest Gant?! Co robi? 11.04:58

11.04:59

11.05:00

– Odjeżdżamy... – oświadczył Cezar.

– Jasna cholera – zaklął Schofield. Ekran zapiszczał. **PROTOKÓŁ ZAMKNIĘCIA**

OS(OOD)7-A AKTYWOWANY

10 MINUT DO SAMOZNISZCZENIA SEKWENCJA SAMONISZCZENIA

KOMPLEKSU AKTYWOWANA

Na ekranie pojawiły się kolejne migające liczby.

10:00

9:59

9:58

W całym kompleksie zajarzyły zasilane akumulatorami czerwone, obracające się światła – w głównym hangarze, w szybie centralnym, nawet w centrali dowodzenia.

W głośnikach zadudnił elektronicznie wygenerowany głos:

– UWAGA! DZIESIĘĆ MINUT DO SAMOZNISZCZENIA KOMP...

Schofield kątem oka dostrzegł, że Kurt Logan odwrócił od niego wzrok.

Postanowił wykorzystać okazję.

Pchnął kapitana barkiem i obaj polecili na konsolę sterującą elektronicznymi urządzeniami.

Logan próbował w niego ponownie wycelować, ale Schofield złapał go za nadgarstek i uderzył nim o kant stolika. Broń wypadła dowódcy 7. Szwadronu z ręki.

Cezar przyglądał się temu, uśmiechając się lekko. Odbywająca się na jego oczach walka zdawała się sprawiać mu radość.

Schofield i Logan zachowywali się jak swoje lustrzane odbicia – dwaj żołnierze elitarnych oddziałów specjalnych, którzy korzystali z tego samego podręcznika, zadawali identyczne ciosy i stosowali takie same uniki.

Schofield był jednak zmęczony walką z Luciferem – i w którymś momencie zadał niedokładny cios, co Logan natychmiast wykorzystał.

Uchylił się przed ciosem Schofieldda, po czym złapał go wpół, uniósł nad podłogę i zaczął iść z nim w kierunku wybitych okien.

Po chwili Schofield wyleciał na zewnątrz – plecami naprzód. Zamknął oczy i czekał na spotkanie ze znajdującą się dziesięć metrów niżej podłogą.

Ale spodziewane uderzenie nie nastąpiło.

Lot okazał się bardzo krótki.

DUMB!

Schofield wylądował na czymś drewnianym, co zachybotowało się pod jego ciężarem. Otworzył oczy.

Leżał na olbrzymiej skrzyni, zwisającej z zamontowanych pod sufitem szyn.

Skrzynia wisiała na masywnych łańcuchach, połączonych kółkiem, przypominającym zamknięcie naszyjnika.

Na kółku znajdowało się urządzenie z trzema dużymi przyciskami, służącymi prawdopodobnie do przesuwania skrzyni po szynach.

Nagle skrzynia znów gwałtownie się zabujała i kiedy Schofield uniósł głowę, stwierdził, że skoczył na nią Logan.

Gdy znajdującą się na dole hangaru Libby Gant usłyszała brzęk tłuczonego szkła, poderwała wzrok ku górze.

Właśnie znalazła w stercie śmieci to, czego szukała, i w tym momencie Schofield wystrzelił przez okno i wylądował ciężko na wiszącej wysoko skrzyni.

Zaraz po nim przez okno wyskoczył Kurt Logan i stanął na skrzyni.

– O, nie... – jęknęła.

Natychmiast wyciągnęła pistolet, zanim jednak zdążyła wycelować, podłogę wokół niej poszarpał grad kul z broni maszynowej.

Zanurkowała za najbliższą osłonę kilku martwych ciał. Kiedy odważyła się zza nich wyjrzeć, zobaczyła Cezara Russella, który wychylał się z okna centrali dowodzenia, machał P-90 i krzychał:

– To ma być uczciwa walka!

– UWAGA! DZIEWIĘĆ MINUT DO SAMOZNISZCZENIA KOMP... Logan ukląkł na Schofieldzie i uderzył go mocno w twarz.

– Trochę za bardzo pan nam dziś utrudnił życie, kapitanie... – wysapał. Jego oświetlana migającym czerwonym światłem twarz była wykrzywiona wściekłością.

Kolejne uderzenie Logana wstrząsnęło Schofieldem. Jego potylica załomotała o deski, z nosa buchnęła krew. Logan złapał kapitana i wcisnął jeden z klawiszy.

Szarpnęło, zachrząściły tryby i skrzynia zaczęła jechać na szynie w kierunku szybu centralnego. Poruszał ją silnik benzynowy, więc brak zasilania elektrycznego nie unieruchomił mechanizmu.

Logan bił Schofielda i między uderzeniami mówił:

– Pamiętam dokładnie, jak... BAM!

– ...łatwo było na corocznych manewrach... BAM!

– ...dać wycisk takim cipom jak marines... BAM!

– ...Jesteście hańbą dla kraju... BAM!

– ...naszej flagi i... BAM!

– ...waszych skurwionych matek. BAM! Schofield nawet nie mógł otworzyć oczu.

Zapowiadało się na to, że Logan skopie mu dupę...

Wielka skrzynia znalazła się wreszcie nad studwudziestometrowej głębokości szybem centralnym. Logan wcisnął przycisk i zatrzymali się.

Skrzynia zatrzymała się dokładnie nad szeroką jamą szybu centralnego.

– UWAGA! OSIEM MINUT DO SAMOZNISZCZENIA KOMP... Schofield

wyjrzał za krawędź – betonowe ściany, rozjaśniane przez błyski czerwonego światła, spadały w nicość niczym cztery identyczne klify.

– Do widzenia, kapitanie Schofield... – wycedził Logan, po czym podniósł swojego przeciwnika za kłapy i postawił go na skraju skrzyni.

Schofield – poobijany, zakrwawiony i wycieńczony – stał niepewnie nad przepaścią.

Pomyślał o maghooku na plecach, kiedy jednak zobaczył sufit nad swoją głową, stwierdził, że jest zrobiony z gładkiego pleksiglasu. Magnes maghooka nie mógłby się do niego przykleić, nic tu nie pomógłby także hak.

Tak czy owak, nie był w stanie dłużej walczyć. Nie miał broni.

Nie mógł skorzystać z maghooka.

Nie siedział w fotelu wyrzutnym.

Nie miał żadnej przewagi nad przeciwnikiem.

Kiedy Logan miał go właśnie zepchnąć, Schofield zobaczył Gant, ukrywającą się za stertą trupów.

Pomyślał, że ma jednak przewagę – bo ma przyjaciół. Odwrócił się do Logana i...

...ku jego zaskoczeniu uśmiechnął się, uniósł rękę z mikrofonem na nadgarstku, a

potem popatrzył dowódcy 7. Szwadronu w oczy i powiedział:

– Gant: most portowy w Sydney. Strzelasz minusem. Logan zmarszczył czoło.

– He?

Zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, Schofield wyciągnął rękę nad jego ramieniem i zwolnił zatrask kółka, spinającego przytrzymujące skrzynię łańcuchy.

Skrzynia z piekielnym zgrzytaniem runęła w dół, zrzucając Schofielda i Logana.

Zaczęli spadać w studwudziestometrową przepaść.

Schofield spadał jak kamień.

Najpierw pomknął w górę rozświetlony czerwienią hangar, potem przed oczami

Schofielda przesunęła się jego krawędź i po chwili zamknęły się wokół niego cztery

pionowe rozmazane ściany. Spojrzał w górę – wielki kwadrat w górze szybko malał.

Bardzo szybko.

Logan leciał kilka metrów obok niego. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

Najwyraźniej nie mógł uwierzyć w to, co Schofield zrobił. Po prostu zrzucił ich –

razem ze skrzynią – do szybu. Schofield miał nadzieję, że Gant go usłyszała.

Wyjął maghooka z pochwy na plecach, aktywował magnes dodatnim biegunem i

patrzył w górę, czekając na jedyny możliwy ratunek. Gant usłyszała go.

Leżała teraz na brzuchu na skraju szybu i celowała z maghooka – z magnesem

aktywowanym negatywnym biegunem – w dół.

– Strachu na Wróble – powiedziała do mikrofonu na nadgarstku. – Strzelaj

pierwszy, ja zrobię połączenie.

Schofield wystrzelił magnes.

Głowica pomknęła pionowo w górę, ciągnięta przez nią linka lekko falowała.

Kiedy Logan zobaczył, co robi Schofield, jęknął:

– O, nie...

– Dawaj, Lis... – szepnął Schofield. – Nie pozwól mi umrzeć... Libby Gant

zmrużyła oczy.

Mimo całego panującego wokół zamieszania – migających świateł, trąbienia

syren, dudniącego elektronicznego głosu – dokładnie widziała wznoszącą się

głowicę maghooka Schofielda: rosnący punkcik błyszczącego metalu, wypryskujący z czerni i kierujący się w jej stronę.

– Nie ma rzeczy niemożliwych... – szepnęła do siebie i pociągnęła za spust.

ZZZUMMM!

Pękaty magnes wystrzelił w dół, ciągnąc za sobą linkę. Magnes Schofielda mknął ku górze. Magnes Gant pędził w dół.

Schofield wciąż spadał – razem ze skrzynią i Loganem. Gant dopingowała swój magnes:

– Dawaj, mały... dawaj...

Magnesy były aktywowane przeciwnymi ładunkami, wystarczy więc, by znalazły się w niewielkiej odległości. GLANG!

Obydwa kawały metalu uderzyły w siebie niczym zderzające się w powietrzu rakiety.

Most Portowy spiął się. Ładunki trzymały mocno.

Gant zaczepiła swój miotacz o wystającą z betonu metalową podpórkę.

Dwa maghooki mają razem sto metrów linki.

Gwałtowne zatrzymanie się po stu metrach spadania powoduje potężne szarpnięcie.

Kiedy Schofield zobaczył, że magnesy się połączyły, owinał się – cały czas spadając – linką maghooka pod pachami, napiął mięśnie ramion i czekał na to, co musiało nastąpić.

Na pewno zaboli.

Zabolało.

Linki napięły się z trzaskiem i Schofield zawisł w powietrzu. Logan i skrzynia

spadali dalej i po chwili huknęli w platformę. Skrzynia roztrzaskała się. Podobny los spotkał Logana.

Wylądował – drąc się wniebogłosy – na poszarpanych resztkach boeinga, rozrzuconych na platformie. Krawędź skrzydła, na którą trafił szyją, odcięła mu głowę, a reszta ciała spłaszczyła się od impetu uderzenia niczym zdeптany pomidor. Schofield nie zatrzymał się jednak w bezruchu. Kiedy zawisł w powietrzu, bujnęło nim ku ścianie, w którą uderzył jak wór, odbił się od niej i znieruchomiał tuż przy nagiej betonowej ścianie, jakieś dwadzieścia pięć metrów nad platformą. Oddychał ciężko i wszystko go bolało, ale żył.

Po chwili zwijarki maghooków podciągnęły go do krawędzi.

– UWAGA! SZEŚĆ MINUT DO SAMOZNISZCZENIA KOMPLEKSU Kiedy Gant wyciągnęła go na górę, była 11.09.

– Podobno twoim zdaniem „most portowy” jest niemożliwy – mruknęła ironicznie.

– To był bardzo przyjemny dowód na to, że nie mam racji. Gant uśmiechnęła się.

– No cóż, zrobiłam to tylko dlatego, bo chciałam, żebyś mnie znowu... Przerwała jej długa seria z pistoletu maszynowego.

Dwa pociski wbiły się w ramię Schofielda, a jeden trafił Gant tuż nad stopą i strzaskał jej kostkę. Kilka następnych przemknęło tak blisko twarzy Schofielda, że poczuł podmuch powietrza.

Padli płasko na podłogę, zaciskając zęby. Z budynku dowodzenia wypadł Cezar Russell – przyciskał P-90 do ramienia i strzelał jak szaleniiec. Jego oczy zasnuwał obłęd.

Schofield – co prawda ranny, ale sprawniejszy od Gant – pchnął ją za resztki

barykady ze skrzynek, wzniesionej przez oddział Bravo.

Złapał berettę i skoczył ku wrakowi Nighthawk Dwa przy windzie osobowej.

Zamierzał w ten sposób odciągnąć Cezara Russella od Gant.

Potężny super stallion piechoty morskiej stał tuż przed drzwiami windy –

poobijany i powgniatany, z wysadzonym kokpitem.

Kule uderzały w beton tuż obok Schofielda, ale ostrzał był prowadzony byle jak.

Schofieldowi udało się dobiec do super stalliona i zanurkować do zniszczonego

kokpitu. Zaraz potem o ścianki kadłuba załomotały pociski.

– Chodź, bohaterze! – wrzasnął Cezar. – Co jest? Nie strzelasz? Czego się boisz?

Znajdź broń i zacznij się ostrzeliwać!

Tego jednak akurat Schofield nie mógł zrobić. Jasna cholera! Trudno było sobie

wyobrazić gorszą sytuację. Ostrzeliwał go szaleniec, któremu nie mógł odpowiedzieć

ogniem.

– Lis! – wrzasnął do mikrofonu. – Wszystko w porządku? Odpowiedział mu

cichy jęk:

– Tak...

– Musimy go złapać i zabrać stąd! Masz jakiś pomysł? Odpowiedź Gant

zagłuszył ryk z głośników:

– UWAGA! PIĘĆ MINUT DO SAMOZNISZCZENIA...

Przez okienko w drzwiach Schofield widział nadchodzącego Cezara,

ostrzeliwującego bok helikoptera.

– Podoba ci się to, bohaterze? – wrzeszczał generał. – Podoba ci się?!

W kokpicie wszystko dygotało. Schofield zaciskał zęby i mocno trzymał broń.

Obie rany postrzałowe w ramieniu bolały jak cholera, ale adrenalina nadal pozwalała

mu działać.

Cezar strzelał we wrak helikoptera jak oszalały kowboj. Zamierzał zająć

Schofielda od wyrwy w kokpicie.

Nagle w słuchawkach Schofielda rozległ się głos Gant:

– Strachu na Wróble! Przygotuj się do strzału. Może znajdę inny sposób...

– Nie mogę strzelać!

– Daj mi jeszcze chwilę...

Gant kuciała przed czarną skrzynką AWACS-a, którą znalazła kilka minut temu w gruzowisku obok miniwindy.

Wyjęła z kieszeni małe czerwone pudełeczko z czarną krótką antenką – była to jednostka włączająco-wyłączająca Russella z dwoma klawiszami.

Teraz już wiedziała, dlaczego są dwa klawisze. Jeden uruchamiał i zatrzymywał przekaźnik w sercu prezydenta, drugi – przekaźnik w sercu Cezara Russella.

Cezar był już tylko kilkadziesiąt centymetrów od wyrwy w kokpicie helikoptera.

Miał broń uniesioną i gotową do strzału. Jeszcze kilka sekund i będzie miał

Schofielda na widelcu.

– Idę... – wysyczał.

Schofield leżał na podłodze i bezradnie patrzył przed siebie. Był w pułapce.

– Lis...

– ...cokolwiek zamierzasz, zrób to szybko.

Gant pociła się, przeszkadzało jej czerwone światło i bolała ją kostka, ale musiała się skoncentrować.

– UWAGA! CZTERY MINUTY DO SAMOZNISZCZENIA...

Na maleńkim ekranie czarnej skrzynki pojawił się wykres ze skaczącymi w górę i

w dół linii. Popatrzyła na jednostkę włączająco-wyłączającą.

Pytanie brzmiało: który włącznik obsługuje przekaźnik prezydenta, a który przekaźnik Cezara?

Gant nie miała wątpliwości.

Cezar z pewnością dałby sobie numer 1.

Patrząc na ekranik czarnej skrzynki, aby zrobić to dokładnie między dwoma sekwencjami sygnałów, przełączyła klawisz na jednostce sterującej, wyłączając mikrofalowy sygnał dochodzący z serca Cezara.

Zaraz potem włączyła nadawanie sygnału przez czarną skrzynkę. Jeżeli niczego nie pomyliła, wiszący nad ich głowami satelita powinien uznać sygnał z czarnej skrzynki za sygnał z serca Cezara.

Na czarnej skrzynce zaczęło migać zielone światełko. Gant włączyła radio.

– Strach na Wróble! Zamieniłam sygnały. Przyszpil drania!

Ledwie to powiedziała, Cezar stanął przed Schofieldem. Uśmiechnął się na widok kapitana, skulonego w zniszczonym kokpicie super stalliona i zasłaniającego się pistoletem. Pokiwał palcem.

– O nie, mój panie, nie wolno ci tego zrobić. Nie strzela się do wujka Cezara...

– Nie?

– Nie.

– No cóż...

Schofield jednym szybkim ruchem skierował lufę na Cezara i strzelił mu w pierś.

Trysnęła krew.

BAM! BAM! BAM!

Każdy kolejny strzał sprawiał, że Cezar zataczał się na boki i cofał o krok,

wybałuszając ze zdziwienia oczy i wykrzywiając usta. Po chwili wypuścił z rąk P-90 i padł na podłogę, lądując na tyłku.

Schofield wstał i kopnięciem odrzucił na bok P-90.

Cezar umierał.

Z kącika jego ust ściekała strużka krwi. Wyglądał żałośnie – cień człowieka, którym jeszcze niedawno był.

Schofield patrzył na niego z góry.

– Jak... pan... mógł... – wystękał Cezar.

– Owszem, mogłem – odparł Schofield. – Niech pan się zastanowi, dlaczego.

Powiedziawszy to, ruszył biegiem do Gant. Musieli jak najszybciej uciekać z tej cholernej bazy.

– UWAGA! TRZY MINUTY DO SAMOZNISZCZENIA...

Schofield zaniósł Gant do miniwindy. Strzał Cezara strzaskał jej kostkę i nie była w stanie poruszać się o własnych siłach.

Nie przeszkodziło jej to jednak uczestniczyć w akcji.

Gdy Schofield ją niósł, trzymała w rękach najważniejszą czarną skrzynkę świata.

Ich najważniejszym celem – jeszcze ważniejszym niż ratowanie własnego życia – było teraz wyniesienie rejestratora danych ze Strefy 7, zanim baza zostanie zmieciona z powierzchni ziemi przez wybuch bomby termonuklearnej. Gdyby nadawany przez czarną skrzynkę sygnał zanikł, wszystko, co do tej pory zrobili, byłoby na nic.

– No dobrze, cwaniaczku – powiedziała po chwili Gant. – Jak wydostaniemy się z tej siedmiopiętrowej pułapki?

Schofield wcisnął klawisz w podłodze miniplatformy i zaczęli zjeżdżać w dół.

Popatrzył na zegarek.

11.12:30

11.12:31

– Nie możemy wyjść „górnymi drzwiami”, bo Cezar zmienił kod, a mój człowiek w DIA już raz go łamał i potrzebował na to dziesięciu minut – odparł. – Wolałbym też nie próbować szybu awaryjnego. Zejście nim zajęło mi z Bookiem minutę i wątpię, by nam obojgu udało się wejść tamtędy szybciej niż w dziesięć.

– Więc co robimy?

– Mamy jeszcze jedno wyjście... pod warunkiem, że zdążymy na czas dotrzeć na miejsce.

11.12:49

11.12:50

Zatrzymał miniwindę na poziomie 2 i – cały czas z Gant na rękach – pobiegł na drugi jego koniec, do drzwi pożarowych.

– UWAGA! DWIE MINUTY DO SAMOZNISZCZENIA... Dotarli do schodów.

11.13:20

Schofield wpadł na schody i zaczął zbiegać po trzy stopnie. Minęli poziom 3 – z kwaterami mieszkalnymi.

11.13:32

Poziom 4 – piętro koszmaru.

11.13:41

Poziom 5 – zalany wodą.

11.13:50

Schofield kopnął drzwi, prowadzące na poziom 6.

– UWAGA! MINUTA DO SAMOZNISZCZENIA... Pojazd, którym zamierzał

uciec, był tam, gdzie się go spodziewał.

Mały wagonik naprawczy stał na prawo od drzwi, na torze prowadzącym do jeziora Powell – tam, gdzie parkował od rana.

Schofield dobrze pamiętał, co mówił o nim Herbie Franklin: był mniejszy od wagonów kolei X, ale jechał szybciej. Mieściły się w nim tylko dwie osoby.

– UWAGA! CZTERDZIEŚCI PIĘĆ SEKUND DO SAMOZNISZCZENIA...

Schofield jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki, wsadził Gant do środka, po czym sam wszedł do wagonika.

– TRZYDZIEŚCI SEKUND... Wcisnął czarny klawisz na konsolecie. Silnik zadziałał.

– DWADZIEŚCIA SEKUND... DZIEWIĘTNAŚCIE... OSIEMNAŚCIE... Schofield patrzył na tory przed nimi. Uciekały w oświetlaną czerwonymi błyskami ciemność – cztery równoległe kreski, zbiegające się w jeden punkt.

– Startuj! – krzyknęła Gant. Schofield pchnął przepustnicę.

– PIĘTNAŚCIE...

Wagonik skoczył do przodu i pomknął przez podziemną stację.

– CZTERNAŚCIE... Przyspieszenie wcisnęło ich w fotele. Osiągnęli 80 kilometrów na godzinę.

– TRZYNAŚCIE...

Wagonik wciąż przyspieszał. Szyny pod nimi i nad nimi błyskawicznie przemykały do tyłu. 160 kilometrów na godzinę.

– DWANAŚCIE... JEDENAŚCIE... ZZZUMMM!

Wpadli w tunel, prowadzący do jeziora Powell. 240 kilometrów na godzinę.

– DZIESIĘĆ...

400 kilometrów na godzinę, czyli ponad 110 metrów na sekundę. W niecałe

dziesięć sekund oddalili się od Strefy 7 o kilometr.

– DZIEWIĘĆ... OSIEM...

Schofield miał nadzieję, że półtora kilometra wystarczy.

– SIEDEM... SZEŚĆ...

W myślach popędzał wagonik i pchał go jeszcze dalej do przodu.

– PIĘĆ... CZTERY... Gant jęknęła z bólu.

– TRZY... DWIE...

Małeńki pojazd mknął z niesamowitą prędkością, przechylając się na zakrętach na boki.

– JEDNA.....SAMOZNISZCZENIE AKTYWOWANE

Za chwilę cały świat wokół nich eksploduje.

Huknęło, jakby naprawdę miał nastąpić koniec świata. Ryk eksplozji był niewyobrażalnie głośny.

Konstrukcja, która miała wytrzymać atak nuklearny, nie była przygotowana do wysadzenia od wewnątrz.

Głowica W-88 została umieszczona w ścianach poziomu 2 – mniej więcej pośrodku bazy. Kiedy eksplodowała, cały kompleks rozświetlił się niczym żarówka, a przez jego wnętrze – przebijając ściany, podłogi i sufity – przeleciała niemożliwa do powstrzymania fala pulsującej energii.

Wszystko wewnątrz bazy – samoloty, komory testowe, windy oraz ciężko ranny

Cezar Russell – zostało w ciągu nanosekund odparowane.

Generał ujrzał błysk oślepiającego, białego światła, po którym nadleciało gorąco, a potem była już tylko nicość.

Ale zewnętrzne tytanowe ściany, grube na ponad pół metra, wytrzymały wybuch.

Fala uderzeniowa wstrząsnęła jednak piaszczystym gruntem daleko poza obrębem bazy. W promieniu kilku kilometrów od niej zadrżała ziemia, a fala energii rozeszła się koncentrycznymi kołami – niczym fale na stawie.

Jako pierwszy z zewnętrznych obiektów zniknął Awaryjny Szyb Ewakuacyjny. Jego betonowe ściany zostały zgniecione w ciągu kilku pierwszych sekund po eksplozji. Gdyby Gant i Schofield znajdowali się w środku, zostaliby zmieleni na pył. A potem stało się coś, co przypominało wyobrażenia o końcu świata.

Ponieważ wewnątrz kompleksu zamieniło się w wypaloną pustkę, przykrywająca bazę gruba warstwa granitu zapadła się, pozostawiając w powierzchni pustyni idealnie okrągły otwór o średnicy 800 metrów, i wszystkie naziemne budynki – główny hangar, wieża kontrolna i pozostałe hangary – zostały połknięte, zniknęły z powierzchni ziemi. Na miejscu bazy był teraz jedynie gigantyczny krater.

Prezydent obserwował to wszystko z pokładu super stalliona korpusu piechoty morskiej, który przybył na miejsce wydarzeń dziesięć minut wcześniej.

Siedzący obok niego Book II, Juliet Janson i Kevin patrzyli z otwartymi ustami na unicestwienie Strefy 7.

Ale w tunelu kolei X sprawy jeszcze się rozstrzygały. Kiedy bomba wybuchła, wagonik remontowy z Schofieldem i Gant w środku mknął przed siebie jak pocisk raketowy.

Usłyszeli odgłos eksplozji i poczuli drżenie ziemi wokół. Schofield wyrzwał przez tylne okienko. – A niech to jasna... – wymamrotał. Tunel za nimi zawałał się.

Rozchodząca się fala uderzeniowa niszczyła wszystko na swojej drodze i

najwyraźniej ich doganiała!

Front zapadających się skał przesuwał się z prędkością przynajmniej 420 kilometrów na godzinę. Tuż za nimi spadały z sufitu tunelu kawały kamieni.

Wyglądało to tak, jakby tunel zamienił się w żywą istotę, która chciała złapać uciekający wagonik.

BANG!

Na dachu wagonika wylądowała bryła betonu wielkości pięści. Schofield gwałtownie poderwał głowę.

BANG-BANG-BANG-BANG-BANG-BANG-BANG-BANG-BANG!

Zostali obsypani kamieniami.

O, nie! Nie teraz! Nie tak blisko końca!

Zawalające się głazy dogoniły ich.

BANG-BANG-BANG-BANG-BANG-BANG!

Kamienie waliły o tylną szybę, która po chwili rozprysnęła się w chmurze odłamków.

BANG-BANG-BANG-BANG-BANG-BANG-BANG!

Zaczęło sypać kamieniami do środka. Wagonik gwałtownie zadrżał. Nagle kanonada kamieni zaczęła słabnąć.

Schofield odwrócił się do tyłu – kaskada spadających kamieni oddalała się i po chwili zniknęła za zakrętem. Oderwali się od niej jak od głodnego potwora, który zrezygnował z pogoni. Fala uderzeniowa przestała rozchodzić się wewnątrz ziemi.

Udało im się uciec.

Ledwo, ledwo.

Wagonik jechał dalej, a Shane Schofield opadł ciężko na fotel i odetchnął z ulgą.

Kiedy CH-53E wyciągał Schofielda i Gant z łączącego się z dokiem załadunkowym kolei X kanionu na skraju jeziora Powell, nad Strefą 7 unosiła się armada helikopterów sił lądowych i korpusu piechoty morskiej.

Maszyny wyglądały jak chmara owadów – gromada ciemnych punkcików wiszących na jasnym pustynnym niebie – utrzymujących się w bezpiecznej odległości od źródła promieniowania.

Prezydent siedział w jednej z nich, otoczonej przez pięć super stallionów piechoty morskiej. Miały przy nim pozostać do chwili usunięcia przekaźnika z jego serca.

Kiedy tylko wystartował sprzed Strefy 7, rozkazał, by do momentu wydania nowych poleceń wszystkie maszyny latające stacjonujących na terenie USA sił powietrznych pozostały na ziemi.

Schofield i Gant – wraz z czarną skrzynką – dołączyli wkrótce do prezydenta, Booka II, Juliet i Kevina, przebywających w Strefie 8, która została zabezpieczona dwadzieścia minut przed ich przybyciem przez dwa oddziały rozpoznania korpusu piechoty morskiej.

Podczas przeczesywania bazy marines znaleźli jedynie Nicholasa Tate'a III, doradcę prezydenta do spraw polityki wewnętrznej, bełkoczącego bez ładu i składu, że musi zadzwonić do swojego maklera.

Gant natychmiast położyli na nosze i sanitariusz zajął się jej kostką. Schofield dostał prowizoryczny opatrunek, temblak i zastrzyk przeciwbólowy z kodeiny.

– Cieszę się, że udało się panu wydostać, kapitanie – powiedział prezydent, kiedy Schofield do niego podszedł. – Cesarowi poszło gorzej, prawda?

– Obawiam się, że tak, sir. – Schofield podniósł czarną skrzynkę i pokazał

migające na niej światółko. – Jest jednak z nami duchem.

Prezydent uśmiechnął się.

– Przeszukujący bazę marines twierdzą, że znaleźli na zewnątrz coś, co chyba chętnie pan zobaczy.

– To znaczy?

– To znaczy mnie, seksowny facecie! – ryknęła Matka, wychodząc zza pleców prezydenta.

Schofield uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Udało ci się!

– Przecież jestem niezniszczalna – odparła Matka, ale wyraźnie kulała. – Kiedy trafiła mnie rakietą i załatwiła karalucha, nietrudno było się domyślić, że Cezar Russell i jego kumple bardzo się ucieszą, jeśli znajdą mnie w środku. Zjeżdżając z pasa, narobiłam mnóstwo kurzu, więc szybko wyskoczyłam pod jego osłoną. Gdy karaluch zakoziołkował i walnął w ziemię, wykopałam pod przednim zderzakiem dziurę na głowę, a potem dla lepszego efektu odpięłam sztuczną nogę i udawałam trupa, aż odlecieli.

– Odpiąć sobie sztuczną nogę... niezły kamuflaż – mruknął prezydent.

– Tak też pomyślałam – oświadczyła Matka i popatrzyła na Schofielda. – A ty co? Kiedy ostatni raz cię widziałam, lecieliście z prezydentem w kosmos. To wszystko, co było potem, to znowu twoja robota?

– Mniej więcej.

– No dobrze, ale tak poza tym... – szepnęła konspiracyjnie Matka. – Zrobiłeś to, co mówiłam? Wiesz, o co chodzi... – Skinęła głową w kierunku Gant. – Pocałowałeś tę lalunię?

Schofield popatrzył na Gant.

– Chyba tak – odparł.

Kilka minut później został sam na sam z prezydentem.

– No i co? – zapytał. – Amerykanie oglądali to wszystko? Prezydent uśmiechnął się.

– Śmieszna sprawa... kiedy pana nie było, przeanalizowaliśmy system zasilania kompleksu i znaleźliśmy to...

Wyjął z kieszeni wydruk komputerowy i wskazał na jeden z wpisów. 07.37:56

UWAGA: zakłócenie System Awaria zlokalizowana zasilania awaryjnego w terminalu 1-A2

Brak sygnału zwrotnego z: TRACS, SYSAWAR-1, RAD KOM-SFERA, WSN, WY

FAN – Wspomniał pan o zniszczeniu w jednym z poziomów podziemnych skrzynki przełącznikowej, prawda? Mniej więcej o siódmej trzydzieści siedem.

– Tak...

– Wygląda na to, że była to bardzo ważna skrzynka. Znajdowały się w niej sterowniki zasilania awaryjnego bazy i jej radiosfery. Znajdował się w niej także system o nazwie WSN. Wie pan, co oznacza ten skrót?

– Nie.

– Wojskowa Sieć Nadawcza – to dawna nazwa Awaryjnego Systemu

Nadawczego. Pana strzał zniszczył kabel wychodzący tego systemu, a ponieważ nie aktywowano dziś protokołu Lyndona Johnsona, wszystkie przekazy Cezara były opóźnione o czterdzieści pięć minut.

– Ale system zniszczony został o siódmej trzydzieści siedem... Prezydent uśmiechnął się.

– Zgadza się – a to oznacza, że za każdym razem, kiedy Cezar Russell mówił do kamery, obraz nie był nigdzie przekazywany. Mówił wyłącznie do ludzi w Strefie Siedem.

Schofield zamrugał. Nie bardzo to wszystko pojmował.

– Czyli kraj wcale nie wie, co tu się działo... Prezydent skinął głową.

– Wygląda na to, że Amerykanie śledzili przez cały dzień zupełnie inne wydarzenia... zaginięcie najlepiej opłacanej aktorki Hollywood i jej narzeczonego, również aktora. Oboje zostali uwięzieni w Alpach Szwajcarskich, odcięła ich lawina w trakcie nielegalnego spaceru po terenie wojskowym. Ich pozbawiony skrupułów przewodnik niestety zginął, ale supergwiazdy znaleziono godzinę temu. Są cali i zdrowi. CNN przez cały dzień zajmowała się tym dramatem, podając co godzinę najświeższe komunikaty i na okrągło powtarzając zrobione przez amatorów filmy. Podobno to największe wydarzenie medialne od wypadku Diany. Schofield niemal się roześmiał.

– Więc nikt o niczym nie wie...

– Zgadza się – przyznał prezydent. – I tak ma pozostać, kapitanie.

Dokładnie sześć godzin później ze Strefy 8 wystartował boeing 747, niosący na grzbiecie drugi wahadłowiec X-38.

Jego misja polegała na zniszczeniu satelity sił powietrznych, unoszącego się na orbicie geostacjonarnej nad południem stanu Utah.

Piloci wahadłowca stwierdzili, że satelita wysyła na ziemię dziwny sygnał mikrofalowy i taki sam sygnał odbiera.

Nie był to jednak ich problem – mieli swoje rozkazy i wypełnili je co do joty.

Zestrzelili satelitę.

Kiedy to zrobili, plazmowe głowice bojowe typu 240 stały się bezużyteczne – trzeba było tylko jeszcze usunąć czujniki zbliżeniowe.

W ciągu kilku godzin wszystkie czternaście bomb rozbrojono, zdemontowano i zabrano do dokładniejszego zbadania.

Zestrzelenie satelity nie tylko unieszkodliwiło bomby, ale także pozwoliło na usunięcie przekaźnika z serca prezydenta.

Zabieg przeprowadził cywilny kardiochirurg ze Szpitala imienia Johna Hopkinsa – pod czujnym okiem trzech innych kardiochirurgów, w sali chronionej przez mieszany oddział agentów Secret Service i komandosów korpusu piechoty morskiej.

Jeszcze żaden chirurg nie był podczas przeprowadzania zabiegu tak uważny – i tak zdenerwowany.

Zastosowano narkozę i choć nigdy tego nie ujawniono, przez 28 minut władzę w Stanach Zjednoczonych piastował wiceprezydent.

Do zbadania roli sił powietrznych w wydarzeniach, które miały miejsce na terenie Strefy 7, powołano Specjalną Komisję Śledczą.

W wyniku dochodzenia osiemnastu oficerów wyższego stopnia oraz dziewięćdziesięciu dziewięciu młodszych oficerów i zawodowych żołnierzy z dwunastu baz sił powietrznych na południowym zachodzie USA oskarżono o zdradę stanu i osądzono.

Wyglądało na to, że wszyscy ludzie, związani z wydarzeniami 3 lipca, służy lub kiedyś służyli w jednym z trzech miejsc: w Dowództwie Operacji Specjalnych Sił Powietrznych w Hurlbut na Florydzie, Bazie Sił Powietrznych imienia Warrena w Wyoming albo Bazie Sił Powietrznych Falcon w Colorado. Każdy z nich w którymś momencie był podwładnym Charlesa „Cezara” Russella.

Przy 400 000 żołnierzy i oficerów 117 zdrajców to niewielki procent – niespełna 10 osób na każdą „skażoną” bazę – biorąc jednak pod uwagę znajdujący się tam sprzęt, liczba ta wystarczyła do przeprowadzenia planu Cezara Russella.

W trakcie procesu wyszło także na jaw, że wśród uczestników spisku było pięciu chirurgów sił powietrznych, którzy operowali członków Kongresu oraz jednego senatora, Jeremiaha K. Woolfa – kiedy był obiecującym kandydatem na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Dowody poszlakowe sugerowały, że każdy uczestniczący w spisku żołnierz i oficer sił powietrznych był członkiem nieformalnego stowarzyszenia rasistowskiego o nazwie Braterstwo.

Oskarżeni zostali skazani na dożywocie bez prawa wcześniejszego zwolnienia warunkowego – w więzieniu o utajnionej lokalizacji. Nieszczęście chciało, że mający ich tam dostarczyć samolot miał wypadek i nikt nie przeżył katastrofy.

W końcowym raporcie Komisji Śledczej, przedstawionej Połączonemu Dowództwu Sztabów, podniesiono kwestię „nieformalnych społecznych grup interesów” w siłach zbrojnych. Raport stwierdzał, że większość tego typu organizacji została usunięta z wojska w czasie czystek przeprowadzonych w latach 80., zalecał jednak zbadanie, czy się nie odnowiły.

Połączone Dowództwo nie przyjęło do wiadomości faktu istnienia tego rodzaju organizacji, odrzuciło więc zalecenia komisji w tym względzie.

Przez następne pół roku turyści, którzy wybrali się w okolice jeziora Powell, informowali o pojawianiu się w północno-wschodniej okolicy jeziora rodziny niedźwiedzi. Funkcjonariusze służby leśnej zbadali tę sprawę, nie zauważyli jednak ani niedźwiedzi, ani żadnych śladów ich obecności.

Kilka tygodni później w sali konferencyjnej w podziemiach Białego Domu odbyła się cicha ceremonia.

Obecnych było dziewięć osób. Prezydent Stanów Zjednoczonych. Kapitan Shane Schofield – z ręką na temblaku. Sierżant sztabowa Elizabeth Gant – o kulach. Młodszy chorąży Gena „Matka” Newman – ze swoim niskim łysym mężem Ralphem.

Sierżant Buck Riley junior – z ręką na temblaku.

Agentka Secret Service Stanów Zjednoczonych Juliet Janson – również z ręką na temblaku.

David Fairfax z Defense Intelligence Agency – w swoich najlepszych sportowych butach.

Mały chłopiec o imieniu Kevin.

Prezydent wręczył Schofieldowi i jego marines Honorowy Medal Kongresu (tajny) – za męstwo okazane na polu bitwy.

Każdy z odznaczanych wiedział, że nie będzie mógł nikomu powiedzieć o tym wyróżnieniu.

Byli jednak zgodni co do tego, że tak będzie lepiej.

Podczas gdy wszyscy siedzieli w jadalni Białego Domu przy kolacji – a prezydent prowadził bardzo żywą rozmowę o problemach kierowców ciężarówek z Matką i jej mężem – Schofield i Gant poszli na swoją drugą randkę.

Kiedy dotarli na miejsce, okazało się, że będą sami.

Pośrodku wielkiego pomieszczenia stał stół z jedną świecą. Usiedli i zaczęli jeść kolację. Sami.

Byli w prywatnej jadalni prezydenta, na górnym piętrze Białego Domu, z

widokiem na pomnik Waszyngtona.

– Podawajcie im wszystko, czego sobie zażyczą – poinstruował swojego szefa obsługi osobistej prezydent. – Na mój rachunek.

Schofield i Gant rozmawiali przy świetle świec do późnego wieczoru. Kiedy przyniesiono deser, Schofield sięgnął do kieszeni.

– Chciałem ci to dać w twoje urodziny, ale tamten dzień jakoś się rozmył... Wyjął z kieszeni pognieciony kartonik wielkości karty pocztowej.

– Co to? – spytała Gant.

– To był twój prezent urodzinowy, ale miałem go przez cały dzień w kieszeni, więc chyba nieco się pogniół...

Podał go Gant.

Popatrzyła na kartonik i uśmiechnęła się. Było to zdjęcie.

Ukazywało grupę ludzi na przepięknej hawajskiej plaży. Wszyscy byli ubrani w szorty i kolorowe koszule.

Gant i Schofield stali obok siebie i uśmiechali się do aparatu. Gant była nieco spięta, a Schofield jakby smutny.

Pamiętała ten dzień, jakby to było wczoraj.

Było to przyjęcie zorganizowane na plaży niedaleko Pearl Harbor z okazji przyjęcia jej do oddziału rozpoznania Schofielda.

– Wtedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – powiedział Schofield.

– Tak. Pamiętam.

– Nigdy nie zapomniałem tego dnia. Gant rozpromieniła się.

– To najmiłszy prezent urodzinowy, jaki dostałam w tym roku. Wstała, pochyliła się i pocałowała go w usta.

Po kolacji zeszli na dół, gdzie czekała na nich limuzyna prezydenta. Otaczało ją kilka pojazdów: cztery humvee korpusu piechoty morskiej, sześć policyjnych radiowozów i czterech motocyklistów.

Na widok tej kawalkady Gant uniosła brwi.

– Zapomniałem ci o czymś powiedzieć... – odezwał się Schofield.

– O czym?

Schofield otworzył drzwi limuzyny. Na szerokiej tylnej kanapie spał Kevin.

– Musi gdzieś mieszkać, dopóki nie znajdą mu nowego domu, powiedziałem więc, że wezmę go do siebie. Rząd uparł się przy pewnych środkach bezpieczeństwa...

Gant pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– W porządku. Jedźmy do domu.